

Na oślep

Bagley Desmond



calibre 0.9.27

Bagley Daesmond

Na olep

Rozdział 1

Znaleć się nagle sam na sam z trupem to zupełnie niewesoła sytuacja, zwłaszcza gdy denat nie ma szczęścia posiadać aktu zgonu. Oczywiście, każdy lekarz, a nawet wiezo upieczony absolwent medycyny, mógłby z łatwością podać przyczynę mierci. Mężczyzna zmarł na skutek niewydolności krążenia, co faceci w białych fartuchach nazywają uczenie zatrzymaniem pracy serca.

Bezpośrednim powodem ustania przepływu krwi było stalowe ostrze, które kto wsunął mu między żebra na tyle głęboko, by przebiło mięsień sercowy i spowodowało gromy, nieodwracalny krwotok, prowadzący do zgonu. Czyli, jak powiedziałem, zatrzymanie pracy serca.

Nie paliłem się zbytnio do wezwania lekarza, ponieważ nóż należał do mnie, a jego rękojeść spoczywała w mojej dłoni w chwili, gdy ostrze przecięło nić życia.

Stałem na pustej drodze z ciałem u stóp i bałem się, bałem się tak bardzo, że rozboleł mnie brzuch i poczułem mdłości. Nie wiem, co gorsze: zabić faceta, którego się zna, czy zabić kogo obcego. Martwy mężczyzna był włanie, a na dobrą sprawę ciśgle jest, zupełnie mi nie znany: nie spotkałem go nigdy przedtem.

A oto, co się zdarzyło.

Niecałe dwie godziny wczesniej samolot pasażerski przebił warstwę chmur i ujrzałem dobrze mi znany surowy krajobraz południowej Islandii. Na wysokoci

półwyspu Reykjanes maszyna obniżyła lot i wylądowała punktualnie co do minuty na międzynarodowym lotnisku w Keflaviku. Powitał nas drobny kapuniaczek sišpišcy ze stalowoszarego nieba.

Nie byłem uzbrojony, jeli pominšć sgian dubh. Celnicy nie przepadajš za broniš, więc nie wzišłem pistoletu. Slade również uznał, że nie będzie mi on potrzebny.

Sgian dubh, czarny nóż górali szkockich, jest narzędziem walki

ogromnie nie docenianym, o ile dzisiaj w ogóle kto go za takie uważa. Można go zobaczyć za skarpetami statecznych Szkotów, paradujšcych w pełnej krasie stroju narodowego, i stanowi dla nich jeden z klejnotów zdobišcych strój męzczyzny.

Mój nóż był bardziej funkcjonalny. Dostałem go od dziadka, który odziedziczył go po swoim dziadku, musiał więc liczyć co najmniej sto pięćdziesišt lat. Jak każde sprawne narzędzie do zabijania, pozbawiony był wszelkich niepotrzebnych ozdóbek.

Nawet elementy cile dekoracyjne spełniały jakš rolę. Hebanowa rękojeć była z jednej strony żebrowana na wzór typowo celtyckiego tkackiego splotu koszykowego, co pomagało mocno uchwycić nóż przy wyjmowaniu, z drugiej natomiast całkiem gładka, aby nóż w chwili wycišgania o nic nie zaczepiał. Ostrze miało niecałe dziesięć centymetrów długości, co jednak wystarczało, by dosięgnšć organu wewnątrz ciała. Nawet osadzony w gałce rękojerci jaskrawo błyszczšcy kwarc z gór Cairngorm znalazł swoje zastosowanie: wywazał nóż, co czyniło go doskonałš broniš do rzucania na odległość.

Ostrze spoczywało w płaskiej pochwie ukrytej w skarpecie na mojej lewej nodze.

Czy jest lepsze miejsce do schowania sgian dubhl Miejsca widoczne często sš najlepsze, większość ludzi bowiem nie dostrzega tego, co najbardziej rzuca się w oczy. Celnik nie okazał zainteresowania ani moim bagażem, ani bardziej intymnymi

zakamarkami mojej osoby. Przyjeżdżałem tutaj tak często, że znano mnie dość dobrze. Na moją korzyść przemawiała również znajomość islandzkiego. Językiem tym włada zaledwie dwadzieścia tysięcy osób; Islandczycy mają zabawne, mile zaskoczone miny, gdy spotykają cudzoziemca, który zadał sobie trud opanowania ich mowy.

- Wybiera się pan znów na ryby, panie Steward? - spytał celnik.

- Tak, i mam nadzieję, że uda mi się umiercić kilka tutejszych łososi. Proszę, to wiadectwo sterylizacji sprzętu wędkarskiego.

Islandczycy próbują dopuścić do zakażenia łososi chorobą, która atakuje ryby w rzekach Wielkiej Brytanii.

Wziął wiadectwo i wypuszczając mnie przez barierkę, powiedział:

- Życzę szczęścia!

Umiechnąłem się i przeszedłem do hali przylotów. Zgodnie z instrukcjami Slade'a udałem się do kawiarni. Zdążyłem zamówić kawę, gdy ktoś się do mnie przysiadł.

Położył egzemplarz "New York Timesa" i zaczął:

- Brr! Zimniej tu niż w Stanach.

- W Birmingham jest jeszcze zimniej - stwierdziłem z powagą. Zakończywszy w ten sposób głupią procedurę wymiany haseł, przystąpiliśmy do rzeczy.

- Jest zawinięta w gazetę - oznajmił.

Był to niski, łysiejący mężczyzna o zmartwionym wyrazie twarzy wyższego urzędnika cierpiącego na chorobę wrzodową. Uderzyłem lekko w gazetę.

- Co tam jest?

- Nie mam pojęcia. Wiesz, gdzie to zawieć?

- Do Akureyri. Tylko czemu ja? Ty nie możesz?

- Nie! - odrzekł stanowczo. - Odlatuję następnym rejsem do Stanów. Wydawało się, że sama wzmianka o locie przynosi mu odprężenie. Przechwyciłem spojrzenie kelnerki.

- Zachowujmy się normalnie. Zamówię ci kawę.

- Dzięki - powiedział i położył na stoliku kluczyki. - Na parkingu stoi samochód. Numery rejestracyjne znajdziesz przy stopce redakcyjnej New York Timesa".

- To bardzo uprzejmie z twojej strony. Miałem zamiar wziść taksówkę.

- Nie robię niczego z uprzejmoci - uciśł krótko. - Tak jak ty robię to, co mi każś. Dlatego teraz jestem tu i mówię, co masz zrobić, a do ciebie należy wykonanie. Nie pojedziesz do Reykjavíku głównš drogš, ale przez Krysuvík i Kleifavatn.

Słyszšc tę nieoczekiwanš nowinę, zakrztusiłem się kawš. Gdy doszedłem do siebie i odzyskałem oddech, spytałem:

- Czemu, do diabła, miałbym tak jechać? Przecież to dwa razy dalej, i do tego po fatalnych drogach.

- Nic nie wiem. Ja tylko przekazuję. W każdym razie ta instrukcja przyszła w ostatniej chwili; może kto zwęszył jakš zasadzkę na głównej drodze. Naprawdę nie wiem...

- Rzeczywiście nie wiesz zbyt wiele - rzuciłem uszczypliwie. Uderzyłem lekko w gazetę: - Nie wiesz, co jest w rodku, nie wiesz, dlaczego mam tracić całe popołudnie na objazd półwyspu Reykjanes. Wštpię, czy gdybym spytał cię o godzinę, potrafiłbyś odpowiedzieć.

Umiechnšł się chytrze kšcikiem ust:

- Jedno jest pewne: idę o zakład, że wiem więcej niż ty.

- Nic trudnego - burknąłem.

To był właśnie cały Slade. Kierował się zawsze dewizą "wiedzieć tylko to, co konieczne" i fakt, że kto czego nie wiedział, wcale go nie martwił. Facet dopił kawę.

- To wszystko, stary. A, i jeszcze jedno. Gdy będziesz już w Reykjaví-ku, zostaw samochód przed hotelem Saga i idź sobie. Kto się nim zajmie.

Wstał, nie mówiąc nic więcej, i wyszedł. Miałem wrażenie, że spieszo mu było pożegnać się ze mną. Przez cały czas naszej krótkiej rozmowy wydawał się dziwnie podenerwowany. To mnie niepokoiło, nie pasowało bowiem do opisu roboty nadanej przez Slade'a.

To nic trudnego - powiedział - będziesz tylko posłańcem". Skrzywił się przy tym z wyraźną ironią, jakby chciał pokazać, że to jest wszystko, do czego się nadaje.

Wstałem i wcisnąłem gazetę pod pachę. Ukryta w niej paczka, chociaż dość ciężka, nie rzucała się w oczy. Wziąłem wędkę i poszedłem odnaleźć samochód. Był to Ford Cortina. W chwilę potem wyjeżdżałem już z Keflaví-ku, kierując się na południe, coraz dalej od Reykjavíku. Chętnie poznałbym tego durnia, który uważa, że można się tam dostać najszybciej, wybierając najdłuższą, okrężną drogę.

Znalazłem spokojny odcinek szosy, zjechałem na pobocze i wziąłem gazetę z siedzenia obok. Paczka wyglądała tak, jak Slade ją opisał: nieduża i znacznie cięższa, niż można by się spodziewać. Była owinięta w porządnie zaszytą brązową jutową i niczym nie zdradzała swej zawartości. Opukałem ją uważnie i doszedłem do wniosku, że pod jutową kryje się metalowe pudełko. Potrząsnąłem nim, lecz nie

usłyszałem żadnego odgłosu.

Zbadałem paczkę ze wszystkich stron, ale nic to nie dało. Owinąłem ją znowu w gazetę, rzuciłem na tylne siedzenie i pojechałem dalej. Tymczasem deszcz przestał padać i warunki jazdy, jak na Islandię, nie były najgorsze. Wiejski trakt w Anglii przypomina superautostradę w porównaniu z tutejszymi drogami - oczywiście tam, gdzie one w ogóle są. W głębi kraju, noszącym w Islandii nazwę Óbyggdir, nie ma żadnych dróg i ziemia Óbyggdir jest niemal tak niedostępna jak srebrny glob. No, chyba że jest się typem zapalonego podróżnika. W dodatku Óbyggdir żywo przypomina krajobraz księżycowy; tutaj zresztą Neil Armstrong przygotowywał się do spaceru po księżycu.

Skręciłem przy Krysuvik. Kierując się w głąb kraju, mijałem majaczko w oddali, okryte mgłą wzgórza, gdzie przegrzana para wodna kipi z wnętrza ziemi. Tuż przy jeziorze Kleifavatn ujrzałem na poboczu drogi samochód i jego właściciela, dającego mi rękojmię znaki charakterystyczne dla kierowcy, który utknął na szosie. Obaj byliśmy cholernymi głupcami. Ja - ponieważ się zatrzymałem, a on - ponieważ był sam. Odezwał się do mnie kiepsko duńszczyźnie i zaraz przeszedł na poprawny szwedzki; znam dość dobrze oba języki. Okazało się, co było łatwo przewidzieć, że zepsuł mu się samochód i za nic nie może go uruchomić.

Wysiadłem z cortiny.

- Lindholm.

Przedstawił się formalnie, jak każe szwedzki zwyczaj, i podał mi rękę.

Ucisnąłem ją zgodnie z wszystkimi wymogami etykiety.

- Nazywam się Stewart.

Dokończywszy prezentacji, podszedłem do volkswagena Lindholma i zajrzałem do

silnika.

10

Nie sšdzę, że chciał mnie od razu zabić. Gdyby tak było, użyłby pistoletu. On natomiast zamierzył się na mnie fachowo wykonanš pałkš z ołowianym wsadem. W chwili kiedy znalazł się tuż za mnš, zdałem sobie sprawę, że postępuję jak skończony idiota. To sš włanie skutki wychodzenia z wprawy. Odwróciłem się. Zobaczyłem jego wzniesione ramię i uskokczyłem w bok. Gdyby pałka spadła mi na głowę, roztrzaskałaby jš, a tak trafiła mnie w bark i straciłem tylko czucie w całej ręce.

Kopnšłem go z całej siły w goleń, zdzierajšc mu butem skórę aż do kostki. Zawył z bólu i odskoczył do tyłu. Skorzystałem z okazji, by schronić się za samochód i ręčš wymacałem sgian dubh. Na szczęście ten nóż jest przystosowany do trzymania w lewej ręce, co w sytuacji, gdy nie mogłem użyć prawej, było okolicznociš sprzyjajšcš.

Doskoczył do mnie znowu, ale ujrzawszy nóż, zawahał się, szyderczo krzywišc wargi. Pucił pałkę i sięgnšł ręčš pod marynarkę. Teraz dla mnie nastala chwila niepewności. Jednak pałka, przymocowana za pomocš pętli do nadgarstka Lindholma, utrudniała mu sięgnięcie po pistolet. W chwili gdy wycišgnšł broń, byłem już przy nim.

Nie pchnšłem go. To on obrócił się gwałtownie i nadział wprost na ostrze.

Strumień krwi chlusnšł mi na rękę. Lindholm zawisł na mnie z głupim wyrazem zdziwienia na twarzy. W chwilę potem osunšł mi się do stóp, uwalniajšc nóż z klatki piersiowej, skšd na ziemię pokrytš pyłem wulkanicznym zaczęła bić krew.

I tak oto stałem na odludnej drodze gdzie w południowej Islandii, ze wieżym

trupem u stóp i skrwawionym nożem w ręku. Czuję pustkę w głowie i żółć podchodzić do gardła. Od wyjścia z samochodu do śmierci Lindholma nie minęły nawet dwie minuty.

Nie byłem chyba w pełni świadomy tego, co robiłem potem. Myślałem, że górę wzięły wytrwały trening. Skoczyłem do cortiny i podjechałem trochę, by zasłonić ciało.

To, że droga znajdowała się na odludziu, nie musiało wcale oznaczać, że nie pojawi się na niej jakiś samochód, a widok ciała leżącego na otwartej przestrzeni spowodowałby na pewno całą masę pytań.

Wziąłem egzemplarz "New York Timesa", który poza innymi zaletami ma tę, że liczy więcej stron niż jakakolwiek inna gazeta na świecie, i wyłożyłem nim dno bagażnika. Wróciłem po ciało, zważyłem je do kufra i szybko zatrzęsłem wieko.

Lindholm, jeśli tak się naprawdę nazywał, zniknął mi z oczu, chociaż nie z pamięci.

Zanim ukryłem go w bagażniku, Szwed leżał na skraju drogi, krwawił jak krowa w muzułmańskiej rzeni, i w miejscu tym widniała teraz duża czerwona kałuża.

Również moja marynarka i spodnie były mocno zabrudzone. Teraz niewiele mogłem zrobić z ubraniem, ale kałużę krwi zasypałem pyłem wulkanicznym. Zamknąłem maskę volkswagena, usiadłem za kierownicą

11

i włączyłem stacyjkę, Lindholm nie tylko usiłował mnie zabić, ale okazał się również kłamcą: silnik volkswagena pracował nienagannie. Cofnąłem samochód na mokro od krwi ziemię i tam go zostawiłem. Nie łudziłem się, że gdy zostanie ciśnięty, plama nie będzie widoczna, ale zrobiłem przynajmniej to, co było możliwe.

Rzuciłem ostatnie spojrzenie na miejsce tragedii i wsiadłem do cortiny. Dopiero teraz zacząłem rozumować w pełni wiadomie. Pierwsze myli powięciłem Slade'owi, posyłając go do diabła, ale już po chwili skupiłem uwagę na planach łatwiejszych do realizacji; zacząłem się zastanawiać, jak pozbyć się zwłok Lindholma. Zdawać by się mogło, że w kraju równym czterem piętrom powierzchni Anglii, zamieszkanym przez populację mniejszą niż połowa takiego na przykład Plymouth, jest mnóstwo otwartej przestrzeni obfitującej w liczne zakamarki i szczeliny, gdzie można ukryć niewygodne ciało. Wszystko to prawda, tyle że akurat południowo-zachodnia Islandia jest najgęściej zaludniona, sprawa nie była zatem taka prosta.

Znałem jednak ten kraj nie od dzisiaj; wkrótce wiedziałem już, co zrobić.

Sprawdziłem wskaźnik poziomu paliwa i przygotowałem się na długą podróż, mając przy tym nadzieję, że samochód jest w dobrym stanie. Gdybym utknął gdzieś po drodze, splamiona krwią marynarka spowodowałaby wiele niewygodnych pytań. W walizce miałem czyste ubranie, ale w jednej chwili pojawiło się wokół zbyt wiele samochodów, a wolałem przebrać się dyskretnie.

Większość obszaru Islandii ma charakter wulkaniczny. Stwierdzenie to jest szczególnie trafne w odniesieniu do południowo-zachodniej części kraju, której ponury krajobraz tworzą pokrywy lawowe, stożki wulkaniczne i szerokie wulkany tarczowe. Niektóre z wulkanów są już nieczynne, niektóre wykazują aktywność.

Podczas jednej z moich wypraw natrafiłem na komin wulkaniczny, który teraz wydał mi się idealny jako miejsce ostatniego spoczynku Lindholma.

Podróż trwała dwie godziny. Pod koniec musiałem zjechać z drogi na szczerze pole.

Jazda po wyboistym pustkowiu pokrytym popiołem i skałami wulkanicznymi nie służyła

cortinie. Gdy ostatni raz podróżowałem w podobnych warunkach, siedziałem za kierownicą mego land-rovera, który jest przystosowany do jazdy po tego typu terenach.

Miejsce zastałem dokładnie takie, jakie zapamiętałem. Nieczynny krater był z jednej strony szeroko rozszczepiony, co umożliwiało wjazd samochodem wprost do kaldery. Porodku znajdowała się skamieniała kopa lawowa z otworem, który w czasie jakiejś dawno temu zakończonej erupcji stanowił wylot dla gazów wulkanicznych. Jedynym świadectwem tego, że od czasu stworzenia świata miejsce to odwiedziła jakaś inna istota ludzka, był ład opon samochodu ciężarowego prowadzący aż do krawędzi krateru.

12

Islandczycy mają szczególny rodzaj sportu samochodowego: wjeżdżają do wnętrza krateru i próbują wydostać się po jego stromej krawędzi. Nie słyszałem, żeby kto złamał sobie kark przy tej ryzykownej zabawie, lecz bynajmniej nie z powodu braku chętnych.

Podjechałem jak najbliżej komina wulkanu i dalej udałem się pieszo do miejsca, gdzie mogłem zajrzeć w nieprzenikniętą czerń otworu. Wrzuciłem kamień i w odpowiedzi usłyszałem oddalający się łoskot, który nie ustawał przez długi czas.

Bohater powieści Verne'a, udając się w głąb ziemi, znacznie ułatwiłby sobie zadanie, gdyby wybrał do swoich celów właśnie tę dziurę zamiast Snaefellsjökuli.

Zanim wrzuciłem Lindholma w miejsce jego wiecznego spoczynku, dokładnie go przeszukałem. Była to paskudna robota, krew nie zdążyła bowiem jeszcze zakrzepnąć; dobrze się stało, że nie zmieniłem ubrania. Miał szwedzki paszport,

w którym figurował jako Axel Lindholm, co nic nie znaczyło, bo paszport bardzo łatwo zdobyć. Było jeszcze kilka drobiazgów, ale nic ważnego. Zatrzymałem jedynie pałkę i pistolet, model Smith&Wesson kaliber 38.

Potem zaniósłem zwłoki do wylotu komina i tam je wrzuciłem. Rozległo się kilka tępych uderzeń, a po nich nastąpiła cisza, która, miałem nadzieję, będzie trwała wiecznie. Wróciłem do samochodu i przebrałem się w czysty garnitur. Splamione ubranie wywróciłem na drugą stronę, aby nie pobrudzić krwiś wnętrza walizki. Pałkę, pistolet i przekłętą paczkę Slade'a również tam schowałem. W chwilę potem wyruszyłem w nużsć podróż do Reykja-viku.

Byłem bardzo zmęczony.

II

Do hotelu Saga dotarłem pónym wieczorem. Było jeszcze dosyć widno dzięki powiacie towarzyszącej latu polarnemu. Bolały mnie oczy, bo jechałem wprost na zachodzące słońce, i teraz pozostałem chwilę w samochodzie, by dać im trochę odpocząć. Gdybym został dwie minuty dłużej, następne fatalne spotkanie nie doszłoby do skutku. Ale stało się inaczej. Wsiadłem z samochodu i właśnie wyjmowałem walizkę, gdy z hotelu wyszedł jakiś mężczyzna, który na mój widok zawołał:

- Alan Stewart!

Podniosłem głowę i zakląłem w duchu. Mężczyzna w mundurze islandzkiego pilota był bowiem ostatniś osobš, któryś chciałem teraz spotkać. Przede mnš stał Bjarni Ragnarsson.

- Witaj, Bjarni.

Podaliśmy sobie ręce.

- Elin nic nie mówiła, że przyjeżdżasz.

- Bo nie wiedziała. Zdecydowałem się w ostatniej chwili. Nie zdążyłem nawet zadzwonić.

Rzucił okiem na walizkę stojąc na chodniku.

- Czyżby chciał zatrzymać się w hotelu!? - spytał wyrażenie zdziwiony.

Zastrześlił mnie tym pytaniem. Musiałem szybko podjąć decyzję.

- Skądże znowu - odparłem. - Pojadę do domu.

Chciałem uniknąć mieszania w to wszystko Elin, ale teraz, gdy jej brat wiedział, że jestem w Reykjavíku, było rzecz jasną pewność, że jej o tym powie. Mogłaby poczuć się dotknięta, a ja za nic nie chciałem jej zranić. Elin wiele dla mnie znaczyła.

Spostrzegłem, że Bjarni spogląda na samochód.

- Zostawiam go tutaj - rzuciłem od niechcenia. - Przywiozłem go na próbę przyjaciela. Do domu pojadę taksówką.

Przyjść to do wiadomości i zapytał:

- Na długo przyjechała?

- Do końca lata, jak zwykle - odpowiedziałem swobodnie.

- Musimy wybrać się kiedy na ryby - zaproponował. Przytaknąłem.

- Została już ojcem? - spytałem.

- Za miesiąc - odpowiedział posępnie. - Boję się, jak to będzie. Rozemiałem się.

- To chyba raczej zmartwienie Kristin. Ty spędzasz w kraju mniej niż połowę czasu. Nie będziesz się bawił w zmienianie pieluch.

Gawędziliśmy jeszcze kilka minut o tym i owym tak jak starzy przyjaciele, którzy dopiero co się spotkali. W końcu Bjarni spojrział na zegarek.

- Mam lot do Grenlandii - powiedział. - Muszę już iść. Zadzwoń za kilka dni.

- Nie zapomnij.

Odprowadziłem go wzrokiem i zaraz potem złapałem taksówkę, z której właśnie wysiadł pasażer. Gdy dojechałem na miejsce, zapłaciłem kierowcy i po chwili stałem niepewnie na chodniku, zastanawiając się, czy dobrze robię.

Elin Ragnarsdottir dużo dla mnie znaczyła.

Była nauczycielką, ale podobnie jak wielu innych Islandczyków wykonywała dwa zawody. Wielkość Islandii, małe zaludnienie oraz położenie w strefie

podbiegunowej ukształtowały system społeczny, który przybysz z zewnątrz skłonny

jest uznać za dziwny. Ponieważ jednak system ten został stworzony dla wygody

Islandczyków, nie przejmują się oni tym, co mówią inni. I tak być powinno.

14

Jednym z owoców tego systemu jest to, że latem wszystkie szkoły przerywają

zajęcia na cztery miesiące i część budynków szkolnych pełni w tym okresie rolę

hotelu. Nauczyciele mają zatem sporo wolnego czasu i wielu z nich podejmuje w

tych czasie pracę w zupełnie innym zawodzie. Gdy poznałem Elin trzy lata temu,

pracowała jako przewodnik turystyczny w Fer-daskrifstofaa Nordri, jednym z biur

podróży w Reykjavíku, jeżdżąc z wycieczkami po całym kraju.

Dwa lata temu udało mi się ją namówić, by została moim osobistym przewodnikiem

na okres całego sezonu letniego. Obawiałem się, że jej brat Bjarni może to uznać

za niezbyt stałe zajęcie i sprzeciwi się, ale nie zrobił tego. Być może uznał,

że jego siostra jest na tyle dorosła, by mogła sama troszczyć się o siebie. Elin

była osobą niezbyt wymagającą i zwiśzek z nią nie sprawiał kłopotu, lecz nie ulegało wątpliwoci, że w tej postaci nie może trwać wiecznie. Chciałem w końcu coś zmienić, ale miałem spore wątpliwoci, czy jest to najwłaściwszy moment - trzeba kogoś o nerwach znacznie silniejszych niż moje, by zaproponować kobiecie małżeństwo tuż po pozbyciu się trupa w czeluciach krateru.

Wszedłem na górę i, chociaż miałem klucz, zapukałem. Elin otworzyła drzwi i spojrzała na mnie z wyrazem zdziwienia, które szybko zmieniło się w radość, a we mnie coś się poruszyło na widok jej zgrabnej figury i złocistych włosów.

- Alan - zaczęła - dlaczego mnie nie raczyłeś zawiadomić, że przyjeżdżasz?

- To była nagle decyzja - stwierdziłem i dodałem, podnosząc wędkę w futerale: -

Kupiłem nowy kij.

Zacisnęła usta z udawaną surowością i stwierdziła:

- To już szósty.

Przytrzymała drzwi i powiedziała zapraszająco:

- Proszę, wejd, kochany.

Wszedłem, rzuciłem walizkę i wędkę i wziłem ją w ramiona. Przyłgnęła do mnie mocno i szepnęła, opierając mi głowę na piersiach:

- Nic nie pisała i myślałam...

- Myślała, że nie przyjadę. - Nie pisałem do niej z powodu czego, co

powiedział Slade, ale nie mogłem jej tego wyjawić.

- Ostatnio byłem bardzo zajęty. Odchyliła głowę i przyjrzała mi się uważnie.

- Rzeczywiście, masz wymizerowaną twarz. Wyglądasz na zmęczonego. Umiechnęłam się.

- Ale teraz chce mi się jeść. Pocałowała mnie.

- Co ci przygotowuję - powiedziała i uwolniła się z moich ramion. - Zostaw teraz walizkę, rozpakuję ją po kolacji.

15

Przypomniałem sobie zakrwawiony garnitur.

- Daj spokój, ja to zrobię.

Chwyciłem walizkę i wędkę i zaniósłem je do mojego pokoju. Nazywam go moim pokojem, jest to bowiem mój sypialnia, gdzie trzymam sprzęt wędkarski. Tak naprawdę całe mieszkanie jest moją własnością, gdyż ja płacę czynsz, chociaż robię to w jej imieniu. Spędzając w Islandii jedną trzecią roku, potrafię docenić wygodę posiadania pied-d-terre.

Umieciłem wędkę przy innych i postawiłem walizkę, zastanawiając się, co zrobić z garniturem. W pokoju nie było mebli zamykanych na klucz, ponieważ aż do dzisiaj nie miałem przed Elin żadnych tajemnic. Otworzyłem szafę i przejrzałem szereg garniturów i marynarek. Wszystkie spoczywały na osobnych wieszakach, porządnie zabezpieczone plastikowymi pokrowcami zamykanymi na suwak. Byłoby rzecz jasną ryzykowną powiesić ubranie obok innych. Elin bardzo drobiazgowo troszczyła się o swoją garderobę - zapewne - ci się to zauważyła.

W końcu zdecydowałem się prawie całkowicie opróżnić walizkę, pozostawiając jednak w niej poplamiony garnitur i broń, po czym zamknąłem ją na kluczyk i wywindowałem na szczyt szafy, gdzie miała swoje stałe miejsce. Uznałem za mało prawdopodobne, że Elin zechce po nią sięgnąć. Gdyby nawet, walizka była zamknięta, chociaż to akurat odbiegało od moich zwyczajów.

Zdjąłem koszulę i obejrzałem ją uważnie. Na samym przodzie odkryłem plamę krwi, zaniósłem więc koszulę do łazienki i sprąłem pod strumieniem zimnej wody. Potem

umyłem twarz, co dobrze mi zrobiło. Kiedy Elin zawołała na kolację, byłem już odwieżony i wyglądałem przez okno w salonie.

Miałem właśnie odejść, gdy moją uwagę przykuł nagły ruch. Po drugiej stronie ulicy, między dwoma budynkami, biegła niewielka uliczka. Odniosłem wrażenie, że w chwili gdy pociągnąłem zasłonę okna, kto usiłował błyskawicznie zniknąć z pola widzenia. Wyteżyłem wzrok, starając się dojrzeć co więcej, ale na próżno. Elin zawołała ponownie, a ja idąc do niej, miałem głowę nabity niewesołymi myślami.

Przy kolacji spytałem:

- Co z land-roverem?

- Nie miałam pojęcia, że przyjeżdżasz, ale w ubiegłym tygodniu kazałam zrobić kompletny przegląd. Jest gotowy do jazdy.

Przy takim stanie dróg, jaki jest w Islandii, tyle tam land-roverów, co mrówek w mrowisku. Ulubionym modelem Islandczyków jest pojazd o małym rozstawie osi. Nasz charakteryzował się dużym rozstawem i służył nam z powodzeniem jako samochód kempingowy. W czasie podróży bylimy całkowicie samowystarczalni i mogliśmy, co też robiliśmy, spędzać całe tygo-

16

dnie z dala od cywilizacji, przyjeżdżając do miasta jedynie dla uzupełnienia zapasów żywności. Znam o wiele gorsze sposoby spędzania lata, niż być sam na sam z Elin przez wiele długich tygodni.

Do tej pory wyruszaliśmy na letnie wyprawy zaraz po moim przyjeździe do Reykjavíku. Tym razem, z uwagi na paczkę Slade'a, miało być inaczej.

Zastanawiałem się, w jaki sposób, nie wzbudzając podejrzeń, powiedzieć Elin o

planowanym samotnym wyjeździe do Akureyri. Slade twierdził, że zadanie będzie proste, ale mierz Lindholma kazała mi teraz patrzeć na to inaczej. Nie chciałem, by Elin została w cokolwiek wplątana. Ale przecież, przekonywałem sam siebie, wszystko, co miałem zrobić, to przekazać paczkę. Resztę lata spędzimy podobnie jak zawsze. Tak, wszystko powinno pójść całkiem gładko.

Byłem jeszcze pogrążony w myślach, gdy Elin się odezwała:

- Naprawdę wyglądasz na zmęczonego. Musiałe mieć dużo pracy. Zdobyłem się na umiech.

- Była ciężka zima. W górach spadło tyle niegu, że straciłem sporo owiec.

Nagle przypomniałem sobie o zdjęciach.

- Chciała zobaczyć, jak wygląda dolina górską w Szkocji. Przywiozłem parę fotografii.

Przyniosłem zdjęcia i oboje zajęliśmy się oglądaniem. Pokazałem Elin szczyty

Bheinn Fhada i Sgurr Dearg, jś jednak bardziej interesowały rzeka i drzewa.

- Ile drzew! - wykrzyknęła z uczuciem. - Szkocja musi być piękna. Była to

całkiem naturalna reakcja mieszkańca Islandii, wyspy zupełnie pozbawionej drzew.

- Czy w tej rzece sś łososie? - spytała.

- Nie, tylko pstręgi. Na łososie przyjeżdżam do Islandii.

Elin wzięła kolejne zdjęcie, przedstawiające rozległy krajobraz.

- Co z tego należy do ciebie?

- Wszystko, co tu widzisz.

- Ooo! - Milczała przez chwilę, po czym odezwała się jakby trochę oniemiłona:

- Wiesz, Alan, nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale... musisz być bardzo

bogaty.

- Nie jestem krezusem, ale jako sobie radzę. Tysiśc dwieście hektarów

wrzosowiska to ziemia niezbyt urodzajna, ale starcza mi na chleb, mam przecież owce i doliny pełne drzew. A dzięki Amerykanom, którzy przyjeżdżają na odstrzał jeleni, stać mnie i na masło. - Poglądziłem ją po ramieniu. - Powinna przyjechać do Szkocji.

- Bardzo bym chciała - odpowiedziała z prostotą. Przystąpiłem teraz szybko do rzeczy:

2 Na olep

17

- Muszę jutro spotkać się z kimś w Akureyri. Wiesz, zwykła przyjacielska przysługa. A to znaczy, że będę tam musiał polecieć. Mogłaby wziąć land-rovera i przyjechać do mnie. Ale może nie dałaby rady kręcić kółkiem taki szmat drogi...?

Wybuchnęła śmiechem.

- Prowadzę land-rovera lepiej niż ty. - Zaczęła obliczać: - To razem czterysta pięćdziesiąt kilometrów... Nie chciałabym przejeżdżać tyle w jeden dzień, zatrzymam się gdzieś koło Hvammstangi. W Akureyri byłabym następnego dnia przed południem.

- Nie musisz gnać na złamanie karku - wtrąciłem niedbale.

Byłem już znacznie spokojniejszy. Polecę do Akureyri, pozbędę się paczki, zanim przyjedzie Elin, i na tym sprawa się zakończy. Nie będzie potrzeby mieszać jej w to wszystko. Odezwałem się:

- Zatrzymam się chyba w hotelu Vardborg. Możesz tam do mnie dzwonić.

Myliłem się. Spokój wcale mi nie wrócił. Gdy poszliśmy do łóżka, przekonałem się, że nerwy mam napięte jak postronki. Elin nie miała ze mnie żadnej pociechy.

Tuż w ciemnościach, oczami wyobraźni widziałem majacząc wokół mnie upiórską twarz Lindholma i znów poczułem mdłości. Zakrztusiłem się lekko i szepnąłem:

- Przepraszam cię...

- Nie przejmuj się, kochany - powiedziała cicho. - Jeste po prostu przemęczony. Musisz się dobrze wyspać.

Nie mogłem jednak zasnąć. Leżałem na plecach i myślałem wracałem do fatalnych wydarzeń kończącego się dnia. Analizowałem każde słowo mojego skrytego rozmówcy z lotniska w Keflaviku, faceta, który według słów Slade'a miał przekazać mi paczkę. To on powiedział: Nie pojedziesz do Reykjavíku główną drogą, ale przez Krysuvík".

Tak więc wybrałem trasę przez Krysuvík i o mały włos nie zostałem zabity.

Przypadek czy zaplanowana akcja? Czy to samo by się stało, gdybym pojechał główną szosą? Kto rozmyślnie wybrał mnie na kozła ofiarnego?

Mężczyzna z lotniska był człowiekiem Slade'a, a w każdym razie znał jego hasło.

Założmy jednak, że nie był człowiekiem Slade'a, lecz wszedł w jakiś sposób w posiadanie hasła - to w końcu nie byłoby takie trudne. Ale dlaczego wystawił mnie Lindholmowi? Nie po to przecież, by zdobyć paczkę, skoro miał już wcześniej.

Skrelamy to i próbujemy dalej.

Założmy, że był on jednak człowiekiem Slade'a i wystawił mnie Lindholmowi - nie, to jeszcze bardziej nie trzymało się kupy. No i na pewno nie chodziło tu o paczkę - nie musiał przecież mi jej dawać. Tak więc wszystko sprowadzało się do tego, że mężczyzna z lotniska i Lindholm nie mieli ze sobą nic wspólnego.

Faktem jednak jest, że Lindholm czekał właśnie na mnie. Zanim zaatakował, upewnił się, kim jestem. Skąd więc, do diabła, wiedział, że będę przejeżdżał drogą na Krysvik? Na to pytanie nie znałem odpowiedzi.

Kiedy upewniłem się, że Elin zapadła w głęboki sen, wstałem po cichu z łóżka.

Wszedłem do kuchni, nie zapalając wiatła, otworzyłem lodówkę i nalałem szklanek mleka. Potem przeszedłem do salonu i usiadłem przy oknie. Krótka polarna noc dobiegała już prawie do końca, było jednak jeszcze na tyle ciemno, że mogłem dojrzeć żarzący się ogień po drugiej stronie ulicy, gdy stojący na czatach mężczyzna zaciśgnął się papierosem.

Facet zaczynał mnie niepokoić. Nie byłem już teraz pewny, czy Elin naprawdę nic nie grozi.

III

Oboje wstaliśmy skoro wit. Elin chciała jak najszybciej wyruszyć do Akureyri, ja natomiast musiałem dostać się do land-rovera jeszcze przed nią. Miałem kilka rzeczy do ukrycia, na przykład pistolet Lindholma. Przymocowałem go starannie tamś do jednej z głównych wzdłużnie podwozia, czyniąc go praktycznie niewidocznym. Pałkę Lindholma schowałem do kieszeni. Przyszło mi na myśl, że jeśli sprawy w Akureyri le się ułożą, broń może okazać się przydatna.

Garaż położony był z tyłu budynku i aby dojść do samochodu, nie musiałem wychodzić frontowymi drzwiami. Byłem więc pewny, że obserwator z bocznej uliczki nie może mnie dostrzec ze swego stanowiska. Aleja wkrótce mogłem go widzieć jak na dłoni - opuszczając garaż, chwyciłem lornetkę i wbiegłem z nią na półpiętro, którego okno wychodziło na ulicę.

Był to wysoki szczupły mężczyzna o starannie przyciętych włosach. Wyglądał na zziębniętego. Jeli tkwił tam całą noc bez przerwy, to nie tylko przemarzył do szpiku kości, ale musiał również umierać z głodu. Upewniłem się, że przy następnej okazji będę w stanie go rozpoznać. Włania opuszczałem lornetkę, gdy z mieszkania na piętrze ktoś zszedł na półpiętro. Była to siwowłosa kobieta w średnim wieku; spojrzała na mnie, potem na lornetkę i prychnęła z dezaprobatą. Umiechnąłem się. Po raz pierwszy w życiu zostałem poszczony o podglądanie. Jadłem niadanie z tym większym apetytem, że przed oczami miałem obraz mego głodnego przyjaciela z uliczki naprzeciwko.

- Widzę, że jesteś w znacznie lepszym nastroju - zauważyła Elin.

- To dzięki twojej wspaniałej kuchni. Spojrzała na ledzie, ser, chleb i jajka na stole.

19

- Też mi co! Każdy potrafi ugotować jajko.

- Ale nie tak jak ty - zapewniłem ją.

Byłem rzeczywiście w znacznie lepszym nastroju. Mroczne, nocne myśli odpłynęły i mimo braku odpowiedzi na nurtujące mnie pytanie przestałem się już zadreć mierciś Lindholma. W końcu ten facet próbował mnie zabić, nie udało mu się i zapłacił za swoją porażkę. Fakt, że ja go zabiłem, nie ciążył mi zbytnio na sumieniu. Nie mogłem natomiast wyzbyć się niepokoju o Elin.

Odezwałem się:

- Samolot do Akureyri odlatuje z lotniska w Reykjavíku o jedenastej.

- To lunch zjesz już na miejscu - zauważyła. - Pomyśl chociaż przez chwilę o mnie, jak tłukę się gdzieś po wertepach Kaldidalur. - Szybko dopiła kawę i

dodała: - Chciałabym wyruszyć jak najprędzej.

Machnąłem ręką w kierunku zastawionego stołu.

- Ja to posprzątam.

Była już gotowa do wyjścia, gdy natknęła się na lornetkę.

- Myślałam, że jest w land-roverze - zdziwiła się.

- Sprawdziałem ostroć. Gdy ostatnio z niej korzystałem, wydawała mi się trochę rozregulowana, ale jest w porządku.

- To dobrze, wezmę ją z sobą.

Zszedłem z Elin do garażu i pocałowałem na pożegnanie. Przyjrzała się mi uważnie i spytała:

- Wszystko w porządku, Alan?

- Oczywiście. Czemu pytasz?

- Sama nie wiem. Chyba odzywa się we mnie kobieca natura. Do zobaczenia w Akureyri.

Pomachałem jej ręką na pożegnanie i patrzyłem w ład za odjeżdżającym samochodem. Najwyraźniej odjazd Elin nie wzbudził niczyjego zainteresowania.

Nikt nie wychylił się zza rogu ulicy i nie pucił za nią w szaleńczość.

Wróciwszy do mieszkania, sprawdziłem, czy mój obserwator stoi na zwykłym miejscu. Nie mogłem go jednak nigdzie dostrzec. Wbiegłem więc w szalonym pędzie na półpiętro, skąd miałem lepszy widok, i odetchnąłem z ulgą: stał oparty o mur i energicznie rozcierał zmarznięte ręce. Wszystko wskazywało na to, że nie wie o wyjeździe Elin, a jeśli tak, to się tym nie interesuje. Duży ciężar spadł mi z serca.

Pozmywałem po niadaniu i przeszedłem do swojego pokoju.

Sięgnąłem po aparat fotograficzny i wyjąłem go z futerału. Potem przyniosłem owinięty w jutę pakunek i stwierdziłem, że w sam raz mieci się w skórzanym pokrowcu. Od tej chwili miał mi towarzyszyć do czasu przekazania go w Akureyri. O dziesiątej zadzwoniłem po taksówkę i zamówiłem kurs na lotnisko. Mój odjazd wywołał pewne poruszenie. Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem,

20

że przy bocznej uliczce zatrzymuje się samochód, do którego wskakuje mój opiekun. Przez całą drogę na lotnisko jechał za taksówką, utrzymując dyskretną odległość.

Po przyjeździe skierowałem się do biura rezerwacji.

- Zamówiłem miejsce na lot do Akureyri na nazwisko Stewart - zacząłem.

Urzędniczka sprawdziła listę pasażerów.

- Zgadza się, pan Stewart. - Spojrzała na zegar. - Ma pan jeszcze dużo czasu.

- Napiję się kawy.

Zapłaciłem za bilet. Urzędniczka dodała:

- Proszę tam zważyć bagaż. Dotknąłem futerału aparatu.

- To wszystko, co mam. Podróżuję z małym bagażem. Zamiała się.

- Włanie widzę. Pozwoli pan powiedzieć sobie komplement: mówi pan doskonale po islandzku.

- Dziękuję.

Odwróciłem się i ujrzałem przyczajoną dobrze mi znaną twarz - mój opiekun ciśnie mnie ledził. Udałem, że nie zwracam na niego żadnej uwagi, i skierowałem się do kafejki. Kupiłem gazetę i usiadłem, czekając na lot.

Mój anioł stróż przeprowadził pospieszną rozmowę w biurze rezerwacji, kupił

bilet, a następnie przeszedł tuż obok mnie. Nie zwracaliśmy na siebie najmniejszej uwagi. Zamówił spóźnie niadanie i zaczął łapczywie jeć, od czasu do czasu rzucając w moją stronę krótkie spojrzenie. W tym momencie umiechnęło się do mnie szczęście: lotniskowy megafon zachrypiał i po chwili rozległ się komunikat w języku islandzkim: Pan Buchner proszony do telefonu"

Kiedy komunikat powtórzono po niemiecku, mój opiekun wstał i poszedł w kierunku aparatu.

Wiedziałem teraz przynajmniej, jak się nazywa, a czy jest to jego prawdziwe nazwisko, było bez znaczenia.

Z miejsca, gdzie prowadził rozmowę, mógł mnie bez trudu obserwować, lecz on kierował wzrok w przeciwną stronę, jakby oczekiwał, że skorzystam z okazji i ucieknę. Rozczarowałem go - spokojnie zamówiłem kolejną kawę i zagłębiłem się w lekturze gazety, czytając o tym, ile łososi złowił Bing Crosby w czasie swego ostatniego pobytu w Islandii.

Czas w poczekalniach na dworcach lotniczych wlecz się bez końca i upłynęły chyba całe wieki, nim zapowiedziano lot do Akureyri. Herr Buchner stanął tuż za mną w kolejce pasażerów, trzymał się blisko również w czasie przechodzenia przez płytę lotniska, a w samolocie także zajął miejsce zaraz za mną.

21

Wystartowaliśmy. Lecieliśmy nad Islandią, mając pod sobą masywy lodowców Langjökuli i Hofjökuli. Wkrótce krążyliśmy już nad Eyjafjörður, przygotowując się do lądowania w Akureyri, stolicy północnej Islandii, mieście liczącym pełne dziesięć tysięcy mieszkańców. Samolot zatrzymał się na płycie lotniska. Odpiłem pasy bezpieczeństwa i usłyszałem, jak siedzący za mną Buchner zrobił to samo.

Atak był szybki i skuteczny. Opuciłem budynek lotniska, kierując się w stronę postoju taksówek, kiedy nagle zostałem osaczony przez czterech mężczyzn. Stojący naprzeciwko chwycił moją prawą rękę i potrząsając nią, paplał na cały głos, jak to miło znowu mnie spotkać i jakś przyjemności będzie pokazanie mi wszystkich cudów Akureyri.

Mężczyzna z lewej strony przyparł mnie mocno, przygniatając mi lewą rękę.

Nachylił mi się do ucha i odezwał po szwedzku:

- Bez numerów, Herr Stewartsen, albo pan zginie.

Wierzyłem mu bez zastrzeżeń, ponieważ facet stojący za mną przystawił mi pistolet do pleców.

Usłyszałem dźwięk ciętego materiału i odwróciłem głowę w chwili, gdy mężczyzna z prawej przecinał nożyczkami pasek futerału aparatu fotograficznego. Poczułem, jak pasek luno opada, i zaraz potem facet zniknął, a wraz z nim mój futerał. W tym momencie stojący za mną zajął miejsce poprzednika i obejmując mnie niedbale ramieniem, wbił mi między żebra pistolet trzymany w drugiej ręce.

Dostrzegłem Buchnera. Stał obok taksówki, w odległości około dziewięciu metrów ode mnie. Spojrzał na mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, odwrócił się i schylając głowę, wsiadł do samochodu. Pojazd ruszył, a ja mogłem widzieć przez chwilę jasną plamę twarzy Buchnera wyglądającego przez tylną szybę.

Trzymali mnie w ten sposób jeszcze przez dwie minuty, co pozwoliło facetowi z futerałem ulotnić się na dobre. Wtedy ten z lewej odezwał się, znów po szwedzku:

- Teraz pana pucimy, Herr Stewartsen, ale na pańskim miejscu nie robiłbym żadnych głupstw.

Zostawili mnie i cofnęli się o krok, obserwując z gronym wyrazem twarzy. Nie

dostrzegłem broni, ale to o niczym nie wiadczyło. Nie zamierzałem zresztś
czegokolwiek zaczynać - futerał przypadł i tak, a na moje oko siły były
zdecydowanie nierówne. Jakby na umówiony znak wszyscy trzej odwrócili się i
odeszli, a ja zostałem tam, gdzie stałem. Wokół kręciło się sporo osób, ale
żaden z zacnych mieszkańców Akureyri nie miał najmniejszego pojęcia, że przed
chwilś obok nich działo się co złego.

Poprawiłem zmięts marynarkę i pojechałem taksówkś do hotelu Vard-borg. Nie
miałem tu nic więcej do zrobienia.

22

IV

Elin nie myliła się - w hotelu Vardborg zjawiłem się w samś porę lunchu. Włanie
wbilem widelec w porcję baraniny, kiedy na salę wkroczył Herr Buchner. Rozejrzał
się wokoło i dostrzegłszy mnie, ruszył w moim kierunku. Zatrzymał się po drugiej
stronie stolika, poruszył nerwowo wśsem i zapytał:

- Pan Stewart? Oparłem się wygodnie.

- Patrzcie państwo, przecież to sam Herr Buchner. Czym mogę panu służyć?

- Nazywam się Graham - stwierdził lodowatym tonem. - Musimy porozmawiać.

- Rano nazywałe się Buchner. Ale gdybym ja nosił takie nazwisko, też bym je
szybko zmienił.

Wskazałem mu krzesło.

- Czuj się moim gościem. Polecam wspaniałś zupę. Usiadł sztywno.

- Nie jestem w nastroju, by brać udział w twoich wygłupach. - Wyjśł portfel z
kieszeni. - Moje listy uwierzytelniajśce.

Przysunśł do mnie skrawek papieru. Rozwinśłem go: była to lewa połówka banknotu

stukoronowego. Teraz ja wyjšłem drugš połówkę i przyłóżyłem do tamtej - pasowały do siebie idealnie. Spojrzałem na niego.

- Cóż, panie Graham, zdaje się, że wszystko się zgadza. Czym mogę służyć?

- Przychodzę po paczkę. To wszystko. Potrześnšłem z żalem głowš.

- Przecież sam wiesz najlepiej. Skrzywił się.

- Co chcesz przez to powiedzieć ?

- Nie mogę dać ci paczki, bo jej nie mam.

Znów poruszył nerwowo wšsem i przeszył mnie lodowatym spojrzeniem.

- Bez wygłupów, Stewart. Paczka. Wycišgnšł rękę.

- Do cholery! Przecież byłe tam i widziałe, co się stało.

- O czym ty mówisz? Że niby gdzie byłem?

- Przed portem lotniczym w Akureyri. Wsiadałe do taksówki. Zamrugał oczami.

- Tak? - wydusił bezbarwnie. - Mów dalej.

23

- Zanim zorientowałem się, co jest grane, już mnie mieli, a potem szybko

ulotnili się razem z paczkš. Schowałem jš w futerale po aparacie fotograficznym.

Głos mu się załamał.

- Chcesz powiedzieć, że jej nie masz? Odparłem zjadliwie:

- Jeli miałe zapewnić mi ochronę, to się cholernie dobrze spisałe. Slade nie

będzie zachwycony.

- Na Boga, nie będzie! - wykrzyknšł gwałtownie. Pod jego prawym okiem pojawił

się nerwowy tik. - Więc paczka była w futerale.

- A gdzieżby indziej? To był mój cały bagaż. Powiniene to wiedzieć: kiedy

potwierdzałem rezerwację na lotnisku w Reykjaviku, stałe tuż za mnš,

nadstawiając swoich wielkich uszu.

Rzucił mi pełne niechęci spojrzenie.

- Mylisz pewnie, że jesteś taki sprytny. - Pochylił się do przodu. - Będzie

wokół tego cholernie dużo wrzawy i lepiej, żeby się stąd nie ruszał, Stewart.

le by było, gdybym cię nie znalazł, kiedy tu wrócę.

Wzruszyłem ramionami.

- Dokąd miałbym jechać? Poza tym opłaciłem już pokój, a cechuje mnie typowy dla

Szkotów zmysł oszczędności.

- Podchodzisz do tego cholernie spokojnie.

- A czego by oczekiwał? Że zaleję się łzami? - Rozemiałem mu się w twarz. -

Pora dorosnąć, Graham.

Twarz mu się ciśnęła, lecz nic nie odpowiedział. Wstał i odszedł. Następne

piętnacie minut spędziłem na intensywnym myśleniu, opróżniając jednocześnie

talerz z porcją baraniny. Jeszcze przed upływem kwadransa podjąłem decyzję:

doszedłem do wniosku, że dobrze mi zrobi kieliszek czego mocniejszego. Udałem

się zatem na poszukiwanie drinka.

Idąc hotelowym foyer, widziałem, jak Buchner-Graham uwija się pracownicy przy

słuchawce telefonicznej. Chociaż nie było szczególnie ciepło, pocił się

okropnie.

V

Ze spokojnego snu wyrwało mnie gwałtowne potrząśnięcie i cichy syczący głos:

- Stewart, obud się!

Otworzyłem oczy. Nade mną stał Graham. Spojrzałem na niego, mrugając powiekami.

- To dziwne. Miałem wrażenie, że zamknąłem drzwi na klucz. Skrzywił się bez

ładu humoru.

24

- Zaniknęła. A teraz wstawaj, kto chce z tobą rozmawiać i lepiej wysil swoją inteligencję.

- Która godzina?

- Pięta rano. Umiechnęłam się.

- Zupełnie jak na gestapo. No cóż, poczuję się chyba lepiej, gdy się ogolę.

Graham sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

- Radzę ci się pośpieszyć. Będzie tu za pięć minut.

- Kto?

- Zobaczysz.

Nalałam ciepłej wody do miski i zacząłam namydlać twarz.

- Jaką funkcję pełniła w tym zadaniu, Graham? Nie mogła być moją obstawą, bo jesteś w tym zupełnie do niczego.

- Przestań zajmować się moją osobą i zacznij myśleć o sobie. Będziesz musiał się zdrowo tłumaczyć.

- Fakt - stwierdziłam.

Odłożyłam pędzel i wzięłam do ręki żyletkę. Czynność skrobienia po twarzy

kawałkiem ostrego żelastwa wydaje się zawsze bezowocna i odrobinę przygnębiająca.

Czułbym się znacznie szczęśliwszy, żyj więc w jednej z owych bardziej

owłosionych epok - agent kontrwywiadu z łaski Jej Wysokoci Królowej Wiktorii to byłby wspaniały tytuł!

Musiałem być bardziej zdenerwowany, niż myślałem, ponieważ zaciśnięcie się aż do

krwi już przy pierwszym pociśnięciu żyletki. W chwilę potem rozległo się

niedbałe pukanie do drzwi i do pokoju wkroczył Slade. Kopnięciem zamknął drzwi i trzymając ręce głęboko wcinięte w kieszenie płaszcza, rzucił mi grone spojrzenie spomiędzy fałd swej nalanej twarzy. Bez żadnych wstępów zaczął:

- Słucham, Stewart!

Nie ma lepszego sposobu, by zbić faceta z tropu, niż kazać mu składać skomplikowane wyjanienia z twarzą pokrytą szybko wysychającym mydłem.

Odwrociłem się z powrotem do lustra i nie mówiąc ani słowa, kontynuowałem golenie.

Slade wydobył z siebie jeden z owych trudnych do opisanie dźwięków, towarzyszący gwałtownemu wypuszczeniu powietrza ustami i nosem. Usiadł na łóżku; sprężyny zaskrzypiały na znak protestu przeciwko jego nadmiernej wadze.

- Lepiej, żeby mi się spodobała twoja historyjka. Nie lubię, gdy wyciąga się mnie z łóżka i gna gdzie na lodowatą północ.

Nie przerywałem golenia. Wiedziałem, że sprawa, która przywiodła Slade'a z Londynu do Akureyri, musiała być ogromnej wagi. Zakończyłem golenie zgrabnym pociśnięciem wokół jabłka Adama i odezwałem się:

25

- Paczka musiała być znacznie ważniejsza, niż mówiłeś. Odkręciłem strumień zimnej wody i zmyłem mydło z twarzy.

- ...ta cholerna paczka - usłyszałem go niewyranie.

- Przepraszam, nie dosłyszałem. Miałem wodę w uszach. Opanował się z trudności.

- Gdzie paczka? - spytał z pozornym spokojem.

- W tej chwili trudno mi co na ten temat powiedzieć. - Wytarłem energicznie

twarz do sucha. - Zabrało mi jš wczoraj w południe czterech nieznanym facetów,
ale to już wiesz od Grahama.

Podniósł głos:

- I tak po prostu pozwolił jš sobie odebrać?

- Niewiele mogłem zrobić - odparłem spokojnie. - Miałem pistolet przystawiony
do pleców.

Wskazałem na Grahama.

- A jaka była jego rola w tym wszystkim, jeśli można wiedzieć? Slade splótł
ręce na brzuchu.

- Mielimy prawo sđdzić, że deptał mu po piętach. Dlatego cię cišgnęliśmy.

Myleliśmy, że rzucš się na Grahama, a ty będziesz mógł spokojnie dobiec do
linii bramkowej.

Była to oczywista bzdura. Gdyby ci oni, kimkolwiek byli, rzeczywiście deptali
Grahamowi po piętach, to czyhajšc pod moimi oknami, a tym samym cišgajšc ich
uwagę na mnie, Graham postępowałby wbrew wszelkim przyjętym zasadom działania.

Ale przełknšłem to. Slade zawsze kręcił, a poza tym przyszło mi do głowy, że
dobrze będzie zachować jakie atuty na przyszłość.

Zamiast tego powiedziałem:

- Nie rzucili się na Grahama, lecz na mnie. Ale może nie sš im znane zasady gry
w rugby. W Szwecji się na to nie chodzi. - Wytarłem twarz do końca i rzuciłem
ręcznik. - Ani w Rosji - dodałem po chwili.

Slade podniósł wzrok.

- Skšd ci przyszli do głowy Rosjanie? Posłałem mu umiech.

- Zawsze o nich myślę - odparłem oschle - tak jak Francuzi zawsze myślš o

seksie.

Pochyliłem się nad nim i sięgnąłem po paczkę papierosów.

- W dodatku zwracali się do mnie per Stewartsen.

- Więc?

- Wiedzieli więc, kim byłem. Nie, kim jestem teraz, ale kim byłem kiedy. To spora różnica.

Slade przeniósł wzrok na Grahama i polecił mu oschle:

- Poczekaj na zewnątrz.

26

Graham nie wyglądał na szczęśliwego, ruszył jednak posłusznie w kierunku drzwi.

Gdy zniknął za nimi, odezwałem się:

- Wspaniale! Dzieci wyszły z pokoju i możemy teraz porozmawiać jak dorośli.

Skąd, na rany Chrystusa, wytrzasnęło go? Mówiłem ci, że nie będę tolerował w akcji udziału praktykantów.

- Dlaczego sądzisz, że to praktykant?

- Daj spokój! Przecież to jeszcze kompletny nowicjusz.

- To niezły facet - odparł i przesunął się niespokojnie na łóżku. Milczał przez

chwilę i w końcu dodał: - No, ale ty tę sprawę kompletnie schrzaniłeś. Proste zadanie: przewieźć paczkę z A do B, a tyje zawalasz. Wiedziałem, że wyszedłeś z wprawy, ale nie sądziłem, że tak kompletnie zgrzybiałeś.

Pokiwał palcem.

- I mówisz, że zwracali się do ciebie per Stewartsen. Wiesz, kto się za tym kryje?

- Kennikin odparłem i wspomnienie tego nazwiska nie napełniło mnie radości.

- Jest teraz w Islandii?

Przygarbił się.

- Nic o tym nie wiem. Spojrzał na mnie z ukosa.

- Co ci powiedział facet, z którym skontaktowałeś się w Keflaviku?

- Niewiele. Oznajmił mi, że czeka na mnie samochód, mam nim pojechać przez Krysuvik do Reykjaviku i tam zostawić przed hotelem Saga. I tak też zrobiłem.

- Miała kłopoty? - burknął pod nosem.

- A powinienem? - spytałem ironicznie. Potrząsnął głową z irytacją.

- Dostaliśmy sygnał, że co może się zdarzyć. Wydawało się, że lepiej będzie zmienić ci trasę.

Wstał wyranie niezadowolony i podszedł do drzwi.

- Graham!

- Przykro mi, Slade. Naprawdę mi przykro - powiedziałem.

- Same przeprosiny niczego, do cholery, nie zmieniś. Musimy się teraz zastanowić, co można jeszcze uratować z tego bałaganu. Do diabła! ciśgnęłem cię, bo Departament odczuwa braki kadrowe, a teraz przez twoją głupotę musimy obstawić cały kraj.

Zwrócił się do Grahama:

- Połącz mnie z Departamentem w Londynie. Będę rozmawiał na dole. Zadzwoń też na lotnisko i powiedz kapitanowi Lee, żeby trzymali samolot w pogotowiu. Może będziemy musieli się spieszyć.

Zakaślałem lekko.

- Ja też?

Spojrzał na mnie z niechęcią.

- O nie! Ty już wystarczająco spartaczyłeś całą akcję.

- Co mam robić?

- Jeli o mnie chodzi, możesz iść do diabła. Wracaj do Reykjavíku i resztę lata spędź u swojej dziewczyny

Odwrócił się i wpadł na Grahama.

- Na co czekasz, do diabła? - warknął i Graham zniknął. Slade zatrzymał się w drzwiach i nie odwracając się, dorzucił:

- Uważaj na Kennikina, boja nie ruszę palcem, by go powstrzymać. Na Boga, mam nadzieję, że cię dopadnie!

Trzasnęły drzwi. Usiadłem na łóżku i zatopiłem się w myślach. Mogłem być pewny, że jeli spotkam jeszcze kiedy Kennikina, będzie to spotkanie ze miercią.

Rozdział 2

Elin zadzwoniła, kiedy kończyłem niadanie. Zanikanie sygnału i słyszalne na linii zakłócenia atmosferyczne wskazywały, że dzwoni z radiotelefonu w land-roverze. Znajduje się on w większości pojazdów pokonujących rozległe przestrzenie Islandii. Trudne warunki terenowe dyktują stosowanie tego rodzaju bezpieczeństwa. To jednak tylko część prawdy: Islandczycy uwielbiają wydzwaniać do siebie i są jednym z najbardziej rozgadanych narodów. W iloci rozmów na głowę mieszkańca wyprzedzają Islandię tylko Stany Zjednoczone i Kanada.

Odpowiadając na pytanie, zapewniłem ją, że spałem dobrze, po czym zapytałem:

- Kiedy przyjedziesz?

- Około pół do dwunastej.

- Będę czekał na kempingu.

Tak więc do spotkania z Elin miałem jeszcze dwie godziny. Spędziłem je, chodząc po Akureyri i udając turystę. Wpadałem i wypadałem ze sklepów, nieoczekiwanie zmieniałem kierunek; krótko mówiąc, zachowywałem się jak wariat. Ale witając się z Elin na kempingu, byłem już całkowicie pewny, że nikt za mną nie chodzi.

Najwyraźniej Slade nie kłamał, mówiąc, że nie jestem mu już do niczego potrzebny.

Otwierając drzwi land-rovera, zaproponowałem:

- Przesiśd się, ja poprowadzę. Elin spojrzała na mnie zaskoczona.

- Nie zostajemy?

- Pojedziemy za miasto i zjemy tam lunch. Muszę ci o czym powiedzieć. Ruszyłem na północ szosą biegnącą wzdłuż wybrzeża. Jechałem szybko, obserwując cały czas drogę za nami. Gdy było już jasne, że nikt nas nie

29

ledzi, odprężyłem się nieco, nie do tego stopnia jednak, by przegnać troskę z oczu Elin. Widziała, że jestem czymś zaabsorbowany, lecz milczała taktownie. W końcu jednak nie wytrzymała.

- Co się stało, prawda?

- Niestety, masz rację. O tym właśnie chcę porozmawiać.

Jeszcze w Szkocji Slade przestrzegał mnie przed mieszaniem Elin do akcji.

Odwołał się przy tym do ustawy o zachowaniu tajemnicy służbowej, obwarowanej karą dla tych, co mówią za dużo. Jeli jednak moje przyszłe życie z Elin miało cokolwiek znaczyć, to do diabła ze Slade'em i ustawą. Musiałem powiedzieć jej prawdę.

Zwolniłem i zjechałem z drogi, podskakując na pokrytej darniś ziemi. Zatrzymałem

samochód. W dole pod nami rozpocierało się morze. Ziemia obsuwała się z głuchym łoskotem kamieni wprost w szare fale. W oddali majaczyła niewyranie w oparach mgły wyspa Grimsey. Poza tym skrawkiem lądu pomiędzy nami a biegunem północnym nie było dosłownie nic. Przed sobą mieliśmy Morze Arktyczne.

- Co o mnie wiesz, Elin? - zacząłem.

- Dziwne pytanie. Wiem, że nazywasz się Alan Stewart i bardzo cię lubię.

- To wszystko?

- A co mi więcej trzeba? Umiechnąłem się.

- Nie męczy cię ciekawość?

- O tak, ale potrafię ją opanować. Jeli chcesz, żebym o czym wiedziała, to mi powiesz - stwierdziła ze spokojem. Zawahała się i dodała po chwili:

- Ale wiem jeszcze co.

- To znaczy? Odwróciła się do mnie.

- Wiem, że spotkało cię co złego i stało się to niedługo przed naszym pierwszym spotkaniem. Nie pytam cię o nic, bo nie chcę przywoływać przeszłości.

- Jeste bardzo spostrzegawcza. Nie sądziłem, że było to tak widoczne. Czy zaskoczyłaby cię wiadomość, że byłem kiedy agentem wywiadu brytyjskiego, czyli po prostu szpiegiem?

Spojrzała na mnie z ciekawością.

- Szpieg - wymówiła to słowo powoli, jakby smakując je w ustach. - Tak, jestem bardzo zaskoczona. To niezbyt zaszczytne zajęcie i zupełnie do ciebie nie pasuje.

- Kto mi już to niedawno powiedział - odrzekłem z ironią. - Niemniej to prawda.

Milczała przez chwilę, po czym dodała:

30

- Byłe szpiegiem, ale teraz to już przeszłość. Alan, to, co robiła kiedy, nie ma żadnego znaczenia. Dla mnie ważne jest, kim jeste teraz.

- Ale czasem przeszłość nas dopada. Tak stało się ze mną. Jest pewien człowiek o nazwisku Slade... - przerwałem, zastanawiając się, czy dobrze robię.

- Tak? - odezwała się ponaglańsko.

- Przyjechał do mnie do Szkocji. Opowiem ci o tym spotkaniu.

II

Polowanie tego dnia się nie udało. Co musiało w nocy wypłoszyć jelenie, opuściły bowiem dolinę, gdzie spodziewałem się je znaleźć, i przeniosły się na urwiste stoki Bheinn Fhada. Widziałem zwierzęta przez celownik teleskopowy: jasne, szarobrązowe kształty pasące się na wrzosowisku. Wiatr mi nie sprzyjał: miałbym szansę zbliżyć się do nich tylko wtedy, gdyby wyrosły mi skrzydła. Był to ostatni dzień sezonu polowań, tak więc jelenie nie będą musiały obawiać się pana Stewarta do końca lata.

O trzeciej po południu zebrałem swoje rzeczy i wyruszyłem do domu. Przedzierałem się w dół stokiem Sgurr Mor, gdy przed chatą zobaczyłem zaparkowany samochód i mikroskopijny kształt chodzący tam i z powrotem. Chata położona jest w trudno dostępnym miejscu; górzysta cieżka prowadząca z wioski zniechęca przypadkowych turystów, zatem tym, którzy tu docierają, musi bardzo zależeć na widzeniu się ze mną. Nie da się tego powiedzieć o mnie; jestem odludkiem i nie zachęcam nikogo do odwiedzin.

Ostrożnie podszedłem bliżej i zatrzymałem się pod osłoną skał przy potoku.

Zdjąłem karabin i upewniwszy się, że jest rozładowany, przyłożyłem go do ramienia. Widziałem teraz mojego gościa wyranie poprzez celownik teleskopowy. Stał do mnie tyłem, lecz kiedy się odwrócił, ujrzałem twarz Slade'a. Zerodkowałem siatkę celowniczą na jego wielkiej bladej twarzy i pociśgnąłem za spust: kurek uderzył nieszkodliwie w iglicę. Zacząłem się zastanawiać, czy zrobiłbym to samo, gdyby w lufie znajdował się nabój. Wiat byłby znacznie lepszy bez ludzi takich jak Slade. Jednak naładowanie broni zdawało się aktem zbyt wyrachowanym, przewiesiłem więc karabin przez ramię i ruszyłem w stronę chaty. Okazało się miało, że powinienem był go jednak załadować. Kiedy podszedłem, Slade odwrócił się i pomachał do mnie ręką.

- Dzień dobry - przywitał się z takim spokojem, jakby był tu częstym i mile widzianym gościem.

Zbliżyłem się i spytałem:

31

- Jak mnie znalazłeś? Wzruszył ramionami.

- Nic trudnego. Mam swoje sposoby. Znałem je i wcale ich nie pochwalałem.

- Przestań bawić się w Sherlocka Holmesa. Czego chcesz?

- Nie zaprosisz mnie? - wskazał na drzwi chaty.

- Znajdź ciebie, gotów jestem założyć się, że przeczesasz już każdy kąt.

Wzniósł ręce w geście przerażenia.

- Nieprawda, słowo honoru!

O mało nie rozemiałem mu się w twarz, człowiek ten bowiem nie wiedział, co to honor. Odwróciłem się i pchnąłem drzwi. Wszedł za mną, mlaskając z dezaprobatą.

- Nie zamykasz na klucz? Zbyt ufasz ludziom.

- Nie ma tu nic, co warto by zabrać - odparłem obojętnie.

- Poza twoim życiem - powiedział, rzucając mi ostre spojrzenie. Pominąłem to milczeniem i ustawiłem karabin w stojaku. Slade rozejrzał się wokół z ciekawością.

- Prymitywnie tu, ale dość wygodnie - zauważył. - Nie rozumiem jednak, czemu nie mieszkasz w swoim dużym domu.

- Nie twój interes.

- Możliwe - odparł i usiadł. - A więc ukryła się w Szkocji i nie spodziewała się, że kto cię tu znajdzie. Takie barwy ochronne, co? Pan Stewart ukrywający się w tłumie innych Stewartów. Sprawiało nam trochę kłopotu.

- Kto powiedział, że się ukrywam? Wiesz przecież, że jestem Szkotem.

- Do pewnego stopnia, masz trochę szkockiej krwi po dziadku ze strony ojca. Ale jeszcze nie tak dawno było Szwedem, a przedtem podawała się za Finą.

Oczywiście, wtedy nazywała się Stewartsen.

- Przejechała osiemset kilometrów tylko po to, żeby wspominać stare dzieje?

- spytałem ze znużeniem.

- Jeste w doskonałej formie - stwierdził.

- Nie da się tego powiedzieć o tobie; brak ci kondycji i zaczęła tyć - orzekłem bezlitonie.

Zachichotał.

- Nadmiar dostatku, mój drogi chłopcze; te wszystkie lunche na koszt rządu Jej Królewskiej Moci. - Machnął tłustą ręką. - Ale do rzeczy, Alan.

- Dla ciebie jestem pan Stewart - powiedziałem stanowczo.

- O, widzę, że mnie nie lubisz - rzekł ze smutkiem w głosie. - Nieważne, to w

końcu bez znaczenia. Chcę... chcemy, żeby co dla nas zrobił. Rozumiesz, nie trudnego.

- Chyba oszalała.

32

- Wiem, co czujesz, ale...

- Nic nie wiesz, do cholery! - wybuchnąłem. - Jeli sądzisz, że po tym, co się stało, będę dla was pracował, to jeste bardziej stuknięty, niż mylałem.

Oczywiście byłem w błędzie - Slade doskonale rozumiał, co czuję. Na tym polegała jego praca: wiedzieć o ludziach wszystko i używać ich jak narzędzi. Spodziewałem się, że spróbuje mnie teraz bardziej przycisnąć i rzeczywiście już po chwili zaczął typowo dla siebie, okrężyć drogę.

- Porozmawiajmy o starych dziejach. Pamiętasz z pewnością Kennikina.

Pamiętałem. Musiałbym mieć kompletną amnezję, żeby go zapomnieć.

Ujrzałem przed oczami twarz Kennikina tak, jakś widziałem po raz ostatni: oczy jak szare kamyki, osadzone nad wystającymi, typowo słowiańskimi kośćmi policzkowymi, i blizna biegnąca od prawej skroni do kąsika ust, żywo odbijająca się na tle nieoczekiwanie bladej skóry. Był wtedy tak wciekły, że mógł mnie zabić.

- Co z Kennikinem? - spytałem bez popiechu.

- Obiło mi się o uszy, że on też ciebie szuka. Zrobiło z niego idiotę, a on tego nie lubi. Kennikin chce cie... - przerwał, szukając właściwego słowa. -

Zaraz, jak to określasz delikatnie nasi amerykańscy koledzy z CIA? Już mam: chce cie wyeliminować w sposób ostateczny". Chociaż tam w KGB nazywasz to zapewne trochę inaczej.

Cholernie zgrabne okrelenie na strzał w tył głowy w ciemnš noc.

- Więc? - spytałem.

- Kennikin wcišz cię szuka.

- Dlaczego? Nie pracuję juŹ w Departamencie.

- O tak, ale Kennikin tego nie wie. - Przyjrzał się swoim paznokciom. -

Ukrywaliśmy to przed nim, jak sšdzę, z powodzeniem. Mielimy w tym swój interes.

Wiedziałem, do czego zmierza, ale chciałem, by wyszedł z tym wprost, nazywajšc rzeczy po imieniu, a tego nie znošł.

- Nie wie przecieŹ, gdzie mnie szukać.

- więta prawda, chłopcze, ale co będzie, jeli kto mu powie? Nachyliłem się i spojrzałem mu prosto w oczy.

- A kto miałby mu powiedzieć?

- Ja - odparł z zupełnym spokojem -jeli uznam to za konieczne. Oczywiście, musiałbym przeprowadzić to zręcznie i kim się posłuŹyć. Ale to się da zrobić.

A więc groba zdrady. Nic nowego w przypadku Slade'a; całe jego życie to pasmo korupcji i zrad. Nie znaczy to, Źe miałbym pierwszy rzucić w niego kamieniem - kiedy robiłem to samo. Różnica między nami polegała na tym, Źe Slade lubił swoje zajęcie.

3 Na olep

3 3

Pozwoliłem mu głądzić dalej i doprowadzić, zresztš zupełnie niepotrzebnie, rzecz do samego końca.

- Kennikin stoi obecnie na czele niezwykle skutecznej Mordgruppe, co odczulimy na własnej skórze. Kilku ludzi z naszego Departamentu zostało... hm...

usuniętych przez ludzi Kennikina.

- Dlaczego nie powiesz wprost zamordowanych"?

Zmarszczył brwi i jego wińskie oczki utonęły w nalanej tłuszczem twarzy.

- Zawsze mówiłeś zbyt otwarcie, Stewart, ale może obca jest ci troska o własną skórę. Nie zapomniałem, że próbowały narobić mi kłopotów u Taggar-ta. Pamiętam, że i wtedy użyłeś tego samego słowa.

- I zrobię to teraz: to ty zamordowałaś Jimmy'ego Birkby'ego.

- Czyżby? - spytał aksamitnym głosem. - A kto umiecił ładunek nitrogliceryny w jego samochodzie? Kto starannie połączył detonator z układem zapłonowym? Ty! - Wskazał na mnie stanowczym ruchem. - Tylko w ten sposób mogłem zbliżyć się do Kennikina, właśnie to sprawiło, że zaczął ci ufać na tyle, żebyśmy mogli go zniszczyć. Zważywszy wszystko, spisałem się bardzo dobrze, Stewart.

- Użyłem mnie jak narzędzia.

- I znów to zrobię - powiedział brutalnie. - A może wolisz, żebym rzucił cię na pożarcie Kennikinowi? - Rozemiał się nagle. - Wiesz, nie sądzę, by Kennikin przywiłszywał najmniejszą wagę do tego, czy pracujesz w Departamencie, czy nie. Szuka cię wyłącznie dla ciebie samego.

Spojrzałem na niego uważnie.

- Co masz na myśli?

- Czyżby nie słyszał, że Kennikin jest teraz impotentem? - wykrzyknął zdziwiony. - Wiem, że przy ostatnim spotkaniu chciałem go zabić, ale było dość ciemno i, jak ci się zdawało, tylko go zraniłem. Rzeczywiście zraniłem, ale nie tak zwyczajnie, po prostu wykastrowałem tego biedaka! - Jego dłońmi splecionymi na brzuchu wstrząsnął nagły chichot. - Mówisz bez osłonek, albo, jak wolisz,

nazywajšc rzecz po imieniu, najzwyczajniej w wiecie odstrzelił mu jaja.

Potrafisz sobie wyobrazić, co on z tobš zrobi, jeli lub raczej kiedy cię dopadnie?

Poczułem chłód i narastajšcš pustkę w okolicach żołšdka.

- Jest tylko jeden sposób, żeby zniknšc ze wiata: mierz - zaczął filozofować.

- Próbowale zrobić to po swojemu, ale jak widzisz, nieskutecznie.

Miał rację. Nie powinienem był spodziewać się czego innego.

- Krótko mówišc, chodzi o to - zacząłem - że mam dla was co zrobić. Jeli się nie zgodzę, dacie cynk przeciwnikowi i ten mnie wykończy, a wasze ręce teoretycznie zostanš czyste.

34

- Nic dodać, nic ująć. Zawsze sporzšdzale zgrabne, przejrzyste raporty. -

Powiedział to tonem nauczyciela chwalašcego ucznia za dobrze napisane wypracowanie.

- Co to za zadanie?

- Teraz zaczynasz mówić do rzeczy - stwierdził z aprobatš. - Wyjšł kartkę papieru i zajrzał do niej. - Wiemy, że masz zwyczaj spędzać corocznie wakacje w Islandii. - Podniósł wzrok. - Widzę, że wcišz jeste przywišzany do swego północnego dziedzictwa. Ie by zrobił, wracajšc do Szwecji, a Finlandia stanowiłaby jeszcze większe ryzyko. Leży zbyt blisko rosyjskiej granicy, by czuć się bezpiecznym. Rozłożył ręce. - Ale kto jedzi do Islandii?

- A więc chodzi o zadanie w Islandii?

- W samej rzeczy. - Tršcił kartkę paznokciem. - Widzę, że robisz sobie długie wakacje, za każdym razem trzy-cztery miesišce. Co to znaczy prywatny dochód...

Ale i pracujśc dla nas, miałe nie najgorzej.

- Nie dostałem od Departamentu niczego, co by mi się nie należało - uciłem krótko.

Przemilczał to.

- Widzę, że w Islandii żyje ci się zupełnie niee. Twoje gniazdko miłoci opływa we wszystkie wygody domowego ogniska. Młoda dama, jak sędzę, jest...

- Jej do tego nie mieszajmy!

- Po prostu kontynuuję temat, mój drogi chłopcze. Byłoby bardzo nierozsądnie wplętywać jś w nasze sprawy. Mogłoby to okazać się dla niej niebezpieczne, nie uważasz? Na twoim miejscu nie pisnąłbym jej ani słowa - zakończył uprzejmym tonem.

Slade z pewnością dobrze odrobił swś pracę domowś. Wiedział o Elin, co znaczyło, że już od dawna mnie obserwował. Mylałem, że jestem nieuchwytny, a on cały czas trzymał mnie pod lupś.

- Wróćmy do zadania.

- Odbierzesz paczkę w międzynarodowym porcie lotniczym w Keflavi-ku. - Ruchami rśk naszkicował rozmiary: - Mniej więcej dwadziecia na dziesięć centymetrów, wysoka na pięć. Dostarczysz jś pewnemu człowiekowi w Akureyri. Wiesz, gdzie to jest?

- Wiem - odparłem i czekałem, co powie dalej, ale Slade milczał. - To wszystko?

- spytałem.

- Wszystko. Jestem pewny, że bez trudu sprostasz temu zadaniu. Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

- Chcesz powiedzieć, że plotłe te wszystkie bzdury i posunśle się do szantażu

tylko po to, by dać mi robotę dobrą dla chłopca na posyłki?

- Wolałbym, żeby bardziej uważał na to, co mówisz - odrzekł poirytowany. - To robota w sam raz dla kogo, kto wyszedł z wprawy jak ty. Sprawa jest dosyć ważna, byłe pod ręką, więc postanowiliśmy cię użyć.

35

- Chodzi tu chyba o co, co wyskoczyło w ostatniej chwili - zaryzykowałem. -

Nie macie innego wyjścia, jak skorzystać z moich usług.

- Odczuwamy braki kadrowe, to wszystko. Nie karm się złudzeniami o swojej wielkości. Sięgając po ciebie, wyskrobuję resztki z samego dna beczki.

Slade potrafił mówić wystarczająco dosadnie, gdy odpowiadało to jego zamiarom.

Wzruszyłem ramionami i spytałem:

- Z kim mam się spotkać w Akureyri?

- Będziesz mógł go łatwo rozpoznać.

Wyjął z portfela kawałek papieru, przedarł nierówno na dwie części, dając mi jedną z nich: była to połówka banknotu stukoronowego.

- On będzie miał drugą. Stare sposoby są najlepsze, nie uważasz? Proste i skuteczne.

Spojrzałem na zniszczony banknot w mojej dłoni i spytałem z ironią w głosie:

- Nie przypuszczam, byście zapłacili mi za tę robotę?

- Oczywiście, że zapłacimy, mój drogi chłopcze. Rzadziej Jej Królewskiej Moci nigdy nie skąpi pieniędzy, gdy w grę wchodzi cenne usługi. Co powiesz na dwieście funtów?

- Przekaż je na fundusz pomocy ofiarom głodu, ty gnoju! Potrzebni są głowy na znak dezaprobaty.

- Co za język! Ale możesz być pewny, że zrobię, jak sobie TycTysz. Przyjrzałem mu się z uwagš. Odpowiedział mi spojrzeniem niewinnym jak u niemowlęcia. Nie podobała mi się cała ta operacja, wyczuwałem w niej co cholernie fałszywego. Przyszło mi do głowy, że Slade przygotowuje jakie zadanie ćwiczebne ze mnš w roli królika dowiadczalnego. Departament często prowadził tego rodzaju operacje w celu szkolenia nowych chłopców, ale wtedy wszyscy uczestnicy zwykle wiedzieli, o co chodzi. Jeliby Slade próbował włšczyć mnie do programu szkolenia bez mojej wiedzy, to chyba bym udusił tego sadystycznego skurwiela. Postanowiłem go sprawdzić.

- Słuchaj, Slade, jeli zamierzasz użyć mnie w charakterze piłki w meczu szkoleniowym, może się to okazać niebezpieczne. Mógłby w ten sposób stracić kilku ze swych wietnie zapowiadajšcych się szpiegów.

Wyglšdał na szczerze poruszonego.

- No wiesz, nie zrobiłbym ci czego takiego.

- W porzšdku. A jeli kto spróbuje odebrać mi paczkę?

- Masz go powstrzymać - odparł krótko.

- Za każdš cenę? Umiechnšł się.

- Chcesz wiedzieć, czy możesz go zabić? Zrób to, co uznasz za stosowne. Po prostu musisz dostarczyć paczkę do Akureyri.

Jego wydatnym brzuchem wstrzšsnšł miech.

36

- Stewart-zabójca - zakpił dobrotliwie. - No, no! Potrzšsnšłem głowš.

- To włanie chciałem wiedzieć. Nie mam zamiaru przyczynić się do zwiększenia waszych braków kadrowych. A co mam zrobić po oddaniu paczki w Akureyri?

- Na co tylko masz ochotę. Dokończ wakacje, ciesz się towarzystwem swej przyjaciółki. Czuj się wolny jak ptak.

- Do czasu, aż się znów pojawisz.

- To bardzo mało prawdopodobne - odparł zdecydowanie. - wiat cię przecignął.

W Departamencie wiele się zmieniło. Inne techniki, wiele nowoci, których nie byłby nawet w stanie zrozumieć. Nie nadawałby się do prawdziwej roboty, Stewart. Ale to zadanie jest dziecinnie proste; będziesz tylko posłańcem. -

Rozejrzył się lekceważąco po pokoju. - Tak, możesz tu sobie wracać i wiec spokojny, wiejski żywot.

- AKennikin?

- Hm, nie mogę ci niczego obiecać. Może cię odnajdzie, może nie, ale zapewniam cię, że jeli mu się uda, stanie się to bez mojego udziału.

- To niewiele. Powiesz mu, że od czterech lat nie jestem pracownikiem Departamentu?

- Być może - odparł bez troski. - Być może. - Podniósł się i zapiął płaszcz. -

Oczywiście, czy w to uwierzy, to jedno, a druga sprawa, to czy fakt ten będzie stanowić dla niego jakkolwiek różnicę. Goniśc za tobś, Ken-nikin kieruje się osobistymi, ciele pozazawodowymi motywami. Skłonny jestem przypuszczać, że nie chodzi mu o wypicie z tobś butelki calvadosu, ale raczej o poczęstowanie cię kawałkiem ostrego noża.

Wziął kapelusz i podszedł do drzwi.

- Przed wyjazdem otrzymasz dalsze instrukcje dotyczące odebrania paczki. Miło było znów pana spotkać, panie Stewart.

- Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego - odparłem, a Slade, słyszśc to,

rozemiał się radonie.

Odprowadziłem go do samochodu i wskazałem skały, zza których obserwowałem niedawno jego sylwetkę na tle chaty.

- Miałem cię na celowniku i nawet nacisnąłem spust. Niestety, broń była nie nabita.

Spojrzał na mnie z wyrazem bezgranicznej pewności na twarzy.

- Gdyby w lufie tkwił nabój, nie pociśgnąłby za spust. Jeste człowiekiem cywilizowanym, Stewart, zbyt cywilizowanym. Czasem zastanawiam się, jakim sposobem uchwaliłem się tak długo w Departamencie. Zawsze byłem trochę za miękki do zadań dużego kalibru. Gdyby to ode mnie zależało, pożegnałby się z Departamentem dużo wcześniej, zanim postanowiłem... hm... odejść.

37

Zajrzałem w jego jasne zimne oczy i wyczytałem w nich, że gdyby to on decydował, nigdy nie pozwolono by mi odejść.

- Wierzę, że nie zapomniacie postanowień ustawy o zachowaniu tajemnicy służbowej - zaczął, po czym dodał, umiechając się: - Oczywiście, na pewno pamiętasz.

- Jak wysoko zaszedłeś, Slade?

- Prawdę mówiąc, prawie na sam szczyt - odparł z satysfakcją. - Jestem teraz pierwszą osobą po Taggarcie. Podejmuję decyzje, od czasu do czasu jadam lunch z premierem.

Rozemiał się z wyranym samozadowoleniem i wsiadł do samochodu. Opuciwszy szybę, odezwał się ponownie:

- Jeszcze jedno, mój chłopcze: nie próbuj otwierać paczki. Pamiętaj, co robi

się z tymi, którzy chcą za dużo wiedzieć.

Odjechał, podskakując na wyboistej cieżce, a kiedy zniknął z oczu, dolina od razu wydała się czystsza. Spojrzałem na wznoszące się nad doliną szczyty Sgurr Mor i Sgurr Dearg i poczułem ogarniające mnie przygnębienie. W ciążgu niespełna dwudziestu minut cały mój wiat legł w gruzach i zastanawiałem się jak, do diabła, uda mi się go poskładać.

Kiedy nazajutrz rano obudziłem się po le przespanej nocy, wiedziałem, że mogę zrobić tylko jedno: muszę posłuchać Slade'a, wypełnić jego polecenia i dostarczyć tę przeklętą paczkę do Akureyri, pokładając nadzieję w Bogu, że uda mi się wyjść z tego cało, bez żadnych dalszych konsekwencji.

III

Od długiego mówienia i papierosów zaschło mi w ustach. Cisnąłem niedopałek za okno; upadł na kamień, posyłając samotny dymny sygnał w kierunku bieguna północnego.

- Jak widzisz - zakończyłem - zostałem zmuszony do tego pod grobą szantażu.

Elin poruszyła się na siedzeniu.

- Cieszę się, że mi o tym powiedziała. Cały czas zastanawiałam się, dlaczego musiały tak nagle lecieć do Akureyri. - Pochyliła się do przodu i przeciągnęła.

- Ale teraz, kiedy przekazała już tę tajemniczą paczkę, skończyły się twoje zmartwienia.

- Otóż to - wtrąciłem. - Nie dostarczyłem jej.

Kiedy opowiedziałem o czterech mężczyznach z lotniska w Akureyri, Elin pobrała.

- Slade przyleciał tutaj z Londynu - dodałem. - Był mocno poirytowany.

- Był tu? W Islandii?

Skinšłem potakujšco głowš.

- Stwierdził, że tak czy inaczej moja rola się skończyła. Ale jestem przekonany, że tak nie jest. Chcę, żeby trzymała się z dala ode mnie. Mogłoby cię spotkać co złego.

Przyjrzała mi się z uwagš.

- Mylę, że nie powiedziały mi całej prawdy.

- Nie i nie mam zamiaru. Wolę, żeby była jak najdalej od tego całego zamieszania.

- Chyba jednak lepiej będzie, jeli powiesz mi wszystko do końca. Przygryzłem wargę.

- Czy masz dokšd wyjechać, zniknšć na jaki czas? Wzruszyła ramionami.

- Jest to mieszkanie w Reykjaviku...

- Spalone - przerwałem jej. - Slade wie o nim; wzięli je pod obserwację.

- Mogłabym pojechać do ojca.

- To jest myl!

Z ojcem Elin spotkałem się tylko raz. Ragnar Thorsson był starym, krzepkim farmerem, zamieszkujšcym dzikie tereny Strandasysla. Elin byłaby tam bezpieczna.

- A jeli opowiem ci całš historię, czy pojedziesz do niego i zostaniesz tam tak długo, aż dam ci znać?

- Nie mogę ci tego zagwarantować - odparła nieustępliwie.

- Chryste! - westchnšłem. - Jeli uda mi się wyjć z tego cało, czeka mnie niezła żona! Nie wiem, czy będę w stanie to wytrzymać.

Potržsneła głowš.

- Co powiedziały?

- W taki oto nietypowy sposób poprosiłem cię o rękę.

W jednej chwili wszystko się kompletnie pomieszało i dopiero po kilku minutach zdołaliśmy nieco ochłonąć. Elin zarumieniona, z potarganymi włosami, umiechnęła się do mnie figlarnie.

- A teraz mów! Westchnąłem i otworzyłem drzwi.

- Nie tylko powiem, ale i pokażę.

Podszedłem z tyłu do land-rovera i wydobyłem płaskie metalowe pudełko ze wzdłużnicy, gdzie je dzień wcześniej przymocowałem. Położyłem przedmiot na dłoni i pokazałem Elin.

- To właśnie powód całego zamieszania. Sama to przywiozła z Reykjavíku.

Szturchnęła pudełko badawczo palcem wskazującym.

- Więc ci faceci nie zabrali go?

- Wzięli metalowe pudełko po prawdziwych szkockich karmelkach wypchane watą bawełnianą i zaszyte w oryginalne opakowanie z juty.

39

IV

- Napijesz się piwa? - zaproponowała Elin.

Skrzywiłem się. Gatunek islandzki to piwo prohibicyjne, ciecz bez żadnego smaku, majśca tyle wspólnego z alkoholem, co melasa z cukrem. Wybuchnęła miechem.

- Bez obaw. Bjarni przywiózł skrzynkę carlsberga ze swego ostatniego lotu do Grenlandii.

To co innego - Duńczycy bez wstąpienia znajś się na piwie. Patrzyłem, jak Elin otwiera butelki i rozlewa carlsberga.

- Chcę, żeby zamieszkała u swojego ojca - przypomniałem.

- Zastanowię się nad tym. - Podała mi szklankę. - Powiedz mi, dlaczego ciśggle masz tę paczkę?

- To wszystko wydawało mi się bardzo podejrzane. Cała sprawa mierzdziała na odległość. Slade twierdził, że przeciwnik cały czas depcze Grahamowi po piętach i dlatego włanie w ostatniej chwili zdecydował się wprowadzić mnie do akcji.

Ale napadnięty zostałem ja, nie Graham. - Nie wspomniałem słowem o Lindholmie, bo nie byłem pewny, ile Elin jest w stanie znieć. - Czy nie wydaje ci się to wszystko dziwne? - zakończyłem.

- Tak, bardzo dziwne - stwierdziła po chwili namysłu.

- Co więcej, Graham obserwował nasze mieszkanie, a to całkiem nietypowe zachowanie u kogo, kto wie, że sam jest może obserwowany przez wroga. Tak naprawdę wcale nie wierzę, że chodzili za nim. Uważam, że Slade poczęstował mnie stekiem kłamstw.

Elin wydawała się całkowicie pochłonięta bšbelkami skrzścymi się na ciankach szklanki.

- A wracajśc do przeciwnika - odezwała się. - Kto nim jest?

- Mylę, że to moi starzy znajomi z KGB, wywiad rosyjski. Mogę się mylić, ale nie sšdzę.

Jej cišgnięta twarz wiadczyła, że nie była zachwycona tym, co przed chwilš powiedziałem. Podjšłem zatem znów temat Slade'a i Grahama.

- Poza tym Graham widział, jak dopadli mnie na lotnisku w Akureyri, ale nie kiwnšł nawet palcem, żeby mi pomóc. Gdyby chociaż ruszył za facetem, który uciekał z futerałem, ale nie, on nie zrobił dosłownie nic. I co ty na to?

- Sama nie wiem.

- Zupełnie jak ja - przyznałem. - Dlatego właśnie cała sprawa tak mierdzi.

Wemy Slade'a. Graham powiadamia go, że zawałem robotę, ten przylatuje z Londynu i co robi? Daje mi linijsk po łapie, mówiśc, że jestem niegrzecznym chłopcem, a to do Slade'a zupełnie niepodobne.

- Nie ufasz mu - zauważyła. Zabrzmiało to jak twierdzenie.

40

- Ufam mu na tyle, na ile byłbym w stanie dorzucić kamieniem stśd do wyspy. -

Wskazałem w kierunku wyspy Grimsey wyłaniającej się z morza. -Slade uknuł zagmatwanš intrygę, a ja chciałbym znać w niej swoje miejsce, żeby z chwilš opadnięcia tasaka nie okazało się, że mierzył prosto w mojš szyję.

- A co z paczkš?

- To as w tej grze. - Podniosłem metalowe pudełko. - Slade myli, że paczkę ma przeciwnik, ale dopóki tak nie jest, nie dzieje się nic złego. Przeciwnik sšdzi, że paczka jest u niego, zakładajśc oczywicie, że jeszcze jej nie otworzył.

- Czy to realne założenie?

- Mylę, że tak. Agenci wywiadu nie sš zachęcani do wcibiania nosa w nie swoje sprawy. Przypuszczam, że czwórka, która zabrała mi paczkę, miała rozkaz dostarczyć jš do szefa bez otwierania.

Elin przyjrzała się pudełku.

- Ciekawe, co w nim jest.

Spojrzałem i ja, lecz metalowe pudełko odpowiedziało mi jedynie milczeniem.

- Może powinienem wyjśc otwieracz do konserw - zastanawiałem się głono. - Nie, jeszcze nie teraz. Zresztš, może będzie lepiej w ogóle nie wiedzieć.

Elin prychnęła gniewnie.

- Dlaczego wy, mężczyźni, musicie zawsze wszystko tak komplikować? Co w końcu zamierzasz zrobić?

- Ukryć się i przeczekać - skłamałem. - Będę miał dużo czasu, żeby wszystko przemyśleć. Może połę tę przeklętszą paczkę do Akureyri na poste restante i zatelegrafuję do Slade'a, mówiśc, gdzie majš odebrać.

Miałem nadzieję, że Elin w to uwierzy, bo naprawdę zamierzałem co całkiem innego i nieskończenie bardziej niebezpiecznego. Wkrótce kto przekona się, że został wyprowadzony w pole. Podniesie się głony krzyk, a ja muszę znajdować się wtedy w pobliżu, by zobaczyć, kto będzie krzyczał. Nie chciałem, by Elin była wtedy przy mnie.

- Ukryć się i przeczekać - powtórzyła z namysłem. Odwróciła się w mojszą stronę.

- A co powiesz na spędzenie nocy w Asbyrgi?

- W Asbyrgi? Czemu nie? - Rozemiałem się i opróżniłem szklankę.

V

W czasach okrytych mrokami dziejów, kiedy bogowie byli jeszcze młodzi, pustkowie arktyczne zamieszkiwał bóg Odin. Pewnego dnia wybrał się

41

na przejażdżkę konną, podczas której jego rumak Sleipnir potknął się i zgubił podkowę nad północną Islandią. Miejsce upadku podkowy na ziemię nazywa się obecnie Asbyrgi. Tak mówi legenda, znajomi geolodzy opowiadają jšjednak trochę inaczej.

Asbyrgi jest formacją skalną ciągnącą się na przestrzeni około trzech kilometrów, kształtem przypominającą podkowę. Występujące tam drzewa, osłonięte

przed zabójczym wiatrem, sš, jak na warunki islandzkie, całkiem dorodne i osiŕgajš nierzadko wysokoć szeci metrów. Jest to zielony, urodzajny skrawek ziemi przycupnięty pomiędzy otaczajšcymi go, górujšcymi nad nim cianami skalnymi. Turyci, którzy przyjeŕdzajš do Asbyrgi jedynie ze względu na zwišzanš z tym miejscem legendę i niezwykły widok rosnšcych drzew, nigdy nie zostajš tu na noc. Poza tym atrakcja ta połoŕzona jest z dala od głównej drogi.

Jadšc szlakiem wyŕłobionym kołami samochodów, przecisnęliśmy się przez wškie gardło prowadzšce do Asbyrgi i znaleliśmy się w terenie gęsto porońniętym drzewami i otoczonym przylegajšcymi do siebie cianami skalnymi. Tutaj rozbilimy obóz. Gdy pogoda sprzyjała, mielimy zwyczaj spać na ziemi; rozstawiłem więc płócienny daszek, przymocowujšc go do boku land-rovera, a następnie wyjšłem materace i piwory. Elin tymczasem rozpoczęła przygotowania do kolacji.

Bylimy chyba dosyć wygodniccy, nasze zwyczaje odbiegały bowiem od prostoty życia obozowego. Rozłóżyłem składane krzesła i stolik, a Elin wycišgnęła butelkę szkockiej i dwie szklanki. Strzelilimy sobie po jednym drinku, jeszcze zanim Elin zabrała się do pieczenia steku. Wołowina jest w Islandii luksusem, z którego nie zamierzam w tym kraju rezygnować. Czasem ma się juŕ serdecznie doć jedzenia baraniny.

Dookoła panowała cisza i spokój. Siedzielimy, cieszc się pięknem wieczoru, i rozmawialimy bez ładu i składu o rzeczach zupełnie odległych, delektujšc się smakiem przesyconej zapachem torfu whisky. Mylę, ŕe oboje potrzebowalimy chwili wytchnienia od nie dajšcego nam spokoju wspomnienia Slade'a i jego przekłętej paczki.

Sama czynność rozbijania obozu była dla nas powrotem do dawnych, szczęśliwych dni i oboje ochoczo z tego korzystaliśmy.

Elin wstała, żeby przygotować kolację, a ja nalałem sobie jeszcze szklaneczkę i zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób pozbyć się dziewczyny. Jeżeli nie zgodzi się odejść z własnej woli, najlepiej chyba będzie, jak sam zwinę się wczesnym rankiem, pozostawiając jej kilka konserw i butelkę wody. Tak wyposażona, mając do dyspozycji piwórnice, da sobie radę przez dzień lub dwa, a w tym czasie na pewno ktoś się zjawi i pomoże wydostać się do cywilizowanego świata. Wiedziałem, że Elin będzie wciekła jak osa, ale przynajmniej pozostanie wśród żywych.

42

Ukryć się i przeczekać to za mało. Musiałem stanąć w pełnym świetle, wystawić siebie jak blaszaną kaczkę na strzelnicę i czekać, aż ktoś we mnie wymierzy. Nie chciałem, by moja dziewczyna była przy mnie, kiedy akcja się rozpocznie.

Elin przyniosła kolację i zabrałmy się do jedzenia.

- Alan - zaczęła niespodziewanie - dlaczego odszedłeś z... z Departamentu?

Zamarłem z widelcem w powietrzu.

- Z powodu różnicy zdań - odparłem krótko.

- Między tobą a Slade'em? Odłożyłem ostrożnie widelec.

- Tak, chodziło o Slade'a. Elin, nie chcę o tym mówić. Milczała przez chwilę i dodała:

- Chyba lepiej będzie, jeśli mi o tym powiesz. Przecież nie lubisz mieć żadnych sekretów.

Zamiałem się cicho.

- Zabawne mówić coś takiego agentowi Departamentu. Czy znasz ustawę o

zachowaniu tajemnicy służbowej?

- Co to takiego?

- Gdyby faceci z Departamentu zorientowali się, że nie potrafiłem trzymać języka za zębami, wsadziliby mnie na resztę życia do więzienia.

- A, o to chodzi - skwitowała lekceważąco. - Gwiżdżę na to.

- Spróbuj powiedzieć tu samo sir Davidowi Taggartowi. I tak już za dużo usłyszała.

- Dlaczego więc nie wyrzucisz z siebie wszystkiego? Przecież wiesz, że nikomu nie powiem.

Spojrzałem w talerz.

- Chyba, że kto cię zmusi. Nie chciałbym, żeby spotkało cię co złego, Elin.

- Kto może mi zagrażać?

- Choćby Slade. Możliwe również, że kręci się wokół mnie facet o nazwisku Kennikin, chociaż mam nadzieję, że tak nie jest.

Elin stwierdziła z namysłem:

- Jeżeli wyjdę kiedykolwiek za mąż, to tylko za kogo, kto nie ma żadnych tajemnic. To nie jest w porządku, Alan.

- Mylisz więc, że dzielenie się z kim kłopotem zmniejsza go o połowę. Nie sądzę, by ci z Departamentu byli tego samego zdania. W grę wchodzi siły, które nie uważajś spowiedzi za dobrodziejstwo dla duszy, a na psychiatrów i księży katolickich patrzś z wielką podejrzliwością. Skoro jednak tak nalegasz, opowiem ci jeszcze co nieco, nie tyle jednak, by mogło to okazać się niebezpieczne.

Ukroiłem kawałek steku.

- Prowadziliśmy operację na terenie Szwecji. Byłem w grupie kontrwywiadowczej, która miała zadanie przeniknąć do aparatu KGB w Skandynawii. Mózgiem całej operacji był Slade. Mogę ciom powiedzieć jedno: jest bardzo sprytny, przebiegły i podstępny i lubi grać po to, by zwyciężyć.

Straciłem zupełnie apetyt. Odsunąłem od siebie talerz.

- Na czele organizacji przeciwnika stał niejaki W.W. Kennikin. Udało mi się do niego zbliżyć; dla Kennikina byłem Szwedem urodzonym w Finlandii, nosiłem nazwisko Stewartsen i udawałem sympatyka komunizmu, pałając chęciś przysłużenia się idei. Wiedziała, że urodziłem się w Finlandii?

Potrząsnęła przecząco głowś.

- Nigdy mi nie mówiła. Wzruszyłem ramionami.

- Próbowałem na zawsze zamknąć ten rozdział mojego życia. W każdym razie, kosztowało mnie wiele pracy i strachu, zanim w końcu przeniknąłem do wnętrza organizacji i zostałem zaakceptowany przez Kennikina. Nie znaczy to, że zyskałem jego pełne zaufanie, używał mnie jednak do pomniejszych zadań, dzięki czemu mogłem zebrać mnóstwo informacji, które docierały właściwymi kanałami do Slade'a. Nie miały one jednak większego znaczenia; byłem w pobliżu Kennikina, ale nie doć blisko.

- To straszne - odezwała się Elin. - Nie dziwię się, że się bała.

- Prawie przez cały czas byłem miertelnie przerażony, to los podwójnych agentów.

Przerwałem, szukając w myłach najprostszego sposobu wyjanienia skomplikowanej sytuacji. Wkrótce odezwałem się, starannie ważąc słowa:

- Przyszedł czas, gdy musiałem kogo zabić. Slade ostrzegł mnie przed

niebezpieczeństwem dekonspiracji. Dodał, że facet, który za tym stoi, nie powiadomił jeszcze Kennikina, i najlepiej będzie go usunąć. Zrobiłem to za pomocą bomby. - Przełknąłem linę i dodałem: - Nawet go nie znałem. Po prostu podłożyłem bombę w samochodzie.

Dostrzegłem przerażenie w oczach Elin.

- To nie była zabawa dla przedszkolaków - stwierdziłem szorstko.

- Ale zabić kogo, kogo nie znała, nie widziała nigdy w życiu!

- Tak jest znacznie prościej. Spytaj jakiegokolwiek pilota samolotu bombowego.

Ale nie o to chodzi. Najgorsze, że uwierzyłem Slade'owi i zabiłem człowieka, który, jak się okazało, był agentem wywiadu brytyjskiego, czyli jednym z nas.

Elin patrzyła teraz na mnie, jakbym dopiero co wypętlzył spod jakiego kamienia.

Mówiłem dalej:

- Skontaktowałem się ze Slade'em i spytałem, o co tu, do diabła, chodzi.

Odparł, że facet był zwykłym agentem do wynajęcia i nie ufała mu żadna

44

ze stron. Pełno takich w naszej profesji. Poradził mi powiadomić Kennikina

o tym, co zrobiłem. Tak też postąpiłem i moje akcje u Kennikina poszły w górę.

Najwidoczniej zdawał sobie sprawę, że w organizacji istnieje przeciek, a wiele dowodów wskazywało na faceta, którego zabiłem. I tym sposobem stałem się jednym z jego niebieskookich chłopców, nawet się zaprzyjaniłimy. Popelnił błąd, dzięki któremu udało się doprowadzić do całkowitego rozbicia siatki.

Elin odetchnęła głęboko.

- To wszystko?

- Na Boga, nie - krzyknąłem gwałtownie. Sięgnąłem po butelkę z whisky i

spostrzegłem, że drży mi ręka.

- Po skończeniu roboty wróciłem do Anglii. Otrzymałem gratulacje za dobrze wykonane zadanie. Skandynawska komórka Departamentu była w stanie euforii. Na Boga! Stałem się kim w rodzaju bohatera. A potem odkryłem, że zabity przeze mnie facet był takim samym agentem jak ja! Nazywał się Birkby, jeli to ma jakie znaczenie, i również pracował w Departamencie.

Napełniłem szklankę, rozlewając przy tym trochę whisky.

- Slade użył nas jak pionków na szachownicy. Ani Birkby, ani ja nie tkwilimy w grupie Kennikina na tyle głęboko, żeby go zadowolić, powięcił więc jednego pionka, by ustawić drugiego na lepszym polu. Ale jeli chodzi o mnie, postępując tak, złamał wszelkie zasady. To tak, jakby szachista oddał na stracenie jednš ze swych figur po to, by zaszachować króla, co jest sprzeczne z regułami gry.

Elin spytała łamiścym się głosem:

- A czy waszym brudnym wiatem rzdźš jakiegokolwiek zasady?

- Racja - odparłem - nie ma żadnych. Ale mylałem, że saj próbowałem podnieć wrzawę wokół tej sprawy. - Pocišgnšłem łyk czystej whisky

I poczułem palenie w gardle.

- Nikt, oczywicie, nie chciał o niczym słyszeć. Zadanie zakończyło się sukcesem i odchodziło powoli w zapomnienie, pora przejć do spraw ważniejszych.

Całš tę operację zmajštrował Slade i nikomu nie chciało się zbytnio dociekać,

jak to zrobił. - Zmiałem się ponuro. - A tak naprawdę Slade poszedł w

Departamencie o szczebel wyżej i próby wycišgnania brudów na wiatłoienne

byłyby dużym nietaktem. Równałyby się bowiem krytykowaniu przełożonego, który go awansował. Stałem się kłopotliwy, a kłopotów nikt nie lubi i stara się ich

pozbyć.

- Więc pozbyli się ciebie - odezwała się matowym głosem.

- Gdyby to zależało od Slade'a, pozbyliby się mnie bez pardonu, na zawsze.

Powiedział mi to zresztą nie tak dawno. Ale w tym czasie nie zaszedł jeszcze zbyt wysoko w hierarchii organizacji i nie był wystarczająco

45

ważny. - Zajrzałem w dno szklanki. - Oficjalnie powodem odejcia było załamanie nerwowe.

Podniosłem wzrok i spojrzałem na Elin.

- Częciowo odpowiadało to prawdzie, powiedzmy pół na pół. Przez długi czas miałem nerwy napięte jak postronki, a to, co się stało, przeważało tylko szalę.

Departament prowadzi szpital zatrudniający posłusznych psychiatrów dla takich

przypadków jak mój. W dalszym ciągu istnieje ukryta gdzie kartoteka pełna

rzeczy, które mogłyby wywołać rumieniec na twarzy Freuda. Jeli zrobię fałszywy

krok, znajdzie się psychiatra gotowy udowodnić, że cierpię na wszystko,

począwszy od moczenia się, a skończywszy na paranoidalnej manii wielkoci. Czy

kto poda w wątpliwość dowody przedstawione przez wybitnego lekarza?

Elin zawrzała z oburzenia.

- Ależ to nieetyczne! Jeste tak samo zdrow na umyśle jak ja.

- To wiat bez zasad, nie pamiętasz?

Nalałem sobie jeszcze jedną whisky, tym razem nieco sprawniej.

- Pozwolono mi więc odejść. Tak czy inaczej, dla Departamentu byłem już

nieprzydatny. Stałem się owym nieprawidłowym ogniwem: rozszyfrowany agent tajnej

służby. Poczłgałem się do mojej doliny w Szkocji, aby tam lizać rany. Mylałem,

że jestem bezpieczny, aż do chwili kiedy pojawił się Slade.

- I zaczął szantażować cię Kennikinem. Czy mógłby mu zdradzić, gdzie jeste?

- To całkiem do niego podobne. A Kennikin rzeczywiście ma rachunek do wyrównania. Mówi się, że jest do niczego z dziewczynami, a winę za to obarcza właśnie mnie. Byłoby dla mnie lepiej, gdyby nie znał miejsca mojego pobytu.

Przypomniałem sobie nasze ostatnie spotkanie w lenym mroku w Szwecji. Czułem, że go nie zabiłem, byłem tego pewien już w momencie nacięcia spustu.

Strzelający ma ciekawą zdolność przewidywania, czy trafi w cel, do którego mierzy. Wiedziałem, że kula poszła niżej i tylko go zraniła. Charakter tej rany to inna sprawa. Jeli Kennikin mnie dopadnie, nie mogę liczyć na żadną litość z jego strony.

Elin odwróciła głowę i rozglądała się po polance. Ciszę i spokój odchodzącego dnia przerywał jedynie wiergot ptaków układających się do snu. Wstrząsnęły nią dreszcze; objęła się ramionami.

- Przychodzisz z innego wiata, wiata, którego nie znam.

- Włanie przed nim chcę cię uchronić.

- Czy Birkby był żonaty?

- Nie mam pojęcia, ale wiem jedno: gdyby Slade doszedł do wniosku, że Birkby ma większą szansę zbliżenia się do Kennikina, wówczas kazałby

46

mu zabić mnie, podając ten sam powód. Czasem wydaje mi się, że tak byłoby lepiej.

- Nie, Alan! - Elin nachyliła się i ujęła moją dłoń. - Nigdy tak nie myl.

- Nie martw się, nie mam samobójczych skłonności. W każdym razie teraz wiesz,

dlatego nie cierpię Slade'a i mu nie ufam oraz czemu odnoszę się podejrzliwie do tej operacji.

Elin spojrzała uważnie, wciśz trzymając mnie za rękę.

- Alan, czy poza Birkbym zabił jeszcze kogo?

- Tak - odparłem z namysłem.

Twarz jej spochmurniała. Puciła moją dłoń i zaczęła z wolna potrzęsać głową.

- Muszę to wszystko przemyśleć, Alan. Przejdę się trochę. - Wstała. - Sama, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Patrzyłem, jak znika między drzewami, i wziłem do ręki butelkę. Zważyłem ją w dłoni, zastanawiając się, czy mam ochotę na jeszcze jedną whisky. Sprawdziłem zawartość butelki i zauważyłem, że czterema łykami opróżniłem ją niemal do połowy. Odstawiłem butelkę. Nigdy nie wierzyłem w skuteczność topienia problemów w alkoholu, a moja obecna sytuacja nie sprzyjała podejmowaniu takich prób.

Wiedziałem, co dręczy Elin. Kobieta przeżywa szok, kiedy przekonuje się, że mężczyzna, z którym dzieli łóżko, jest dyplomowanym zabójcą, nawet w imię najbardziej chwalebnej sprawy. Nie miałem złudzeń, że sprawa, której kiedy służyłem, zasługiwała na szczególne słowa uznania, w każdym razie nie w oczach Elin. Cóż spokojny mieszkaniec Islandii mógłby wiedzieć o mrocznych głębiach niekończącej się, niewypowiedzianej wojny pomiędzy narodami?

Zebrałem naczynia i zacząłem je zmywać, zastanawiając się, co robi Elin.

Wszystko, co mogło przemawiać za mną, to wspólnie spędzone letnie miesiące i wiara, że te szczęśliwe dni i noce przechylą szalę jej pamięci. Żywiłem nadzieję, że jej wiedza o mnie jako mężczyźnie, kochanku i człowieku liczyć się będzie bardziej niż moja przeszłość.

Skończyłem sprzątanie i zapaliłem papierosa. Powiata dnia odpływała z wolna z nieboskłonu w stronę długiego, letniego zmierzchu okrywającego ziemię północy. Jednak prawdziwe ciemności miały nigdy nie zapać, zbliżał się bowiem dzień świętego Jana i słońce nie odchodziło na długo.

Spostrzegłem, że Elin wraca. Biała plama bluzki migotała między drzewami.

Podeszła do land-rovera i spojrzała w niebo.

- Robi się póno - zauważyła.

- Tak.

Schyliła się, rozpięła piwory i złożyła z nich jeden duży piwór. Kiedy zwróciła głowę w moją stronę, na jej twarzy gościł nikły uśmiech.

47

- Chod spać, Alan - rzekła i wiedziałem już, że nic nie jest stracone i wszystko może się jeszcze ułożyć.

W nocy przysłała mi do głowy pewna myśl. Rozpiłem piwór z mojej strony i wysunąłem się z niego, starając się nie obudzić Elin. Odezwała się sennie:

- Co robisz?

- Nie chcę, żeby tajemnicza paczka Slade'a leżała na widocznym miejscu. Muszę ją ukryć.

- Gdzie?

- Gdzie pod podwoziem.

- Nie wolisz poczekać z tym do rana? Wcisnąłem sweter.

- Równie dobrze mogę to zrobić teraz. I tak nie pię, za dużo myli kłębi mi się po głowie.

Ziewnęła.

- Mogę ci w czym pomóc, potrzymać latarkę czy co takiego?

- pij dalej.

Wziłem metalowe pudełko, rolkę tamy izolacyjnej oraz latarkę i podszedłem do land-rovera. Umocowałem pudełko wewnątrz tylnego zderzaka, wychodząc z założenia, że może będę musiał szybko się do niego dostać. Włanie skończyłem, gdy przypadkowo namacałem ręką coś, co kazało mi się powstrzymać: palcami wyczuwałem przedmiot, który dawał się z trudnością przesunąć.

O mało nie skręciłem sobie szyi, próbując dojrzeć, co to może być. Mrużąc oczy w wietle latarki, dostrzegłem inne metalowe pudełko, znacznie mniejsze od pudełka Slade'a i całe pomalowane na zielono, czyli w kolorze land-rovera, chociaż bez wstąpienia nie należące do standardowego wyposażenia dostarczanego przez Rover Company.

Chwyciłem je delikatnie i wyciągnąłem. Jedna strona niewielkiego szecianu była namagnesowana, co umożliwiało przytwierdzenie go do metalowych powierzchni.

Trzymając pudełko w dłoni, zdałem sobie sprawę, że kto tu sprytnie podział.

Było to radiowe urządzenie naprowadzające, znane jako brzęczyk zderzakowy",

które w tej właśnie chwili emitowało stały sygnał, wykrzykując: jestem tutaj,

jestem tutaj". Osoba wyposażona w radionamiernik, nastrojony na właściwą

częstotliwość, po włączeniu go mogła bez trudu określić położenie land-rovera.

Trzymając ciśniętym radionadajnik, wstałem z ziemi i przez moment omal nie uległem

pokusie roztrzaskania go na kawałki. Nie wiedziałem, od jak

48

dawna było umocowane w land-roverze. Może towarzyszyło nam od czasu wyjazdu z

Reykjavíku. A zainstalować je mógł tylko Slade lub jego człowiek, Graham. Nie

wystarczało mu, że ostrzegł mnie przed mieszaniem Elin do operacji, chciał zapewnić sobie łatwš nad niš kontrolę. A może chodziło mu o mnie?

Miałem już cisnąć je na ziemię i rozgnieć pod obcasem, lecz powstrzymałem się.

Uznałem, że nie byłoby to zbyt mšdre, mogłem zrobić z niego znacznie lepszy użytek. Slade wiedział, że jestem namierzany, teraz wiedziałem o tym i ja, lecz

Slade nie zdawał sobie zupełnie sprawy z tego faktu, co mogło obrócić się jeszcze na mojš korzyć. Schyliłem się i wsadziłem głowę pod samochód, przymocowujšc radionadajnik na poprzednie miejsce. Przywarł do zderzaka z lekkim trzaskiem.

I w tym momencie co się stało. Nie umiałem tego okrelić - było to co

nieuchwytnego, jaka minimalna zmiana w jednostajnym brzmieniu nocnej ciszy.

Mógłbym tego w ogóle nie zauważyć, gdyby nie moja czujność, dodatkowo wzmożona

po odkryciu radionadajnika. Wstrzymałem oddech, nasłuchujšc uważnie, i znów

pojawiło się to samo: dochodźscy z oddali metaliczny szcęk zmiany biegu. Od tej

chwili ciszy nocy nie przerwał żaden dźwięk, lecz to, co usłyszałem, zupełnie mi

wystarczyło.

Rozdział 3

Nachyliłem się nad Elin i potrzsniłem niš.

- Obud się - powiedziałem cicho.

- O co chodzi? - spytała półprzytomnie.

- Bšd cicho i szybko się ubieraj!

- Ale...

- Nie dyskutuj, ubieraj się.

Odwrociłem się i wytężajšc wzrok, próbowałem dojrzeć co między drzewami

niewyranie majaczącymi w półmroku. Nic się nie poruszało i znikąd nie dochodził żaden dźwięk, wokół panowała niczym niezmięcona cisza nocy. Wsłki wjazd do Asbyrgi oddalony był o ponad kilometr i uznałem, że tam właśnie zatrzyma się samochód, tworząc naturalny sposób zabezpieczenia, co w rodzaju korka zatykającego szyjkę butelki.

Należało przypuszczać, że dalszy etap przeczesywania Asbyrgi odbędzie się pieszo w kierunku wskazywanym przez radionamiernik, na przestrzeni określonej na podstawie miernika natężenia sygnału. Umieszczenie radionadajnika w samochodzie jest nie mniej skuteczne niż oświetlenie go pełnym blaskiem reflektorów.

Elin odezwała się cicho:

- Jestem gotowa. Odwróciłem się w jej stronę.

- Będziemy mieć gości - oznajmiłem jej przyciszonym głosem. - Za piętnacie minut, może prędzej. Chcę, żeby się ukryła.

Wskazałem jej miejsce.

- Tam będzie najlepiej. Schowaj się wśród drzew i nie wychod, dopóki cię nie zawołam.

- Ale...

50

- Nie dyskutuj, rób, co mówię - powiedziałem ostro.

Nigdy przedtem nie odzywałem się do niej tym tonem; zdziwiona zamrugła oczami, lecz zaraz odwróciła się i posłusznie wbiegła między drzewa.

Dałem nura pod samochód i po omacku starałem się znaleźć pistolet Lindholma, który umocowałem tam jeszcze w Reykjavíku. Lecz zamiast niego, w miejscu gdzie się kiedy znajdował, namacałem jedynie klejścy się strzęp tamy izolacyjnej.

Drogi w Islandii sš tak wyboiste, że łatwo na nich zgubić to, co zostało le przytwierdzone. Miałem cholerne szczęście, że nie straciłem rzeczy najważniejszej - metalowego pudełka.

Pozostał mi więc jedynie sgian dubh. Leżał tuż obok piwora; schyliłem się, by go podnieć, i zatknšłem za paskiem do spodni. Następnie wycofałem się pod osłonę drzew w pobliżu polany i zacząłem wyczekiwać.

Upłynęło prawie pół godziny, zanim zaczęło się co dziać. Pojawił się jak duch - ciemny kształt bezszelestnie przesuwał się po cieźce. Było zbyt ciemno, bym mógł zobaczyć twarz, jednak na tyle widno, żeby dojrzeć, co niesie w ręku.

Kształt i sposób, w jaki to trzymał, wykluczały pomyłkę, od rodzaju przedmiotu zależy bowiem, jak go nosimy. Karabin nosi się zupełnie inaczej niż laskę, a to na pewno nie była laska.

Zamarłem w bezruchu, kiedy zatrzymał się na skraju polanki. Zachowywał się cicho i gdybym nie wiedział, że tam jest, z pewnością bym nie zwrócił uwagi na ciemną plamę obok drzew, niewiadomy, że kryje się za nią uzbrojony mężczyzna. Mylałem z niepokojem o broni, z którą przyszedł: był to karabin lub strzelba, a to oznaczało zawodowca. Pistolet jest zbyt niedokładny, jeli na serio myli się o zabijaniu, o czym wie każdy żołnierz, i ma skłonność do zacinania się w najmniej właściwym momencie. Zawodowcy preferują znacznie pewniejsze narzędzia do umiercania.

Jeli chciałem go zaatakować, musiałem znaleźć się za jego plecami, a więc pozwolić, żeby mnie minł. Gdyby jednak nocny goć nie był sam, realizacja tego planu oznaczałaby wystawienie się na widok stojącego gdzie za nim towarzysza. Czekałem więc, by sprawdzić, czy jest sam, czy też wyłoni się po nim jeszcze

kto. Zastanawiałem się przez chwilę, czy facet wie, co się stanie, jeli w Asbyrgi użyje broni: jeli nie zdawał sobie z tego sprawy, to będzie mocno zdziwiony, gdy pociśgnie za spust. Mignął mi przed oczami i zniknął. Zakląłem pod nosem. Lecz w chwilę potem usłyszałem trzask gałązki i wiedziałem już, że jest między drzewami po drugiej stronie polany. Był to bardzo ostrożny facet, bez wstąpienia prawdziwy zawodowiec. Stara maksyma mówi: nigdy nie przychod z tego kierunku, skąd można się ciebie spodziewać, nawet wtedy, gdy sądzisz, że nikt cię nie oczekuje. Unikaj zbędnego ryzyka. Mężczyzna przemykał między drzewami i zataczał koło wokół doliny, chcąc wyjć z jej drugiej strony.

51

Zacząłem również okręzać dolinę, tyle że w odwrotnym kierunku. Nie było to łatwe, wiedziałem bowiem, że prędzej czy później stanę z nim twarzą w twarz. Wyciągnąłem nóż zza paska i trzymałem go luno w dłoni. Była to mizerna broń wobec strzelby, ale nie miałem nic innego. Przed każdym następnym krokiem sprawdzałem, czy pod stopami nie ma żadnej gałązki. Zabierało to wiele czasu i porządnie się przy tym spociłem.

Zatrzymałem się za karłowatą brzozę i wyteżyłem wzrok, próbując co dojrzeć w półmroku. Nic się nie poruszało, usłyszałem jednak lekki trzask, tak jakby jeden kamień uderzył o drugi. Pozostałem w bezruchu, wstrzymując oddech, i nagle ujrzałem go. Szedł w moją stronę: ciemny, poruszający się cień, oddalony ode mnie nie więcej niż o dziewięć metrów. Zaciśnąłem dłoń na rękojci szian dęb i czekałem.

Ciszę przerwał nagle szelest krzaków i u stóp nocnego gościa wyrósł jaki biały kształt. Mogło to oznaczać tylko jedno: wszedł na przycupniętą w ukryciu Elin.

Cofnął się zaskoczony i podniósł karabin. Krzyknął do Elin: na ziemię!" i w

tej samej chwili on pociśgnął za spust. Błysk wiatła przecisł ciemności.

Strzał zabrzmiał jak wybuch wojny, tak jakby cała kompania piechoty oddała doć

nierówną salwę ognia karabinowego. Huk wystrzału przetoczył się po urwiskach

skalnych Asbyrgi, odbijając się od ciany do ciany seriami coraz słabszego

echa, które zamierało powoli gdzie w oddali. Nieoczekiwany skutek wystrzału

rozstroił na chwilę mężczyznę i sprawił, że znieruchomiał kompletnie zaskoczony.

Rzuciłem nożem i usłyszałem głuchy odgłos uderzenia wiadczy, że go trafiłem.

Wydał z siebie nieartykułowany dźwięk i upuścił karabin, chwytając się za klatkę

piersiową. Ugięły się pod nim kolana i runął na ziemię, miotając się i wijąc

między krzakami.

Nie zwracałem na niego uwagi i pobiegłem w stronę Elin, wyciskając jednocześnie

z kieszeni latarkę. Siedziała na ziemi w stanie szoku z szeroko otwartymi

oczami, przyciskając dłoń do ramienia.

- Nic ci się nie stało?

Odsłoniła ramię i ujrzałem jej zakrwawione palce.

- Trafił mnie - powiedziała głucho.

Kłękłem obok niej i przyjrzałem się ranie. Kula drasnęła Elin, rozdzierając

mięsień na szczycie ramienia. Po pewnym czasie ból dał o sobie znać, ale rana nie

była poważna.

- Musimy założyć opatrunek - orzekłem.

- Trafił mnie - powtórzyła. Jej głos zabrzmiał tym razem nieco silniej i

dwiećzała w nim jakby nuta zdziwienia.

- Nie sądzę, żeby mógł jeszcze do kogo strzelać - odparłem i skierowałem na

niego wiatło latarki. Leżał nieruchomo z odwróconš głowš.

52

- Nie żyje? - spytała, patrząc na rękojeć noża wystającš z klatki piersiowej.

- Nie wiem. Potrzyмай latarkę.

Ująłem go za nadgarstek i wymacałem słabe bicie pulsu.

- Żyje. Może wyjdzie z tego.

Odwróciłem mu głowę i przyjrzałem się twarzy. Ku mojemu zdziwieniu rozpoznałem Grahama. W myłach przeprosiłem go za to, że zarzuciłem mu kiedy brak profesjonalizmu: sposób, w jaki skradał się do naszego obozu, wskazywał na prawdziwego zawodowca.

- W land-roverze mamy apteczkę - odezwała się Elin.

- Id po niš. Ja go przeniosę.

Schyliłem się, wziłem Grahama na ręce i ruszyłem za Elin. Rozesłała piwór i tam go położyłem. Elin wyjęła apteczkę i przyklęła przy Grahamie.

- Nie! Najpierw ty. Zdejmij bluzkę.

Oczyłem ranę na ramieniu, posypałem pudrem zawierajšcym penicylinę i założyłem opatrunek.

- Przez tydzień będziesz miała trudności ze wznoszeniem ręki ponad bark, ale poza tym nie wyglšda to gromie.

Elin wydawała się zahipnotyzowana bursztynowym wiatłem odbijajšcym się od wysadzanej kamieniem gałki noża tkwišcego w piersi Grahama.

- Ten nóż... Czy zawsze nosisz go przy sobie?

- Zawsze - odparłem. - Musimy go wycišgnąć.

Ostrze trafiło Grahama w sam rodek klatki piersiowej, tuż poniżej mostka,

wbijając się pod ostrym kątem. Tkwiło całe w ciele i Bóg jeden wiedział, jakich szkód narobiło.

Rozciłem mu koszulę i kazałem Elin przygotować opatrunek higrosko-pijny, a następnie ująłem rękojeść noża i pociśgnąłem. Zszkrowana górna część ostrza pozwalała na dopływ powietrza do rany, ułatwiając tym samym wyciągnięcie noża, który rzeczywiście wyszedł całkiem gładko. Spodziewałem się, że wystrzeli teraz strumień krwi tętniczej, a to oznaczałoby koniec Grahama. Z rany popłynęła jednak jedynie równomierna strużka, która spływała mu po brzuchu, zbierając się w zagłębieniu pępka.

Elin przykryła ranę opatrunkiem, przymocowując go plastrem, ja natomiast ponownie zbadałem puls, który był teraz trochę słabszy niż poprzednio.

- Znasz go? - spytała, przysiadając na piętach.

- Tak - odparłem beznamiętnie. - Przedstawił się jako Graham. Jest pracownikiem Departamentu w grupie Slade'a.

Podniosłem szkielet duba i zabrałem się do czyszczenia.

- Teraz chciałbym wiedzieć, czy Graham przyjechał sam, czy w towarzystwie.

Stanowimy tu bardzo łatwy cel.

53

Wstałem i wszedłem między drzewa, próbując odszukać karabin Grahama. Znalazłem go i zaniósłem do land-rovera. Był to powtarzalny remington na amunicję kaliber 30/06. Dobra broń dla mordercy: niezbyt długa, praktyczna lufa, szybki strumień ognia - pięć mierzonych strzałów w ciągu pięciu sekund oraz waga i prędkość lotu pocisku wystarczające do położenia człowieka trupem na miejscu. Wyjąłem nabój z komory. Był to typowy, używany do polowań pocisk o miękkim nosie, który w

momencie trafienia ulega spłaszczeniu. Elin miała dużo szczęścia.

Pochylała się teraz nad Grahamem, ocierając mu pot z czoła.

- Wraca do przytomności - zauważyła.

Graham zamrugał powiekami i otworzył oczy. Ujrzawszy mnie stojącego nad nim z karabinem w ręku, usiłował się podnieść, chwycił go jednak atak bólu, a na czoło wystąpiły krople potu.

- Niewiele możesz teraz zrobić - odezwałem się. - Masz dziurę w brzuchu. Osunął się z powrotem na ziemię i oblizał wargi.

- Slade mówił... - zaczął, chwytając z trudności oddech. - Mówił, że nie jesteście niebezpieczni.

- Tak? Więc mylił się, prawda? Podniosłem karabin.

- Gdyby przyszedł bez tego, nie leżałby teraz tutaj. Po co Slade cię przysłał?

- Kazał mi zabrać paczkę - wyszeptał.

- Jak to? Przecież paczka jest u przeciwnika. O ile się nie mylę, to Rosjanie?

Graham skinął głową z wysiłkiem.

- Tylko że oni jej nie mają i dlatego właśnie Slade mnie przysłał. Według niego prowadzisz podwójną działalność, nie grasz uczciwie.

Zmarszczyłem brwi.

- Interesujące.

Przysiadłem na piętach obok niego, trzymając karabin na kolanach.

- Ciekaw jestem, od kogo Slade się dowiedział, że Rosjanie nie mają paczki? Ja im tego na pewno nie powiedziałem. Przypuszczam, że sami Ruscy donieśli mu usłużnie, że zostali wystrychnięci na dudka.

Na twarzy Grahama pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Nie mam pojęcia, skąd się dowiedział. Kazał mi przyjąć po paczkę. Uniosłem karabin.

- I to dał ci na drogę. Sądzę, że miało mnie po prostu zlikwidować. Zwróciłem wzrok w stronę Elin i ponownie spojrzałem na Grahama.

- A Elin? Co się miało stać z nią? Przymknął oczy.

- Nie wiedziałem, że jest z tobą.

54

- Ty może nie, ale Slade wiedział. Do diabła, a w jaki sposób według ciebie znalazł się tutaj land-rover?

Zamrugnął oczami.

- Wiesz doskonale, że musiałyby pozbyć się wszystkich wiadków. Z kąsika ust Grahama pociekła strużka krwi.

- Ty parszywy draniu! - cisnąłem dalej. - Gdybym wiedział, że zdawała sobie sprawę z tego, co robisz, już by nie żył. Slade powiedział, że nie dotrzymałem warunków umowy, i uwierzyło mu na słowo. Wzięło od niego broń i zrobiło, co ci kazał. Słyszała kiedyś o facjocie nazwiskiem Birkby?

Otworzył oczy.

- Nie.

- To było jeszcze przed tobą. Tak się składa, że Slade już kiedyś posłużył się tą sztuczką. Ale nie pora teraz o tym mówić. Przyjechała sam?

Graham cisnął usta, przybrał uparty wyraz twarzy

- Nie zgrywaj się na bohatera. Mogę to z ciebie bez trudu wydusić: co by powiedział na to, żebym trochę poskakał ci po brzuchu?

Usłyszałem przyspieszony oddech Elin, lecz ciśgnęłem dalej:

- Masz paskudną ranę i możesz wyzionąć ducha, jeśli nie zawieziemy cię do szpitala. A to nam się nie uda, jeżeli przy wyjeździe z Asbyrgi czeka na nas zasadzka. Nie mam zamiaru narażać Elin, żeby ratować twoją skórę.

Spojrzał na stojącą za mną dziewczynę i skinął głową.

- Slade... - zaczął. - Jest tutaj, ponad kilometr stąd...

- Przy wjeździe do Asbyrgi?

- Tak - potwierdził i znów zamknął oczy.

Zbadałem mu puls: był coraz słabszy. Zwróciłem się do Elin:

- Zaczynaj ładować wszystko na samochód. Przygotuj miejsce dla Grahama, położymy go z tyłu na piworach.

Wstałem i sprawdziłem ładunek w karabinie.

- Co chcesz zrobić?

- Spróbuję podejść do Slade'a na tyle blisko, żeby z nim porozmawiać. Powiem mu, że jego chłopak porządnie oberwał. A jeśli to mi się nie uda, rozmawiam z nim za pomocą tego.

I mówiąc to, podniosłem karabin. Elin pobladła.

- Zabijesz go?

- Na Boga, nie wiem - odparłem z irytacją. - Wiem tylko, że on nie miałby nic przeciwko temu, żeby ujrzeć mojego trupa. Tak jak i twojego. Slade tkwi przy wjeździe do Asbyrgi niczym cholerny korek w butelce, a to jest jedyny korkociąg, jaki mam.

Graham jęknął cicho i otworzył oczy. Nachyliłem się nad nim.

- Jak się czujesz?

- Zle.

Strużka krwi sšczšca się z kšcika ust przybrała rozmiary strumyczka spływajšcego mu po szyi.

- Dziwne - wyszeptał. - W jaki sposób Slade się dowiedział?

- Co jest w paczce?

- Nie... nie wiem.

- Kto stoi obecnie na czele Departamentu? Oddychał teraz z trudnościš.

- Ta... Taggart- wysapał.

Jeli kto byłby w stanie cišgnšć mi z karku Slade'a, to jedynie Taggart.

Odezwałem się:

- No dobrze, pójdę pogadać ze Slade'em. Niedługo cię stšd wycišgniemy.

- Slade mówił... - przerwał i po chwili próbował znowu. Miał trudności z przełykaniem. Zaczšł lekko kasłać, a na usta wypłynęły mu jasnoczerwone pęcherzyki piany.

- Mówił, że...

Kaszel wzmógł się i nagle z ust Grahama trysnął strumień czerwonej krwi

tętnicznej, a głowa opadła na bok. Ujšłem go za nadgarstek i zrozumiałem, że nie

dowiem się już, co powiedział Slade z tej prostej przyczyny, że Graham wyzionł

ducha. Zamknšłem mu szeroko otwarte oczy i wstałem.

- Porozmawiam ze Slade'em.

- Umarł - szepnęła wstrzšnięta.

Graham nie żył, zniknął jak pionek zmieciony nagle z szachownicy. Zginł, bo

lepo słucał rozkazów Slade'a tak jak ja kiedy w Szwecji. Zginł, bo nie

wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Próbował wykonać polecenie Slade'a, ale poniósł porażkę i spotkał swójś mierć. Podobnie jak Graham, nie wiedziałem, o co chodzi w tej grze, nie mogłem więc pozwolić sobie na jakśkolwiek przegrans.

Elin płakała. Z jej oczu tryskały wielkie łzy i spływały po policzkach. Nie zanosila się łkaniem, ale cicho płakała, stojśc nad ciałem nieboszczyka.

Odezwałem się szorstko:

- Nie rozczulaj się tak nad nim. Słyszała, że chciał cię zabić.

Nie przestała płakać, ale kiedy się odezwała, w jej głosie nie wyczuwało się żadnego drżenia.

- Nie płaczę nad nim - rzekła z troskš- ale nad tobš. Kto chyba powinien.

II

Zwinęlimy szybko obóz i wszystko, włšcznie z ciałem Grahama, załadowalimy do land-rovera.

56

- Nie możemy go tutaj zostawić - stwierdziłem. - Nie minšłby tydzień, a kto na pewno by go tutaj znalazł. Jak mówi poeta, zawlecjemy wnętrznoci do sšsiedniego pokoju".

Zrozumiała aluzję i umiechnęła się blado.

- Dokšd?

- Dettifoss. A może Selfoss.

Po dwukrotnym przejciu przez wodospady, uważane za jedne z najpotężniejszych w Europie, ciało będzie zmienione nie do poznania i przy odrobinie szczęcia nikt nie stwierdzi, że Graham zginšł od ciosu zadanego nożem. Zostanie uznany za samotnego turystę, który uległ wypadkowi.

Umieściliśmy ciało w tyle land-rovera. Wziłem remingtona i odezwałem się do

Elin:

- Odczekaj pół godziny, a potem pęd za mną jak najszybciej.

- Nie mogę jechać szybko, jeśli mam nie robić hałasu - zaproponowała.

- Nie zważaj na hałas, gnaj tak szybko, jak to możliwe, w stronę wjazdu do

Asbyrgi i nie zapomnij włączyć reflektorów. Potem trochę zwolnij, żebym mógł wskoczyć do samochodu.

- I co dalej?

- Skierujemy się do Dettifoss, ale nie główną drogą. Pojedziemy szlakiem po zachodniej stronie rzeki.

- A co ze Slade'em? Chcesz go zabić, prawda?

- On może zrobić to pierwszy. Lepiej pozbyć się wszelkich złudzeń co do niego.

- Alan, już doć zabijania, proszę cię.

- To może nie zależeć ode mnie. Jeżeli on strzeli pierwszy, odpowiem mu tym samym.

- W porządku - rzekła cicho.

Ruszyłem w kierunku wąskiej gardzieli stanowiącej wjazd do Asbyrgi. Posuwając

się ostrożnie szlakiem, miałem nadzieję, że Slade'owi nie przyjdzie do głowy

wyjść na poszukiwanie Grahama. Było to mało prawdopodobne; z pewnością usłyszał

huk wystrzału, lecz tego przecież się spodziewał. Droga powrotna po odzুকaniu

paczki musiałaby zajść Grahamowi ze dwa kwadransy, miałem więc prawo sądzić, że

Slade zacznie oczekiwać Grahama dopiero po upływie kolejnej godziny.

Szedłem dość szybko, lecz kiedy dotarłem do gardzieli, zwolniłem. Slade nawet

nie starał się ukryć pojazdu. Zaparkował go w miejscu, gdzie był doskonale

widoczny we wstającej powiecie dnia, żegnającej odchodzącej, krótką noc polarną.

Dobrze wiedział, co robi - nikt nie mógł niepostrzeżenie zbliżyć się do samochodu. Usadwiłem się za skał i czekałem na Elin.

Wreszcie usłyszałem nadjeżdżającego land-rovera. Elin doć głośno zmieniała biegi i w tym momencie zauważyłem ruch we wnętrzu zaparkowanego

57

pojazdu. Przycisnąłem policzek do łożyska karabinu i wycelowałem. Graham był prawdziwym zawodowcem - nie zapomniał pokryć muszki karabinu farbą wiecszą, chociaż zbliżający się w tym momencie brząsk czynił to niepotrzebnym.

Ustawiłem celownik, mierząc w stronę siedzenia kierowcy, i gdy odgłos nadjeżdżającego za moimi plecami samochodu urósł do crescendo, posłałem trzy kule, w ciągu tyłuż sekund przebijając przednią szybę. Musiała być wykonana ze specjalnego szkła wielowarstwowego, zmatowiała bowiem na całej długości. Slade ruszył szerokim łukiem; było jasne, że ocalał jedynie dzięki położeniu układu kierowniczego, który w jego samochodzie znajdował się, zgodnie ze zwyczajem angielskim, po prawej stronie, podczas gdy ja przedziurawiłem szybę z lewej. Slade nie czekał, aż naprawię swój błąd, lecz pognął szlakiem, jak tylko mógł najszybciej. Land-rover był już tuż za mną, wskoczyłem więc i krzyknąłem do

Elin:

- Jedziemy! Tak szybko, jak możesz!

Mknącym przed nami samochodem Slade'a zarzuciło na zakręcie tak, że zarysował drogę wszystkimi czterema kołami, wzbijając tuman kurzu. Zmierzał teraz w kierunku głównej drogi. My postąpiliśmy inaczej. Zgodnie z moimi instrukcjami na wysokości załomu skalnego Elin skręciła w przeciwną stronę. Ciganie Slade'a nie

miało żadnego sensu. Miał nad nami przewagę, land-rover bowiem nie nadaje się do takich wyczynów.

Skręciliśmy na południe, jadąc w kierunku szlaku biegnącego równoległe do Jókulsa a Fjóllum, dużej rzeki nioszącej na północ wody z lodowca Vatnajokull.

Wyboista nawierzchnia zmusiła nas do ograniczenia szybkości.

- Rozmawiałe ze Slade'em?

- Nie udało mi się podejść wystarczająco blisko.

- Cieszę się, że go nie zabiłem.

- Nie dlatego, że nie próbowałem. Gdyby w jego samochodzie był lewostronny układ kierowniczy, już by nie żył.

- A to by ci poprawiło samopoczucie? - spytała uszczypliwie. Spojrzałem na nią.

- Elin, to niebezpieczny człowiek. Ten facet albo zwariował, co jest raczej mało prawdopodobne, albo...

- Albo co?

- Sam już nie wiem - przyznałem zniechęcony. - To wszystko jest tak cholernie skomplikowane, a ja znam o wiele za mało szczegółów. Jednego jestem pewien:

Slade chętnie ujrzałby mnie martwego. Jest co, o czym wiem, tak przynajmniej uważa Slade, co czyni mnie dla niego niebezpiecznym do tego stopnia, że chce mnie zabić. Biorąc pod uwagę tę okoliczność, lepiej żeby nie było cię przy mnie.

Możesz znaleźć się na linii strzału, co zresztą miało miejsce dzi rano.

58

Elin zwolniła na głębokiej kolejnicy.

- Jeli zostaniesz sam, nie dasz sobie rady. Potrzebujesz pomocy.

Potrzebowałem znacznie więcej. Do rozplatania tej skomplikowanej sprawy

przydałaby mi się nowa głowa. Nie miałem jednak czasu na mylenie, ponieważ

ramię Elin dawało się jej mocno we znaki.

- Zatrzymaj się - poleciłem. - Teraz ja poprowadzę.

Przez półtorej godziny posuwaliśmy się coraz dalej na południe. W końcu Elin

odezwała się:

- Dojeżdżamy do Dettifoss.

Skierowałem wzrok ponad górzysty krajobraz w stronę odległej chmury rozpylonej ciecicy wiszącej nad głębokim wąwozem, wyłobionym w skale przez wody Jókulsa a Fjóllum.

- Jedziemy dalej, do Selfoss - zdecydowałem. - Co dwa wodospady, to niejeden.

Poza tym przy Dettifoss są zazwyczaj obozowicze.

Minęliśmy Dettifoss i po kolejnych trzech kilometrach zjechałem z drogi.

- Dalej już nie przejeździemy. Wysiadłem.

- Pójść w stronę rzeki sprawdzić, czy nie ma nikogo w pobliżu - powiedziałem.

- Nie jest wskazane, żeby kto widział, jak taszczymy trupa z miejsca na miejsce.

Zostań tu i nie wdawaj się w żadne rozmowy z nieznajomymi.

Upewniłem się, że zwłoki pozostają szczelnie osłonięte kocem, i ruszyłem w

kierunku rzeki. Było jeszcze bardzo wczesnie i nie zastałem tam nikogo.

Wróciłem więc do samochodu, otworzyłem tylne drzwi i wszedłem do środka.

Zdjąłem koc okrywający ciało Grahama i przeszukałem mu ubranie. W portfelu

znalazłem trochę islandzkiej waluty, plik marek zachodnio-niemieckich oraz kartę

członkostwa w niemieckim klubie samochodowym. Karta ta, podobnie jak niemiecki

paszport, określała go jako Dietera Buchnera. Było jeszcze zdjęcie, na którym

obejmował ramieniem piękną dziewczynę, mając za plecami szyld sklepowy w języku

niemieckim. Departament zawsze bardzo dbał o tego rodzaju szczegóły.

Uwagę moją zwróciła również otwarta paczka amunicji do karabinu. Odłożyłem ją na bok, wyciągnąłem ciało z samochodu, a portfel schowałem z powrotem do kieszeni Grahama. Chwyciłem nieboszczyka pod ramiona i skierowałem się w stronę rzeki. Elin dreptała tuż za mną.

Po dotarciu nad krawędź wódzłożyłem ciało na ziemi i zacząłem analizować sytuację. W tym miejscu wódz tworzył łuk, w którego wycięcie wbijały się fale rzeki, podcinając cianę skalną tak, że opadała stromo wprost do wody.

Zepchnąłem trupa z krawędzi i patrzyłem, jak spada, bezwładnie koziółkując, aż wbił się w mętne kipieli. Powietrze zmagazynowane

59

w marynarce wypchnęło ciało na powierzchnię; unosiło się tak do czasu, gdy pochwycił je wartki przed płynący rodkiem rzeki. Widzieliśmy, jak porywa je nurt, aż zniknęło za granicą Selfoss, spadając w huczące w dole kipieli wodne.

Elin patrzyła na mnie z przygnębieniem.

- Co teraz?

- Teraz jadę na południe - odparłem i ruszyłem szybkim krokiem do land-rovera.

Gdy zdołała mnie dogonić, waliłem zawzięcie kamieniem w radionadajnik Slade'a.

- Dlaczego na południe? - spytała zdyszana.

- Muszę się dostać do Keflavíku, a stamtąd do Londynu. Jest ktoś, z kim chcę porozmawiać. To sir David Taggart.

- Będziemy jechać przez Myvatn?

Potrząsnąłem przecząco głową. Zadałem kamieniem ostateczne uderzenie i teraz miałem pewność, że radionadajnik nie odezwie się już nigdy więcej.

- Z uwagi na bezpieczeństwo będę się trzymał z dala od głównych dróg. Pojadę przez pustkowie Odadahraun, obok wulkanu Askja. Ale bez ciebie.

- To się jeszcze okaże - odparła, podrzucając kluczyki od samochodu.

III

Bóg nie zakończył jeszcze dzieła tworzenia Islandii.

Ze wszystkich zasobów lawy, wyrzucanych w ciągu ostatnich pięciuset lat z wnętrza ziemi na jej powierzchnię, jedna trzecia pokryła obszar Islandii. Z dwustu znanych wulkanów trzydzieci wciśż wykazuje bardzo duży aktywność.

Islandia cierpi na poważny przypadek trzędżiku geologicznego.

Przez ostatnie tysiąclecie rednio co pięć lat ma miejsce jedna poważna erupcja.

Wulkan stożkowy Askja wybuchł po raz ostatni w tysiąc dziewięćset szećdziesiątym pierwszym roku. Znaczne ilości popiołu wulkanicznego opadły na dachy oddalonego o ponad tysiąc szećset kilometrów Leningradu. Rosjanom nie przysporzyło to zbyt wielkiego kłopotu, ale bliżej epicentrum skutki były znacznie poważniejsze. Obszar na północ i wschód od Askji uległ wypaleniu i został skażony głębokimi warstwami popiołu. Wypływające z wulkanu strumienie lawy zalały położone bliżej połacie ziemi, siejąc wszędzie spustoszenie.

Dominujący w pejzażu północno-wschodniej Islandii wulkan Askja stworzył najbardziej przerażający krajobraz w wiecie.

Włanie do Odadahraun, pustkowia równie odległego i przeklętego co powierzchnia

Księżycy, wiodły nasze drogi. W wolnym tłumaczeniu nazwa ta brzmi Kraina

Morderców i w dawnych czasach miejsce to dawało ostatnie oparcie ludziom wyjętym spod prawa, wyklętym przez wszystkich.

W Odadahraun można było czasami napotkać szlaki przecierane przez miałków, którzy mają odwagę zapuszczać się w głąb interioru. Większość z nich to naukowcy: geologowie i hydrografowie. Niewielu jest chętnych do podróżowania po tej części Óbyggdir dla samej przyjemności. Każdy kolejny pojazd utrwała przetarty szlak, który jednak wraz z nadejściem zimowych niegów ulega ponownie zatarciu. Dzieła zniszczenia dokonują woda, lawiny śnieżne i osuwające się głazy skalne. Ludzie, którzy tak jak my przemierzają interior wczesnym latem, torują drogę w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Bywa, że natrafiasz na stary szlak i tylko go pogłębiasz, lecz o wiele częściej musisz przecierać nowy.

Rankiem pierwszego dnia jechało się nie najgorzej. Szlak był znany i zbytnio nas nie wytrzymało. Trasa biegła równolegle do Jókulsa a Fjollum, której szarozielone wody zasilane przez topniejące lodowce wpadają do Morza Arktycznego. W południe znaleźliśmy się naprzeciwko położonych po drugiej stronie rzeki gór Módrudal, których widok sprawił, że Elin podjęła ową żalobnie smętną pieśń, opisując los Islandczyka w porze zimowej: "Krótkie są ranki w górach Módrudal. Brzask rozjania tam niebo dopiero przed południem". Sądzę, że słowa pieśni oddawały nastrój, w jakim się znajdowała. Ja zresztą wcale nie byłam pogodniejszy.

Zrezygnowałem z wszelkich myśli o pozbyciu się Elin. Dzięki radionadajnikowi zainstalowanemu w land-roverze Slade wiedział, że była ze mną w Asbyrgi, a w tej sytuacji pojawienie się jej w którymś z miast wybrzeża narażałoby ją na poważne niebezpieczeństwo. Stała się wiadkiem próby morderstwa, w której współuczestniczył Slade, i zdawałem sobie sprawę, że nic go nie powstrzyma przed uciśnieniem dziewczyny. W pewnym sensie byłem skazany na jej obecność - chociaż

sam żyłem w ciężkim zagrożeniu, to jednak z dala ode mnie Elin wcale nie byłaby bezpieczniejsza.

O trzeciej po południu zatrzymaliśmy się przy schronisku u stóp dwigającego się ku górze cielska potężnego wulkanu tarczowego noszącego nazwę Her-dubreid - Szerokie Plecy. Obój e bylimy zmęczeni i głodni. Elin zaproponowała:

- Nie moglibyśmy zostać tutaj na resztę dnia? Spojrzałem w stronę schroniska.

- Nie. Może kto spodziewa się, że tak właśnie postąpimy. Dlatego pojedziemy kawałek dalej w stronę Askji. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, abymy tu co przekłśli.

Elin przygotowała posiłek i zjedliśmy go na wieżym powietrzu. Gryzłem właśnie kanapkę ze ledziem, gdy nagle przysła mi do głowy pewna myl. Spojrzałem na wznoszący się obok schroniska maszt radiowy i przeniosłem wzrok na antenę zainstalowaną na land-roverze.

- Elin, czy można połączyć się stąd z Reykjavikiem? To znaczy, czy możliwa jest rozmowa z każdym posiadaczem telefonu w Reykjaviku?

61

Podniosła wzrok.

- Oczywiście. Trzeba nawiązać kontakt z Radiem Gufunes, a oni podłączą nas do sieci telefonicznej.

Mylami błędzśc gdzie indziej, odezwałem się powoli:

- Czy to nie prawdziwe szczęście, że kable łączące transatlantyckich biegną przez Islandię? Jeżeli uda się nam włączyć do sieci telefonicznej, to nic nie stoi na przeszkodzie spróbować dodzwonić się do Londynu. - Wbiłem palec w maskę land-rovera, którego antena radiowa wyginała się łagodnie w lekkich podmuchach

wiatru, i dodałem: - I to właśnie stąd!

- Nie słyszałam, żeby to się komu udało - zauważyła z powściąpliwością.

Dokończyłem kanapkę.

- Nie widzę powodu, dla którego miałyby to być niemożliwe. Przecież prezydent Nixon rozmawiał nawet z Neilem Armstrongiem, kiedy ten przebywał na Księżycu.

Mamy wszystkie potrzebne elementy i musimy je jedynie poskładać. Znasz kogo w wydziale telefonów?

- Pracuje tam Svein Haraldsson - odrzekła z namysłem. Mógłbym z góry iść o zakład, że tak będzie; każdy w Islandii ma gdzie

kogo znajomego. Napisałem pośpiesznie numer telefonu i podałem Elin.

- To numer londyński. Chcę rozmawiać z sir Davidem Taggartem we własnej osobie.

- A jeśli ów... Taggart nie będzie chciał rozmawiać? Umiechnęłam się.

- Mam wrażenie, że w chwili obecnej sir David odpowie na każdy telefon z Islandii.

Spojrzała w górę na maszt radiowy.

- W schronisku jest duży nadajnik o znacznie większej mocy. Potrzebuję głosu.

- Nie możesz z niego skorzystać. Jest całkiem prawdopodobne, że Sładek ledzi pasma telefoniczne. Nie mam nic przeciwko temu, żeby usłyszał, co mam do powiedzenia Taggartowi, nie może się jednak dowiedzieć, gdzie jesteśmy.

Rozmawiając z radiotelefonu w land-roverze, utrudnimy mu to.

Elin podeszła do samochodu, włączyła nadajnik i spróbowała połączyć się z Gufunes. Jedynymi odpowiedziami były trzaski zakłóceń atmosferycznych, przez które to przebijały się, to ginęły jakie pojedyncze głosy zawodzące jak pokutujące

dusze. - W górach zachodnich rozszalała się chyba burza -zauważyła Elin. - Może spróbuję połączyć się z Akureyri?

W Akureyri znajdowała się najbliższa z czterech stacji radiotelefonicznych.

- Nie - odparłem. - Jeżeli Slade istotnie ledzi rozmowy telefoniczne, to skoncentruje się właśnie na Akureyri. Spróbuj się połączyć z Seydisfjórdur.

62

Nawiązanie kontaktu z Seydisfjórdur, położonym we wschodniej Islandii, nie nastroczało większych trudności i już po chwili Elin przyłączono do linii lądowej w Reykjavíku. Rozmowa ze Sveinem, przyjacielem z wydziału telefonów, nie była wolna od sporej dozy sceptycyzmu, ale w końcu Elin dopięła swego.

- Połączenie z Londynem zabierze im około godziny - poinformowała mnie.

- Całkiem wiele. Popro Seydisfjórdur o kontakt, kiedy rozmowa dojdzie do skutku.

Spojrzałem na zegarek. Za godzinę w Anglii będzie piętnasta czterdzieci pięć, odpowiednia pora, żeby złapać Taggarta.

Spakowaliśmy rzeczy i ruszyliśmy dalej na południe, w kierunku bliższego w oddali lodowca Vatnajökull. Nie wyłączając odbiornika, ciszyłem go tak, że z głośnika dochodził tylko przytłumiony szum.

- Czego się spodziewasz po rozmowie z Taggartem?

- Jest przełożonym Slade'a - odparłem. - Może mnie od niego uwolnić.

- Tylko czy zechce? Miała doręczyć paczkę, a nie zrobiła tego. Nie wykonała rozkazu. Czy Taggartowi się to spodoba?

- Nie sądzę, by Taggart wiedział, co się tu dzieje. Nie wie chyba także, że

Slade próbował zabić mnie i ciebie. Moim zdaniem Slade działa na własną rękę i

stępa po kruchym lodzie. Mogę się oczywiście mylić, ale tego właśnie chcę się dowiedzieć z rozmowy z Taggartem.

- A jeśli rzeczywiście się mylisz? Jeśli Taggart każe ci oddać paczkę

Slade'owi, zrobisz to?

- Nie wiem - odpowiedziałem z wahaniem.

- Graham chyba miał rację. Może Slade naprawdę uważał, że zdradziłem. Musisz przyznać, że miałby prawo tak myśleć. Czy wtedy...

- Posłałby faceta z bronią? Na pewno.

- W takim razie postąpiłem bardzo głupio, Alan. Pozwoliłem, by twoja nienawiść do Slade'a przesłoniła ci zdrowy rozsądek, i wpakowałem się w niezłą kabałę.

Sam zaczynałem podzielać jej punkt widzenia.

- Przekonam się, kiedy porozmawiam z Taggartem. Jeżeli stoi za plecami

Slade'a...

Gdyby okazało się, że Taggart popiera Slade'a, wówczas moja sytuacja

przypominałaby klasyczny układ między młotem a kowadłem - z jednej strony

Departament, z drugiej przeciwnik. Faceci z Departamentu bardzo nie lubią, gdy

rujnuje się ich plany, a Taggart w swoim gniewie mógłby się okazać straszny.

Było jednak kilka szczegółów, które do siebie nie pasowały: przede wszystkim

bezcelowość całego zadania, brak oznak prawdziwej wrogości u Slade'a

63

w sytuacji, gdy wszystko wskazywało na błąd z mojej strony, a wreszcie ambi-

walentność roli Grahama. Było jeszcze coś, co na próżno usiłowałem wydobyć z

mroków pamięci, nieuchwytnie wspomnienie czegoś, co Slade zrobił czy nie zrobił,

pamięć o czymś, co powiedział lub pominął milczeniem, i to mgliste wspomnienie

zapalało sygnał ostrzegawczy w mojej podwiadomości.

Przyhamowałem, a następnie zatrzymałem samochód. Widząc zdziwienie w oczach

Elin, powiedziałem:

- Zanim porozmawiam z Taggartem, muszę wiedzieć, jakie karty trzymam w ręku.

Wyciśnij otwieracz do konserw. Zobaczą, co jest w tej paczce.

- Jesteś pewny, że dobrze robisz? Sam przecież mówiłeś, że chyba lepiej nie wiedzieć.

- Może masz rację. Ale jeśli grasz w odkrywany pokera, nie zaglądaj do zakrytej karty, to z całą pewnością przegrasz. Myślę więc, że lepiej się przekonać, za czym tak wszyscy goni.

Wysiadłem i podszedłem do tylnego zderzaka. Odkleiłem tamę z metalowego pudełka i wyjąłem je. Gdy usiadłem z powrotem za kierownicą, Elin czekała już na mnie z otwieraczem: była chyba nie mniej ciekawa niż ja.

Puszka była wykonana ze zwykłej polerowanej blachy, jakiej używa się do produkcji konserw. Pod wpływem działania czynników zewnętrznych metalowa powierzchnię pokryły cząstki rdzy. Pierścień lutowania biegnący wzdłuż czterech krawędzi wskazywał, że powierzchnia ta stanowi górną osłonę pudełka. Opukałem je wszędzie i starannie zbadałem, naciskając w różnych miejscach, by w końcu się przekonać, że górna część ugina się pod naciskiem bardziej niż pięć pozostałych.

Uznałem zatem, że mogę bez większych obaw wbić w to miejsce ostrze otwieracza.

Wziąłem głęboki oddech i uderzyłem, mierząc w jeden z rogów. W chwili gdy ostrze przebiło metal, usłyszałem syk wdzierającego się powietrza, co wskazywało, że zawartość pudełka pakowano w komorze hermetycznej. Miałem tylko nadzieję, że nie skończy się na znalezieniu wewnątrz kilku funtów tytoniu fajkowego. Nagle

przyszła mi do głowy spólna myśl, że równie dobrze mogłaby to być bomba-pułapka. Pewne rodzaje detonatorów działają pod wpływem ciśnienia powietrza i nagle wyrównanie poziomu ciśnienia mogło sprawić, że to cholerstwo wybuchłoby mi prosto w twarz.

Tak się jednak nie stało. Wziłem więc jeszcze jeden głęboki oddech i zabrałem się do otwierania. Na szczęście otwieracz należał do starego typu i można go było używać również do puszek pozbawionych metalowej obręczy. Ciśł, co prawda, nierówno i pozostawiał ostre krawędzie, ale w ciągu dwóch minut pudełko było otwarte.

Zdjść nakrycie i zajrzałem do środka. Oczom moim ukazał się kawałek brązowego połyskliwego plastiku, którego wygląd zdawał się wiadczyć o jakimś zwińsku z elektryczności- cudeńka takie można zobaczyć w każ-

64

dym punkcie naprawy sprzętu radiowo-telewizyjnego. Wysypałem zawartość pudełka na dłoń i zacząłem uważnie, choć bez większego powodzenia badać całe urządzenie. Na brązowej plastikowej płytce umieszczony był bardzo złożony układ elektryczny. Wydał mi się zupełnie niezrozumiały, zdołałem rozpoznać jedynie oporniki i tranzystory. Od dawna już nie zajmowałem się radiotechni-ki wiedza moja była uboższa o lawinę nowoci, jakie przez te lata zalewały wiat. Za moich czasów komponent był komponentem, podczas gdy obecnie faceci od mikroukładów potrafił zmieścić cały skomplikowany obwód z dziesiątkami komponentów na jednej płytce krzemowej, tak małej, że można ją zobaczyć jedynie pod mikroskopem.

- Co to takiego? - spytała Elin, najwyraniej przekonana, że potrafię udzielić odpowiedzi.

- Niech mnie diabli, jeśli wiem - przyznałem szczerze. Przyjrzałem się

dokładniej, próbując bezowocnie coś zrozumieć ze

skomplikowanych obwodów. Część urządzenia zbudowano, opierając się na układzie

modułowym: na obrzeżach zamontowane były płytki obwodów drukowanych, najeżone

dziesiątkami różnych komponentów. Inne fragmenty przypominały rozwiązania

bardziej konwencjonalne, a porożku znajdował się tajemniczy kawałek metalu,

który w żaden sposób nie dawał się rozszyfrować; jaw każdym razie musiałem się

poddać.

Jedyną rzecz, którą dla mnie jakiś sens były dwa zwykłe zaciski rubowe

umieszczone przy obrzeżu głównej płytki, nad którymi przykręcono mały,

grawerowany tabliczkę z mosiądzu. Zaciski oznaczone były odpowiednio, "i -", a

symbole wygrawerowane na tabliczce określały dopuszczalne wielkości prądu: 110

woltów i 60 herców.

- Prądu o takim napięciu i częstotliwości używają Amerykanie - zauważyłem. - W

Anglii stosujemy 240 woltów i 50 herców. Możemy chyba przyjść, że mamy do

czynienia z końcówką wejściową.

- Zatem cokolwiek to jest, zostało wykonane w Ameryce.

- Najprawdopodobniej w Ameryce - poprawiłem już ostrożnie. Brakowało zasilacza,

oba zaciski nie były podłączone, tak więc w tym

momencie całe urządzenie nie pracowało. Można było założyć, że zacznie działać

zgodnie ze swym przeznaczeniem w chwili, gdy przez zaciski popłynie prąd o

napięciu 110 woltów i częstotliwości 60 herców Ale jakie jest jego

przeznaczenie, o tym nie miałem najmniejszego pojęcia.

W każdym razie, było to coś niezwykle wymyślnego. Specjaliści od elektroniki dokonali

w krótkim czasie tak wielkiego postępu w swej dziedzinie, że to niewielkie cudeńko, z łatwociś mieszczące się na dłoni, mogłoby okazać się komputerem wysokiej generacji, zdolnym udowodnić, że $E = mc^2$ lub, na odwrót, obalić tę teorię.

5 Na olep

65

Równie dobrze mogła to być jaka maszynka do chłodzenia kawy, sklecona naprędcie na własny użytek przez domorosłego majster-klepkę. Jednak to, co trzymałem w rękę, nie wyglądało na żadną prowizorkę; było przykładem wysokiej techniki, wiadczyło o wysokim profesjonalizmie i sprawiało wrażenie, że przeszło bardzo długą linię produkcyjną w jednej z tych hal pozbawionych okien, strzeżonych przez ponurych facetów ze spluwami.

Spytałem z namysłem:

- Czy Lee Nordlinger pracuje jak dawniej w bazie w Keflaviku?

- Tak, widziałam go dwa tygodnie temu. Puknąłem palcem w elektroniczne urządzenie.

- To jedyny człowiek w Islandii, który może cokolwiek powiedzieć na temat tego cudeńka.

- Chcesz mu to pokazać ?

- Nie wiem - odparłem bez popiechu. - Lee może w tym rozpoznać zaginioną własność rządu USA i jako oficer marynarki amerykańskiej wiedziony obowiązkiem może podjąć odpowiednie kroki. A ja nie mam ochoty odpowiadać na masę różnych pytań.

Schowałem urządzenie z powrotem do pudełka, nałożyłem wieczko i umocowałem je

tamś.

- Teraz, gdy pudełko jest otwarte, nie ma sensu umieszczać go z powrotem pod zderzakiem - zauważyłem.

- Posłuchaj! - krzyknęła Elin. - To nasz numer.

Wyciśgnąłem rękę i pokręciłem gałkę regulacji siły głosu, wzmacniając docierający do nas sygnał.

- Seydisfjórdur do siedem, zero, pięć, Seydisfjórdur do siedem, zero, pięć.

Zdjąłem mikrotelefon.

- Siedem, zero, pięć zgłasza się.

- Seydisfjórdur do siedem, zero, pięć. Londyn na linii.

- Dziękuję, Seydisfjórdur.

Charakterystyczne szumy dochodzące z głośnika ustąpiły miejsca głosowi, który odezwał się gdzie w oddali:

- David Taggart przy aparacie. Czy to ty, Slade?

- Ostrożnie ze słowami, to linia publiczna, i to bardzo publiczna - przestrzegłem.

Nastąpiła krótka przerwa, po której Taggart odezwał się znowu:

- Rozumiem. Kto mówi? Bardzo le słyszać.

Istotnie słyszalność była kiepska. Jego głos to przybliżał się, to oddalał, a chwilami był skutecznie zagłuszany przez zakłócenia atmosferyczne.

- Mówi Stewart.

66

Z głośnika popłynął trudny do opisanego hałas. Mogły go spowodować zakłócenia w atmosferze, ale bardziej prawdopodobne było, że Taggart dostał ataku apopleksji.

- Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz? - ryknął.

Spojrzałem na Elin i skrzywiłem się. Ton głosu wskazywał, że Taggart nie jest po mojej stronie. Pozostało mi jeszcze sprawdzić, czy popiera Sla-de'a. Taggart tymczasem wykrzykiwał dalej:

- Rozmawiałem dzi rano ze Slade'em. Mówi, że próbował... próbował zerwać jego kontrakt. (Jeszcze jeden zręczny eufemizm.) Co się stało z Philipsem?

- Kto to jest, do diabła? - wtrąciłem.

- Ach tak. Może znasz go lepiej pod nazwiskiem Buchner lub Graham.

- W takim razie jego kontrakt zerwałem na pewno.

- Rany boskie! - krzyknął. - Oszalałe do reszty?

- Po prostu uprzedziłem go, kiedy usiłował zerwać mój kontrakt. W Islandii panuje bardzo ostra konkurencja. Nasłał go na mnie Slade.

- Slade mówi co innego.

- Wcale mnie to nie dziwi. Ten facet albo zwariował, albo przeszedł do konkurencji. Spotkałem tu zresztś jej kilku przedstawicieli.

- To niemożliwe! - odparł stanowczo.

- Że spotkałem przedstawicieli konkurencyjnej firmy?

- Mam na myli Slade'a. Nie, to nie do pomylenia.

- Jak to nie do pomylenia, skoro ja o tym myślę? - zauważyłem rezolutnie.

- Jest u nas od tak dawna. Wiesz, ile dobrego zrobił.

- MacLean - zacząłem wymieniać - Burgess, Kim Philby, Blake, Kro-gerowie, Lonsdale, sami porządni i wiarygodni ludzie. Dlaczego nie miałby do nich dołączyć Slade?

Podniósł głos:

- To linia publiczna, uważaj, co mówisz, Stewart. Nie wiesz, o co tu chodzi.

Slade mówi, że towar jest u ciebie. Czy to prawda?

- Tak - przyznałem. Westchnął głęboko.

- W takim razie musisz wracać do Akureyri. Umówię cię ze Slade'em, dasz mu to.

- Jedyne, co może ode mnie otrzymać, to ostateczna dymisja - odparłem. - Jedną wręczyłem już Grahamowi, czy jak on tam się nazywał.

- To znaczy, że odmawiasz wykonania rozkazu - zauważył z grobś w głosie.

- Jeżeli chodzi o Slade'a, tak. Kiedy nastąpił na mnie Grahama, była ze mną moja narzeczona.

67

Zapadła długa cisza, po której Taggart przemówił już bardziej pojednawczym głosem:

- Co się jej... czy ona...?

- Ma dziurę po jego kulce - rzuciłem bez ogródek, nie zważając, że jestem na linii publicznej. - Trzymaj Slade'a z dala ode mnie, Taggart.

Od tak dawna zwracano się do niego sir David, że wzdrygnął się na suchy dźwięk swego nazwiska i chwilę trwało, zanim to przełknął. W końcu odezwał się przytłumionym głosem:

- Więc nie zgodzisz się na spotkanie ze Slade'em?

- Nie, nawet gdyby w kieszeni chował tylko paczkę ryżowych ciasteczek. Nie ufam mu.

- Kogo byłby skłonny zaakceptować?

Musiałem się nad tym zastanowić. Wiele czasu minęło od mojego odejścia z

Departamentu i nie miałem pojęcia o zmianach, jakie zaszły w składzie osobowym.

- Zgodziłby się na Case'a? - spytał.

Case był porządny facetem. Znałem go i ufałem mu na tyle, na ile mogłem ufać komukolwiek w Departamencie.

- W porządku.

- Gdzie możesz się z nim spotkać? I kiedy? Przeprowadziłem kalkulację, uwzględniając czas i odległość.

- W Geysir, piąta po południu, pojutrze.

Milczał przez chwilę. Jedyнным dźwiękiem, jaki do mnie dochodził, były fale zakłóceń atmosferycznych natrętnie uderzające w bębny. W końcu odezwał się:

- Będę go jeszcze musiał tu cięgnąć. Przesuń termin o dwadzieścia cztery godziny.

Nagle zapytał:

- Gdzie teraz jesteś? Umiechnąłem się do Elin.

- W Islandii.

Nawet zniekształcenia nie były w stanie ukryć irytacji w głosie Taggar-ta.

Huczał teraz jak betoniarka:

- Stewart, mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, że jesteś na najlepszej drodze do zniszczenia operacji najwyższej wagi. Kiedy spotkasz się z Case'em, masz robić dokładnie to, co ci powie. Zrozumiałe?

- Lepiej, żeby nie było przy nim Slade'a, inaczej cała umowa bierze w łeb. Czy wemiesz swojego psa na smycz, Taggart?

- No dobrze - zgodził się z ociąganiem. - Odwołam Slade'a do Londynu. Ale mylisz się co do niego, Stewart. Przypomnij sobie, jak rozprawił się z Kennikinem w Szwecji.

Stało się to tak nagle, że przez moment zaparło mi dech w piersiach. Cierń, który tkwił w najgłębszych pokładach mojej pamięci, wyszedł nagle na powierzchnię i miałem przy tym wrażenie, że rozsadza mnie jak tysiśce odłamków eksplodującej bomby.

- Potrzebna mi pewna informacja - rzuciłem szybko do słuchawki. - Muszę to wiedzieć, jeżeli mam się właściwie wywiśzać z zadania.

- W porzřdku, o co chodzi? - spytał z niecierpliwoći.

- Co macie w waszych kartotekach na temat upodobań alkoholowych Kennikina?

- Do diabła! - ryknął. - Źarty sobie stroisz?

- Muszę to wiedzieć - powtórzyłem cierpliwie.

Miałem Taggarta w ręku i zdawał sobie z tego sprawę. Elektroniczne urządzenie było wciśz w moim posiadaniu, a Taggart nie znał miejsca mojego pobytu.

Pertraktowałem z pozycji siły i sđdziłem, że nie będzie próbował się przeciwstawić, ukrywajšc przede mnš najwyraniej nieistotnš informację.

Pomyliłem się.

- To trochę potrwa - zaczął. - Zadzwoń do mnie za jaki czas.

- Teraz to chyba ty sobie żartujesz. Jeste tak obstawiony komputerami, że elektrony wyskakujš ci z uszu. Wystarczy, żeby uruchomił przycisk, a w ciřgu dwóch minut uzyskasz gotowš odpowied. Nacinij przycisk!

- W porzřdku - zgodził się mocno poirytowany. - Nie wyłšczaj się. Miał prawo się wciekać. Nieczęsto rozmawia się z przełożonymi w taki sposób.

Oczami wyobrani widziałem, co dzieje się teraz w pokoju Taggarta. Po wybraniu właściwego kodu sterowany komputerem system szybkiego wyszukiwania informacji na

mikrofilmach, połączony z cudem techniki, jakim jest sieć telewizji wewnętrznej, wywietli na ekranie monitora na biurku Taggarta zśdanš informację w czasie znacznie krótszym niż dwie minuty. Archiwum mikrofilmowe zawiera wszelkie dostępne informacje o każdym znanym agencie przeciwnika. W jednej chwili księga jego życia otwiera się, odsłaniając wszystkie tajemnice jak motyl przebity szpilką w szklanej gablocie. Pozornie nieistotne szczegóły mogły się okazać niezwykle cenne, jeżeli sięgano po nie we właściwym czasie lub miejscu.

W końcu usłyszałem ciszony głos Taggarta:

- Mam to! - Zakłócenia nasiliły się i jego głos zdawał się napływać z bardzo daleka. - Co chcesz wiedzieć?

- Mów głońiej, ledwo cię słyszę. Chcę wiedzieć wszystko o jego upodobaniach alkoholowych.

Głos Taggarta był teraz nieco wyraniejjszy.

- Zdaje się, że Kennikin prowadzi raczej purytański tryb życia. Nie pije, a od czasu waszego ostatniego spotkania nie zadaje się z kobietami. - Dodał

69

z ironiś w głosie: - Wyglśda na to, że pozbawił go jego jedynej przyjemności.

Lepiej uważaj...

Reszta słów utonęła w hałasie.

- Co mówił? - krzyknšłem.

Głos Taggarta przebijał się przez trzaski zakłóceń atmosferycznych i docierał jakby z zawiaków.

- ...tego, co... wiadomo, Kenni... Islandii... on...

Nic więcej nie usłyszałem, ale i tak wiedziałem już wystarczająśco dużo.

Próbowałem przywrócić połśczenie, ale bezskutecznie. Elin wskazała na niebo, którego zachodni skraj pokrywało kłębowisko czarnych chmur.

- Burza przesuwa się na wschód. Nie wskórasz nic więcej, dopóki nie przejdzie.

Odwiesiłem mikrotelefon.

- Nie pomyliłem się co do tego drania Slade'a!

- Co masz na myli?

Spojrzałem na chmury, które zaczynały się kłębić nad Dyngjufjöll.

- Zjedziemy ze szlaku - powiedziałem. - Mamy w zapasie jeszcze dwadzieścia cztery godziny, ale lepiej będzie, jeli się stśd wyniesiemy. Musimy dostać się na Askję, zanim burza rozszaleje się na dobre.

Rozdział 4

Wielka kaldera wulkanu Askja jest piękna, lecz nie w czasie deszczu. Wiatr chłostał wody położonego znacznie niżej jeziora kraterowego; kto, może nawet sam stary bóg Odin, otworzył niebo, z którego spadały teraz na ziemię strumienie deszczu i miotane wiatrem słupy wody. liski od deszczu popiół wulkaniczny uniemożliwiał dotarcie do jeziora. Zjechałem ze szlaku i zatrzymaliśmy się w samym rodku krateru.

Znam ludzi, którzy wpadajś w popłoch na samś myl o postawieniu stopy w kraterze bśd co bśd czynnego wulkanu. Jednak Askja przemówił głono po raz ostatni w tysiśc dziewięćset szećdziesiątym pierwszym roku i, poza rzadkimi okresami nieznacznego ożywienia, zamilkł na jaki czas. Statystycznie biorśc, byliśmy dosyć bezpieczni. Chcśc zyskać więcej przestrzeni nad głowś, podniosłem dach land-rovera. Wkrótce już na ruszcie piekły się płaty jagnięcia, jajka skwierczały przyjemnie na patelni, a my siedzielimy wygodnie w miłym cieple,

osłonięci przed deszczem.

Podczas gdy Elin smażyła jajka, sprawdziłem, jak stoimy z benzyną. Zbiornik zawierał ponad siedemdziesiąt litrów, a osiemdziesiąt mieliśmy jeszcze w czterech dwudziestolitrowych kanistrach, co przy dobrych drogach powinno wystarczyć na przejechanie ponad dziewięciuset kilometrów. Ale w Óbyggdir nie było dobrych dróg, przy dużym szczęściu jeden litr mógł nam wystarczyć na pokonanie zaledwie trzech kilometrów. Nierównoci terenu i ogólnie kiepska nawierzchnia oznaczały konieczność częstego używania niskiego biegu, co zżera paliwo w błyskawicznym tempie, a najbliższa stacja benzynowa znajdowała się daleko na południu. Miałem jednak nadzieję, że to, co mamy, wystarczy nam na dojechanie do Geysir.

Elin wyczarowała z lodówki dwie butelki carlsberga i z przyjemnościś napełniłem piwem szklankę. Przyglądając się Elin, jak polewa roztopionym

71

tłuszczem jajka, spostrzegłem, że jest blada i sprawia wrażenie zamkniętej w sobie.

- Jak ramię? - spytałem.

- Zdrętwiało i bardzo boli. Spodziewałem się tego.

- Po kolacji zmienię ci opatrunek.

Łyknąłem ze szklanki i poczułem ostre szpilki zimnego piwa.

- Naprawdę chciałem trzymać cię od tego z daleka, Elin. Odwróciła głowę i posłała mi słaby uśmiech.

- Nie udało ci się.

Zręcznym ruchem łopatką wyłożyła jajka na talerz.

- Chociaż nie mogę powiedzieć, że mi się to wszystko podoba - dodała.
- Nie chodzi tu o szukanie rozrywki - zapewniłem. Postawiła przede mną talerz.
- Dlaczego pytała o upodobania alkoholowe Kennikina? Nie mogę dopatrzeć się w tym żadnego sensu.
- To stara historia. W bardzo młodym wieku Kennikin walczył w Hiszpanii po stronie republikańców, a po przegranej wojnie żył jakiś czas we Francji, agitując na rzecz Frontu Ludowego Leona Bluma. Jednak myślę, że nawet wtedy działał jako tajny agent. W każdym razie właśnie tam poczuł pociąg do calvadosu, winiaku jabłkowego z Normandii. Masz trochę soli?

Podawała mi solniczkę.

- Sądzę, że w pewnym momencie miał jakieś kłopoty z pić i postanowił z tym zerwać. Z informacji posiadanych przez Departament wynika, że Kennikin jest obecnie abstynentem. Słyszała, co Taggart mówił na ten temat.

Elin zabrała się do krojenia chleba.

- W dalszym ciągu nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi - poskarżyła się.
- Już to wyjaniem. Podobnie jak wielu innych ludzi z problemem alkoholowym, Kennikin może całymi miesiącami nie brać kieliszka do ust, kiedy jednak co się nie układa, piętrzą się trudności, wówczas zaczyna pić na umór. A, na Boga, w naszej pracy jest wystarczająco dużo stresów. Chodzi o to, że Kennikin pije po cichu. Odkryłem to dopiero wtedy, gdy udało mi się zbliżyć do niego w Szwecji. Pewnego razu zjawiłem się nieoczekiwanie i zastałem go kompletnie zamroczonego calvadosem. To jedyny trunek, jaki pije. Był na tyle wstawiony, że sam zaczął mi o tym opowiadać. Wpakowałem go do łóżka i taktownie wyszedłem. Przez cały czas mojego pobytu u niego nie powracał do

tego incydentu.

Wziłem kawałek chleba i zacząłem dziobać w żółtku.

- Po wykonaniu zadania i powrocie do Departamentu każdy agent jest poddawany dokładnemu przesłuchaniu przez grupę ekspertów. Stało się tak

72

również po moim przyjeździe ze Szwecji. Robiłem jednak wtedy wiele szumu w zwiśzku ze mierciś Jimmy' ego Birkby' ego i temu chyba należy przypisać, że sieć pytań nie była zbyt szczelna i fakt, że Kennikin pije, nie trafił do kartotek Departamentu. A przed chwilś przekonałem się, że w dalszym ciśgu nie ma tam żadnej wzmianki na ten temat.

- Ale w dalszym ciśgu nie rozumiem... - odezwała się bezradnie.

- Zaraz ci to wyjanię. Kiedy Slade zjawił się u mnie w Szkocji, powiedział mi o ranie, jakś zadałem Kennikinowi. Wyskoczył wtedy z żartem, że Kennikin raczej poczęstuje mnie kawałkiem ostrego noża, niż zaprosi na butelkę calvadosu. Skśd, do diabła, Slade wiedział, że Kennikin pija calvados? W kartotekach tego nie ma, a on sam nie zbliżył się nigdy nawet na odległość stu kilometrów do Kennikina.

Przez długi czas nie dawało mi to spokoju, ale dzi rano wszystko stało się jasne.

Elin westchnęła i zauważyła:

- To bardzo niewiele.

- Czy była kiedy na procesie o morderstwo? Czasami nawet drobny szczegół wystarcza do posłania człowieka na stryczek. Ale dodaj do tego jeszcze i to: po przejęciu paczki Rosjanie prawdopodobnie odkryli, że mająś w ręku podróbkę. W tej sytuacji można by się spodziewać, że zacznś szukać oryginału, prawda? Ale

zobaczymy, kto wyrusza na poszukiwanie paczki, i to z żądzą krwi w oczach? Nie

kto inny, jak nasz przyjaciel Slade.

- Próbujesz wykazać, że Slade jest rosyjskim agentem, ale to się nie uda. Kto w istocie był odpowiedzialny za rozbicie siatki Kennikina w Szwecji?

- Slade był mózgiem całej operacji. Ustawił mnie we właściwym kierunku i pociągnął za spust.

Elin wzruszyła ramionami.

- No wlane. A czy agent rosyjski działałby na szkodę swojej strony?

- Slade jest teraz wielką figurą. Stoi tuż za Taggartem w bardzo ważnej dziedzinie wywiadu brytyjskiego. Chwalił mi się nawet, że jada lunch z samym premierem. Jak mylisz, jakie znaczenie mogłaby mieć dla Rosjan możliwość wprowadzenia swojego człowieka na tak wysokie stanowisko? -Elin popatrzyła na mnie, jakbym zwariował. Ciągnęłam dalej spokojnie: -Ten, kto to zaplanował, ma umysł jak obwarzanek, ale to wszystko trzyma się kupy. Slade zajmuje miejsce na samym szczycie wywiadu brytyjskiego, ale w jaki sposób tam się dostał? Odpowiedź brzmi: poprzez rozbicie siatki rosyjskiej na terenie Szwecji. A co jest dla Rosjan ważniejsze: utrzymać szwedzką siatkę, która przecież w razie potrzeby może być odtworzona, czy wprowadzić Slade'a na jego obecne miejsce?

Stuknąłem trzonkiem noża w stół.

- Widać w tym wszystkim ten sam wypaczony sposób mylenia: Slade wprowadził mnie do grupy Kennikina, powięcając w tym celu Birkby'ego,

73

a Ruscy umieścili Slade'a przy Taggartcie, oddając na pożarcie Kennikina i jego grupę.

- Ale to nielogiczne! - wykrzyknęła Elin. - Czemu Slade miałby się wplątywać w tę historię z Birkbym i tobą, skoro Rosjanie i tak byli chętni do współpracy z nim?

- Ponieważ to musiało wyglądać wiarygodnie - odparłem. - Było oczywiste, że cała operacja zostanie szczegółowo analizowana przez ludzi, którzy niczego nie przeoczą, i dlatego nie wchodziło w grę żadne udawanie. Potrzebna była prawdziwa krew, a nie keczup. Krwi dostarczył biedak Birk-by, a i Kennikin trochę się do tego przyłożył.

Nagle zawitała mi pewna myśl.

- Ciekaw jestem, czy Kennikin wiedział, co jest grane? Gotów jestem iść o zakład, że grupa Kennikina została wyrwana spod jego kontroli; biedny dureń nie zdawał sobie sprawy, że jego panowie sprzedali go, aby pchnąć Slade'a o szczybel wyżej. - Potarłem podbródek. - Ciekawe, czy w dalszym ciągu jest niewiadomy tego wszystkiego.

- To tylko teoria, w życiu wygląda to inaczej.

- Czyżby? Mój Boże, powinna choćby zapoznać się z opublikowanymi sprawozdaniami z procesów o szpiegostwo, a przekonasz się, że w życiu zdarzają się różne cholernie dziwne rzeczy. Wiesz, dlaczego Blake został skazany na czterdzieci dwa lata więzienia?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie czytałam o tym.

- Nie znajdziesz tego na papierze. Plotka krząśca po Departamencie głosiła, że włanie tylu naszych agentów marnie skończyło w wyniku jego zdrady. Nie dowiedziałem się nigdy całej prawdy, bo Blake wchodził w skład innej grupy. A

wyobra sobie teraz, co mógłby zrobić Slade!

- Nie możesz więc nikomu ufać. Co to za życie!

- Nie jest aż tak le. Do pewnego stopnia ufam Taggartowi. Mam również zaufanie do Jacka Case'a, tego, z którym zamierzam się spotkać w Gey-sir. Ale Slade to co innego. Był na tyle nieostrożny, że popełnił dwa błędy: po pierwsze, napomknął o calvadosie, po drugie, sam przyszedł po paczkę.

Elin zmiała się ironicznie.

- Czyli masz zaufanie do Taggarta i Case'a tylko dlatego, że nie popełnili, jak ty to nazywasz, żadnych błędów?

- Ujmę to w ten sposób - zacząłem. - Zabiłem Grahama, agenta wywiadu brytyjskiego, i teraz ziemia pali mi się pod stopami. Jedyne sposob, żeby wyjść z tego cało, to udowodnić, że Slade jest rosyjskim agentem. Jeżeli to mi się uda, zostanę okrzyknięty bohaterem i wszystko będzie puszczone w niepamięć. Nie ukrywam, że szczera nienawić do Slade'a ułatwia mi sprawę.

- A jeli się mylisz?

74

Odpowiedziałem, jak umiałem najbardziej stanowczo:

- Nie mylę się!

Miałem nadzieję, że to prawda.

- Za nami długi, ciężki dzień, Elin, ale jutro możemy sobie odpocząć. Zmienię ci opatrunek.

Wyglądałem starannie ostatniś warstwę bandaża, kiedy Elin zapytała:

- Co zrozumiałe z tego, co Taggart powiedział tuż przed nadej ciem burzy?

Wolałem o tym nie myleć.

- Chciał mi chyba powiedzieć - zacząłem, ostrożnie ważąc słowa - że Kennikin jest w Islandii.

II

Chociaż czułem się zmęczony po całodziennym siedzeniu za kółkiem, spałem bardzo kiepsko. Zachodni wiatr zawodził nad kraterem Askji, uderzając z całej siły w land-rovera i kołysząc nim na resorach. Ulewny deszcz bębnił o bok samochodu. W pewnej chwili usłyszałem jakiś łoskot, jakby odgłos spadania czegoś metalicznego. Zaintrygowany wstałem, żeby to sprawdzić, ale nic nie znalazłem. Skończyło się tylko tym, że przemokłem do suchej nitki. W końcu zapadłem w ciężki sen, przerywany majakami.

Kiedy jednak obudziłem się nazajutrz rano i spojrzałem na otaczający mnie wiat, poczułem się lepiej. wieciło słońce, a w ciemnoniebieskich wodach jeziora odbijało się bezchmurne niebo. W przejrzystym, odwieżonym po deszczu powietrzu zbocze krateru, od którego dzieliło nas dziesięć kilometrów, wydawało się być na odległość wyciągniętej ręki. Postawiłem wodę na kawę i nachyliłem się nad Elin, trzęsąc ją delikatnie w bok.

- Mmm - wymamrotała niewyranie i wtuliła się głębiej w piwórkę. Trzęsłem ją ponownie. Jedno niebieskie oko otworzyło się i spojrzało na mnie ze złością poprzez plótkę jasnych włosów.

- Przestań!

- Kawa - oznajmiłem, podsuwając jej filiżankę pod nos.

Wyranie się ożywiła i chwyciła naczynie obiema rękami. Wziłem swoją kawę oraz dzbanek z gorącą wodą i wyszedłem z samochodu. Postawiłem na masce przybory do golenia i zacząłem robić pianę. Wyobrażałem już sobie, jak przyjemnie będzie

zejść po goleniu nad jezioro i zmyć z siebie cały brud. Po jedzie przez pokryte kurzem pustkowia Odadahraun zaczynałem zdawać sobie sprawę ze swego niechlujnego wyglądu i sama mył o czystej wodzie sprawiła mi niewypowiedzianą przyjemność. Zmywając z twarzy resztki piany, w myłach układałem listę spraw do załatwienia. Rzecz najważniejszą było nawiązanie kontaktu z Taggartem,

75

gdy tylko nadejdzie dogodna pora, by uchwycić go w biurze. Miałem zamiar przedstawić mu szczegółowo wszystkie zarzuty przeciwko Slade'owi. Elin podeszła z dzbankiem kawy.

- Chcesz jeszcze trochę?

- Dzięki - odparłem, wyciśgając filiżankę. - Znosi się na dzień leniuchowania.

Skinąłem głową w stronę jeziora rozbłyskującego na dnie krateru.

- Masz ochotę popływać?

Skrzywiła się, pokazując na bolące ramię.

- Pływanie kraulem odpada, ale może popluszczę się trochę, używając zdrowej ręki.

Spojrzała w niebo, po czym odezwała się z zachwytem:

- Cudowny dzień!

Nagle wyraz jej twarzy uległ zmianie.

- Co się stało?

- Nie ma anteny radiowej. Odwróciłem się szybko.

- Cholera.

Nie mogło być gorzej. Wspiąłem się na samochód i przyjrzałem z bliska stracie.

Było dla mnie oczywiste, jak do tego doszło. Na wyboistych pustkowiach rodkowej

Islandii łatwo zgubić wszystko, co nie jest przyspawane do samochodu. Nakrętki, których nie można poruszyć za pomocą klucza, potrafiś same obłuzować się na rubie, wyskakujś zawleczeni, a nawet pękajś nity. Antena kołyszśca się na wszystkie strony jest szczególnie narażona na zniszczenie. Znam geologa, który w ciśgu miesiśca musiał pożegnać się z trzema. Nas interesowało teraz tylko to, kiedy mogliśmy jś zgubić.

Oczywiście nastşpiło to dopiero po rozmowie z Taggartem, czyli prawdopodobnie wtedy, gdy pędziliśmy jak szaleni do Askji, uciekajśc przed ci-gajścśnas burzś. Przypomniałem sobie jednak metaliczny łoskot, jaki usłyszałem ostatniej nocy: jazda po wertepach mogła obłuzować antenę na tyle, że zmiotł jś silny podmuch wiatru.

- Może jest gdzie niedaleko. Chodmy poszukać - zwróciłem się do Elin.

Nie zrobiliśmy jeszcze jednego kroku, gdy dotarł do mnie znajomy dźwięk: warkot małego samolotu.

- Na ziemię! - krzyknşłem szybko. - Nie ruszaj się i nie podno głowy.

Przywarliśmy płasko do ziemi obok samochodu w chwili, gdy nad krawędziś ciany krateru pojawił się lekki, nisko lecşcy samolot. Pokonawszy krawęd, zanurkował w głśb krateru po naszej lewej stronie.

- Cokolwiek nastşpi, nie podno głowy - przestrzegłem Elin. - Nic nie odbija się tak wyranie jak biel twarzy.

76

Samolot przeleciał tuż nad jeziorem i zawrócił; lecşc teraz po spirali, dokonywał lustracji wnętrza krateru. Widziałem go w miarę dokładnie zaledwie przez chwilę, zdawało mi się, że jest to czteroosobowa cessna. Land--rover stał

poród gmatwaniny głazów skalnych, rozszczepionych w kamienne bloki pod wpływem działania lodu i wody. Żywiłem zatem nadzieję, że nie będzie zbyt widoczny z powietrza, jeżeli wokół niego będzie panował zupełny bezruch.

Elin spytała po cichu:

- Mylisz, że to nas szukajš?

- Raczej tak. Może to być, oczywiście, samolot czarterowy z turystami na pokładzie, którzy zażyczyli sobie akurat popatrzeć na Óbyggdir z lotu ptaka, pora jest jednak zbyt wczesna na tego rodzaju imprezę; przed dziewištš turyści nie sš jeszcze za bardzo przytomni.

Byłem zły, że przeoczyłem możliwość takiego biegu rzeczy. Cholera, Slade miał rację: naprawdę wyszedłem z wprawy. W Óbyggdir jest tak niewiele szlaków, że można je z łatwociš kontrolować z powietrza i za pomocš radia kierować ruchem naziemnym. Fakt, że mój land-rover był jednym z nielicznych w Islandii pojazdów o szerokim rozstawie osi, znacznie ułatwiał im identyfikację.

Samolot skończył przeczesywanie krateru i wzniósł się w górę, bioršc kurs na północny zachód. ledziłem go wzrokiem, nie ruszajšc się z miejsca.

- Mylisz, że nas widzieli? - spytała Elin.

- Nie wiem. Przestań zadawać pytania, na które nie znam odpowiedzi, i nie ruszaj się: mogš wrócić, by ponownie przeczesać okolicę.

Postanowiłem odczekać jeszcze pięć minut. Przez ten czas układałem w mylach plan dalszego działania. Koniec z marzeniami o odwieżajšcej kšpieli w jeziorze, to pewne. Askja, jak wiele innych zakštków Islandii, leżała na uboczu, miała jednak jednš fatalnš wadę: szlak wiodšcy do krateru stanowił odnogę głównej drogi i kończył się lepo. Wystarczyło zablokować drogę wyjazdowš z krateru, a

nikt by się stamtąd nie wydostał, a już na pewno nie samochodem. Nie miałem żadnych złudzeń co do możliwości poruszania się pieszo - w Óbyggdir to raczej pewna śmierć.

- Musimy jak najszybciej wydostać się stąd - zdecydowałem. - Na głównej drodze łatwiej o możliwość wyboru działania. Zmywamy się!

- Co ze niadaniem?

- Poczekaj.

- A antena?

Zawahałem się niezdecydowany i poirytowany. Antena była nam potrzebna, musiałem przecież skontaktować się z Taggartem. Jeli jednak wyledzono nas z powietrza, to bardzo prawdopodobne, że w stronę Askji pędził już samochód pełen uzbrojonych po zęby facetów. Być może antena

77

upadła gdzie całkiem blisko, mogła jednak równie dobrze zgubić się na szlaku milę stąd. Podjąłem decyzję.

- Do diabła z nią! Ruszamy.

Zebraliśmy naczynia po kawie, moje przybory do golenia i byliśmy już gotowi do drogi. Nie minęły jeszcze dwie minuty, gdy ruszyliśmy wąskim szlakiem, wyjeżdżając z Askji. Od głównej drogi dzieliło nas dziesięć kilometrów. Spociłem się na samą myśl, co możemy tam zastać. Po dotarciu na miejsce przekonałem się jednak z ulgą, że wszędzie panuje całkowity spokój. Skręciłem w prawo, kierując się na południe.

Jechaliśmy z godzinę, potem zatrzymaliśmy się przy rozwidleniu dróg. Po lewej stronie toczyła swe wody Jókulsa a Fjóllum, zaczynająca niedaleko stąd swój bieg

i w niczym nie przypominająca teraz huczszej potęgi, jakś była w Dettifoss.

- Zjemy tu niadanie - postanowiłem.

- Dlaczego akurat tutaj? Wskazałem na rozwidlenie przed nami.

- W tym miejscu mamy do wyboru trzy rozwiśzania: możemy zawrócić albo pojechać którym z tych dwóch szlaków. Jeżeli samolot powróci i wypatrzy nas, to lepiej, żeby stało się to właśnie tutaj. Nie może przecież wisieć w powietrzu bez końca; poczekamy, aż odleci, i wtedy pojedziemy dalej, a pasażerowie nich zgadujś, którą drogę wybraliśmy.

Elin szykowała niadanie, a ja zajęłem się karabinem Grahama. Rozładowałem go i zajrzałem do luty, pomny konieczności czyszczenia broni po oddaniu strzału. Na szczęście współczesny proch nie jest tak silnie żrścy i dzień zwłoki nie stanowi już karygodnego wykroczenia. Z powodu braku oliwy do konserwacji broni i rozpuszczalnika musiałem zadowolić się olejem silnikowym.

Po wyczyszczeniu broni sprawdziłem amunicję. Graham ładował z paczki zawierającej dwadziecia pięć nabojų. Wystrzelił raz, ja posłałem trzy naboje Slade'owi, zostało zatem dwadziecia jeden. Ustawiłem celownik na sto metrów. Nie sśdziłem, że w przypadku strzelaniny będę mierzył na znacznie większ odległóć; to tylko filmowi bohaterowie sś w stanie powalić czarny charakter z odległoci pięciuset metrów, strzelajśc z nieznanej im broni i amunicji.

Ułożyłem karabin w miejscu, gdzie w każdej chwili mogłem po niego sięgnść, i przychwyciłem nieprzychylne spojrzenie Elin.

- A co według ciebie powinienem robić? - odezwałem się obronnym tonem. - Mam rzucać kamieniami?

- Przecież nic nie mówię.

- Rzeczywiście, nie mówisz - zgodziłem się. - Zejdę teraz nad rzekę trochę się umyć. Zawołaj mnie, kiedy będziesz gotowa ze niadaniem.

78

Przedtem jednak wspisałem się na niewielkie wzgórze, skąd roztaczał się rozległy widok na okolicę. Nic się nie poruszało jak okiem sięgnąć, a w Islandii można zwykle ogarnąć wzrokiem bardzo rozległą przestrzeń. Zadowolony zszedłem do rzeki, której mętny, szarzielony nurt był charakterystyczny dla rzek zasilanych topniejszymi lodowcami. Woda była przeraliwie zimna, ale po pierwszym, bolesnym skurczu w klatce piersiowej dalej nie było już tak le. Odwieżony wróciłem na miejsce i z apetytem zabrałem się za niadanie.

Elin studiowała mapę i na mój widok spytała:

- Którędy pojedziesz?

- Chcę się znaleźć pomiędzy lodowcami Hofsj okuli i Vatnaj okuli, wybierzemy zatem lewą odnogę.

- Ale to szlak jednokierunkowy - rzekła podajśc mi mapę.

Istotnie. Wzdłuż przerywanej linii oznaczajšcej szlak widniał wybity złowieszcz czerwieniš surowy nakaz: Adeins faert til austurs -jazda wyłącznie w kierunku wschodnim. My za chcielimy skierować się na zachód.

Skrzywiłem się. Większoć ludzi uważa, że skoro Grenlandia, która w rzeczywistości pokryta jest lodem, nosi mylšcšnazwę zielona kraina", to również Islandia, kraina lodów, ma wbrew swej nazwie niewiele wspólnego z lodem. Otóż sš w błędzie. Trzydzieci szeć pól lodowych pokrywa jednš ósmš powierzchni tego kraju, a tylko jedno z nich, Vatnajokull, zajmuje obszar równy pokrywom lodowcowym Skandynawii i Alp razem wziętych.

Zimne pustkowie Vatnajokull leżało dokładnie na południe od nas. Szlak wiodący w kierunku zachodnim wciskał się w jego zimne oblicze, przycięty wznoszącym się masywem szerokiego wulkanu tarczowego noszącego nazwę Trólladyngja - Siedziba Trollów. Nie byłem nigdy w tych stronach, domyślałem się jednak, dlaczego biegnący przez nie szlak oznaczony jest jako jednokierunkowy: wczepia się w ciany skał i wiję ledwo widocznymi serpentynami, co już samo w sobie zżera tyle nerwów, że szaleństwem jest narażać się na dodatkowe chwile strachu czekające przed każdym kolejnym zakrętem, wiedząc, że może wyłonić się zza niego jadący z naprzeciwka rozpędzony pojazd.

Westchnąłem i zacząłem analizować pozostałe możliwości. Szlak skręcający w prawo wywiódłby nas na północ, czyli w kierunku przeciwnym od planowanego. Zawrócenie byłoby jeszcze gorszym rozwiązaniem, potroiło-by bowiem liczbę przejechanych kilometrów. Geografia Islandii kieruje się własną, bezwzględną logiką, określając co wolno, a czego nie wolno, i wybór szlaku jest w zasadzie ograniczony.

- Zaryzykujemy - oznajmiłem Elin swoją decyzję. - Wybierzemy krótszą drogę.

Miejmy tylko nadzieję w Bogu, że nie trafi się nam samochód jadący z naprzeciwka. To dopiero początek sezonu i mamy spore szansę, że nam się uda.

79

Umiechnąłem się do Elin.

- Jestem pewien, że nie pojawi się żaden policjant, by wypisać nam mandat.

- Nie przyjedzie również pogotowie, żeby pozbierać nas z dna urwiska.

- Nigdy do tego nie dojdzie, jeżdżę bardzo ostrożnie.

Elin zeszła nad rzekę, a ja wspiąłem się jeszcze raz, by rzucić okiem ze szczytu

wzgórza. Wszędzie panował spokój. Na szlaku wiodącym do Askji nie było widać żadnej ostrzegawczej chmury kurzu, sygnalizującej pojawienie się cigajšcego nas pojazdu, po niebie nie myszkował żaden tajemniczy samolot. Zaczšłem się raptownie zastanawiać, czy nie dałem się przypadkiem ponieć wyobrani: być może uciekam przed czym, co w ogóle nie istnieje.

Winni uciekajš, gdzie nikt ich nie ciga". A ja byłem winny jak wszyscy diabli!

Zatrzymałem przy sobie paczkę Slade'a, kierujšc się jedynie intuicjā, przeczuciem, któremu Taggart nie chciał zawierzyć. Na dodatek zabiłem Grahama! Przez Departament zostałem juź osšdzony, uznany winnym i skazany. Ciekawe, jak zachowa się Jack Case, kiedy spotkamy się w Geysir.

Elin wracała juź do land-rovera, rozejrzałem się więc po raz ostatni i zszedłem do niej. Miała wilgotne włosy, a spod ręcznika, którym energicznie wycierała twarz, wieciły zaróżowione policzki. Poczekałem, aż skończy, i odezwałem się:

- Tkwisz w tym teraz tak samo jak ja, masz więc pełne prawo głosu. Co według ciebie powinienem zrobić?

Opuciła ręcznik i spojrzała na mnie w zamyleniu.

- Zrobię to, co ty. Ty ułożyła plan. Spotkaj się z tym facetem w Geysir i daj mu to... to co.

Skinšłem głowš.

- No dobrze, a jeli kto będzie chciał nam przeszkodzić? Zawahała się.

- Jezeli to będzie Slade, oddasz mu przesyłkę. A jeli Kennikin... - Urwała i zwiesiła głowę.

Wiedziałem, co jš gryzie. Gdyby na mej drodze stanšł Slade, oddałbym mu paczkę i mógłbym mieć nadzieję, że wyjdę z tego spotkania z życiem, Kennikin natomiast

nie zadowoliliby się paczką - chciał mojej głowy.

- Zatem jeśli to będzie Kennikin, co według ciebie mam zrobić? Wyglądała teraz, jakby opuciły ją wszystkie siły.

- Myślę, że będziesz zmuszony stanąć do walki z bronią w ręku. Będziesz musiał go zabić.

W jej głosie przebijał prawdziwy niepokój. Ująłem jej ramię.

- Elin, nie zabijam ludzi na lewo i prawo. Nie jestem psychopatą. Obiecuję ci, że nie poleje się krew, chyba że w samoobronie, jeżeli zagrożone będzie moje lub twoje życie.

80

- Przepraszam cię, Alan, ale to wszystko jest dla mnie czym zupełnie obcym.

Nigdy nie musiałam stawiać czoła takim problemom.

Wskazałem na pobliskie wzgórze.

- Wiesz, siedząc tam, trochę nad tym wszystkim myślałem i przyszło mi do głowy, że może mylę się całkowicie, może dokonałem błędnej oceny ludzi i wydarzeń.

- Nie! - zaprzeczyła stanowczo. - Twoje zarzuty wobec Slade'a oparte są na silnych podstawach.

- Mimo to chcesz, żebym oddał mu paczkę?

- A co ona dla mnie znaczy? - krzyknęła. - Albo dla ciebie? Daj mu ją, kiedy tylko nadarzy się odpowiednia pora, i zacznijmy znowu żyć naszym własnym życiem.

- Bardzo bym chciał. Ale czy nikt mi w tym nie przeszkodzi? - Spojrzałem na słońce stojące już wysoko na niebie. - Pora ruszać.

Jadąc w stronę rozvidlenia drogi, dostrzegłem ponurą minę Elin i westchnąłem.

Rozumiałem doskonale jej punkt widzenia, pod którym podpisałby się każdy

Islandczyk. Do odległej przeszłości należą już czasy, kiedy wikingowie byli plagą Europy, i dzisiejszym Islandczykom, od wielu lat żyjącym w izolacji, sprawy reszty świata muszą się wydawać odległe i obce.

Jedyna walka, jaką podjęli, miała na celu polityczne uniezależnienie się od Danii, co zostało osiągnięte na drodze pokojowych negocjacji. Oczywiście, nie są na tyle odizolowani, by ich gospodarka była odcięta od handlu światowego; prawdę mówiąc, jest wprost przeciwnie. Handel jednak to handel, wojna za, obojętne, jawna czy tajna, jest zajęciem dla szaleńców, a nie dla poważnych, trzewo myślących Islandczyków.

Sztak głęboko przewiadczeni, że nikt nie zechce sięgnąć po ich kraj, iż w ogóle nie utrzymują sił zbrojnych. Zresztą, skoro sami Islandczycy, bogaci w tysiącletnie doświadczenie, potrafią z największym trudem zarabiać na życie w swej ojczyźnie, to kto przy zdrowych zmysłach chciałby wyciągać po nich rękę?

Mieszkańcy Islandii to ludzie o pokojowym usposobieniu, nigdy nie doświadczyli wojny w sposób bezprecedensowy. Nie dziwiło mnie więc, że afery, w którą się wplątałem, była w oczach Elin wstrętne i brudne. A i ja sam nie byłem bez skazy.

III

Droga była fatalna. Zła już od miejsca ostatniego postoju nad rzeką, pogarszała się z każdą chwilą, odkąd opuściliśmy jej brzeg i zaczęliśmy wspinać się szlakiem u podnóża masywu lodowego Vatnajökullu. Wrzuciłem pierwszy

6 Na olep

o 1

bieg i uruchomiłem napęd na cztery koła. Szlak wił się między urwiskami i zwracał tak często, że chwilami miałem niesamowite wrażenie, jakbym wjeżdżał na

tył własnego samochodu. Ponieważ na drodze mógł się zmieścić tylko jeden pojazd, wysuwając się ostrożnie zza kolejnego zakrętu modliłem się w duchu, by inny nie nadjeżdżał z przeciwnika. W pewnej chwili zaczęły się obsuwać kamienne odłamki i poczułem, że samochód zlizguje się, kręcąc tylnymi kołami w stronę krawędzi stromej ciany. Zwiększyłem obroty silnika i nie traciłem nadziei; przednie koła chwyciły grunt i pociągły nas w bezpieczne miejsce.

Kiedy zatrzymałem się na względnie równym odcinku drogi i zdjąłem dłonie z kierownicy, zobaczyłem, że są całe mokre od potu. Wytarłem je do sucha.

- Cholernie ryzykowne - wyrzuciłem z siebie.

- Może ja trochę poprowadzę? - zaproponowała Elin. Potrząsnąłem przecząco głową.

- Nie z twoich rąk. Zresztą nie chodzi tylko o siedzenie za kierownicą, ale o to nieustanne napięcie i strach, że za kolejnym zakrętem możemy natknąć się na inny samochód. - Spojrzałem w dół skalnego urwiska. - Wtedy jeden z nas musiałby się cofnąć, a to jest tutaj całkowicie niewykonalne.

Tak przedstawiała się najbardziej optymistyczna wizja; o tej najgorszej wolałem nie myśleć. Nic dziwnego, że szlak oznaczono jako jednokierunkowy.

- Mogłabym pójść przodem - zaproponowała Elin. - Sprawdzałabym każdy zakręt i byłam twoim pilotem.

- To by nam zajęło cały dzień - zaproponowałem. - A mamy przed sobą kawał drogi. Skierowała kciuk w dół.

- To chyba lepsze, niż znaleźć się tam. Zresztą i tak nie posuwamy się szybciej, niż gdybyśmy pokonywali trasę pieszo. Na prostych odcinkach stawałabym na przednim zderzaku, a przed zakrętem szła zbadać trasę.

Pomysł zbyt mi się nie spodobał, chociaż musiałem przyznać, że miał swoje dobre strony.

- Ucierpi na tym twoje ramię - przestrzegłem.

- Przecież mogę korzystać ze zdrowego - odparła zniecierpliwiona i otworzyła drzwi, by wysiść.

Obowiązywało kiedyś w Anglii prawo, w myśl którego każdy pojazd napędzany mechanicznie, a znajdujący się na drodze publicznej, musiał być poprzedzany przez pieszego dzierżącego czerwoną flagę, co ostrzegać miało nieostrożnych obywateli przed pędzącą wprost na nich piekielną maszyną. Nie spodziewałem się, że znajdę się kiedyś w podobnej sytuacji, ale taka jest miara postępu.

Elin zajmowała miejsce na zderzaku i zeskakiwała, gdy zwalniałem przed każdym następnym zakrętem. Zmniejszanie prędkości nie było żadną sztuką

82

nawet wtedy, gdy zjeżdżało się ze wzniesienia, wystarczyło zdjąć nogę z gazu.

Wrzuciłem pierwszy bieg, co w Land-Roverze jest czymś niezwykłym. Przełożenie przekładni głównej na czterdzięci do jednego pozwala na osiągnięcie dużej mocy silnika. Zmuszony do maksymalnej szybkości na tak niskim biegu, nasz staruszek osiągał oszołamiającą szybkość aż piętnastu kilometrów na godzinę przy mocy dziewięćdziesięciu pięciu koni mechanicznych; duża moc była nieodzowna przy islandzkiej hutawce terenowej, zżerała to jednak mnóstwo paliwa.

Pokonywałem z największą ostrożnością każdy zakręt pilotowany przez Elin, która ponownie wskakiwała na zderzak i razem już dojeżdżaliśmy do kolejnego łuku.

Zdawać by się mogło, że w taki sposób będziemy poruszać się bardzo wolno, jednak, rzecz ciekawa, wyglądało na to, że osiągamy lepszy czas niż przedtem. I

tak, posuwając się kawałek po kawałku, przejechałmy spory odcinek trasy, gdy nagle uwagę moją zwróciło dziwne zachowanie Elin: stanęła jak wryta i wskazywała co uniesioną ręką. Moje spojrzenie kierowała jednak nie na szlak przed sobą, ale gdzie na prawy skraj nieba. Ruszyła spieszenie w stronę land-rovera, podczas gdy ja wykręcałem szyję, chcąc dojrzeć to, co zobaczyła.

Nad Trólladyngiś unosił się podobny do zawieszzonego w powietrzu pasikonika helikopter. Jego migło wyglądało w słońcu jak wirująca tarcza. Promienie odbijały się od szklanej kopuły, którą projektodawcy wymyślili z siebie tylko znanych powodów. Latałem na tych maszynach wiele razy i poznałem na własnej skórze, że w słoneczny dzień człowiek czuje się po tym jak dojrzewający pomidor w szklarni.

Nie to jednak zaprzętało moją uwagę w tej chwili: zauważyłem, że Elin wyłoniła się po zewnętrznej stronie samochodu, odsłaniając się w ten sposób zupełnie.

- Przejdź na drugą stronę - krzyknąłem - i schowaj się!

Dałem nura z samochodu, wskakując po stronie przylegającej do ciany urwiska.

Elin dołączyła do mnie.

- Mogą być kłopoty?

- Możliwe.

Przytrzymałem drzwi i chwyciłem karabin.

- Do tej pory nie pojawiły się żadne samochody, za to już druga jednostka latająca wyranie się nami interesuje. To dosyć dziwne.

Wyjrzałem zza tyłu land-rovera, trzymając broń w ukryciu. Helikopter w dalszym ciągu zmierzał w naszym kierunku, tracąc jednocześnie wysokość. Gdy był już całkiem blisko, zadarł nos i balansując w powietrzu, zawisł bez ruchu w

odległości około stu metrów. Następnie zaczął zjeżdżać w dół jak winda, aż znalazł się na równym poziomie z nami.

Oblał mnie zimny pot. Chwyciłem karabin. Siedząc tak na występie skalnym, bylimy wystawieni jak kaczki na strzelnicy, a nasz jedyns osłons

83

przed kulami był land-rover. To solidnie zbudowany pojazd, ale w obecnej chwili żałowałem, że nie jest to samochód opancerzony. Helikopter przechylał się na wszystkie strony, oglądając nas z zainteresowaniem, nie pokazał się jednak żaden człowiek. Widziałem jedynie promienie słoneczne odbijające się od szklanej kabiny pilota.

Kadłub maszyny zaczął się z wolna obracać, aż ustawił się równolegle do nas.

Odetchnąłem głęboko z ulgą: wzdłuż kadłuba widniało wymalowane dużymi literami jedno słowo: NAVY. Uspokojony odłożyłem karabin i wyszedłem z kryjówki. Jeżeli było jakie miejsce, gdzie Kennikin nie mógłby się znaleźć, to był to pokład helikoptera Sikorsky LH-34, należącego do amerykańskiej marynarki wojennej.

Dałem znak Elin.

- W porządku, możesz wyjść.

Dołączyła do mnie i oboje przyglądaliśmy się z zainteresowaniem, co się będzie działo dalej. Odsunęły się boczne drzwi i ukazał się w nich członek załogi w białym kasku na głowie. Wychylił się, przytrzymując się jedną ręką, drugą zatoczył koło w powietrzu, przykładając następnie pięć do ucha. Powtórzył ten gest dwa lub trzy razy, zanim wreszcie pojąłem, o co mu chodzi.

- Pokazuje, żebyśmy użyli telefonu - wyjaśniła Elin. - Szkoda, że to niemożliwe.

Wszedłem na dach land-rovera i wymownym gestem wskazałem mu puste miejsce po antenie. Pojść od razu, co się stało, pomachał nam ręką i wycofał się do rodka. Zamknęły się za nim drzwi. W cięgu kilku sekund helikopter przechylił się do tyłu i zaczął nabierać wysokości, obracając przy tym kadłub w kierunku południowo-zachodnim, po czym zaczął się oddalać, aż w końcu zniknął z pola widzenia przy wtórze coraz cichszego huk.

Spojrzałem na Elin.

- O co mogło im chodzić?

- Wyglądało tak, jakby chcieli z tobą porozmawiać. Może wylądują gdzie dalej na szlaku i tam poczekają.

- No tak, lądowanie tutaj było całkowicie niemożliwe. Może masz rację. W każdym razie nie miałbym nic przeciwko temu, żeby polecieć sobie wygodnie do Keflaviku.

Spojrzałem w rozrzedzone powietrze, znacząco drogę znikającego helikoptera.

- Ale nikt mi nie mówił, że Amerykanie też biorą w tym udział. Elin spojrzała na mnie z boku.

- W czym?

- Nie wiem, do licha. Sam jestem ciekaw jak diabli. Odszukałem karabin.

- Jedziemy dalej.

84

I ruszyliśmy w dalszą drogę tym najgorszym ze szlaków. Droga wiała się, wznosząc się i opadając, choć głównie wiodła pod górę. Wreszcie, pokonując ostatnie wzniesienie, znaleliśmy się tuż przy krawędzi lodowca Vatna-jokuli, w bezprecedenskiej bliskoci pokrywy lodowej. W tym miejscu szlak skręcał pod kątem ostrym w stosunku do linii lodowca i dalej już droga prowadziła prawie cały czas

w dół. Czekał nas jeszcze jeden szczególnie paskudny kawałek, kiedy to musieliśmy wspinać się po daleko wysuniętej grani Trólladyngji, ale potem szlak był już znacznie znośniejszy i korzystając z tego, Elin mogła znów zająć miejsce w samochodzie.

Obejrzałem się i rzuciłem ostatnie spojrzenie na trasę, jakś mielibyśmy już za sobą. Dobrze, że dzień był pogodny i słoneczny, bo przy deszczowej lub mglistej pogodzie nie moglibyśmy pokonać tego karkołomnego szlaku. Upewniłem się na mapie, że niebezpieczny odcinek drogi jednokierunkowej mamy już za sobą i odetchnąłem z ulgą.

Elin wyglądała na zmęczoną. Na jej twarzy odbiły się trudy długiego marszu po nierównym terenie, który w dodatku przerywany był to wskakiwaniem na zderzak samochodu, to zeskakiwaniem z niego. Spojrzałem na zegarek. Trzeba było pomyśleć o odpoczynku.

- Dobrze nam zrobi, jak co zjemy. Z przyjemnością napijemy się też gorzej kawy. Zrobimy tu mały postój.

W tym momencie popełniłem błąd, o czym przyszło mi się przekonać dwie i pół godziny później. Odpoczynek połączony z posiłkiem zajął nam godzinę, po czym wyruszyliśmy w dalszą drogę. Po półtorej godzinie jazdy dotarliśmy nad brzeg wezbranej rzeki. Zatrzymałem się przy skraju lustra wody, w miejscu, gdzie szlak ginął w rzece, i wysiadłem, by przyjrzeć się przeszkodzie.

Zbadałem orientacyjnie głębokość rzeki, zwracając uwagę na suche kamienie zalegające jej brzegi.

- Do licha, wciśz wzbiera. Gdybyśmy się wtedy nie zatrzymali, godzinę temu moglibyśmy być już po drugiej stronie. Teraz nie jestem taki pewny, czy się nam

to uda.

Vatnajökull słusznie został nazwany Wodnym Lodowcem. Zdominował system rzeczny we wschodniej i południowej Islandii, stanowiąc wielki zbiornik zamrożonej wody, która powoli topniejąc, pokrywa kraj siecią rzek. Niedawno cieszyłem się z towarzyszącej nam słonecznej pogody, teraz jednak daleki byłem od radości, wiedziałem bowiem, że słoneczne dni oznaczają wezbrane rzeki. Najlepiej pora na przebycie lodowca jest wiat, kiedy poziom wód jest niski. W ciągu dnia, zwłaszcza gdy jest jasno i słonecznie, ilość topniejących wód stale wzrasta, osiągnąca późnym popołudniem maksymalny poziom. Rzeka zagrażająca nam drogę nie osiągnęła jeszcze swego pułapu, była jednak już na tyle głęboka, by uniemożliwić jej przekroczenie.

85

Elin spoglądała w mapę.

- Dokąd planujesz dojechać? Oczywiście, mam na myśli dzień dzisiejszy.

- Chciałabym dotrzeć do głównej trasy na Sprengisandur. To raczej stały szlak i gdy się już na nim znajdziemy, powinniśmy bez większych problemów dojechać do Geysir.

Elin zmierzyła odległość.

- To sześćdziesiąt kilometrów - stwierdziła i zamilkła. Spostrzegłem, że porusza ustami.

- O co chodzi? Podniosła głowę.

- Liczyłam. Zanim dotrzemy do szlaku na Sprengisandur, na odcinku sześćdziesięciu kilometrów będziemy mieli do pokonania szesnacie rzek.

- O Boże! - wykrzyknęłam.

W czasie moich dotychczasowych wędrówek po Islandii nie musiałem się szczególnie spieszyć, by dotrzeć do obranego celu. Nie liczyłem nigdy rzek na mej drodze - jeli trafiałem na nurt nie do pokonania w bród, po prostu rozbijałem obóz i czekałem cierpliwie, aż poziom wód opadnie. Ale sytuacja się zmieniła.

- Będziemy musieli rozbić tu obóz - stwierdziła Elin. Spoglądając na rzekę, zdałem sobie sprawę, że muszę szybko podjąć decyzję.

- Chyba jednak spróbujemy się przepawić - zdecydowałem. Przyjrzała mi się zaskoczona.

- Ale dlaczego? Przecież i tak z przebyciem pozostałych rzek będziesz musiał poczekać do jutra.

Wrzuciłem kamyk do rzeki. Nie dostrzegłem zmarszczek na powierzchni; jeli się nawet przez moment pojawiły, zatarł je rwący szybko prąd.

- Po strzykaniu w palcach czuję, że co złego się szykuje" - zacytowałem.

Obróciłem się, wskazując na przebyty szlak. -1 myślę, że kłopoty przyjdą stamtąd. Jeli mamy się zatrzymać, to lepiej gdzie po drugiej stronie rzeki.

Elin spojrzała z powściągnięciem na wzburzony nurt rwący rodkiem.

- To niebezpieczne.

- Jednak możliwe, że zostając tutaj, narażamy się na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Nie mogłem wyzbyć się niepokoju, który oczywiście mógł być spowodowany instynktownym lękiem przed utknięciem w miejscu, z którego nie będzie możliwości ucieczki. Dokładnie to samo było powodem opuszczenia Askji i ten sam podświadomy lęk skłaniał mnie teraz do podjęcia próby przekroczenia rzeki. A może po prostu

zaostrzył się mój zmysł taktyczny, stępiały po długim okresie upienia.

- Za kwadrans będzie gorzej - rzekłem. - Ruszamy.

86

Chciałem się jeszcze upewnić, czy miejsce, gdzie szlak wchodzi w rzekę, jest rzeczywiście najdogodniejsze do przeprawy. Z uwagi na duże głębokości i stromo wznoszący się brzeg przekroczenie rzeki gdzie indziej okazało się niemożliwe. Skoncentrowałem zatem uwagę na brodzie, mając nadzieję, że grunt okaże się wystarczająco solidny.

Wrzuciłem pierwszy bieg i powoli wjechałem do wody. Szybki nurt zawirował wokół kół samochodu i zaczął uderzać falami w bok kabiny. Porodku rzeki było znacznie głębiej i bałem się, że woda zacznie się wdzierać przez szpary pod drzwiami land-rovera. Co gorsza, siła wody była tak potężna, że ku mojemu przerażeniu pojazd poszedł w górę i zaczął przesuwac się bokiem, co groziło porwaniem go przez nurt rzeki.

Wcisnąłem gaz do dechy, kierując się w stronę płycizny po drugiej stronie.

Przednie koła wbiły się w dno rzeki, jednak cały tył land-rovera unosił się na wodzie, tak że do przeciwległego brzegu dotarlimy, posuwając się bokiem.

Niechętnie wgramolilimy się na porożony mchem pagórek lawowy, ociekając wodą jak kudłaty pies, który dopiero co wylazł z kąpieli.

Teraz skierowałem się ponownie w stronę szlaku. Telepalimy się po wyboistej powierzchni pokrywy lawowej, aż wreszcie znalelimy się na względnie równym gruncie. Wyłączyłem silnik i spojrzałem na Elin.

- Nie wydaje mi się, że zdołamy dzisiaj przekroczyć jeszcze choćby jedną rzekę. Ta już dała się nam mocno we znaki. Szczęście w nieszczęściu, że nasz

land-rover ma napęd na cztery koła.

- To było niczym nie uzasadnione ryzyko - stwierdziła Elin bardzo blada. - Mógł nas porwać prąd.

- Ale nie porwał - odparłem, uruchamiając silnik samochodu. - Jak daleko do następnej rzeki? Tam zrobimy postój, a o wicie zaczniemy się przeprawiać.

Zajrzała w mapę.

- Około dwóch kilometrów.

Pojechalimy więc dalej, docierając wkrótce do rzeki numer dwa, która również wezbrała wodami topniejszego w słońcu Vatnajokuli. Skręciłem w stronę płstanińskich skał, gdzie, kierując się jak przedtem zdrowymi zasadami taktyki, przezornie zaparkowałem. W ten sposób pozostawałem osłonięty zarówno od strony rzeki, jak i szlaku.

Zesłociłem się. Było dość wcześnie i gdyby nie te przeklęte rzeki, moglibyśmy jeszcze kilka godzin dnia wykorzystać na kontynuowanie jazdy. Teraz nie pozostawało jednak nic innego, jak czekać do następnego dnia, aż wody opadną.

- Wyglądasz na zmęczoną - zwróciłem się do Elin. - Miała ciężki dzień.

Wysiadając z kabiny, potrzęsnęła ze zniechęceniem głowę. Widać było, że stara się jak najmniej używać prawej ręki.

87

- Jak twoje ramię? Skrzywiła się...

- Całe sztywne.

- Muszę na nie spojrzeć.

Podniosłem składany dach land-rovera i nastawiłem wodę. Elin usiadła na łóżku, próbując zdjąć sweter, co sprawiało jej spory trudność, nie mogła bowiem unieść

prawej ręki. Pomogłem jej i chociaż starałem się być jak najdelikatniejszy, zasyczała z bólu. Dobrze zrobiła, nie zakładajśc biustonosza, bo ramiśczo wciskałoby się dokładnie w ranę.

Zdjšłem opatrunek i przyjrzałem się ramieniu. Rana była bolesna i zaogniona, nie widać było jednak ladów wskazujšcych na zakażenie.

- Mówiłem ci, że z czasem rana da o sobie znać. Takie dranięcie może boleć jak diabli. Nie musisz przede mnš ukrywać, sam dobrze wiem, jak to jest.

Skrzyżowała ręce na piersiach.

- Przytrafiło ci się co takiego?

- Kula drasnęła mnie po żebrach - odparłem, napełniajśc kubek ciepłš wodš.

- Aha, i stšd ta blizna.

- U ciebie jest gorzej, bo rana biegnie przez mięsień czworoboczny, który cały czas nacišgasz. Powinna nosić rękę na temblaku. Poszukam, może uda mi się co znaleźć.

Przemyłem ranę, założyłem nowy opatrunek naszczony medykamentami i pomogłem jej ubrać się w sweter.

- Gdzie masz szalik? - spytałem. - Ten nowy, wełniany?

- W szufladzie - pokazała.

- No, to mamy temblak.

Wyjšłem szalik i dopasowałem go do ramienia, unieruchamiajśc maksymalnie bark.

- Teraz posied sobie tutaj i popatrz, jak szykuję kolację.

Uznałem, że nadeszła pora, by otworzyć pudełko smakołyków, niewielki zestaw luksusów, jakie trzymaliśmy na specjalne okazje. Oboje bylimy w kiepskim nastroju, a nic tak nie podnosi na duchu jak zjedzenie pierwszorzędnego posiłku.

Nie wiem, czy panowie Fortnum i Mason wiadomi są przyjemności, jakś przynoszą bawiącym z wizytą w odległych krajach, ale ja po zupie z ostryg, przepiórkach pieczonych w całości i marynowanych gruszkach w koniaku czułem się nieomal zmuszony do wysłania im listu z podziękowaniami.

W trakcie jedzenia na policzki Elin wróciły rumieńce. Nalegałem, by nie posługiwała się prawą ręką, lecz na szczęście nie było to wcale potrzebne - ciemne, kruche mięso oddzielało się z łatwością przy dotknięciu widelcem i Elin dawała sobie doskonale radę. Zrobiłem kawę, dodając do niej trochę brandy, którą wozilem dla celów leczniczych.

- Zupełnie jak za dawnych czasów, Alan! - westchnęła, popijając kawę.

- Tak - przyznałem rozleniwiony. - Ale teraz lepiej kład się spać. Wyruszamy wczesnym rankiem.

Według moich szacunków o trzeciej powinno już być wystarczająco widno, a stan wód o tej porze osiągnie najniższy poziom. Nachyliłem się, sięgając po lornetkę.

- Dokąd idziesz? - spytała.

- Rozejrzę się trochę. A ty id spać. Zamrugła sennie oczami.

- Jestem naprawdę zmęczona - przyznała.

I nic dziwnego. W drodze bylimy od dawna, a trzęsawka po wertepach Óbyggdir nie należała do przyjemności; zaliczyliśmy chyba wszystkie przeklęte wyboje, których na szlaku nie brakowało.

- Połóż się - powtórzyłem. - Zaraz wracam.

Zawiesiłem lornetkę na szyi, otworzyłem tylne drzwi i zeskoczyłem na ziemię.

Miałem już się oddalić, lecz wiedziony instynktem odwróciłem się do samochodu i sięgnąłem do kabiny po karabin. Elin chyba tego nie zauważyła.

Najpierw przyjrzałem się rzece, przez którą mieliśmy się przeprowiać. Wciśnięta płynęła wartkim nurtem, chociaż sędziś po mokrych kamieniach wystających nad powierzchnię, poziom wód zaczynał już opadać. O wicie przejście nie powinno nastęczać trudności. Musielimy także zdźżyć przeprowić się przez pozostałe rzeki, zanim znów przeszkodzi nam w tym wzbieraj śce wody.

Zarzućem karabin na ramię i skierowałem się z powrotem w stronę oddalonej o prawie dwa kilometry rzeki, którą niedawno z takim trudem przekroczyliśmy.

Poruszałem się z maksymalną ostrożnością, chociaż wokół panował całkowity spokój. Rzeka toczyła swe wody, szemrząc pogodnie, i nie dostrzegłem w pobliżu żadnych powodów do niepokoju. Przez lornetkę zbadałem dalej położone okolice, po czym usiadłem, opierając się plecami o omszały głaz. Zapaliłem papierosa i zacząłem rozmyślać.

Martwiło mnie ramię Elin, co nie znaczy, że jego stan był szczególnie niepokojący. Lekarz jednak zająłby się nim znacznie lepiej niż ja. Poza tym trzęsawka po wyboistym pustkowiu na pewno nie wpływała na jego poprawę. Niełatwo będzie chyba wyjanić lekarzowi, w jaki sposób przytrafiła się dziewczynie ta niewstępliwie postrzałowa rana, ale cóż, wypadki chodzą po ludziach. Jako powinienem z tego wybrnąć, wymyślając wiarygodną historyjkę.

Posiedziałem tak kilka godzin, paląc, rozmyślając i przyglądając się falom rzeki, nie wymyśliłem jednak niczego, tyle tylko że zaczęło mi huczeć

89

w głowie. Pojawienie się amerykańskiego helikoptera stało się zupełnie nowym elementem składanki, którego w żaden sposób nie mogłem nigdzie dopasować.

Spojrzałem na zegarek: było już po dziewiętej. Zagrzebałem niedopałki

papierosów, sięgnęłam po karabin i zacząłam się zbierać do powrotu.

Podnosząc się z ziemi, dostrzegłam co, co w jednej sekundzie mnie zmroziło: w oddali, po drugiej stronie rzeki pojawił się słup pyłu. Odłożyłam karabin, chwyciłam lornetkę i ujrzałam punkcik poruszającego się pojazdu, za którym unosił się pióropusz kurzu jak smuga za lecącym odrzutowcem. Rozejrzałam się wokoło. W pobliżu nie było żadnej naturalnej osłony, dopiero w odległości około dwustu metrów od rzeki wznosił się grzebień zastygłej lawy, wyniesiony w górę mocą jakiej dawno już ucichłej erupcji. Pobiegłam, by się tam ukryć.

Pojazd okazał się dżipem willysem, który na swój sposób jest równie odpowiedni na tutejsze warunki jak mój land-rover. Podjeżdżając do rzeki, zwolnił, zbliżył się ostrożnie i zatrzymał tuż przy brzegu. Ciszey nocy nie mściły żadne dźwięki, tak że mogłam wyraźnie słyszeć szcęknięcie klamki otwieranych drzwi.

Z samochodu wysiadł mężczyzna i podszedł, by przyjrzeć się wodzie. Po chwili odwrócił się i powiedział co do kierowcy Nie słyszałam słów, wiedziałem jednak, że nie mówił po islandzku ani po angielsku.

Mówił po rosyjsku.

Kierowca również wysiadł, spojrział na rzekę i potrząsnął głową. Niebawem na brzegu zjawilo się dwóch następnych i cała czwórka wydawała się prowadzi z sobą jakiś spór. Nadjechał jeszcze jeden dżip, a jego załoga również przyłączyła się do ożywionej dyskusji. Było ich teraz omiu, dwa pełne dżipy. Jeden z nich, ten, który stanowczo gestykulował i wyglądał na ich przywódcę, wydał mi się znajomy.

Podniosłam do oczu lornetkę i ujrzałam wyraźnie jego twarz w przygasającym świetle dnia. Elin się myliła. Decyzja o przekroczeniu wezbranej rzeki nie była

nieuzasadnionym ryzykiem, czego dowód stanowiła twarz, którą właśnie miałem przed oczami. Znajoma blizna biegła od prawej brwi do kąca ust, szare jak dawniej oczy patrzyły twardo jak kamień. Jedyne krótko przystrzyżone włosy posiwiały i nie były już czarne jak niegdy, a pod nalaną twarzą zaczynał się formować drugi podbródek.

Kennikin i ja postarzelimy się o cztery lata, wyglądało jednak na to, że trzymam się lepiej niż on.

Rozdział 5

Wyciągnąłem rękę po karabin, lecz zatrzymałem się. Widoczność pogarszała się z każdą chwilą, pukawka Grahama była dla mnie obcą bronią, a jej krótka lufa uniemożliwiała skuteczne ugodzenie i powalenie człowieka przy strzale z daleka. Odległość wynosiła blisko trzysta metrów, zatem trafienie kogokolwiek wynikłoby raczej z przypadku niż zamierzonego działania.

Gdybym dysponował własnym karabinem, mógłbym ustrzelić Kennikina równie łatwo jak jelenia. Wpakowałem kiedyś w jednego miękkiego pocisk i zwierzę biegło jeszcze prawie kilometr, zanim padło martwe, a rana wyjciowa po pocisku była tak duża, że można by wsadzić tam całą pięć. Człowiek nie zdołałby tego dokonać, ma zbyt delikatny system nerwowy i nie zniesie takiego szoku.

Nie trzymałem jednak w ręku własnej broni, a strzelanie na chybił trafił nie dawało szans powodzenia. W ten sposób tylko ostrzegłbym Kennikina, że jestem blisko, a lepiej, żeby o tym nie wiedział. Zdjąłem więc palce z karabinu i skoncentrowałem uwagę na tym, co się mogło wydarzyć.

Pojawienie się Kennikina ucięło dyskusję. Wcale mnie to nie zdziwiło, bo pracując z nim kiedyś, dość dobrze go poznałem. Nie zwykł tracić czasu na czczą

gadanię. Wysłuchiwał tego, co miało się do powiedzenia (i niech cię Bóg ma w swojej opiece, jeli co było nie tak), a potem podejmował decyzje i w tej chwili właśnie podejmował jednś z nich.

Umiechnśłem się, widząc, jak jeden z mężczyzn pokazuje mu lady land-rovera ginśce w nurcie rzeki, a następnie wskazuje drugi brzeg. W miejscu, gdzie wydostaliśmy się z wody, nie było żadnych ladów, ponieważ wyrzuciło nas nieco bokiem; ich brak musiał stanowić zagadkę dla każdego, kto nie był przy tym obecny.

Rozmówca Kemlikina wskazał wymownie w dół rzeki, Kennikin jednak potrząsnś głowś, nie kupując jego sugestii. Zamiast tego powiedział co, strzelając

91

przy tym niecierpliwie palcami, po czym kolejny z jego ludzi skoczył jak oparzony i zaraz wrócił z mapś. Kennikin przestudiował jś dokładnie i wskazał kierunek w prawo. Na ten znak czterech z przybyłych wskoczyło do dżipa, który szybko zawrócił i odjechał z powrotem szlakiem. Po chwili samochód zjechał z drogi i ruszył na przełaj, trzęsąc się i podskakując na wybojach.

Ten manewr z pocztku wzbudził moje zdziwienie, przypomniałem sobie jednak, że w tym właśnie kierunku, niedaleko stśd, znajduje się niewielka grupa jezior nosząca nazwę Gaesavotn. Jeli Kennikin spodziewał się, że obozuję nad Gaesavotn, to dozna zawodu, decyzja ta wiadczyła jednak o jego dokładności i starannoci.

Tymczasem załoga drugiego dżipa zajęła się rozbijaniem obozu tuż w pobliżu szlaku, nie wykazując przy tym zbytnej fachowoci. Jeden z załogi podszedł z termosem do Kennikina i podsunśł mu ze służalczociś kubek napełniony gorścś,

parując kawę. Kennikin wziął naczynie i popijając małymi łykami, stał ciśnie przy krawędzi wody, badając wzrokiem teren po drugiej stronie wezbranej rzeki. Opuciem lornetkę i wycofałem się powoli i ostrożnie, starając się nie spowodować najmniejszego hałasu. Zszedłem z grzebienia lawy, przewiesiłem karabin przez ramię i ruszyłem spieszenie z powrotem do land-rovera. Upewniłem się jeszcze, że samochód nie zostawił ładów opon w miejscu, gdzie zjechalimy ze szlaku. Przypuszczałem, że Kennikin raczej nie każe żadnemu ze swoich ludzi przepłynąć rzeki wpław, tym bowiem sposobem mógłby ich liczbę znacznie uszczuplić, na wszelki jednak wypadek wolałem upewnić się, że nikt nie zdoła łatwo wpać na nasz ład.

Elin była pogrążona we śnie. Leżała na lewym boku, zakopana głęboko w piworze. Na szczęście spała zawsze spokojnie, bez sapania i chrapania. Nie było powodu, by wyrywać ją ze snu. Nigdzie się nie wybieraliśmy, podobnie jak i Kennikin. Zapaliłem kieszonkową latarkę i osłaniając ją ręką, by nie obudzić Elin, zacząłem szperać w szufladzie. Odszukałem przybornik krawiecki, z którego wyjąłem szpulkę czarnych nici.

Wróciłem na szlak i przecięsnłem wzdłuż drogi kawałek nitki na wysokości mniej więcej trzydziestu centymetrów nad ziemią, umocowując oba końce grudkami lawy. Gdyby Kennikin pojawił się w nocy, wiedziałbym o tym, choćby poruszał się najostrożniej. Nie umiechało mi się przeprowiać się rano przez rzekę tylko po to, by po drugiej stronie wpać w jego ręce.

Potem zszedłem nad rzekę. Poziom wody stale opadał i przy lepszej widoczności można by od biedy pokusić się o przekroczenie rzeki już teraz. Wolałem jednak nie ryzykować przeprowy bez użycia wiateł, a z kolei ich blask odbijały się

wyranie na tle nieba. Banda Kennikina znajdowała się niedaleko.

Padłem na łóżko bez rozbierania się. Nie spodziewałem się, że w tych okolicznościach uda mi się zasnąć, nastawiłem jednak sygnał budzenia na

92

moim ręcznym zegarku na drugś i to była ostatnia rzecz, jakś pamiętałem, do czasu gdy obudził mnie, brzęcząc jak wciekły komar.

II

Piętnacie minut po drugiej bylimy gotowi do drogi. Gdy tylko rozdzwonił się budzik, obudziłem Elin pomimo jej sennych protestów. Gdy dowiedziała się, jak blisko jest Kennikin, wstała bez ociśgania.

Czarna nitka była nie naruszona, nie przejechał tędy żaden samochód. Jazda po ciemku przez pokłady lawy była zupełnie niemożliwa, zatem każdy poruszający się nocś dżip musiałby trzymać się szlaku. Oczywiście, który z ludzi Ken-nikina mógłby dotrzeć tu pieszo, wykluczyłem jednak tę ewentualność.

Woda w rzece była spokojna i niska, co zapowiadało łatwś przeprawę. Wracając, spojrzałem na wschodni skraj nieba: krótka noc polarna dobiegała już prawie końca. Byłem zdecydowany przeprawić się natychmiast, by oderwać się jak najdalej od pocigu.

Elin wyszła z innś propozycjś.

- A może zostaniemy tutaj i pozwolimy mu przejechać? Zwyczajnie przepucimy go.

Musiałby zrobić szmat drogi, zanim zorientowałby się, że goni za niczym.

- Nie - odparłem. - Wiemy, że przyjechali dwoma dżipami, ale nie wiemy, czy nie ma ich więcej. Puszczając ich przodem, moglibyśmy zostać cinićci jak mięso w kanapce, a to nie należałoby do przyjemności. Przeprawiamy się teraz.

Uruchomienie silnika bez hałasu to duża sztuka. Chcąc wyłumić charakterystyczne szcęknięcie, poupychałem wokół rozrusznika koce. Zdjąłem je dopiero wtedy, kiedy silnik zaskoczył i zaczął miarowo pracować. Zmierzając w stronę rzeki, bardzo delikatnie wciskałem pedał gazu. Przeprawa poszła nam gładko, chociaż niezupełnie tak cicho, jak bym sobie tego życzył. Po chwili jechaliśmy już w stronę kolejnej rzeki.

Kazałem Elin uważnie obserwować drogę za nami, a sam starałem się jechać, jak było można, najszybciej, przy równoczesnym zachowaniu maksymalnej ciszy. Na przestrzeni następnych czterech kilometrów przekroczyliśmy jeszcze dwie wodne przeszkody. Potem wjechaliśmy na odcinek szlaku biegnący przez jakiś czas na północ i wtedy przyspieszyłem. Byliśmy już na tyle daleko od Kennikina, że szybkość nabierała większego znaczenia niż zachowanie ciszy. Jak powiedziała Elin, na trasie mierzszej sześćdziesiąt kilometrów czekało nas szesnacie rzek. Nie licząc czasu traconego na przeprawach, poruszaliśmy się, nie czując prawie koci, ze średnią prędkością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę, co w tych okolicach było i tak za dużą szybkość, by można myśleć o wygodzie podróży.

Obliczyłem, że

93

w takim tempie dotrzemy do głównej drogi na Sprengisandur mniej więcej za cztery godziny. W rzeczywistości zabrało to nam sześć godzin, ponieważ niektóre rzeki okazały się wyjątkowo paskudne do przeprawy.

Docierając do szlaku na Sprengisandur, przecięliśmy wododział. Od tego miejsca wszystkie rzeki miały już płynąć na południe i zachód, zamiast na północ i wschód. Na szlak wjechaliśmy o pół do dziewiątej.

- Czas na niadanie - stwierdziłem. - Przejd do tyłu i co przygotuj.

- Nie zatrzymasz się?

- Na Boga, nie! Kennikin od kilku godzin jest już pewno w drodze. Nie wiemy tylko, jak daleko za nami, ale nie odczuwam palścej potrzeby sprawdzenia tego na własnej skórze. Chleb z serem i piwo wystarczś nam w zupełności.

I tak zjedlimy niadanie, nie przerywajśc podróży. Zatrzymaliśmy się tylko raz, o dziesiśtej, żeby przelać do zbiornika benzynę z ostatniego już pełnego kanistra. Byliśmy właśnie tym zajęci, gdy nagle na niebie ukazał się wczoraj szy helikopter, należścy do amerykańskiej marynarki woj ennej. Tym razem zjawił się z północy i nie obniżajśc wysokości wolno przeleciał nad nami, sprawiajśc przy tym wrażenie, że nie zwraca na nas szczególnej uwagi. Patrzyłem za nim, jak odlatuje na południe.

- Intryguje mnie to - odezwała się Elin.

- Mnie też.

- Ale nie tak samo jak mnie - dodała zachmurzona. - Amerykanie zwykle nie patrolujś terytorium kraju.

- Skoro już o tym wspomniała, muszę przyznać, że to rzeczywiście wyglśda dziwnie.

W Islandii daje się odczuć pewne napięcie zwiśzane ze stałś obecnościś wojsk amerykańskich stacjonujścych w Keflaviku. Wielu Islandczyków uważa, że została ona narzucona, i trudno mieć im to za złe. Władze amerykańskie sś w pełni wiadome istniejścego napięcia i próbujś temu przeciwdziałać, stśd też amerykańska marynarka wojenna stara się jak najmniej rzucać w oczy. Helikopter paradujścy ostentacyjnie po niebie Islandii jest więc z pewnością czym

niezwykłym.

Wzruszyłem ramionami i przestałem zaprzęcać sobie tym głowę, koncentrując się na wydobyciu z kanistra ostatniej kropli benzyny. Kiedy w chwilę potem ruszaliśmy dalej, nie dostrzegłem za nami najmniejszych oznak czyjej obecności. Rozpoczęliśmy ostatni etap podróży, zjeżdżając po prostym, chociaż wyboistym szlaku, biegnącym pomiędzy rzeką Thjórsa a grzbietem górskim Budarhals. Przed nami w odległości zaledwie siedemdziesięciu kilometrów leżały główne trasy, o ile takiego określenia można użyć wobec jakiegokolwiek drogi w Islandii. Jednak nawet najbliższa z dróg wydawać się może doskonała w porównaniu ze szlakami przecinającymi Óbyggdir, szczególnie kiedy grunt staje się błotnisty. Jest to jeden z problemów poja-

94

wiających się w czerwcu, gdy ziemia, skuta lodem w czasie zimy, roztapia się, tworząc galaretowatą masę, na której grzęzną samochody. Ponieważ jechaliśmy land-roverem, pokonalimy tę przeszkodę, zmuszeni byliśmy jednak znacznie zwolnić. Pocięciem stanowił fakt, że to samo czeka Kennikina w momencie wjazdu na błotnisty szlak.

O jedenastej przytrafiło się nam najgorsze: złapaliśmy gumę w przednim kole. Tak nas przy tym rzuciło, że musiałem mocno trzymać kierownicę.

- Nie mamy czasu do stracenia - powiedziałem, chwytając korbę do odkręcania kół.

Swoją drogą i tak mieliśmy szczęście, że złapaliśmy gumę w takim, a nie innym miejscu. Podłoże było tu niezbyt błotniste, w dodatku na tyle równe, że podnośnik się nie zelizgiwał. Podniosłem przód land-rovera i zabrałem się do

odkręcania koła. Elin z jej chorym ramieniem nie bardzo nadawała się do pomocy, poprosiłem ją więc:

- Przygotuj kawę, dobrze nam zrobi co goršcego.

Zdjšłem koło, odturlałem je na bok, a na jego miejsce założyłem zapasowe. Cała operacja zajęła niecałe dziesięć minut, niemniej była to dla nas poważna strata czasu. Gdybyśmy dotarli dalej na południe, mielibyśmy szansę zgubić się gdzie na tamtejszej, bardziej rozbudowanej sieci dróg, jednak szlaki pustkowia, na których wcišż się znajdowaliśmy, nie dawały nam możliwości wielkiego wyboru.

Po umocowaniu ostatniej nakrętki podszedłem do popsutego koła, by włożyć je na miejsce, a przedtem sprawdzić przyczynę pęknięcia. To, co zobaczyłem, zmroziło mi krew w żyłach. Zbadałem palcem poszarpany otwór w grubej oponie i przeniosłem wzrok na górujący nad szlakiem grzbiet Budarhals.

Tylko jedna rzecz mogła przedziurawić oponę w ten sposób: kula. Gdzie tam wysoko siedział ukryty w jakiej górskiej szczelinie strzelec wyborowy. Całkiem możliwe, że włanie w tym momencie miał mnie w swoim celowniku.

III

Jak, do diabła, Kennikin zdołał mnie wyprzedzić?" - to była moja pierwsza, gorzka refleksja. Jednak bezowocne mylenie nie mogło niczego zmienić, trzeba było działać.

Dwignšłem koło z przedziurawionš oponš i umieciłem je na masce, po czym zacząłem je starannie przyrubowywać. Kręćšc korbš, spoglšdałem ukradkiem w stronę skał, od których dzieliło nas co najmniej dwieście metrów otwartej przestrzeni; snajper mógł się znajdować w odległości nie mniejszej niż czterysta metrów od nas, a może i dalej. Ten, kto potrafił przestrzelić oponę

z takiego dystansu, musiał być wymienitym strzelcem. Tak dobrym, żeby móc posłać mi kulę, kiedy tylko miałby na to ochotę, czemu więc, do licha, tego nie zrobił? Byłem doskonale widoczny, stanowiłem wyrany cel, a mimo to w moją stronę nie posypały się żadne strzały. Umocowałem ostatniś nakrętkę i odwróciłem się plecami do grzbietu Budarhals. Poczulem kłujšcy ból między łopatkami: gdyby padł strzał, kula przeszłaby mnie włanie tam.

Zeskoczyłem na ziemię, odstawiłem korbę i podnonik, starajšc się przez cały czas zachowywać naturalnie. Dłonie miałem mokre od potu. Podeszedłem do tyłu land-rovera i zajrzałem przez otwarte drzwi.

- Co z kawš?

- Gotowa - odparła Elin.

Wszedłem do samochodu i usiadłem. Przebywanie w zamkniętym pomieszczeniu dawało złudne poczucie bezpieczeństwa, chociaż była to tylko iluzja. Juź po raz drugi żałowałem, że land-rover nie jest samochodem opancerzonym. Z siedzenia mogłem obserwować stoki grzbietu bez wzbudzania podejrzeń i wykorzystałem tę możliwość do końca.

Wokół czerwonoszarych skał nie dostrzegłem najmniejszego ruchu. Nikt się nie pokazał, nie pomachał rękš ani nie krzyknšł na powitanie. Jeli kto tam jeszcze był, to zachowywał się cicho jak mysz pod miotłš. Wiedział, co robi: jeli posyła się komu kulę, to lepiej schodzić mu z oczu, ponieważ może zrewanżować się tym samym.

Pytanie tylko, czy ten kto cišgle tam był. Logika wskazywała, że tak, bo kto o zdrowych zmysłach przestrzeliwuje oponę samochodu, a potem tak zwyczajnie znika.

Tkwił tam z pewnością, wyczekując i nie spuszczał mnie z oka, a skoro tak, czemu nie brał się za mnie? Nie mogłem dopatrzeć się w tym żadnego sensu, chyba że facet miał za zadanie jedynie mnie unieruchomić.

Wpatrywałem się nieobecny spojrzeniem w Elin, która dosypywała cukru do słoika.

Jeli moje rozumowanie nie zawierało błędu, to by znaczyło, że ludzie Kennikina zbliżają się do mnie z dwóch stron. Byłoby to względnie łatwe do przeprowadzenia, jeli tylko wiedział, gdzie jestem: łączność radiowa to wspaniały wynalazek.

Facet kryjący się w górach otrzymał rozkaz zatrzymania mnie do czasu pojawienia się Kennikina, co oznaczało, że ten chciał mnie mieć żywego.

Ciekawe, co by się stało, gdybym usiadł za kierownicę i próbował ruszyć.

Wszystko wskazywało na to, że kolejna kula rozerwałaby następną oponę, a trafienie nieruchomego celu jest znacznie prostsze. Nie trudziłem się, by poznać odpowiedź; miałem ograniczony zapas kół i właśnie go wykorzystałem.

Wierząc, że mój tok rozumowania nie ma słabych ogniw, poczyniłem kroki, aby wydostać się spod lufy karabinu. Wyjść spod materaca ukrytą tam pałkę Lindholma i schowałem ją w kieszeni.

96

- Chodmy - zacząłem ochryple, lecz musiałem przerwać, by odchrząknąć. -

Wypijemy kawę na powietrzu.

Elin spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Myślałam, że nam się spieszy.

- Posuwamy się dosyć szybko - odparłem. - Wyprzedziliśmy ich już chyba na tyle,

by móc pozwolić sobie na mały odpoczynek. We kubki, ja przyniosę dzbanek z kawą

i cukier...

Wiele bym dał, by móc zabrać ze sobą karabin, ale to byłoby zbyt oczywiste; człowiek niczego nie podejrzewający nie przystępuje do picia kawy w pełnym uzbrojeniu.

Wyskoczyłem tylnymi drzwiami i odebrałem od Elin dzbanek z kawą oraz słoik z cukrem. Postawiłem wszystko na tylnym zderzaku i pomogłem jej wysiść. Prawą rękę wciśniętą miała na temblaku, jednak w lewej mogła trzymać kubki i łyżeczki.

Podniosłem rękę z dzbankiem i wskazałem w stronę grzbietu górskiego.

- Przejdmy się do podnóża skał - zaproponowałem i ruszyłem w tym kierunku, nie dając jej czasu na dyskusję.

Telepalimy się po otwartej przestrzeni w stronę góry. Wyglądałem na chodzącego niewinno: w jednym ręku niosłem dzbanek z kawą, w drugim słoik z cukrem.

Miałem również sznurek zatknięty za skarpetkę na lewej nodze i pałkę w kieszeni, ale tego nie było widać. Gdy zbliżaliśmy się do grzbietu, nieoczekiwanie wyrosła przed nami niewielka ciana skalna. Pomyślałem, że nasz przyjaciel ukryty gdzieś w górze nieco się zdenerwuje. Lada moment straci nas z oczu i będzie musiał się trochę wychylić, żeby nas dojrzeć.

Odwrociłem się do Elin, jakbym chciał jej coś powiedzieć, po czym błyskawicznie odwróciłem się z powrotem, rzucając równocześnie szybkie spojrzenie w górę. Nie zobaczyłem nikogo, jednak trud nie poszedł na marne: dostrzegłem błysk, co jakby odbicie światła, które zaraz zamarło. Mógł to oczywiście być promień słońca odbity od szklistej powierzchni lawy, lecz przecież lawa pozostawiona samej sobie nie skacze na wszystkie strony, zwłaszcza gdy jest zupełnie wystygła.

Zapamiętałem to miejsce i nie spoglądajść już więcej w górę, poszedłem dalej.

Dotarliśmy do podstawy ciany skalnej, wysokiej na jakie szeć metrów. Rosły tam z rzadka małe brzozy, drzewka o zdeformowanych kształtach, nie wyższe niż trzydzięci centymetrów. W Islandii bonsai ronie w sposób naturalny i dziwi mnie, dlaczego jej mieszkańcy nie eksportujść miniaturowych drzewek do Japonii.

Znalazłem nie poronięty skrawek ziemi, na którym postawiłem dzbanek i słoik z cukrem. Potem usiadłem i podciśgnłem nogawkę spodni, żeby móc wydobyć nóż.

Elin podeszła.

7 Na olep

97

- Co robisz? - spytała.

- Słuchaj uważnie i nie wpadaj w panikę. Gdzie tam za nami w górze siedzi facet, który dopiero co przestrzelił nam oponę.

Elin patrzyła na mnie bez słowa wytrzeszczonymi oczami.

- W tym miejscu jesteśmy dla niego niewidoczni, ale nie sędzę, by ten fakt zbytńo go martwił. Ma za zadanie zatrzymać nas do czasu przybycia Kennikina i jak dotśd wywiśzuje się z tego znakomicie. Dopóki widzi land--rovera, wie, że nie odeszlimy daleko.

Wsunśłem nóż za pasek od spodni; szybkie wyciśgnięćie go zza skarpety możliwe jest jedynie, gdy ma się na sobie tradycyjńš szkockš spódnickę. Elin przyklęła obok mnie.

- Jeste pewny?

- Najzupęlniej. Tego rodzaju przebicie na bocznej ciance nowej opony nie powstaje w sposób naturalny.

Podniosłem się i spojrzałem na grzbiet górski.

- Muszę wykurzyć stamtąd tego drania. Domylam się, gdzie jest. Wskazałem szczelinę u końca skały, pęknięcie wysokie na sto dwadzieścia centymetrów.

- Schowaj się tam i poczekaj. Nie wychod, dopóki cię nie zawołam. I zanim zrobisz ruch, upewnij się najpierw, czy to ja.

- A jeli nie wrócisz? - spytała ponuro.

Była realistką. Widząc napięcie malujące się na jej twarzy, powiedziałem, ostrożnie ważąc słowa:

- W takim przypadku, jeżeli nie wydarzy się nic innego, sied tu do zapadnięcia zmroku, a potem zmykaj do land-rovera i uciekaj, gdzie pieprz ronie. Gdyby jednak pojawił się Kennikin, staraj się trzymać od niego z daleka, najlepiej w ogóle nie pokazuj mu się na oczy - Wzruszyłem ramionami. - Ale postaram się wrócić.

- Musisz w ogóle iść? Westchnąłem.

- Jesteśmy unieruchomieni, Elin. Nie możemy się stąd ruszyć, dopóki ten dowcipni trzyma nasz samochód na muszce. A co, według ciebie, powinienem robić?

Mam czekać na Kennikina i oddać się w jego ręce?

- Przecież nie masz broni. Poklepałem rękójec noża.

- Poradzę sobie. No, a teraz rób, co ci powiedziałem.

Odprowadziłem Elin do rozpadliny skalnej i pomogłem jej się tam wdrapać. Nie było jej zbyt wygodnie: szczelina miała zaledwie sto dwadzieścia centymetrów wysokości i czterdzieści pięć szerokości. Elin musiała więc siedzieć przykucnięta. Bywają jednak gorsze rzeczy od znoszenia niewygód.

Zaczęłam teraz obmyślać dalszy plan działania. Grzbiec góry poprzecinały jary wyłobione w miękkiej skale przez spływającą wodę, którymi mogłam się wspinać, nie będąc wcale widoczną. Chciałam dotrzeć nad miejsce, z którego pochodził ów nagły błysk. W czasie działań wojennych, a to była przecież wojna, ten, kto zajmuje wyżej położoną pozycję, ma przewagę nad przeciwnikiem.

Ruszyłam, kierując się w lewo i starając się przywierać jak najcielej do skał. Natrafiłam na jar ciągnący się jakie osiemnacie metrów w górę, ale miniałem go, kończył się bowiem, nie dochodząc do grzbietu. Następny przedstawiał się znacznie lepiej, ponieważ sięgał prawie do samego szczytu. Zanurzyłam się w nim i zaczęłam wspinaczkę.

Jeszcze w okresie szkolenia uczęszczałam do szkoły wysokogórskiej, której instruktor wpajał nam mądroszą zasadę: czy idziesz pod górę, czy w dół, nie podszkaj nigdy w ład za strumieniem czy potokiem". Rozumowanie było poprawne, jako że woda spływająca z gór wybiera drogę najkrótszą, co zwykle oznacza najbardziej stromą. Normalnie zatem człowiek trzyma się gołego stoku i omija wśwozy. Jednak w sytuacji anormalnej ma do wyboru dwie możliwości: wdrapywać się po diabelnie stromej, liskiej, wygładzonej przez wodę rozpadlinie albo skończyć z przestreloną głową.

U podstawy grzbietu ciany jaru miały około trzech metrów wysokości, nie zachodziło zatem niebezpieczeństwo, że mogę zostać zauważony. Jednak im dalej w górę, tym jar stawał się coraz płytszy. Przy końcu był już głęboki zaledwie na pół metra, tak że posuwałam się w górę, czołgając się na brzuchu. Kiedy w końcu dotarłam do miejsca, gdzie dalsza droga stała się niemożliwa, okazało się, że znajdowałam się już nad snajperem. Ostrożnie wysunęłam głowę zza bryły porowatej

lawy i oceniłem sytuację.

Daleko w dole tkwiła na szlaku samotna sylwetka land-rovera. Około sześćdziesięciu metrów w prawo i jakie trzydzieci metrów niżej leżała przypuszczalnie kryjówka strzelca wyborowego. Zastłaniały mi go głązy wystające z piaszczystej powierzchni grzbietu. To mi odpowiadało: skoro ja go nie widziałem, to i on nie mógł mnie wypatrzeć. Mogłem więc pod osłonę głązów bezpiecznie się do niego zbliżyć.

Jednak nie spieszyłem się zbytnio. Zdawałem sobie sprawę, że może jest ich więcej. Do licha, nie zdziwiłbym się, gdyby z tuzin facetów rozlokowało się na szczycie grzbietu. Stałem nieruchomo i wstrzymując oddech, obejrzałem dokładnie każdą skałę w zasięgu mego wzroku.

Nie zauważyłem najmniejszego ruchu, wyczołgałem się więc spod osłony jaru i ruszyłem w stronę głązów, posuwając się ciśgłie na brzuchu. Kiedy tam dotarłem, chwilę odpoczywałem, uważnie nasłuchując. Do moich uszu docierał jedynie odległy szum rzeki. Znowu podszedłem w górę, obchodząc skupisko głązów, i teraz wziłem do ręki pałkę.

99

Wchyliłem głowę zza skały i zobaczyłem ich. Byli ukryci w zagłębieniu na stoku, około piętnastu metrów poniżej mego stanowiska. Jeden leżał na ziemi z karabinem wysuniętym przed siebie, opierając lufę na złożonej marynarce. Drugi siedział nieco bardziej z tyłu i majstrował co przy walkie-talkie. W ustach trzymał nie zapalony papierosa.

Cofnąłem głowę i zacząłem się zastanawiać. Z jednym jako bym sobie poradził, ale dwóm naraz mógłbym nie dać rady, zwłaszcza że nie miałem broni palnej.

Rozejrzałem się ostrożnie dookoła i znalazłem miejsce, gdzie mogłem swobodnie ich obserwować, sam będąc praktycznie niewidoczny. Stanowiły je dwie prawie schodzące się skały, między którymi widniał przewit szeroki na dwa centymetry. Facet z karabinem leżał całkowicie nieruchomo, wykazując ogromną cierpliwość. Mogłem sobie bez trudu wyobrazić, że mam do czynienia z dowiadczonym myliwym, który spędził niejedną godzinę, wyczekując na stokach wzgórz, aż ofiara znajdzie się w zasięgu strzału. W porównaniu z nim drugi zachowywał się jak nerwus: wiercił się, drapał, trzepnął owada, który usiadł mu na nodze, i cały czas grzebał co przy swoim walkie-talkie.

Wstrzymałem oddech, widząc jakie poruszenie u podstawy grzbietu. Mężczyzna z karabinem również to zauważył. Dostrzegłem lekkie napięcie jego mięśni, gdy cały się naprężył. To była Elin. Wyłoniła się spod osłaniającej już urwistej ciany i pomaszerowała w stronę land-rovera.

Zakłóciłem sam do siebie i zacząłem się głowić, co ona tam, u diabła, wyprawia.

Facet z bronią przycisnął mocno kolbę do ramienia i wziął ją na cel. Wodził za nią karabinem cały czas, nie odrywając oka od celownika teleskopowego. Gdyby pociągnął za spust, nie zważając na nic, dobrałbym się draniowi do skóry.

Elin była już przy samochodzie i weszła do rodka. Nie minęła minuta, jak pojawiła się znowu i zaczęła z powrotem kroczyć w stronę ciany skalnej. W połowie drogi co krzyknęła i rzuciła jakiś przedmiot przed siebie. Znajdowałem się zbyt daleko, żeby móc to rozpoznać, miałem jednak wrażenie, że była to paczka papierosów. Żartowni z karabinem widział to znacznie dokładniej, miał bowiem do dyspozycji jeden z największych celowników teleskopowych, jakie widziałem.

Elin znikła pod osłoną skały, a ja odetchnąłem z ulgą. Odegrała tę rolę z pełną premedytacją, starając się upewnić napastników w przewidywaniu, że chociaż z góry niewidoczny, tkwię cały czas u podnóża grzbietu i udało jej się. Snajper wyrzucił się odprężył, odwrócił głowę i powiedział coś do kolegi. Mówił cicho i nie mogłem dosłyszeć słów, zauważyłem jednak, że nerwus zareagował głośnym miechem.

Sam miał jakieś kłopoty z walkie-talkie. Wyciśnął antenę, trząskając przełącznikami i kręcił gałkami, aż na końcu rzucił aparat na rosnący obok mech.

100

Powiedział coś do kolegi, wskazując na górę, na co ten przytaknął. Po chwili nerwus wstał i odwrócił się, zmierzając w moją stronę.

Rozejrzałem się, szukając miejsca na zasadzkę, i dostrzegłem wznoszący się tuż za mną mniej więcej metrowy głaz. Opuciłem przewit między skałami i przyklęknąłem za nim, ciskając mocno pałkę. Słyszałem, jak się zbliża. Nie starał się zresztą poruszać specjalnie cicho. Stawiał z chrzęstem buty na ziemi, a w pewnym momencie poliznął się na żwirze i usłyszałem, jak mamrocze jakie przekleństwo. W chwili gdy przesłonił mnie jego cień, wyrosłem mu tuż za plecami i zadałem cios.

Krąży wiele bzdurnych twierdzeń na temat uderzeń zadawanych w głowę. Niektórzy, jak choćby autorzy scenariuszy filmowych i telewizyjnych uważają, że są one praktycznie tak bezpieczne jak rodek znieczulający stosowany na sali operacyjnej. Według nich w następstwie uderzenia występuje jedynie chwilowa utrata przytomności, zakończona bólem głowy nie bardziej dokuczliwym niż po przepiciu. Można tylko żałować, że mija się to z prawdą, ponieważ gdyby tak

było, szpitalni anesteziolodzy mogliby zrezygnować z całego wymylnego sprzętu, jakim sš teraz zarzuceni, na korzyść tradycyjnego tępego narzędzia.

Do utraty przytomności dochodzi na skutek gwałtownego ruchu czaszki, o której ciany uderza treć mózgu. Następstwem tego sš różnego stopnia uszkodzenia mózgu, poczswszy od lekkiego wstrzssu aż do zgonu, przy czym zawsze pozostaje, choćby niewielkie, trwałe uszkodzenie. Cios powinien być dosyć silny, chociaż w zależności od cech indywidualnych to samo uderzenie jednego tylko oszołomi, drugiego za może pozbawić życia. Kłopot w tym, że dopóki się go nie zada, wynik jest zawsze niewiadomy.

Nie miałem jednak ochoty bawić się w próżne dociekania, uderzyłem więc typa z całej siły. Nogi się pod nim ugięły i zachwiał się. Złapałem go, zanim upadł.

Położyłem na ziemi i odwróciłem twarż do góry. Z kścika ust wystawał mu pokruszony, przegryziony papieros, z którego końcówki ciekła krew, co wiadczyło, że przegryzł sobie język. Jeszcze oddychał.

Obszukujšc mu kieszenie, wymacałem znajomy, twardy kształt i oczom moim ukazał się pistolet automatyczny Smith&Wesson, kaliber 38, taki sam, jaki zabrałem Lindholmowi. Po sprawdzeniu, że magazynek jest pełny, wprowadziłem kulę do luty. Facet leżšcy u mych stóp nie był w stanie nic zrobić, nawet gdyby odzyskał przytomność, nie musiałem więc zaprzštać sobie nim głowy. Przyszła pora, abym zajął się teraz moim Danielem Boonem ze strzelbš. Wróciłem na poprzednie miejsce i przez przewit między skałami sprawdziłem, co porabia.

Nic się nie zmieniło. Tak jak w chwili, gdy ujrzałem go po raz pierwszy, obserwował z niestrudzonš cierpliwociš nasz samochód.

Wstałem i trzymajšc broń przed sobš, wszedłem do zagłębienia, w którym się

ukrywał. Nie starałem się poruszać bezszelestnie, szybkość liczyła

101

się bowiem bardziej niż zachowanie ciszy. Poza tym zdawałem sobie sprawę, że skradajęc się jak kot, prędzej wzbudzę jego niepokój niż wtedy, gdy będę pewnie stawiał kroki za jego plecami.

Nawet nie odwrócił głowy Odezwał się jedynie, cedząc słowa z typowym dla zachodu Stanów akcentem:

- Zapomniałem co, Joe?

O mało mi szczęka nie opadła ze zdziwienia. Spodziewałem się Rosjanina, ale nigdy Amerykanina. Nie była to jednak najlepsza pora na rozstrzygnięcie kwestii narodowościowych; w końcu facet, który do ciebie strzela, staje się automatycznie skurwielem, a czy jest to skurwieli rosyjski, czy amerykański, to naprawdę żadna różnica.

Rzuciłem ostro:

- Odwróć się, ale zostaw karabin tam, gdzie leży, albo poczęstuj ę cię kulką.

Poruszył się bardzo powoli, odwracając w moją stronę jedynie głowę.

Miał jasnoniebieskie oczy, osadzone w opalonej, pociągłej twarzy. Wydawał się idealnym kandydatem do telewizyjnej roli najstarszego syna pioniera z Dzikiego Zachodu. Poza tym sprawiał wrażenie niebezpiecznego.

- Niech to diabli! - odezwał się spokojnym głosem.

- Na pewno do nich dołączysz, jeżeli nie zdejmiesz ręk z karabinu. Rozłóż ramiona jak na krzyżu.

Spojrzał na pistolet w mojej dłoni i posłusznie rozkrzyżował ręce. Człowiek w takiej pozycji, z twarzą do ziemi, nie jest w stanie szybko się poderwać.

- Gdzie Joe? - zapytał.

- Ucisł sobie małą drzemkę.

Podszedłem bliżej i przyłożyłem mu lufę pistoletu do karku. Poczułem, jak drgnął. Nie musiało to wcale oznaczać, że się przestraszył. Sam drgam instynktownie, kiedy Elin niespodziewanie muska mnie wargami w kark.

- Leż spokojnie - poradziłem, zabierając karabin.

Nie miałem wtedy czasu, by obejrzeć go z bliska, ale zrobiłem to potem. Była to bez wątpienia broń jak się patrzy: mieszanego pochodzenia, rozpoczęła żywot jako browning, ale jaki zręczny rusznikarz poświęcił wiele czasu, wprowadzając różne udoskonalenia, jak choćby rzebione łożysko z otworem na kciuk i inne wymyślne cudeńka. Podobnie jak z tym facetem, który mówił: Mam siekiere po dziadku; ojciec wymienił w niej ostrze, a ja oprawiłem je w nowy trzonek".

W końcowym efekcie powstał kompletny zestaw do zabijania na dużą odległość. Była to broń jednostrzałowa, odpowiednia dla kogo, kto do obranego celu strzela na tyle skutecznie, że nie musi spieszyć się z posyłaniem drugiej kuli. Używało się do niej amunicji magnum kaliber 375, ciężkich, prawie dwudziestogramowych kul opatrzonych potężnym ładunkiem. Efektem tego była duża prędkość pocisku i niski tor lotu. Przy dobrym wietle i bez-

102

wietrznej pogodzie wysokiej klasy strzelec mógł z niej uciszyć człowieka na zawsze z odległości omiuset metrów.

Pomagał mu w tym niezwykle celownik teleskopowy, gigant o zmiennej mocy, dający trzydziestokrotne powiększenie. By korzystać z niego przy maksymalnym położeniu, trzeba było faceta zupełnie pozbawionego nerwów, któremu nie zdrząłaby ręka,

albo solidnej podpórki. Teleskop wyposażony był w dalmierz - wieloraki układ wyskalowany na pionowej siatce celowniczej do różnych zasięgów. W tej chwili celownik nastawiony był na odległość pięciuset metrów.

Bez wstąpienia miałem w ręku wspaniały okaz sztuki rusznikarskiej.

Wyprostowałem się i przystawiłem lekko wylot lufy do kręgosłupa mojego przyjaciela.

- Czujesz teraz na plecach swój własny broń - powiedziałem. - Nie muszę chyba dodawać, co by się stało, gdybym pociśgnął za spust.

Miał teraz głowę zwróconą w bok i dostrzegłem, że na opaleninie pojawiła się cienka warstwa potu. Nie musiał pobudzać zbytnio wyobrani, był bowiem mistrzem w swoim fachu i na tyle znał narzędzie, którym się posługiwał, by wiedzieć, co się stanie: energia o sile ponad dwóch tysięcy kilogra-mometrów rozwali go gładko na dwie części.

- Gdzie Kennikin? - spytałem.

- Kto?

- Nie udawaj głupiego. Pytam jeszcze raz: gdzie Kennikin?

- Nie znam żadnego Kennikina - odparł przytłumionym głosem. Miał trudności z mówieniem, ponieważ leżał z policzkiem przyciniętym do ziemi.

- Zastanów się dobrze.

- Mówię ci, że go nie znam. Wykonywałem tylko rozkazy.

- Włanie - wtrąciłem. - Strzelajśc do mnie.

- Nie - szybko zaprzeczył. - Do twojej opony. Przecież wciśz żyjesz, prawda? A mogłem cię zdmuchnąć w każdej chwili.

Spojrzałem w dół stoku na land-rovera. Mówił prawdę: gdyby chciał, mógł mnie

trafić z takś łatwociś, z jakś superstrzelec trafia do blaszanych kaczek na odpucie.

- Więc miałe mnie zatrzymać. A co potem?

- Nic.

Przycisnśłem mu trochę mocniej lufę do pleców.

- Lepiej, żeby sobie przypomniał.

- Miałem zaczekać na kogo, a potem zabierać się z powrotem.

- Kto to miał być?

- Nie wiem, tego mi nie powiedziano.

Brzmiało to zbyt bezsensownie, by mogło być prawdziwe.

103

- Jak się nazywasz?

- John Smith. Umiechnśłem się, mówiąc:

- No dobra, Johnny. Teraz czołgaj się do tyłu, tylko powoli. A jeli zobaczę, że odrywasz brzuch od ziemi o więcej niż centymetr, dostaniesz, na co zasługujesz.

Wijśc się z trudem po ziemi, wypełźł powoli znad krawędzi grzbietu, wczółgał się do zagłębienia na stoku, gdzie kazałem mu się zatrzymać. Miałem ochotę wyciśgnść z niego co więcej, ale czas uciekał i musiałem zakończyć zabawę.

- No, Johnny, teraz bez żadnych gwałtownych ruchów - ostrzegłem -bo jestem bardzo nerwowy. Leż spokojnie.

Podszedłem do niego tak, by nie mógł mnie widzieć, podniosłem kolbę karabinu i wymierzyłem uderzenie w tył głowy. Wiem, że nie godzi się traktować w ten sposób tak dobrej broni, ale nie miałem nic innego pod rękś. Kolba była znacznie

twardsza niż pałka i z żalem stwierdziłem, że po tym ciosie czaszka nie prezentuje się najlepiej, ale przynajmniej teraz miałem pewność, że facet nie sprawi mi już żadnego kłopotu.

Poszedłem po marynarkę, której używał jako podpórki do karabinu. Była ciężka, spodziewałem się więc znaleźć w niej pistolet, okazało się jednak, że obciślało jś nie napoczęte jeszcze pudełko z amunicjś. Obok marynarki leżało drugie, otwarte. Obydwa nie miały żadnych oznakowań.

Sprawdziłem karabin. Magazynek powinien zawierać pięć nabojów, ale były w nim cztery. W lufie, gotowy do strzału, tkwił jeszcze jeden, a dziewiętnacie sztuk spoczywało w otwartym pudełku. Pan Smith był zawodowcem: najpierw napełnił magazynek i wprowadził jeden nabój do lufy, następnie po raz drugi wyjął magazynek uzupełniając go o brakujący nabój, by mieć do dyspozycji nie pięć, ale sześć sztuk. Nie znaczy to wcale, że tyle ich potrzebował - jednym celnym strzałem przebił oponę jadącego pojazdu z odległości czterystu metrów.

Bez wstąpienia był prawdziwym zawodowcem, ale nie nazywał się Smith. Posiadał amerykański paszport, w którym figurował jako Wendell George Fleet, i przepustkę umożliwiającą mu wstęp do bardziej odległych zakłków bazy marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych w Keflaviku, które sś niedostępne dla ogółu. Nie znalazłem przy nim pistoletu. Strzelec tak dobry jak on gardzi zwykle tego rodzaju broniś.

Schowałem pudełko z amunicjś do kieszeni, która ugięła się pod ich ciężarem, a pistolet automatyczny Joe'ego zatknęłem za paskiem od spodni. Przedtem jednak rozładowałem go, by uniknąć przykroci, jaka przytrafiła się Kennikinowi. Nie należy zbyt ufać bezpiecznikom; niejeden mężczyzna stracił swój męski czar, naladując bohaterów telewizyjnych.

Poszedłem sprawdzić, co porabia Joe. Stwierdziłem, że jeszcze się nie obudził.

Znalazłem również paszport, według którego nie miał na imię Joe, ale nazywał się Patric Aloysius McCarthy. Przyjrzałem się uważnie mężczyźnie; dla mnie wyglądał bardziej na Włocha niż Irlandczyka. Najpewniej wszystkie dane były fałszywe, jak to miało miejsce w przypadku Buchnera, który nie nazywał się wcale Graham, a w końcu okazał się Philipsem.

McCarthy miał przy sobie dwa zapasowe pełne magazynki do swojego Smith&Wessona, które pozwoliłem sobie skonfiskować. Wyglądało na to, że w czasie tej wyprawy udaje mi się gromadzić całkiem niezły arsenał broni, od małego noża poczęwszy, a na karabinie dużej mocy skończywszy, co jak na jeden tydzień było wcale niezgorszym wynikiem. Następny w kolejności powinien mi się trafić pistolet maszynowy albo karabin maszynowy z pełnym oprzyrządowaniem. Ciekawe, ile czasu zajęłoby mi zdobycie czego naprawdę mierzionego, jak na przykład międzykontynentalny pocisk balistyczny atlas.

McCarthy dokądś szedł, zanim go uderzyłem. Próbował wczyniejskontaktować się z kim przez radio, kiedy jednak walkie-talkie odmówiło mu posłuszeństwa, postanowił tam pójść. A to oznaczało, że cel jego wędrówki znajdował się gdzie niedaleko. Omiotłem spojrzeniem szczyt grzbietu i postanowiłem sprawdzić, co kryje za sobą następne wzniesienie. Wspiąłem się chyba z dwiecie metrów, a kiedy ostrożnie wychyliłem głowę zza wierzchołka, z wrażenia zapało mi dech w piersiach.

W odległości około czterystu metrów ode mnie stał żółty helikopter marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Na wprost niego siedziało dwóch członków załogi i

jaki cywil, rozmawiając ze sobą od niechcenia. Uniosłem karabin Fleeta i przyjrzałem się im przez teleskop. Nie interesowała mnie załoga, miałem natomiast wrażenie, że rozpoznaję cywila. Chociaż okazało się, że byłem w błędzie, postanowiłem zapamiętać sobie jego twarz na przyszłość.

Przez chwilę odczuwałem pokusę, by połaskotać ich trochę kulami, ale zrezygnowałem z tego pomysłu. Uznałem, że lepiej będzie odjechać po cichu, bez jakiegokolwiek zamieszania. Nie miałem zamiaru przez resztę drogi mieć nad głowami towarzystwa w postaci helikoptera, wycofałem się więc i ruszyłem z powrotem w dół. Zostawiłem Elin na dosyć długo i czułem, że z każdą chwilą niepokoi się coraz bardziej.

Z obecnego miejsca widziałem wyranie szlak, przebiegłem więc go wzrokiem badając, czy Kennikin już się pojawił. Był! W szkłe teleskopu ujrzałem daleki, czarny punkcik dżipa toczącego się szlakiem w odległości około pięciu kilometrów ode mnie. Była to bardzo błotnista trasa i nie przypuszczałem, by mógł jechać szybciej niż z prędkością szesnastu kilometrów na godzinę, co oznaczało, że będę go mieć na karku za jakie piętnacie minut.

Teraz już w popiechu zszedłem ze stoku. Elin czekała wcinięta w rozpadlinę skalną, wyskoczyła z niej jednak, kiedy ją zawołałem. Podbiegła

105

i rzuciła się na mnie, jakby chciała sprawdzić, czy wracam cały i zdrowy, mijając się przy tym i płacząc na przemian. Wyzwoliłem się z jej ramion mówiąc:

- Kennikin jest tuż za nami. Musimy jechać.

Ruszyłem jak szalony do land-rovera, trzymając ją za rękę. Wyszarpnęła mi się, krzycząc:

- Dzbanek do kawy!

- Do diabła z nim!

Kobiety to dziwne stworzenia. Nie pora było myśleć teraz o gospodarstwie domowym. Złapałem ją za rękę i pociśgnąłem za sobą.

W pół minuty później silnik pracował pełną parą, a my znów tłukliśmy się po wyboistym szlaku. Jechaliśmy o wiele za szybko, by myśleć o wygodzie; przez cały czas musiałem decydować, w które wyboje mogę w miarę bezpiecznie wjechać.

Decyzje, decyzje, nic, tylko te przeklęte decyzje! Gdybym dokonał złego wyboru, groziłoby nam złamanie osi albo utknięcie w błocie, a to oznaczałoby koniec wszystkiego.

Przez całą drogę do rzeki Tungnaa trzęsło nami jak diabli. Zwiększył się ruch kołowy, jeśli można w tym przypadku użyć tego określenia. W pewnej chwili bowiem minęliśmy samochód jadący z przeciwka, a był to pierwszy pojazd, jaki spotkaliśmy na bezdrożach Óbyggdir. Miało to swoje złe strony: Kennikin nie omieszka zapytać kierowcy o naszego land-rovera. Czym innym było ciganie mnie po rozległym pustkowiu bez dokładnej znajomości miejsca mojego pobytu, a czym innym przewiadanie, że znajduję się w zasięgu jego ręki. Ten psychologiczny bodziec pobudzi pracę jego gruczołu nadnerczowego.

Z drugiej strony widok mijanego pojazdu cieszył mnie, ponieważ jego obecność dowodziła, że transporter przeprawowy przez Tungnęę będzie stał po naszej stronie rzeki, dzięki czemu unikniemy czekania. Podróżowałem wielokrotnie po obszarach, gdzie wodne przeprawy odbywają się na promach (jest sporo takich miejsc w Szkocji), i zaobserwowałem przy tej okazji swoiste prawo natury: kiedy dojeżdżasz nad brzeg, okazuje się zawsze, że prom znajduje się dokładnie po

przeciwniej stronie. Tym razem jednak miało być inaczej.

cile biorąc, nie był to prom: Tungnęę przekracza się za pomocą platformy zawieszanej na biegnącej górś linie. Należy wjechać na platformę i samemu operować ręcznym kołowrotem, pamiętajśc przy tym, by nie patrzeć na płynśc dołem białš kipiel. Ferdahandbokin", ksiśżka, którś powinien przeczytać każdy, kto wybiera się do Óbyggdir, podkreła, że osoby nie obeznane z tym urzśdzeniem muszśje obsługiwać z najwyższ ostroznociś. Osobicie odradzałbym ten rodzaj przeprawy tym, którzy majśc delikatne zołśdki, podejmujś próbę przedostania się na drugi brzeg przy silnym wietrze.

Platforma przewozowa była istotnie po naszej stronie Tungny. Po sprawdzeniu, że jest sprawna i bezpieczna, wjechałem ostrożnie.

106

- Zostań w kabinie - poradziłem Elin. - Z tym złamanym skrzydłem nie pomożesz przy obsługiwaniu wyciśgu.

Wysiadłem i zacząłem kręcić korbś, majśc oczy szeroko otwarte na bliski już moment pojawienia się Kennikina. Czułem się teraz całkowicie nagi i bezbronny i miałem tylko nadzieję, że mimo powolnego tempa przeprawy zdołam utrzymać piętnastominutowś przewagę. Szczęśliwie dotarlimy na drugi brzeg bez niespodzianek i z uczuciem ogromnej ulgi zjechałem z platformy.

- No, teraz możemy zatrzymać tego drania - powiedziałem, ruszajśc dalej. Elin usiadła wyprostowana.

- Nie zamierzasz chyba niszczyć liny!

W jej głosie brzmiała nuta oburzenia. Nie martwiła się tym, że w każdej chwili mogś na nas posypać się strzały, natomiast sama wzmianka o rozmylnym niszczeniu

własności publicznej oburzała jš jako czyn wysoce nieetyczny.

Umiechnšłem się do niej.

- Zrobiłbym to, ale tu potrzeba silniejszego faceta niż ja. Zjechałem z drogi i obejrzałem się: rzeki nie było już widać.

- Nie dam rady zniszczyć liny, spróbuję jednak unieruchomić platformę łańcuchem tak, by Kennikin nie mógł jej przecišgnšć na swojš stronę. Będzie musiał czekać, aż uwolni jš kto jadšcy z przeciwka. A przy tak małym ruchu Bóg raczy wiedzieć, kiedy to nastšpi. Poczekaaj tutaj.

Wysiadłem i zacząłem grzebać w skrzynce z narzędziami, skšd po chwili wycišgnšłem łańcuchy przeciwnieźne. Z pewności latem do niczego by się nam nie przydały, zamiast więc leżeć bezużytecznie, mogły mi teraz pomóc uwolnić się od Kennikina. Wycišgnšłem je i pobiegłem z powrotem nad rzekę.

Nie da się zwišzać łańcucha na supeł, udało mi się jednak unieruchomić skutecznie platformę, omotujšc jš takš plštaniš żelastwa, że rozplatanie tego wszystkiego musiałoby zabrać komu co najmniej pół godziny, chyba że miałby przy sobie palnik acetylenowo-tlenowy. Kończyłem już prawie, kiedy na drugim brzegu pojawił się Kennikin i zabawa zaczęła się na dobre.

Dzip zatrzymał się i wysiadł z niego Kennikin, a za nim trzech innych. Nie zobaczyli mnie od razu, bo skrywała mnie platforma. Kennikin obejrzał uważnie linę, zapoznał się z instrukcjš podanš po islandzku i angielsku, po czym kazał swoim ludziom przecišgnšć platformę z drugiego brzegu. Chociaż postępowali w myl jego wskazówek, nic się nie działo.

Spieszyłem się jak diabli, żeby zdšżyć na czas, i udało mi się skończyć niemal w ostatniej chwili. Platforma przechyliła się, lecz unieruchomiona łańcuchem nie

ruszyła z miejsca. Słyszałem jaki okrzyk po drugiej stronie rzeki i zaraz

potem jeden z ludzi Kennikina pobiegł wzdłuż brzegu do miejsca,

107

z którego można by dojrzeć, co przytrzymuje wyciśg, i znalazł przyczynę:

zobaczył mnie. W następnej sekundzie wyciśgnął broń i zaczął strzelać.

Pistolet jest stanowczo zbyt przeceniany. Ma swoje zastosowanie wtedy, gdy chce

się trafić w cel oddalony o jakie dziesięć metrów albo, jeszcze lepiej, o kilka

kroków. Pukawka, z której do mnie strzelano, był to rewolwer kaliber 38, pękaty,

o krótkiej lufie. Osobicie nie wierzę, bym zdołał nim trafić w cokolwiek

oddalonego bardziej niż na wyciśgnięcie dłoni. Byłem więc całkiem bezpieczny,

dopóki mierzył we mnie; gdyby zaczął strzelać na chybił trafił, mógłby trafić

mnie przez zwykły przypadek.

Umocowałem włanie ostatni kawałek łańcucha, kiedy zaczęli strzelać pozostali.

Podeszli, jak mogli najbliżej, i zobaczyłem jak jedna z kul wzbija obłok kurzu

dwa metry ode mnie. Mimo wszystko wystawiać się na cel to żadna przyjemność,

odwróciłem się więc i pogałem na złamanie karku do land-rovera.

Elin stała przy samochodzie ogromnie zaniepokojona odgłosami huraganowego

ostrzału.

- Wszystko w porzřdku - uspokoiłem jř. - To jeszcze nie wojna. Wyciśgnłem z samochodu karabin Fleeta.

- Spróbujemy ich trochę postraszyć. Spojrzała z odrazř na broń.

- Mój Boże! Musisz ich zabijać? Nie masz jeszcze dosyć? Wytrzeszczyłem na niř

oczy, lecz po chwili zrozumiałem, co miała na

myli: była przekonana, że wszedłem w posiadanie karabinu poprzez zabicie

Fleeta. Myślała najwidoczniej, że nie można zabrać facetowi takiej broni, nie odbierając mu również życia. Odezwałem się do niej:

- Elin, ci faceci po drugiej stronie rzeki próbowali mnie zabić. To, że im się nie udało, nie zmienia faktu. Zresztą nie zamierzam nikogo zabijać, powiedziałem tylko, że ich postraszę. - Uniosłem karabin, dodając: - A faceta, któremu to zabrałem, też nie pozbawiłem życia.

Oddaliłem się idąc szlakiem w stronę rzeki, ale skręciłem z drogi, nie dochodząc do brzegu. Wyszukałem odpowiednią kryjówkę i położyłem się, obserwując jak Kennikin i jego ludzie bezskutecznie próbują dostać się na platformę. Przy odległości stu metrów teleskop nastawiony na trzydziesto-krotne powiększenie był nieco zbyt silny, przestawiłem go więc na najmniejsze, szeciokrotne. Skała na wprost mnie stanowiła wygodną podpórkę. Przycisnąłem kolbę do ramienia i spojrzałem przez okular.

Nie miałem zamiaru nikogo zabić. Nie dlatego, że nie chciałem, ale trupy, których trudno się pozbyć, stanowił sporyś niewygodę i mogł spowodować kłopotliwe pytania ze strony odpowiednich władz. Poza tym ranny Rosjanin jest równie skutecznie wyeliminowany z gry, co martwy. Kompani

108

przeszmygluj się go na pokład trawlera, który z pewnością czeka gdzie w pobliżu, może nawet jest już w porcie reykjavickim. Nikt inny poza Rosjanami nie ma tyle trawlerów wykorzystywanych do celów innych niż łowienie ryb.

Nie miałem zamiaru nikogo zabijać, ale już wkrótce kto sam będzie błagał Boga o śmierć.

Kennikin gdzie zniknął, a pozostała trójka prowadziła ożywioną dyskusję nad

sposobem rozwiŹszania narzuconego przeze mnie problemu. Przerwałem im, oddajŹc w ciŹgu trzydziestu sekund pięć strzałów w odstępach czasu. Pierwszy pocisk trafił w rzepkę kolanowŹ mężczyznę stojŹcego przy dziapie i w jednej chwili wszyscy jakby się pod ziemię zapadli. Ranny leżał na ziemi, wijŹc się i ryczŹc z bólu. Do końca swoich dni będzie miał jednŹ nogę krótszŹ, oczywicie, jeli go szybko zawiozŹ do szpitala. W przeciwnym razie może mówić o szczęciu, jeli w ogóle uda mu siejŹ zachować.

Ponownie wycelowałem i nacisnŹłem spust, mierzŹc w przednie koło dŹipa. Był to najlepszy karabin, jaki kiedykolwiek miałem w ręku: przy strzale do celu odległego o sto metrów tor lotu był tak płaski, że mogłem posłać kulę dokładnie tam, gdzie chciałem. Opona nie została zwyczajnie przebita, ale rozbita w drobny mak siłŹ zadanego z bliska potężnego uderzenia wielkŹ kulŹ kaliber 375. Taki sam los spotkał drugie przednie koło, kiedy wycelowałem po raz trzeci.

Który z nich wystrzelił z pistoletu. Zignorowałem to i wprowadziłem kolejny nabój do luty. Zerodko wałem siatkę celowniczŹ naprzodzie chłodnicy i wystrzeliłem, pod wpływem uderzenia dŹip aż zakołysał się na resorach. Karabin, który miałem w ręku, strzelał amunicjŹ na grubego zwierza, łatwo więc było sobie wyobrazić, że skoro roztrzaskuje czaszkę bawołu, to zetknięcie z nim nie wyjdzie silnikowi na dobre. Oddałem jeszcze jeden strzał w to samo miejsce dŹipa w nadziei, że to go unieruchomi na zawsze, a następnie wycofałem się.

ZbliŹajŹc się do land-rovera, powiedziałem do Elin:

- Tak, to dobra broń.

Spojrzała na mnie ze zdenerwowaniem.

- Zdawało mi się, że kto wył z bólu.

- Nikogo nie zabiłem, ale tym swoim dżipem daleko teraz nie zajadś. No, na nas czas. Możesz teraz trochę poprowadzić.

Poczułem się nagle bardzo zmęczony.

Rozdział 6

Wydostaliśmy się z Óbyggdir i dotarliśmy do sieci głównych dróg. Nawet gdyby Kennikinowi udało się jechać naszym ladem, mieliby tu spore szansę na zgubienie go. Znajdowaliśmy się teraz w jednym z najbardziej zaludnionych obszarów, który pokrywała sieć dróg znacznie trudniejszych do kontrolowania niż nieskomplikowany system komunikacyjny Óbyggdir. Elin prowadziła, ja tymczasem odpoczywałem na siedzeniu obok. Korzystając z dobrej nawierzchni, jechaliśmy teraz znacznie szybciej.

- Dokąd teraz? - spytała.

- Ten samochód rzuca się za bardzo w oczy. Masz jakie propozycje?

- Jutro wieczorem musisz być w Geysir. Mam przyjaciół w Laugarvatn. Pamiętasz chyba Gunnara?

- Zdaje się, że chodziła z nim, zanim mnie poznała? Umiechnęła się.

- To nie było nic poważnego. Do dzi jesteśmy przyjaciółmi. Poza tym Gunnar jest już żonaty.

Dla wielu mężczyzn małżeństwo nie oznacza automatycznego wygania licencji myliwego, ale zostawiłem jej uwagę bez komentarza. Zresztś bardziej czy mniej cywilizowany pojedynek z dawnym chłopakiem Elin był lepszy niż zwiastujące mierć spotkanie z Kennikinem.

- Dobrze, kierunek Laugarvatn - zdecydowałem.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Przerwałem tę ciszę:

- Dziękuję za to, co zrobiła, kiedy byłem na Budarhals. Było to cholernie głupie, ale skuteczne.

- Pomyślałam sobie, że może uda mi się rozproszyć ich uwagę.

- Nie da się ukryć, że na chwilę moją też rozproszyła. Wiesz, że przez cały czas snajper miał cię w celowniku, trzymając palec na spucie?

110

- Faktycznie, czułam się nieswojo - przyznała. Jej ciałem wstrząsnęły mimowolne dreszcze. - A co właściwie zaszło tam na górze?

- Stuknąłem dwóch facetów w głowę. Jeden może nawet wylądował w szpitalu w Keflaviku.

Spojrzała na mnie bacznie.

- W Keflaviku!

- Tak - przyznałem - to Amerykanie. Opowiedziałem jej o Fleecie, McCarthym i helikopterze.

- Próbuję cały czas doszukać się w tym jakiego sensu, ale bez większego powodzenia.

- Bo to rzeczywiście nie trzyma się kupy - stwierdziła po chwili namysłu. -

Czemu Amerykanie mieliby współpracować z Rosjanami? Jeste pewien, że to byli Amerykanie?

- Byli nie mniej amerykańscy niż Statua Wolności. W każdym razie mam pewność co do Fleeta, bo z McCarthym nie udało mi się pogadać.

- A może to jacy sympatycy ruchu komunistycznego.

- W takim razie ukryli się lepiej niż pchła w psiej sierci. Wyjść przepustkę

Fleeta, otwierając mu wstęp do najdalszych zakłków bazy marynarki wojennej w

Keflaviku.

- Jeżeli to sympatycy komunizmu, to jankesi powinni mieć się na baczności, bo wszystkie meble mają przeżarte przez korniki.

Obejrzałem dobrze przepustkę i przypomniałem sobie o helikopterze.

- Słowo daję, w życiu nie słyszałem o czym bardziej absurdalnym. -A masz jakie inne wytłumaczenie?

Myl o tym, że w Keflaviku komunicaci mają swoich zwolenników, którzy w każdej chwili mogłoby skorzystać z helikoptera marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, była po prostu nie do utrzymania.

- Kennikinn nie zadzwonił przecież do Keflaviku ze słowami: Słuchajcie, chłopcy, cięgam pewnego szpiega brytyjskiego i potrzebuję waszej pomocy. Możecie wysłać helikopter ze strzelcem wyborowym i złapać go dla mnie?". Jest jednak kto, kto mógłby tak zrobić.

- Kto?

- Facet w Waszyngtonie nazwiskiem Helms. Ten byłby w stanie wykręcić do Keflaviku i wydać polecenie: Słuchajcie no, admirale, zaraz tam wpadnie do was paru facetów. Dajcie im helikopter z załogą i nie pytajcie, do czego jest im potrzebny". Na co admirał: Tak jest, rozkaz, sir!". Pan Helms jest bowiem szefem CIA.

- Ale czemu miałyby to robić?

- Niech mnie diabli, jeśli wiem. W każdym razie to bardziej prawdopodobne niż obraz bazy w Keflaviku rojącej się od agentów rosyjskich.

Przypomniałem sobie krótką, niedokończoną rozmowę z Fleetem.

- Fleet powiedział, że otrzymał rozkaz zatrzymania nas do czasu pojawienia się kogo, jak sądzę Kennikina, chociaż Fleet twierdził, że nigdy nie słyszał tego nazwiska. Dodał też, że z chwilą przybycia tego gościa miał wracać do domu. Ale jest jeszcze co, o co powinienem być go zapytać.

- Co?

- Czy w myśl otrzymanych instrukcji miał pokazać się Kennikinowi, czy było to może wyranie zakazane. Wiele bym dał, żeby znać odpowiedź.

- Czy na pewno ciągnął nas Rosjanie? Jesteś pewny, że to był Kenni-kin?

- Tej twarzy nigdy nie zapomnę. A poza tym wtedy, gdy utknęli nad brzegiem Tungny, zdrowo klęli po rosyjsku.

Pytanie Elin sprawiło, że niemal stanęły mi przed oczami szybko obracające się koła pędzącego dżipa.

- Spójrzmy na to od innej strony - nie ustawała w dociekaniach. - Załóżmy, że Slade również nas ciągnął i zwrócił się o pomoc do Amerykanów, nie wiedząc, że tuż za plecami mamy Kennikina. Możliwe zatem, że Amerykanie mieli nas zatrzymać do przybycia Slade'a, a nie Kennikina.

- Nie można tego wykluczyć - musiałem przyznać. - Ale jest w tym zbyt wiele słabych punktów. Dlaczego zadano sobie tyle trudu z ukrywaniem snajpera na wzgórzu? Nie lepiej było w takim wypadku poprosić Amerykanów, żeby nas po prostu złapali? - Potrzebowałem głowoszy. - Poza tym Departament nie ma aż tak przyjacielskich stosunków z CIA. Specjalne więzi pomiędzy nimi mają swoje granice.

- Moja teoria jest bardziej sensowna - zauważyła.

- Wcale nie jestem pewien, czy w ogóle jest w tym wszystkim jakikolwiek sens. Z

każdś chwilś sytuacja staje się coraz bardziej irracjonalna. To przywodzi mi na myl słowa pewnego fizyka o jego pracy: Wszechwiat jest nie tylko bardziej niezwykły, niż sobie wyobrażamy, ale może nawet bardziej niezwykły, niż możemy to sobie wyobrazić". Nareszcie rozumiem, co miał na myli.

Elin wybuchnęła miechem.

- Co, u licha, cię tak mieszy? Slade już raz próbował nas załatwić i może to powtórzyć, jeli Taggart go nie powstrzyma. Kennikin też nie ustaje w wysiłkach, by dostać mnie w swoje ręce, a teraz doszli do tego jeszcze Amerykanie. Lada chwila dołączajeszczce może zachodnie Niemcy, a może nawet chilijska tajna policja. Nic już chyba nie mogłoby mnie zdziwić. Ale jest co, co mnie naprawdę martwi.

- Co takiego?

- Przypućmy, że jutro wieczorem oddam Case'owi to elektroniczne urządzenie.

Kennikin nie będzie o tym wiedział, prawda? Nie mogę sobie jako wyobrazić Jacka

Case'a piszšcego do Kennikina: Mój drogi Waclawie! Ste-

112

wart nie ma już przy sobie piłki. Jest teraz u mnie - goń mnie!". Tak więc oddanie paczki w niczym nie zmieni mojej sytuacji. W dalszym cišgu będę tkwił na samym rodku jeziora. A nawet znajdę się w jeszcze większym niebezpieczeństwie, bo jeli Kennikin mnie dopadnie i nie znajdzie tej przeklętej paczki, to wcieknie się jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe.

Ogarnęły mnie wštpliwoci, czy powinienem przekazać paczkę Case'owi. Bo jeżeli miałbym dalej znajdować się na rodku jeziora, to dobrze byłoby zachować wiosło.

II

Laugarvatn stanowi okręgowe centrum edukacyjne, grupując uczniów z wielu terenów wiejskich. Kraj w stosunku do liczby mieszkańców jest tak rozległy, a skupiska ludności tak porozrzucane, że tutejszy system owiaty jest dosyć szczególny. Większość szkół wiejskich pełni również rolę internatów, a ich uczniowie w czasie sesji zimowej spędzają często na przemian dwa tygodnie w ławkach i tyle samo w domu. Dzieci z bardziej oddalonych miejsc zamieszkania przebywają w szkole przez cały okres zimy, latem natomiast na cztery miesiące budynki szkolne zamieniają się w hotele.

Ponieważ Laugarvatn jest położone w dogodnej bliskoci Thingvellir, Geysir, Gullfoss i innych atrakcji turystycznych, dwie duże tamtejsze szkoły w sezonie letnim pełnią funkcję ośrodków hotelowych, samo za Laugarvatn cieszy się wśród przyjezdnych wielką popularnością jako centrum turystyki konnej. Jeżeli o mnie chodzi, nigdy specjalnie nie przepadałem za końmi, nawet za ich wielobarwną odmianę islandzką, która prezentuje się lepiej niż inne spośród przedstawicieli tego gatunku. Według mnie koń jest głupim stworzeniem, no bo zwierzę, które pozwala, by dosiadało je inne, musi być pozbawione rozumu. Wolę już wytrząść się w land-roverze niż na grzbiecie upartego kucyka, który myśli głównie o powrocie do żłobu.

Gunnar Arnarsson pracował zimą jako nauczyciel, latem natomiast zajmował się organizowaniem wycieczek konnych. Islandczycy to naprawdę wszechstronny naród! Kiedy przyjechalimy, Gunnar był poza domem, ale powitała nas jego żona, Sigurlin Asgeirsdóttir. Nie obeszło się przy tym bez cmokania na widok ręki Elin wiszącej na zaimprovizowanym temblaku.

Jednym z problemów napotykanym w Islandii jest odróżnienie osób wolnego stanu

od zwiŝzanych wężłem małżeńskim, ponieważ kobieta po wyjciu za mŝz nie zmienia swego nazwiska. Problem nazwisk jest w istocie pułapkŝ, w którŝ wpadajŝ z głonym hukiem cudzoziemcy. Nazwisko Is-landczyka informuje po prostu o tym, kto jest jego ojcem. I tak: Sigurlin była córkiŝ Asgeira, a Gunnar synem Arnara.

Gdyby Gunnar sam miał syna i chciał

8 Na olep

113

go nazwać po swoim dziadku, chłopiec nazywałby się Arnar Gunnarsson. Ta skomplikowana tradycja sprawiła między innymi, że ksiŝzka telefoniczna Islandii ułożona jest alfabetycznie według imion abonentów; na przykład Elin Ragnarsdottir jest tam umieszczona pod literŝ E".

Wyglŝdało na to, że Gunnar dokonał dobrego wyboru. Sigurlin była jednŝ z tych wysokich, długonogich, smukłych Skandynawek, które trafiajŝc do Hollywood, robiŝ tam szybko karierę, i niech mnie diabli, jeli ma z tym co wspólnego talent aktorski. Jednak powszechne przekonanie, że żeńska część ludności krajów skandynawskich składa się wyłącznie z takich jasnowłosych bogiń, jest niestety żałosnŝ iluzjŝ.

Po powitaniu, jakie Sigurlin nam zgotowała, domyliłem się, że musiała już o mnie słyszeć, chociaŝ miałem nadzieję, że nie wie wszystkiego. Wiedziała jednak dosyć, by w uszach rozbrzmiewało jej dalekie bicie weselnych dzwonów. To mieszne, że z chwilŝ, gdy dziewczyna wychodzi za mŝz, zapędziłaby najchętniej do tej samej pułapki wszystkie swoje dawne przyjaciółki. Obecność Kennikina wykluczała wszelako rychłe bicie w weselne dzwony. Bardziej prawdopodobne było, że wkrótce rozlegnie się żałobny ton dzwonu pogrzebowego. Zresztŝ, pomijajŝc

Kennikina, nie zgodziłbym się, by jaka piersiasta blondynka, z oczami

pałajścymi chęciś swatania, nakłaniała mnie do małżeństwa.

Z uczuciem ulgi wprowadziłem land-rovera do pustego garażu Gunnara. Poczułem się znacznie lepiej, wiedząc, że zniknął z ludzkich oczu w bezpiecznym miejscu.

Upewniłem się, że moja kolekcja broni jest dobrze schowana, i wróciłem do domu w chwili, gdy Sigurlin schodziła po schodach.

Spojrzała na mnie jako dziwnie i zapytała ostrym tonem:

- Co się stało Elin w rękę?

- Nie powiedziała ci? - wybśkałem ostrożnie.

- Wspomniała, że podczas wspinaczki upadła na ostrš skalę.

Wydałem bliżej nieokrełony dźwięk na potwierdzenie tych słów, widziałem jednak,

że jej podejrzliwość nie ustšpiła. Rana postrzałowa wyróżnia się spośród

wszystkich innych nawet dla kogo, kto styka się z niš po raz pierwszy.

Zmieniłem pośpiesznie temat.

- To miło z twojej strony, że zaoferowała nam nocleg.

- Drobiazg. Napijesz się kawy?

- Dziękuję, bardzo chętnie. Poszedłem za niš do kuchni.

- Od dawna znasz Elin? - spytałem.

- Od dzieciństwa. - Wsypała garć ziarenek w młynek do kawy. - A ty?

- Trzy lata.

Napełniła elektryczny czajnik i włączyła do kontaktu. Potem odwróciła się i stanęła do mnie twarżš.

- Elin wyglšda na strasznie wyczerpanš.

- Mielimy ciężkš przeprawę przez Óbyggdir.

Nie zabrzmiało to chyba zbyt przekonywajšco, bo Sigurlin nie poprzestała na tym.

- Nie chciałabym, Źeby co się jej przytrafiło. Ta rana...

- Tak?

- Elin nie upadła na skałę, prawda?

W parze z pięknymi oczami szedł bystry umysł.

- Nie, nie upadła.

- Tak myślałam. Widziałam już takie rany. Kiedy byłam jeszcze pannš, pracowałam

jako pielęgniarka w Keflaviku. Pewnego dnia przywiełi do szpitala

amerykańskiego marynarza, który postrzelił się przypadkiem w czasie czyszczenia

broni. A czyjš broń czyciła Elin?

Usiadłem przy kuchennym stole.

- Mam trochę kłopotów - zacząłem ostrożnie. - Nie będę ci o tym opowiadał, bo

dla twojego własnego dobra najlepiej będzie o niczym nie wiedzieć. Od samego

początku próbowałem trzymać Elin od tego jak najdalej, ale twarda z niej sztuka.

Sigurlin przytaknęła:

- Jej rodzina zawsze była uparta.

- Jutro wieczorem jadę do Geysir, ale chciałbym, Źeby Elin tu została. Będziesz

musiała mi w tym pomóc.

Przyjrzała mi się z uwagš.

- Nie lubię kłopotów z broniš.

- Ani ja. Jak widzisz, nie skacę z radoci. Dlatego włanie nie chcę jej do

tego mieszać. MoŹe u ciebie zostać na jaki czas?

- O ranie postrzałowej naleŹy powiadomić policję.

- Wiem - odparłem znużonym głosem. - Nie sǔdzę jednak, że wasza policja dałaby sobie radę w tym szczególnym przypadku. Ta sprawa ma powiǔszania miǔdzynarodowe i pać w niej może wiǔcej niǔ jeden strzał. Jeden niewłaciwy krok i mogǔ zginǔć niewinni ludzie, a, bez żadnej obrazy dla waszej policji, jestem pewny, że nie ustrzeǔliby siǔ przed jakim błędem.

- A te, jak ty to nazywasz, kłopoty, czy to sprawa kryminalna?

- Nie w zwykłym tego słowa znaczeniu. Można okrelić to mianem krańcowej postaci działalności politycznej.

ciǔgnęła kǔciki ust.

- Jedyne dobre, co tu usłyszałam, to to, że chcesz trzymać Elin od tej sprawy z daleka - podsumowała zjadliwie. - Panie Alanie Stewart, niech pan mi powie: czy pan jǔ kocha?

- Tak.

- I zamierza siǔ z niǔ ożenić?

115

- Jeǔeli po tym wszystkim będzie mnie jeszcze chciała. Umiechnęła siǔ wyniole.

- O, na pewno ciǔ zechce. Złapałe siǔ jak łoso na haczyk i daleko nie uciekniesz.

- Nie jestem o tym przekonany. Ostatnio miały miejsce pewne rzeczy, które nie dodajǔ mi uroku w jej oczach.

- Jak choćby broń? - Nalała kawę. - Nie musisz na to odpowiadać. Nie prowadzę ledztwa.

Postawiła przede mnǔ filiżankę.

- Zgoda. Zatrzymam Elin u siebie.

- Tylko nie wiem, jak zdołasz tego dokonać. Mnie nigdy nie udało się nakłonić jej do czego, czego sama nie chciała.

- Położę ją do łóżka pod ciśszą opiekš medycznš. Będzie oponować, ale w końcu mnie posłucha. Załatw, co masz do załatwienia, a Elin posiedzi u mnie. Nie zdołam jednak zatrzymać jej zbyt długo. Co mam zrobić, jeli nie wrócisz z Geysir?

- Sam nie wiem - przyznałem. - W każdym razie nie pozwól j ej wracać do Reykjaviku. Jej pojawienie się w mieszkaniu byłoby szczytem głupoty.

Sigurlin wzięła głęboki oddech.

- Zobaczę, co się da zrobić. - Nalała sobie filiżankę kawy i usiadła. -Gdybym nie widziała twojej troski o Elin, wierz mi, że byłabym skłonna... -Potrzsnęła głowš z irytacjš. - Wcale mi się to nie podoba, Alan. Na miłość boskš, zrób z tym wszystkim jak najszybciej porzšdek.

- Uczynię wszystko, co w mojej mocy.

III

Nazajutrz czas dłużył się niemiłosiernie.

Przy niadaniu Sigurlin, czytając gazetę, odezwała się nagle:

- No, patrzcie państwo! Kto unieruchomił wyciśg linowy nad Tungnš po drugiej stronie Hałd. Grupa turystów utknęła nad rzekš na kilka godzin. Ciekawe, kto też mógł to zrobić?

- Kiedy my się przeprawialiśmy, wszystko było w porzšdku - rzuciłem jakby nigdy nic. - Piszš co więcej o tych turystach? Nikomu nic się nie stało?

Spojrzała na mnie badawczo zza stołu.

- A czemu miałyby się komu co stać? Nie, nic o tym nie piszś. Zmieniłem szybko temat.

- Dziwi mnie, że Elin jeszcze pi. Umiechnęła się.

116

- Mnie nie. Wczoraj wieczorem bez jej wiedzy dałam jej co na sen. Kiedy się obudzi, będzie strasznie ospała i nie będzie miała ochoty wychodzić z łóżka.

Tak, to był sposób na zapewnienie sobie jej posłuszeństwa.

- Zauważyłem, że garaż jest pusty. Nie macie samochodu?

- Gunnar postawił go w stajni.

- Kiedy wraca?

- Za dwa dni, chyba że wycieczkowicze dostanś odcisków od siedzenia w siodle.

- Wolałbym nie pokazywać się w Geysir w swoim land-roverze.

- Chcesz pożyczyć samochód? Zgoda, ale pod warunkiem że zwrócisz go w całości.

- Poinformowała mnie, gdzie go szukać. - Kluczyki sś w schowku na tablicy rozdzielczej.

Po niadaniu zacząłem się zastanawiać, czy nie zadzwonić do Taggarta. Miałem mu wiele do powiedzenia, doszedłem jednak do wniosku, że lepiej będzie najpierw usłyszeć, co ma mi do przekazania Jack Case. Poszedłem do land-rovera i wyczyciłem karabin Fleeta.

Była to naprawdę dobra broń. Fantazyjny uchwyt i niekonwencjonalne łożysko wskazywały jednoznacznie, że egzemplarz powstał na specjalne zamówienie Fleeta, który, jak podejrzewałem, był przykładem hobbysty. W każdej dziedzinie ludzkiej działalności występujś zapaleńcy doprowadzajścy perfekcję do granic absurdu. Na przykład maniak w dziedzinie hi-fi, goniśc za jak najwyższś wiernoćś

odtworzenia dźwięku, otacza się siedemnastoma głonikami po to, by słuchać jednej płyty wzorcowej. Odpowiednikiem takiego okazu wśród braci strzeleckiej jest wariat na punkcie broni.

Taki facet jest więc przekonany, że żaden standardowy, sklepowy egzemplarz nie jest dla niego wystarczająco dobry, przerabia go zatem i cyzeluje, aż w końcu osiąga formę, która przypomina któryś z owych dziwacznych okazów nowoczesnej sztuki rzebiarskiej. Wierzy również niezłomie, że producenci amunicji nie znajdują się na swej robocie, i dlatego ładuje broń pociskami własnego wyrobu, starannie ważąc każdą kulę i odmierzając do niej odpowiednią ilość prochu z dokładnością do tysięcznej części grama.

Obejrzałem amunicję z otwartego pudełka i, jak się spodziewałem, znalazłem na niej zadrapania pochodzące od obciskarki: Fleet miał zwyczaj samemu konstruować pociski. Nigdy nie odczuwałem takiej potrzeby, ale przecież to nie ode mnie wymagano osiągnięcia idealnego skupienia trafień przy strzałach z odległości setek metrów. To również wyjaśniało, dlaczego na pudełku nie było żadnej etykiety.

Ciekawiło mnie, po co Fleet miał przy sobie aż pięćdziesiąt naboików. Był przecież wymienionym strzelcem, a nas zdołał unieruchomić za jednym przycięciem spustu. Załadował karabin zwykłą amunicją myliwską, miękkimi

117

kulami, które rozplaszczają się w momencie uderzenia w cel. Zamknięte pudełko natomiast zawierało amunicję wojskową: dwadzieścia pięć sztuk naboików w stalowych koszulkach.

Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego kula używana na zwierzęta, mająca za zadanie zabijać je szybko i w sposób humanitarny, jest w świetle konwencji

genewskiej zabroniona w odniesieniu do ludzi. Spróbuj wystrzelić w kogo pocisk myliwski, a zaraz cię oskarżę o używanie kul dum-dum jako czyn niezgodny z prawem. Możesz faceta upiec na mierć, polewając napalmem, wyprać mu flaki, podkładając minę, ale nie wolno ci trafić go kulą, która bezboleśnie umierca jelenia.

Przyglądając się pociskowi w stalowej koszulce spoczywającemu w mojej dłoni, pożałowałem, że nie wiedziałem o nim wcześniej. Jeden taki nabój posłany w silnik dżipa Kennikina spowodowałby z pewnością znacznie więcej szkód, niż wystrzelona przeze mnie miękka kula. Być może przy strzale z odległości stu metrów pocisk w stalowej koszulce kaliber 375, uzbrojony na końcu w potężny ładunek, nie przewierciłby dżipa na wylot, jednak nie chciałbym tego sprawdzać na sobie, stojąc za samochodem.

Załadowałem magazynek karabinu mieszanej amunicji, kładąc na przemian miękki pocisk i drugi w stalowej koszulce, w sumie trzy miękkie i dwa stalowe.

Obejrzałem również automatyczny pistolet McCarthy'ego model Smith&Wesson, całkiem prozaiczny kawałek żelastwa w porównaniu z wypracowanym w każdym szczególe karabinem Fleeta. Upewniwszy się, że jest sprawny, schowałem go do kieszeni razem z zapasowymi magazynkami. Tajemnicze urządzenie elektroniczne postanowiłem zostawić tam, gdzie było schowane: pod przednim siedzeniem samochodu. To, że nie brałem go ze sobą, idąc na spotkanie z Jackiem Case'em, wcale nie znaczyło, że wybierałem się tam z pustymi rękami.

Kiedy wszedłem do domu, Elin już nie spała. Spojrzała na mnie sennym wzrokiem.

- Nie mam pojęcia, czemu jestem taka zmęczona.

- Wcale mnie to nie dziwi - starałem się, by moje wywody zabrzmiały logicznie.

- Masz ranę postrzałową i przez dwa dni tłukła się po Óbyggdir, prawie nie piśc. Ja też chodzę niezbyt przytomny.

Elin otworzyła szeroko oczy, rzucając przestraszone spojrzenie na Si-gurlin, która układała kwiaty w wazonie.

- Sigurlin wie, że nie przewróciła się na skałę - uspokoiłem ją. - Wie, że została postrzelona, ale nie ma pojęcia, jak do tego doszło. I nie chcę, żeby się dowiedziała. Nie rozmawiaj o tym z nią ani z nikim innym.

Odwrociłem się do Sigurlin.

- Przyjdzie czas, że wszystkiego się dowiesz, ale w tej chwili taka wiedza mogłaby tylko stanowić zagrożenie.

118

Kiwnęła głową na znak zgody.

- Zupełnie opadłam z sił - poskarżyła się Elin. - Chyba przepię cały dzień.

Ale będę gotowa na czas wyjazdu do Geysir.

Sigurlin podeszła do Elin i zaczęła poprawiać jej poduszki pod głową. Wykonała to z zimnym profesjonalizmem wiadczyńskim, że mamy do czynienia z wyszkoloną pielęgniarką.

- Nigdzie nie pojedziesz - zakomunikowała tonem nie znoszącym sprzeciwu. - W każdym razie nie przez następne dwa dni.

- Ale ja muszę - zaprotestowała Elin.

- W takim stanie? Ramię nie wygląda dobrze. - cisnęła usta, patrząc na Elin.

- Właćwie to powinien obejrzeć cię lekarz.

- O, nie!

- Wobec tego rób to, co ci mówię. Elin rzuciła mi błagalne spojrzenie.

- Jadę, żeby się tylko z kim spotkać - zacząłem jś przekonywać. -Szczerze

mówiśc, Jack Case nawet nie otworzy ust w twojej obecności, nie jeste przecieź członkiem klubu. Skoczę do Geysir pogadać z facetem i zaraz wracam. Możesz chyba choć jeden raz nie wcibiać swego wszędobylskiego nosa.

Elin wyglšdała na nieprzejednanš.

- Zostawiam was samych - oznajmiła Sigurlin. - Macie sobie do powiedzenia parę słodkich słówek. - Umiechnęła się. - Widzę, że zanosi się wam obojgu na ciekawe życie.

Wyszła z pokoju.

- To zabrzmiało jak stare chińskie przysłowie: Oby żył w ciekawych czasach" - zauważyłem ponuro.

- Dobrze - odezwała się Elin zmęczonym głosem - nie będę ci sprawiać kłopotów.

Możesz jechać sam do Geysir.

Przysiadłem na skraju łóżka.

- Przecieź nie chodzi o to, że sprawiasz kłopoty. Wiesz, że chcę cię po prostu ustrzec od tego wszystkiego. Rozpraszasz mojš uwagę; gdybym wpadł w tarapaty, musiałbym zajmować się jednocześnie tobš i swojš osobš.

- Byłam kulš u nogi? Potrzšsnšłem przeczšco głowš.

- Wiesz, że nie. Ale charakter tej gry może ulec zmianie. Do tej pory to ja uciekałem przez całš Islandię i jestem juź tym trochę zmęczony. Jeżeli nadarzy się okazja, zrobię zwrot, sam ruszajšc w pocig.

- A ja bym ci tylko zawadzała - podsumowała matowym głosem.

- Jeste pełnš skrupułów, cywilizowanš osobš, która cile przestrzega prawa. niem wštpić, czy przytrafił ci się w życiu choćby mandat za złe parkowanie.

Kiedy byłem cigaň zwierzynš, mogłem starać się zachować

119

jakie skrupuły, ale stajšc się myliwym, muszę o nich zapomnieć. Mylę, że chwilami patrzyłaby z przerażeniem na to, co będę musiał robić.

- Będziesz zabijać. Zabrzmiało to jak stwierdzenie.

- Może nawet gorzej - odrzekłem ponuro. Wstrzšsnšł niš nagły dreszcz.

- Wcale tego nie chcę - dodałem. - Nie jestem zimnym mordercš. Niczego bardziej nie pragnę, jak uciec od tego wszystkiego, ale zostałem zmuszony wbrew mojej woli do sięgnięcia po broń.

- Próbujesz ubierać to w piękne słówka. Nie musisz zabijać.

- Źadne piękne słówka - zaoponowałem. - Jest jedno słowo: przeżycie. Młody Amerykanin wzięty do wojska z college'u może być sobie pacyfistš, ale kiedy Vietcong zacznie strzelać do niego z rosyjskich karabinów kaliber 7,62 mm to, możesz mi wierzyć, z miejsca odpowie tym samym. Więc kiedy Kennikin przyjdzie po mnie, dostanie to, na co zasłużył. Nie prosiłem się o to, żeby tam, nad brzegiem Tungny, do mnie strzelał, nie potrzebował zresztš mojego zezwolenia, ale z całš pewnością nie był zaskoczony, kiedy też odpowiedziałem mu ogniem. Do licha, tego się przecież spodziewał!

- Jest w tym jaka logika, ale nie spodziewasz się chyba, że to polubię.

- Wielki Boże -jęknšłem. - A mylisz, że ja to lubię?

- Przepraszam - szepnęła, umiechajšc się blado.

- Ja ciebie też. Wstałem.

- Po tak poważnej dyspucie filozoficznej powinna zjeć niadanie. Zobaczę, czym Sigurlin może cię poczęstować.

Wyjechałem z Laugarvatn o ósmej wieczorem. Może punktualność jest cnotą, ale życie mnie nauczyło, że cnotliwi umierają młodo, podczas gdy grzesznicy dożywają pój staroci. Umówiłem się z Jackiem Case'em na piątkę, ale nie zaszkodzi, jak trochę się podenerwuje. Miałem również wiadomość tego, że szczegóły naszego spotkania były omawiane na falach ogólnodostępnej sieci radiowej.

Do Geysir przyjechałem garbusem Gunnara i zaparkowałem go dyskretnie w sporej odległości od letniego hotelu. Nieliczni turyści spacerowali ostrożnie wśród sadzawek wypełnionych wrzącą wodą, trzymając aparaty fotograficzne w pogotowiu. Sam Geysir, który użył swego imienia wszystkim gejzerom na wiecie, drzemał w bezruchu. Minęło już sporo czasu od

120

chwili, gdy wystrzelił gorącym strumieniem po raz ostatni. Zwyczaj pobudzania go poprzez wrzucanie kamieni do sadzawki doprowadził w końcu do zablokowania komory ciśnieniowej. Ale jego krewniak Strokkur wystrzeliwał z godną podziwu sprawnością w siedmiominutowych odstępach, posyłając w górę strzępiasty pióropuszc wrzącej wody.

Przez dłuższy czas nie opuszczałem garbusa, trzymając niemal bez przerwy lornetkę przy oczach. W ciągu następnej godziny nie dostrzegłem żadnej znajomej twarzy, ale zbytnio mnie to nie poruszyło. Wreszcie wysiadłem z samochodu i udałem się do hotelu Geysir, trzymając rękę w kieszeni na kolbie pistoletu.

Case siedział w kącie holu i czytał książkę. Podeszedłem do niego.

- Witaj, Jack. Piękna opalenizna. Musiałe długo przebywać na słońcu. Podniósł wzrok.

- Byłem w Hiszpanii. Co cię zatrzymało?

- To i owo.

Chciałem już usiść, ale powstrzymał mnie.

- Za dużo tu ludzi, chodmy do mnie na górę. Poza tym mam w pokoju butelkę.

- wietnie.

Poszedłem za nim. Zamknął drzwi pokoju na klucz i odwrócił się, by mi się przyjrzeć.

- Broń w kieszeni deformuje ci marynarkę. Czemu nie nosisz kabury przez ramię?

Umiechnąłem się.

- Ten, któremu zabrałem spluwę, nie nosił kabury. Jak się masz, Jack? Miło cię znowu widzieć.

Chrzstknął gniewnie.

- Możesz jeszcze zmienić zdanie.

Szybkim ruchem ręki otworzył walizkę leżącą na krześle i wyjął butelkę. Wlał porcję w kubek do mycia zębów i podał mi.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? Niele rozżłociła Taggarta.

- Tak, trochę go rzucało, kiedy ze mną rozmawiał - przyznałem i pociągnąłem nieco whisky. - Prawie bez przerwy muszę uciekać, deptasz mi po piętach.

- Nikt tu za tobą nie szedł? - spytał szybko.

- Nie.

- Taggart mówi, że zabił Philipsa. Czy to prawda?

- Jeżeli Philips to facet, który przedstawiał się jako Buchner i Graham, to istotnie go zabiłem.

Wytrzeszczył oczy.

- Przyznajesz się!

Rozparłem się wygodnie na krzele.

121

- Czemu nie, skoro to prawda? Nie wiedziałem jednak, że to Philips. Facet skradał się do mnie w ciemną noc z bronią w rękę.

- Slade przedstawia to zupełnie inaczej. Mówi, że i jego chciało kropnąć.

- Tak, ale to było już po tym, jak pozbyłem się Philipsa. On i Slade przyjechali razem.

- Slade mówi co innego. Twierdzi, że obaj byli w samochodzie, gdy zminenacka ich zaatakowała.

Zamiałem się.

- Czym? - Wyciągnąłem szcian dubh zza skarpety i rzuciłem nim przez całą długość pokoju. Wbił się w blat toaletki, drgając lekko. - Tym?

- Slade mówi, że miał karabin.

- A skąd niby miałem go wytrzasnąć? Chociaż tu akurat ma rację: zdobyłem karabin, zabierając go Philipsowi po tym, jak wysłałem go na tamten wiat za pomocą tego kozika. Wpakowałem trzy kule w samochód Slade'a, ale żadna nie trafiła skurwiela.

- Chryste Panie! - jęknął. - Nic dziwnego, że Taggart szaleje. Czy ty zupełnie straciłeś rozum?

Westchnąłem głęboko.

- Jack, czy Taggart mówił co o dziewczynie?

- Wspomniał, że napomknęło o jakiej dziewczynie. Nie był przekonany, czy ma ci wierzyć.

- Lepiej niech uwierzy. Dziewczyna przebywa niedaleko stąd i ma piękną ranę od kuli, którą poczęstował ją Philips. Niewiele brakowało, by już nie żyła. To są fakty, a jak mi nie wierzysz, mogę cię do niej zawieźć i sam się przekonasz. Slade twierdzi, że go napadłem; czy sądzisz, że zrobiłbym coś takiego, mając narzeczoną u boku? I po jaką cholere miałbym to robić? A czy mówił, co zrobił z ciałem Philipsa? - spytałem chytrze.

Zmarszczył brwi.

- Nie było chyba o tym mowy.

- Nic dziwnego. Gdy widziałem go po raz ostatni, przyciskał gaz do dechy i zmykał jak szalony, ale w samochodzie nie miał żadnego ciała. Pozbyłem się go później.

- Wszystko pięknie, ale przedtem było Akureyri, gdzie miały przekazać paczkę Philipsowi. Nie zrobiły tego i nie oddały jej także Slade'owi. Dlaczego?

- Ta operacja mi mierdziała - odparłem i opowiedziałem mu wszystko od początku do końca.

Mówiłem przez dwadzieścia minut, a kiedy skończyłem, Case patrzył na mnie oczami szeroko rozwartymi ze zdumienia. Przełknął linę, jabłko Adama skoczyło mu konwulsyjnie.

122

- Naprawdę wierzysz, że Slade jest rosyjskim agentem? Spodziewasz się, że Taggart to kupi? W życiu nie słyszałem większej banialuki.

- W Keflaviku postąpiłem zgodnie z instrukcjami Slade'a i o mało nie zostałem zabity przez Lindholma - zacząłem cierpliwie wyliczać. - Potem Slade wysłał za mnie Philipsa do Asbyrgi po paczkę, a w jaki sposób się dowiedział, że Rosjanie

zamiast prawdziwej przechwycili podróbkę? Poza tym jest jeszcze sprawa calvadosu, no i wreszcie...

Przerwał mi ruchem ręki.

- Nie musisz powtarzać tego wszystkiego jeszcze raz. A może Lindholm miał po prostu trochę szczęścia, łapiąc cię tam, gdzie przygotował zasadzkę. Niemożliwe przecież, żeby wszystkie drogi wokół Keflavíku były obstawione. Co do Slade'a, twierdzi, że wcale nie jechał za tobś do Asbyrgi. A w sprawie calvadosu... -

Rozłożył ręce. - Mam na to tylko twoje słowo.

- A kim ty, u diabła, jeste? Prokuratorem, sędziś i ławś przysięgłych w jednej osobie? A może wyrok na mnie już zapadł, a ty jeste jego wykonawcś?

- Nerwy ci puszczajś- westchnśł ze znużeniem. - Staram się tylko ocenić, jak wielkiego zamieszania narobił. A co było po opuszczeniu Asbyrgi?

- Pojechalimy pustkowiem, kierujśc się na południe. A potem zjawił się Kennikin.

- To ten, który pociśga calvados? Ten, z którym starł się w Szwecji?

- Ten sam. Mój stary znajomy, Waclaw. Nie uważasz, Jack, że to był cholernie dziwny zbieg okolicznoci? W jaki sposób Kennikin mógł się dowiedzieć, którym szlakiem ma za mnś pognać? Oczywiście, wiedział o tym Slade. On wiedział, którędy pojechalimy po opuszczeniu Asbyrgi.

Case przyglśdał mi się z uwagś.

- Wiesz, czasami potrafisz być bardzo przekonawajśc. Mógłbym nawet uwierzyć w tę bzdurę, gdybym był mniej ostrożny. Ale jednak Kennikin cię nie złapał.

- Niewiele brakowało, miałem go tuż za sobś. A do tego jeszcze ci cholerni jankesi...

Case spojrział uważnie.

- A co oni mają z tym wspólnego?

Wyjść przepustkę Fleeta i rzuciłem mu na kolana.

- Ten gość przestrzelił mi oponę z bardzo dużej odległości. A gdy udało mi się stamtąd wydostać, Kennikin był za mną zaledwie o dziesięć minut drogi.

Opowiedziałem Case'owi o całym zajściu. Skrzywił się.

- Teraz to już przesadziłeś. Zaraz będziesz pewnie twierdził, że Slade jest członkiem CIA - rzucił sarkastycznie. - Dlaczego Amerykanie mieliby pomagać Kennikinowi w ujęciu ciebie?

123

- Nie mam pojęcia - przyznałem szczerze. - Sam chciałbym to wiedzieć. Case oglądał przepustkę.

- Fleet... znam to nazwisko. Słyszałem o nim w ubiegłym roku w Turcji. Ten facet to spluwa CIA. Jest niebezpieczny.

- Przez następny miesiąc raczej nie: roztrzaskałem mu czaszkę.

- A więc co było dalej?

- Gnałem pełną parą, a Kennikin i jego chłopcy mieli wyraźną ochotę dosiść się na moją rurę wydechową. Nad brzegiem rzeki doszło do małej awantury, a potem go zgubiłem. Musi być gdzie niedaleko.

- Czyli masz jeszcze tę paczkę?

- Nie przy sobie, Jack - odparłem. - Nie mam jej tutaj, ale jest całkiem niedaleko.

- Nie jest mi potrzebna - stwierdził, i przemierzył pokój, by wziść ode mnie pustą szklankę. - Plan uległ zmianie: masz zawieźć paczkę do Reykjavíku.

- Tak po prostu... A jeli nie będę chciał?

- Nie bšd głupcem. Taggart chce, żeby to zrobił, i lepiej nie próbuj jeszcze bardziej go rozwcieczać. Nie doć, że schrzaniłe mu całš operację, to jeszcze zabiłe Philipsa, a wiesz, że za to może zažšdać twojej głowy. Kazał ci powtórzyć: zawie paczkę do Reykjaviku, a wszystko pójdzie w zapomnienie.

- To musi być co naprawdę ważnego - stwierdziłem i zacząłem wyliczać: - Zabiłem dwóch facetów, trzeciemu o mało nie odstrzeliłem nogi, przypuszczalnie roztrzaskałem dwie czaszki, a Taggart mówi, że może to wszystko zmieć pięknie pod dywan.

- Ruscyc i Amerykanie niech sami troszczš się o swojš własnoć. Jeli będš jakie trupy, to je pochowajš - odrzekł brutalnie. - Ale u nas tylko Taggart może oczycić twoje konto. Zabijajšc Philipsa, stałe się celem w wietle prawa. Rób, co ci Taggart każe, bo inaczej spuci na ciebie psy.

Przypomniałem sobie, że w rozmowie z Taggartem sam użyłem podobnego zwrotu.

- Gdzie jest teraz Slade? - spytałem.

Case odwrócił się do mnie plecami i usłyszałem brzęk butelki o szklankę.

- Nie wiem. Kiedy wyjeżdżałem z Londynu, Taggart próbował się z nim skontaktować.

- A więc możliwe, że jest jeszcze w Islandii - powiedziałem powoli. - Wcale mi się to nie podoba.

Odwrócił się w mojš stronę.

- To, co ci się podoba, przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Na Boga, Alan!

Co za licho cię opętało? Pomył, do Reykjaviku masz tylko sto kilometrów, dojedziesz tam w dwie godziny. Bierz tę cholernš paczkę i jed.

- Mam lepszy pomysł: tyś zawie.

124

Potrząsnął głowę.

- To niemożliwe. Taggart chce, żebym wracał do Hiszpanii. Rozemiałem się.

- Najprostsza droga do międzynarodowego portu lotniczego w Keflavi-ku wiedzie właśnie przez Reykjavik. Mógłby po drodze podrzucić paczkę. Jakiż to ważny powód sprawia, że paczka i ja jesteśmy ze sobą tak nierozzerwalnie związani?

Wzruszył ramionami.

- Takie otrzymałem instrukcje i nie pytaj mnie dlaczego, bo naprawdę nie wiem.

- Co jest w tej paczce?

- Tego też nie wiem. A widząc, jaki operacja przybiera obrót, wolę tego nie wiedzieć.

- Jack, był czas, że mogłem nazwać cię przyjacielem. A teraz próbujesz karmić mnie bajeczkami o tym, że musisz wracać do Hiszpanii, ale ja nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Wierzę natomiast, że nie masz pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Mylę, że nie wie tego żaden z uczestników tej operacji, może z wyjątkiem jednej osoby.

Case przytaknął, mówiąc:

- Taggart pociąga za wszystkie sznurki. Ani mnie, ani tobie ta wiedza nie jest potrzebna do wykonania zadania.

- Nie myślałem o Taggarcie. Sądzę, że on też nie wie, co jest grane. Może uważa inaczej, ale w takim razie jest w błędzie. - Podniosłem wzrok. - Miałem na myśli Slade'a. Cała ta przedziwna operacja pasuje jak ulał do jego spaczzonego umysłu. Pracowałem z nim kiedyś i wiem, co się kryje pod jego czaszką.

- Znów wracamy do Slade'a - zauważył z niechęcią Case. - Wpadłem w obsesję na jego punkcie.

- Możliwe. W każdym razie możesz przekazać Taggartowi dobrą nowinę: zawiozę tę cholerną paczkę do Reykjavíku. Gdzie mam ją dostarczyć?

- Teraz zaczynasz mówić do rzeczy.

Spucił wzrok na moją szklankę, którą trzymał w ręku; zdążył już o niej zapomnieć. Podał mi ją.

- Znasz biuro podróży Nordri?

- Tak. (Wiedziałem, że pracowała tam kiedy Elin.)

- Ja nie znam, ale z tego, co mi przekazano, wiem, że poza obsługą ruchu turystycznego prowadzi tam również duży sklep z pamiątkami.

- Dobrze ci przekazano.

- Mam stamtąd papier, jakiego używają do pakowania prezentów. Zawiniesz w niego starannie paczkę, wejdiesz do rodka i przejdiesz do tyłu sklepu, gdzie sprzedają wyroby wełniane. Będzie tam stał facet z egzemplarzem

125

New York Timesa", trzymając pod pachą identyczną paczkę. Odezwiesz się jakby od niechcenia: Zimniej tu niż w Stanach", na co on odpowie...

- W Birmingham jest jeszcze zimniej". Znam ten tekst, kiedy już go przerabiałem.

- W porządku. Po dokonaniu obustronnej identyfikacji położysz paczkę na ladzie i on to samo zrobi ze swoją. No a reszta będzie już najzwyklejszą wymianą.

- A kiedy ta najzwyklejsza wymiana ma nastąpić?

- Jutro w południe.

- A jeli nie uda mi się dotrzeć na czas? Mogę się spodziewać, że Rosjanie

obstawiś cała drogę setkami swoich ludzi w kilometrowych odstępach.

- Ten kto będzie czekał na ciebie w sklepie codziennie w południe.

- Wzruszaj się, jakś Taggart pokłada we mnie wiarę. Według Slade'a Departament odczuwa braki kadrowe, a Taggart, proszę, jaki rozrzutny! A co będzie, jeli nie pojawię się przez rok?

Case nie umiechnął się.

- Taggart poruszył tę sprawę. Jeli nie zjawisz się tam w ciągu tygodnia, to zaczną cię szukać, a tego bym szczerze nie chciał, bo mimo twej niemiłej uwagi o przyjani, nie przestałem cię lubić.

- Umiechnij się, kiedy to mówisz, panie nieznajomy. Umiechnął się i usiadł z powrotem.

- A teraz opowiedz wszystko jeszcze raz po kolei, od momentu pojawienia się Slade'a u ciebie w Szkocji.

Tak więc powtórzyłem po raz kolejny całą swoją listę nieszczęść, zwracając uwagę na każdy szczegół, wszystkie za i przeciw". Rozmawialiśmy dosyć długo, wreszcie Case odezwał się poważnym głosem:

- Jeżeli masz rację, jeżeli Slade rzeczywiście dał się kupić, oznacza to duże kłopoty.

- Nie sądzę, by go kupili - sprostowałem. - Moim zdaniem od samego początku był rosyjskim agentem. Ale jest jeszcze co, co martwi mnie nie mniej niż Slade: co w tym wszystkim robiś Amerykanie? To do nich niepodobne, by łączyły ich zażyłe stosunki z ludmi takimi jak Kennikin.

Case zbagatelizował to.

- Problem z Amerykanami - stwierdził - dotyczy tylko tej konkretnej operacji.

Ale sprawa Slade'a to co innego. Jest teraz wielkš szychš, bierze udział w sprawach planowania i polityki. Jeźeli wdepnšł w to bagno, trzeba by zreorganizować cały Departament.

Nagle machnšł rękš.

- Jezu, o czym ja mówię! O mało nie zacząłem w to wszystko wierzyć. To całkowity nonsens, Alan!

Wyciśgnšłem pustš szklankę.

126

- Napiłbym się jeszcze. Przez to gadanie wyschło mi w gardle. Case sięgnšł po napoczętš butelkę, ja tymczasem ciśgnšłem dalej:

- Spójrźmy na to w ten sposób: pytanie zostało postawione, a skoro tak, nie może zostać bez odpowiedzi. Jeźeli powtórzysz przed Taggartem moje zarzuty wobec Slade'a, wówczas będzie musiał podjść odpowiednie kroki. Nie może sobie pozwolić na milczenie. Wemie Slade'a pod lupę, a nie sšdę, by ten wytrzymał gruntowne badanie.

Case skinšł głowš.

- Jest tylko jedno ale - zaczął. - Musisz mieć całkowitš pewnoć, żenię kierujesz siew stosunku do Slade'a uprzedzeniem. Wiem, dlaczego odszedł z Departamentu, i wiem dobrze, dlaczego tak szczerze nie cierpisz Sla-de'a. Nie potrafisz być bezstronny. Wnosisz przeciwko niemu ciężkie oskarżenie i jeli wyjdzie on z tego bielszy niź wieży nieg, to znajdziesz się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Slade zaźsda twojej głowy na tacy i dostanie jš.

- I wtedy będzie miał prawo źsdać. Ale do tego nie dojdzie. Jest winny jak

wszyscy diabli.

Zabrzmiało to chyba dosyć przekonywająco, ja sam jednak nie mogłem wyzbyć się dokuczliwej obawy, że może jednak się mylę, Uwaga Case'a o mojej stroniczoci i uprzedzeniu wobec Slade'a nie była pozbawiona podstaw. Jeszcze raz pospiesznie przeanalizowałem wszystkie zarzuty przeciwko Slade'owi i nie znalazłem żadnego słabego punktu.

Case spojrział na zegarek.

- Pół do dwunastej. Odstawiłem whisky nie napoczętś.

- Póno już, muszę wracać.

- Przekażę to wszystko Taggartowi - zapewnił Case. - Powiem mu również o Fleecie i McCarthym. Może uda mu się co wywiedzieć przez Waszyngton.

Wyciśgnęłem sgián dubh z blatu toaletki i wsunęłem za skarpetę.

- Powiedz mi, Jack, naprawdę nie wiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. O całej operacji usłyszałem po raz pierwszy, kiedy ciśgnęli mnie z Hiszpanii. Taggart był wciekły, i, moim zdaniem, miał ku temu wszelkie powody. Skarżył się, że nie chcesz mieć nic wspólnego ze Slade'em i że nawet nie chciałe mu zdradzić, gdzie jeste. Powiedział jeszcze, że zgodziłe się na spotkanie ze mnś w Geysir. Jestem niczym więcej, Alan, jak tylko chłopcem na posyłki.

- Dokładnie to samo Slade powiedział o mnie - zauważyłem posepnie. - Wiesz co, zaczynam już mieć dosyć tej gonitwy na olep, mam naprawdę powyżej uszu tego ciśgłego gonienia. Może dobrze by mi zrobiło, gdybym tak od czasu do czasu postawił na swoim i nie ruszał się z miejsca.

- Nie radziłbym ci - ostrzegł Case. - Lepiej posłuchaj rozkazów i zawię paczkę do Reykjavíku.

Włożył marynarkę.

- Odprowadzę cię do samochodu. Gdzie zaparkowała?

- Kawałek od hotelu.

Miał już otworzyć drzwi, kiedy powiedziałem:

- Myślę, że nie było ze mną do końca szczerzy, Jack. Unikałem, jak mogłem, paru tematów. Słuchaj, ostatnio dzieją się cholernie dziwne rzeczy, na przykład to, że pracownik Departamentu ugania się za mną z bronią w rękę, a więc chcę ci powiedzieć jedno; całkiem prawdopodobne, że w drodze do Reykjavíku mogę zostać zatrzymany i jeżeli okaże się, że maczałem w tym palce, wówczas nie baczę na przyjań, dobiore się do ciebie. Mam nadzieję, że to dobrze zrozumiałe.

Umiechnął się.

- Rany boskie, wyobrażasz sobie co, co nie istnieje.

Był to jednak wymuszony uśmiech, a w wyrazie twarzy Case'a dostrzegłem co, czego nie potrafiłem określić, a co wzbudziło mój niepokój. Minęło sporo czasu, zanim zrozumiałem, co się za tym kryło, ale nastąpiło to, niestety, za późno.

Rozdział 7

Wyszliśmy przed hotel. Ciemności panujące na zewnątrz były typowe dla pory letniej w Islandii. Noc była bezksiężycowa, występował jednak ten szczególny rodzaj widocznoci, który można by nazwać upiornym półmrokiem. Gdzieś wśród górskich ródła dała się słyszeć cicha eksplozja i w górę wystrzeliło tajemnicze widmo Stokkuru, ulotna zjawka rozszarpywana na strzępy przez podmuchy wiatru. Powietrze wypełnił zapach siarki.

Przeszył mnie nagły dreszcz. Nic dziwnego, że na mapie Islandii aż roi się od nazw miejsc opowiadających o olbrzymich trollach zamieszkujących pod górami, a jej sędziwi mieszkańcy wciśz przekazujš legendy o ludziach wchodzących w konflikt z duchami. Młodszy przedstawiciele Islandii, wpisani w wiek dwudziesty ze swymi radiami tranzystorowymi, dla których lot samolotem jest chlebem powszednim, miejš się z tego i okrelajš wszystko mianem przeszšdów. Może i mają rację, chociaż zauważyłem, że miech ten bywa czasami wymuszony i da się w nim usłyszeć pewnš nutę niepokoju. Wiem tylko tyle, że gdybym był jednym z owych dawno temu żyjących wikingów i natknš się nieoczekiwanie w ciemnš noc na Strokkur, to trzšłbym się ze strachu.

Case chyba równieŹ uchwycił co z tej atmosfery, spojrział bowiem na rzadziejš zasnę mgły otaczajšc znikajšce teraz widmo Strokkuru i szepnšł:

- Co w tym jest, prawda?

- Tak - odparłem krótko. - Tam zaparkowałem, to jeszcze spory kawałek. Szlimy, chrzęszczšc butami po pokrytej skruszonš lawš drodze, mijajšc długi szereg pomalowanych na biało słupów, które oddzielajš drogę od goršcych ródeł. Słyszeć było bulgotanie wrzšcej wody i czuć coraz mocniej odór siarki. W wietle dnia sadzawki mieniš się różnymi barwami: niektóre

9 Na olep

129

sšbiałe i czyste jak dŹin, inne połyskujš przezroczytym błękitem lub zieleniš, a kaŹda bliska jest temperaturze wrzenia. Nawet w ciemności dojrzeć mogłem białe opary wznoszące się w powietrzu. Case odezwał się:

- A jeli chodzi o Slade'a, co to miało...?

Nie dowiedziałem się nigdy, o co chciał zapytać, ponieważ w j ednej chwili wyrosły obok nas trzy gęste cienie. Poczułem, jak kto mnie chwyta, i usłyszałem:

Stewartsen, stanna! Fórstar ni?

Jednoczenie poczułem, że co twardego wbija mi się w bok. Zgodnie z poleceniem stanšłem, ale niezupełnie tak, jak tego oczekiwano. Cały maksymalnie zwiotczałem, podobnie jak McCarthy, kiedy uderzyłem go pałkš, ugišłem kolana i obniżyłem się do ziemi. Usłyszałem stłumiony okrzyk zdziwienia i w jednej chwili uchwyt na mej ręce się rozlunił. Ten nagły ruch w zupełnie nieoczekiwanym kierunku pomógł mi uwolnić się także od luty uciskaj šcej mi zebra. W momencie kiedy znalazłem się przy ziemi, błyskawicznie obróciłem się na ugiętej nodze, drugš natomiast, sztywno wyprostowanš, trafiłem z całej siły mego mówišcego po szwedzku przyjaciela. Podcięty pod kolanami, zwałił się jak długi na ziemię. Miał pistolet gotowy do strzału, w chwili bowiem, gdy padał, rozległ się huk wystrzału i usłyszałem wist rykoszetujšcej kuli.

Przeturlałem się i zatrzymałem, leżšc z twarzš przy ziemi tuż obok jednego ze słupów. Na tle bieli farby mógłbym zbytnio rzucać się w oczy, odczołgałem się więc z drogi i zanurzyłem w ciemnościach, wycišgajšc jednoczenie pistolet. Kto za mnš krzyknšł: Spieszitie!, na co inny głos odpowiedział cichszym tonem: Niet! Sluszajšcie! Leżałem bez ruchu i wkrótce usłyszałem dudnienie butów kogo biegnšcego w stronę hotelu.

Tylko ludzie Kennikina mogli zwrócić się do mnie per Stewartsen, mówišc po szwedzku, a ich póniejsze krzyki po rosyjsku utwierdzały mnie w tych przypuszczeniach. Z głowš przy ziemi patrzyłem w stronę drogi, czy nie pojawi

się tam sylwetka którego z moich przeladowców, wyrazicie rysujšca się na tle janiejszego nieba. Dostrzegłem w pobliżu jaki nagły ruch i doszedł mnie chrzęst kroków. Strzeliłem w tamtš stronę, po czym podniosłem się i rzuciłem do ucieczki.

Było to szalenie ryzykowne, mogłem bowiem, biegnšc po ciemku, wpać głowš w dół do jakiej bezdennej sadzawki z wrzšcš wodš. Liczšc kroki, usiłowałem uzmysłowić sobie rozlokowanie goršcych ródeł, które oglšdałem często w wietle dnia przy znacznie bardziej sprzyjajšcych warunkach. Sadzawki różniš się wielkociš, poczšwszy od maleństw mierzšcych w przekroju głupie piętnacie centymetrów, aż po olbrzymy osišgajšce rednicę piętnastu metrów. Woda nagrzana w wyniku przebiegajšcych pod ziemiš

130

procesów wulkanicznych tryska nieprzerwanie z sadzawek, tworzšc sieć goršcych ródeł, które pokrywajš cały ten obszar.

Po przebyciu około stu metrów zatrzymałem się i przyklęknšłem na jedno kolano.

Przede mnš wznosiły się obłoki pary, układajšce się w równš zasłonę bieli.

Według mojego rozeznania miałem przed sobš sam Gey-sir. A to oznaczało, że

Strokkur musiał być gdzie z tyłu po mojej lewej stronie. Zdawałem sobie sprawę,

że muszę trzymać się od niego jak najdalej : przebywanie zbyt blisko Strokkuru

byłoby w najwyższym stopniu niebezpieczne.

Obejrzałem się za siebie. Nic nie dostrzegłem, usłyszałem natomiast odgłos

kroków zbliżajšcych się z miejsca, z którego sam przybyłem. Również z prawej

strony dochodziły mnie coraz bliźsze stšpania. Nie wiedziałem, czy cigajšcy

mnie zdajš sobie w pełni sprawę z sytuacji, ale, celowo czy niewiadomie,

przypierali mnie wprost do sadzawek wypełnionych wrzścš wodš. Męzczyzna nadchodzšcy z prawej włšczył lampę sygnalizacyjnš, urzšdzenie podobne do szperacza. Na moje szczęcie skierował jaku ziemi, bardziej niź mnš pochłonięty obawš, by nie zamienić się w parujšcy gulasz.

Uniosłem pistolet i wystrzeliłem trzykrotnie w jego stronę. wiatło nagle zgasło. Nie sšdzę, bym go trafił, po prostu zdał sobie sprawę, że zapalona lampa stanowi dobry cel. Nie martwiłem się, że robię zbyt dužo hałas, w mojej sytuacji mogło mi to tylko pomóc. Do tej pory padło pięć strzałów - 0 pięć za dužo jak na cichš islandzkš noc. Juź zapalały się wiatła w hotelu 1 dochodziły stamtšd czyje krzyki.

Męzczyzna za mnš strzelił dwa razy. Błysk ognia z lufy wskazywał, że nie dzieli go ode mnie więcej niź dziesięć metrów. Kule poszły szeroko: jedna poszybowała w nieznane, a druga trafiła w lustro Geysiru, wznoszc fontannę wody. Nie odpowiedziałem ogniem, ale pobiegłem w lewo, okršżajšc sadzawkę. Wpadłem w ródło goršcej wody, na szczęcie głębokie zaledwie na pięć centymetrów, i przebiegłem je na tyle szybko, że nie odniosłem żadnych obrażeń. Bardziej się przy tym denerwowałem, by odgłos rozpryskiwanej wody nie zdradził mojego położenia.

Od strony hotelu dochodziło coraz więcej krzyków i słychać było trzask otwieranych okien. Kto z chrapliwym zgrzytem uruchomił samochód, rozbłysło wiatło reflektorów. Nie zwracałem na to większej uwagi, lecz biegłem dalej, zbliżajšc się do drogi. Ten, kto wpadł na pomysł uruchomienia samochodu, nie zamierzał tracić czasu na zabawy. Zatoczył koło i ruszył w stronę sadzawek, owietlajšc cały obszar reflektorami pojazdu.

Jego zamysł okazał się dla mnie nader fortunny, uchronił mnie bowiem przed zwałeniem się głowś w dół do jednej z owych wrzścych sadzawek. Dostrzegłem odbicie wiatła w lustrze wody w samś porę, by zdśżyć zahamować, i przez chwilę balansowałem tuż nad krawędziś. Poczułem krótkie

131

szarpnięcie za rękaw marynarki: kula posłana z zupełnie nieoczekiwanego kierunku - zza przeciwległego brzegu sadzawki - z pewnością nie pomogła mi w odzyskaniu równowagi.

Mimo że sam stałem w pełnym blasku reflektorów tego przekłętego samochodu, mój napastnik znajdował się w dużo gorszym położeniu, znajdował się bowiem pomiędzy mnś a pojazdem i jego sylwetka rysowała się wyranie na tle wiateł. Strzeliłem w niego: wzdrygnśł się całym ciałem i wycofał się. Wkrótce wiatła reflektorów odpłynęły dalej, a ja, nie czekajśc na nic, szybko pobiegłem dookoła sadzawki. Mój przeladowca tymczasem posłał kulę w okolicę miejsca, gdzie przed chwilś stałem.

W chwilę potem wiatła powróciły i znieruchomiały. Wtedy ujrzałem go, jak cofa się, rozglśdajśc nerwowo na wszystkie strony. Nie mógł mnie widzieć, w tym czasie bowiem leżałem już płasko z brzuchem przy ziemi. Powoli cofał się dalej, aż raptem trafił nogś na głębokś na piętnacie centymetrów wrzścś kipiel. Rzucił się przestraszony, próbujśc umknść, nie był jednak wystarczajśco szybki, ponieważ w sadzawce za jego plecami rosła już z bulgotem, jak potwór wynurzajścy się na powierzchnię, bańka gazu zapowiadajśca wybuch Strokkuru.

Strokkur eksplodował gwałtownie. Para przegrzana przelewajścś się głęboko pod ziemiś stopionś magmś wyniosła kominem słuł wrzścej wody, która wzbiła się

fontannš na wysokoć dwudziestu metrów ponad powierzchnię sadzawki i zaczęła opadać w postaci ulewy zabójczego deszczu. Mężczyzna krzyknął przeraliwie, ale jego wrzask zatonął w ryku Strokkuru. Rozłożył szeroko ramiona i zwałił się do wody.

Ruszyłem szybko z miejsca, zataczając szerokie koło, by oddalić się od demaskujących wiatel, i w końcu skierowałem się w stronę drogi. Doszły mnie jakie pomieszane głosy, kolejne samochody ruszyły, by oświetlić swoimi reflektorami miejsce wypadku, a tłum ludzi pobiegł w stronę Strokkuru. Podeszedłem do najbliższej sadzawki i wrzuciłem do niej pistolet wraz z zapasowymi magazynkami amunicji: ten, przy którym znaleziono by tej nocy broń, najpewniej resztę swego życia spędziłby w więzieniu. Dotarłem wreszcie do drogi i dołączyłem do tłumu. Kto zapytał:

- Co się stało?

- Nie wiem - odparłem i machnąwszy ręką w kierunku Strokkuru, dodałem: - Słyszałem jakiś strzelaninę.

Przemknął obok mnie, żśdny obejrzenia cudzego nieszczęcia; gnałby równie szybko, by przyjrzeć się z bliska szczśtkom roztrzaskanego samochodu. Dyskretnie wtopiłem się w ciemność, poza linię stojących pojazdów zarysowań wiatłem reflektorów.

Szedłem teraz drogą w stronę zaparkowanego volkswagena. Po przyjciu stu metrów odwróciłem się i spojrzałem za siebie. Panowało tam duże,

132

pełne gestykulacji podniecenie, długie cienie kładły się na opary przesuważce się nad gorścymi ródłami, a wokół Strokkuru zebrał się niewielki tłum. Ludzie

zbliżali się do gejzeru, nie podchodzili jednak zbyt blisko pomni tego, że Strokkur wybucha w siedmiominutowych odstępach. Z pewnym zdziwieniem zdałem sobie sprawę, że od chwili, gdy wspólnie z Case'em po opuszczeniu hotelu oglądaliśmy eksplozję Strokkuru, do momentu, kiedy wciśnąłem w swą kielich jednego z moich przeladowców, minęło zaledwie siedem minut.

I wtedy ujrzałem Slade'a.

Stał wyrazie widoczny w wiatłach samochodu i patrzył w stronę Strokkuru.

Pożałowałem, że wyrzuciłem pistolet: czułem, że mógłbym go teraz zabić, tak jak stał, nie bacząc na konsekwencje. Jego towarzysz podniósł rękę, wskazując co, na co Slade się rozemiał. W tym momencie znajomy Slade'a odwrócił się i zobaczyłem Jacka Case'a.

Poczułem, jak drzę na całym ciele. Z trudności powlokłem się dalej drogą, by odszukać volkswagena. Stał tam, gdzie go zostawiłem. Usiadłem za kierownicą i po włączeniu silnika nie ruszałem się przez chwilę, czekając, aż spłynie ze mnie całe napięcie. Nie znam nikogo, kto dowiadczwszy strzału z bliskiej odległości, zdołał zachować spokój umysłu: dba o to autonomiczny układ nerwowy. Gruczoły pracują z zwiększonym napięciem, substancje chemiczne żywo krążą we krwi, mięśnie napinają się i wkrótce zaczyna się ból brzucha. Ale najgorsze przychodzi dopiero potem, kiedy minie już zagrożenie.

Nie mogłem opanować drżenia rąk: oparłem je na kierownicy, gdzie wkrótce się uspokoiły. Zaczęłem przychodzić do siebie. Zdążyłem właśnie włączyć bieg, kiedy poczułem na karku piercień zimnego metalu i usłyszałem ostry, dobrze znany mi głos:

- God dag, herr Slewarsen. Farforsiklig. Westchnąłem i wyłączyłem silnik.

- Dzień dobry, Waclawie - odpowiedziałem.

II

- Jestem otoczony bandą idiotów. O niewyobrażalnej wprost głupocie -poskarżył się Kennikin. - Cały ich mózg mieci się w palcu, którym pociśgajš za spust. Za naszych czasów było inaczej, co, Stewartsen?

- Nazywam się Stewart.

- Tak? Cóż, herr Stewart, możesz włšczyć silnik i ruszać. Powiem ci, gdzie masz jechać. A moi niekompetentni asystenci nich sobie radzš sami.

Tršcił mnie wylotem lufy. Włšczyłem silnik.

133

- Dokšd? - spytałem.

- Jed w stronę Lallgarvatn.

Powoli i ostrożnie wyjechałem z Geysir. Nie czułem już ucisku lufy na karku, wiedziałem jednak, że jest w pogotowiu, a znałem Kennikina na tyle dobrze, by wyrzucić z głowy bzdurne myli o bohaterskich wyczynach. Ken-nikin miał ochotę na maš konwersację.

- Narobiłe niezłego bigosu, Alan. Teraz masz jednak okazję rozwišzać zagadkę, która mnie nurtuje: co się stało z Tadeuszem?

- A kto to jest, do diabła?

- W dniu, kiedy wylšdowałe w Keflaviku, on włanie miał cię zatrzymać.

- Więc to był Tadeusz... Mnie przedstawił się jako Lindholm. Tadeusz brzmi z polska.

- To Rosjanin. Jego matka jest chyba Polkš.

- Będzie jej go brakować.

- Ach, tak...

Milczał przez jakiś czas, po czym dodał:

- Biednemu Jurijowi amputowali dziś rano nogę.

- Biedny Jurij powinien mieć więcej rozumu i nie wymachiwać pistoletem przed człowiekiem uzbrojonym w karabin.

- Ale Jurij nie wiedział, że masz karabin. No, nie taki karabin w każdym razie.

To było dla nas spore zaskoczenie. - Młasnł językiem. - Nie powiniene był rozbijać mi tak dziupa. Bardzo nieładnie.

Nie taki karabin! Spodziewał się, że mam karabin, ale nic nie wiedział o armacie Fleeta. Ciekawe, bo wyłszczajśc broń Fleeta, jedyny karabin, jaki miałem, to ten, który zdobyłem na Philipsie, więc w jaki sposób mógł się o nim dowiedzieć Kennikin? Tylko od Slade'a! Otrzymałem jeszcze jeden dowód.

- Silnik zniszczony? - spytałem.

- Przestrzeliłe na wylot akumulator. Poszedł też cały układ chłodzenia, zupełnie wyciekła woda. Ta twoja broń to całkiem niezła zabawka.

- Zgadza się - przyznałem. - Mam nadzieję, że będę mógł jeszcze jej użyć.

Zachichotał.

- Bardzo wstąpię. Twój ostatni występ sprawił nam wystarczająco dużo kłopotów.

Musiałem się gęsto tłumaczyć, żeby z tego wybrnąć. Kilku wcib-skich

Islandczyków zadawało mi masę pytań, na które naprawdę nie miałem ochoty odpowiadać. A do tego mieliśmy jeszcze kłopoty z uciszaniem Jurija.

- To musiało być szalenie męczące.

- I dzi znów się popisałe, tym razem na oczach wszystkich. Co tam się właściwie wydarzyło ?

- Jeden z twoich chłopców trochę się podpiekł, podszedł zbyt blisko gejzeru.

- No więc widzisz. Pracuję z samymi partaczami. Można by sądzić, że trzech na jednego to wystarczająca przewaga, co? Ale gdzie tam! Spartaczyli całą robotę.

Tak naprawdę układ sił wynosił trzech do dwóch, ale co właściwie stało się z

Jackiem Case'em? Nie ruszył nawet palcem, żeby mi pomóc. Obraz Jacka

pochłoniętego rozmową ze Slade'em nie przestawał piec mnie żywym ogniem; czułem,

jak zaczyna wzbierać we mnie wciekłość. Ilekroć zwracałem się do kogo, komu,

jak sądziłem, mogłem zaufać, tylekroć padałem ofiarą zdrady i wiadomość tego

piekła jak jęstrząca się rana.

Mogłem zrozumieć Buchnera vel Grahama vel Philipsa - był członkiem Departamentu,

który Slade'owi udało się wystawić do wiatru. Ale Case wiedział, o co chodzi,

znał moje podejrzenia w stosunku do Slade'a i mimo to nie zrobił dosłownie nic,

by przyjąć mi z pomocą, kiedy zaatakowali mnie ludzie Kennikina. A w dziesięć

minut potem stał i gawędził sobie za pan brat ze Slade'em. Sprawiało to

wrażenie, jakby cały Departament był infiltrowany przez przeciwnika, chociaż,

wyłączając Taggarta, Case był ostatnią osobą, którą mógłbym podejrzewać o

przejście do obozu wroga. Naszła mnie gorzka refleksja, że może nawet sam

Taggart znajduje się na licie plac Moskwy: w takim opakowaniu układałoby się to

w jedną zgrabną całość.

Rozmyślania przerwał mi głos Kennikina.

- Cieszy mnie, że cię doceniłem. Przewidziałem, że zdołasz uciec tym

półgłówkom, z którymi muszę pracować, i dlatego obstawiłem twój samochód.

Przezorność zawsze popłaca, nie sądzisz?

- Dokąd jedziemy?

- Nie musisz tego tak dokładnie wiedzieć. Skup się po prostu na prowadzeniu samochodu. Pojedziesz przez Laugarvatn, zachowując maksymalną ostrożność i przestrzegając wszystkich ograniczeń prędkości, i nie próbuj podejmować działań, które mogłyby zwrócić czyjąś uwagę. Żadnych nagłych klaksonów na przykład.

W tej samej chwili poczułem dotknięcie zimnej stali na szyi.

- Zrozumiałe?

- Tak.

Nagle mi ulżyło. Obawiałem się już, że Kennikin wie, gdzie spędziłem ostatnie dwadzieścia cztery godziny i każe mi jechać teraz do domu Gunna-ra. Nawet by mnie to nie zaskoczyło, Kennikin bowiem zdawał się wiedzieć o wszystkim innym. Przykładem dzień dzisiejszy, kiedy zaczął się na mnie chytrze w Geysir. Krew zastygła mi w żyłach na myśl, że Elin czy Sigurlin mogłyby trafić w jego ręce.

135

Przejechaliśmy przez Laugarvatn, kierując się w stronę Thingvellir. Wjechaliśmy na szosę prowadzącą do Reykjavíku, ale osiem kilometrów za Thingvellir Kennikin polecił mi skręcić w lewo na podrzędniejszą drogę. Znałem ją dobrze i orientowałem się, że prowadzi wokół jeziora Thingvallavatn. Zastanawiałem się dokąd, u licha, możemy jechać.

Nie musiałem długo czekać na odpowiedź, bo na polecenie Kennikina zjechałem z drogi i wtoczyliśmy się na wyboisty szlak, zmierzając teraz w stronę jeziora i wiatel niewielkiego domu. Jednym z symboli statusu społecznego mieszkańca Reykjavíku jest letni domek wypoczynkowy nad brzegiem Thingvallavatn. Odkąd ceny poszły w górę w ład za ograniczeniami budowlanymi zabraniającymi

wznoszenia nowych budynków, posiadanie domku wypoczynkowego nad jeziorem

Thingvallavatn jest islandzkim odpowiednikiem trzymania Rembrandta na cianie.

Zatrzymałem samochód przed budynkiem.

- Nacinij klakson - polecił mi.

Zatrściłem, a na ten znak z domu wyszła jaka postać. Kennikin przystawił mi pistolet do głowy.

- Uważaj, Alan - ostrzegł. - Zachowuj się rozsšdnie.

On sam wykazał się daleko idšcš ostrožnociš - zostałem wprowadzony do rodka bez najmniejszej moŹliwoci ucieczki. Pokój był urzšdzony w tym szeroko rozpowszechnionym stylu, znanym jako Swedish Modern, który w domu angielskim sprawia wraŹenie zimnego i nieco sztucznego, natomiast w Skandynawii wyglšda przytulnie i naturalnie. Na kominku palił się ogień, co było pewnego rodzaju niespodziankš; Islandia nie posiada złóŹ węgla, nie ma równieŹ drzew, z których można by otrzymywać drewno na opał, stšd teŹ widok naturalnych płomieni jest rzadkociš. Wiele domów jest ogrzewanych za pomocš naturalnych goršcych ródeł, pozostałe sš wyposaŹone w system ogrzewania paliwem olejowym. Na kominku u Kennikina płonęły, żarŹc się czerwono, bryły tortu, migotajšce niebieskawymi płomieniami.

Kennikin potrzšsnšł broniš.

- Siadaj przy kominku, ogrzej się trochę. Ale najpierw Iljicz cię przeszuka.

Iljiczbył silnie zbudowanym mężczyznš o szerokiej płaskiej twarzy. Jego oczy miały co z Azjaty, co skłaniało ku przypuszczeniu, Źe przynajmniej jedno z jego rodziców pochodziło zza Uralu. Obmacał mnie dokładnie, po czym odwrócił się do Kennikina i potrzšsnšł przeczšco głowš.

- Nie masz broni? - podchwycił Kennikin. - Bardzo mśdrze. - Posłał Iljiczowi miły umiech i ponownie zwrócił się do mnie:

- No i sam widzisz, Alan, że jestem otoczony zgrajš idiotów. Podnie łaskawie nogawkę na lewej nodze i pokaż Iljiczowi swój liczny nożyk.

136

Zrobiłem, co mi kazał. Iljicz zamrugał oczami ze zdziwienia, a Kennikin zaczął go zdrowo objeżdzać. Jeli chodzi o ostre inwektywy, język rosyjski jest jeszcze bogatszy niż angielski. Tak więc sgian dubh uległ konfiskacie, a Kennikin wskazał mi krzesło, które Iljicz, cały czerwony na twarzy, postawił za mnš. Kennikin odłożył pistolet.

- Czego się napijesz, Alanie Stewart?

- Szkockiej, jezeli masz.

- A jakże.

Otworzył kredens w pobliżu kominka i nalał drinka.

- Czysta czy z wodš? Przykro mi, ale nie mamy sodowej.

- Może być woda - zapewniłem. - Poproszę o słabego drinka. Umiechnš się.

- No, tak. Musisz zachować przytomnoć umysłu - stwierdził ironicznie. -

Rozdział IV, Paragraf 35: kiedy przeciwnik częstuje cię drinkiem, pro zawsze o słabego.

Dolał wody do szklanki i podał mi.

- Mam nadzieję, że będzie ci odpowiadać.

Pocišgnšłem ostrożnie ze szklanki i przytaknšłem. Gdyby jej zawartoć była choć odrobinę słabsza, nie miałaby siły wydostać się ze szklanki i trafić do gardła.

Kennikin wrócił do kredensu i nalał sobie pełny kubek islandzkiego brennivina,

po czym jednym haustem opróżnił go do połowy. Patrzyłem z niedowierzaniem, jak bez zmrużenia powiek wlewa w siebie czysty spirytus: jeżeli nie krył się już z picciem, był to dowód, że stacza się coraz szybciej. Dziwiło mnie, że w Departamencie nic o tym nie wiedzś.

- Tak trudno ci w Islandii zdobyć calvados? - spytałem. Wyszczrzył zęby w umiechu i podniósł naczynie z alkoholem.

- To mój pierwszy kieliszek od czterech lat. Dzisiaj mam wielkie święto. Usiadł na krzele naprzeciwko mnie.

- Mam powód do świętowania. Nieczęsto się zdarza w naszej profesji, że spotykajś się starzy znajomi. Dobrze się z tobś obchodzś w Departamencie?

Upiłem wodnistej szkockiej i odstawiłem kieliszek na niski stolik obok mojego krzesła.

- Nie pracuję w Departamencie od czterech lat. Podniósł brwi.

- Mam inne informacje.

- W takim razie błędne. Odszedłem stamtśd po powrocie ze Szwecji.

- Ja też odszedłem. To moje pierwsze zadanie od czterech lat. Mam ci wiele do zawdzięczenia. - Mówił spokojnym, równym głosem. - Ale odszedłem nie z własnej woli. Posłali mnie do papierkowej roboty w Aszchaba-dzie. Wiesz, gdzie to jest?

- W Turkmenii.

137

- Włanie. - Walnśł się w pier. - Ja, Wacław Wiktorowicz Kennikin, oddelegowany do przeczesywania granicy w poszukiwaniu przemytników narkotyków i przerzucania papierków za biurkiem!

- Tak upadajś wielcy tego wiata - zauważyłem. - Więc ciśgnęli cię stamtśd

specjalnie do tej operacji. To ci musiało sprawić przyjemność.

Wyprostował nogi.

- O tak, szczególnie za ucieszyła mnie wiadomość, że znajdę tu ciebie.

Widzisz, był czas, kiedy uważałem cię za przyjaciela. - Podniósł lekko głos.

- Byłe mi tak bliski jak własny brat.

- Nie żartuj, wiesz przecież, że agent wywiadu nie ma przyjaciół. Przypomniałem sobie Jacka Case'a i pomyślałem z goryczą, że i ja, tak

jak kiedy Kennikin, dowiadczam tej prawdy na własnej skórze. Kennikin ciśgnął dalej, jakbym w ogóle nic nie mówił.

- Nawet bliższy niż brat. Byłem gotów złożyć swe życie w twoje ręce. Zrobiłem to zresztą. - Wpatrywał się w bezbarwną zawartość szklanki. - A ty mnie sprzedaje.

Nagłym ruchem podniósł szklankę i opróżnił ją. Odezwałem się z przekśsem:

- Daj spokój, Waławie, na moim miejscu zrobiłby to samo. Wpatrywał się we mnie uparcie.

- Ale ja ci zaufałem - rzekł nieomal płaczkliwie. - To włanie najbardziej bolało.

Wstał i podszedł do kredensu. Rzucił mi przez ramię:

- Wiesz, jak jest u mnie w kraju: tam nie wybacza się błędów. No, więc...

- Wzruszył ramionami. - Trafiłem za biurko w Aszhabadzie. Zniszczyli mnie - zakończył chrapliwym głosem.

- Mogło być gorzej - zauważyłem. - Mogłę trafić na Syberię; na przykład do Katangi.

Kiedy wrócił na miejsce, w ręku znów trzymał pełny kubek.

- Niewiele brakowało - odparł spokojnie. - Ale przyjaciele pomogli. Moi prawdziwi rosyjscy przyjaciele.

Z wysiłkiem powrócił do spraw współczesności:

- Nie traćmy jednak czasu. Masz pewien element elektronicznego wyposażenia, który znajduje się bezprawnie w twoim posiadaniu. Gdzie to jest?

- Nie wiem, o czym mówisz. Skinął głową.

- Oczywiście, nie spodziewałem się, że powiesz co innego. Ale musisz zdać sobie sprawę, że w końcu mi to dasz. - Wziął papieronicę. - Więc?

- W porządku. Obaj wiemy, że to mam. Nie ma sensu kręcić, zbyt dobrze się znamy. Ale nie dostaniesz tego.

Wyjął z papierownicy długiego rosyjskiego papierosa.

138

- A ja myślę, że dostanę. Powiem więcej: jestem tego pewien. Odłożył papierosy i zaczął szukać zapalniczki po kieszeniach.

- Widzisz, dla mnie to nie jest zwykła operacja. Mam wiele powodów, by pragnąć twego cierpienia, powodów zupełnie nie związanych ze sprawą tego elektronicznego przyrządu. Jestem zupełnie pewny, że go dostanę.

Głos miał zimny jak lód. Czuję, jak ciarki przechodzą mi po plecach. Kennikin będzie chciał poczęstować cię kawałkiem ostrego noża". To słowa Slade'a i on właśnie wydał mu w rękę Kennikina.

Kennikin mruknął coś z niezadowoleniem, stwierdziwszy, że nie ma czym zapalić papierosa, po czym zza moich pleców wysunął się Iljicz z zapalniczką w rękę.

Kamień zapalniczki zaiskrzył i Kennikin przechylił głowę, by przyjść ogień. Znów spod kamienia posypała się iskra, ale płomień się nie pojawił.

- Zostaw to! - rzekł wyranie poirytowany.

Nachylił się i wyjął z kominka zwitek papieru, rozżarzył go od płomienia i przypalił papierosa. Patrzyłem z zainteresowaniem, co robi Iljicz. Nie wrócił na swoje stanowisko za moim krzesłem, ale podszedł do kredensu z alkoholem za plecami Kennikina.

Kennikin zaciśgnął się papierosem, wypuszczając obłok dymu, i podniósł wzrok. W chwili gdy zauważył nieobecność Iljicza, w jego dłoni pojawił się pistolet.

- Iljicz, co ty wyprawiasz?

Pistolet celował nieruchomo prosto we mnie.

Iljicz odwrócił się, trzymając w ręku butlę z butanem.

- Napelniam zapalniczkę.

Kennikin wydmuchnął policzki i wywrócił oczami.

- Zostaw już to! - rzucił ostrym tonem. - Id przeszukać volkswagena. Wiesz, czego szukać.

- Tego tam nie ma, Waclawie.

- Iljicz upewni się, czy mówisz prawdę.

Iljicz wstawił butlę z butanem z powrotem do kredensu i wyszedł z pokoju.

Kennikin nie odłożył pistoletu, ale trzymał go teraz jakby od niechcienia.

- No i nie mówiłem? Grupa, którą mi przydzielili, to faceci wyskrobani z samego dna beczki. Dziwi mnie, że nie próbowały wykorzystać okazji.

- Pewnie bym to zrobił, gdyby nie było tu ciebie.

- No tak. Znamy się bardzo dobrze, może aż za dobrze. Odłożył papierosa do popielniczki i podniósł szklanę.

- Wcale nie jestem pewien, czy praca nad tobą będzie mi sprawiać przyjemność.

Wy, Anglicy, macie takie przysłowie: "Twój ból jest moim bólem". - Machnął ręką.

- Ale może le to zrozumiałem.

139

- Nie jestem Anglikiem - zaproponowałem. - Jestem Szkotem.

- Różnica bez znaczenia to żadna różnica. Ale co ci powiem: ty w moje życie wprowadziłeś istotną różnicę. - Pociągnął łyk brennivina. - A ta twoja dziewczyna, Elin Ragnarsdottir... kochasz ją?

Zdrętwiałem.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego. Rozemiał się.

- Bez obaw, nie mam zamiaru jej skrzywdzić. Włos z głowy jej nie spadnie. Nie wierzę w Biblię, ale gotów jestem na nią przysiąc. - W jego głosie pojawiła się nuta ironii. - Mogę nawet przysiąc na dzieła Lenina, jeśli to uznać za właściwy zamiennik. Wierysz mi?

- Tak.

Naprawdę mu wierzyłem. Pod tym względem różnił się od Slade'a. Slade'owi nie mogłbym zaufać, choćby przysięgał na tysiąc biblii, ale jedno słowo Kennikina wystarczało, bym mu uwierzył, tak jak on kiedy uwierzył mnie. Dobrze znałem i rozumiałem Kennikina i lubiłem jego styl: był na wskroś dżentelmenem; dzikusiem, ale jednak dżentelmenem.

- No więc, odpowiedz na moje pytanie: kochasz ją?

- Chcemy się pobrać. Wybuchnął miechem.

- To niezupełnie szczerą odpowiedź, ale mi wystarczy. - Nachylił się. - Sypiasz z nią, Alan? Kiedy bawisz w Islandii, czy kładziecie się pod rozgwieżdżonym niebem i splatając wasze ciała, kochacie się, aż wasz pot zlewa się w jedno?

Szepczecie sobie słodkie, czułe słówka i prowadzicie się nawzajem aż do ostatniego porywu namiętności, kiedy wzbierający w was wybuch ekstazy przynosi wam zaspokojenie, po czym odpływa, zostawiając was w stanie słodkiego omdlenia?

Czy tak to właśnie jest?

W jego pomruku wyczuwało się nutę okrucieństwa.

- Pamiętasz nasze ostatnie spotkanie w tym sosnowym lesie, gdzie próbowałam mnie zabić? Żałuję, że nie strzelałam celniej. Przez długi czas lekarze w Moskwie starali się mnie jako polatać, ale było jedno miejsce, którego nie dali rady naprawić, i dlatego właśnie, nawet jeśli wyjdiesz z tego żywy, a nie podjąłbym jeszcze w tej sprawie decyzji, nigdy nie dogodzisz już swojej Elin Ragnarsdottir ani żadnej innej kobiecie.

- Napiłbym się jeszcze.

- Przygotuję ci teraz mocniejszego drinka. Dobrze ci zrobi, sędząc po tym, jak wyglądasz.

Podszedł, by wziąć moją szklankę, po czym wrócił z nią do kredensu z alkoholem.

Nie wypuszczając z ręki pistoletu, wlał whisky do szklanki i dodał trochę wody.

Przyniósł mi ze słowami:

- To ci powinno przywrócić rumieńce na twarzy.

140

Wziąłem od niego whisky.

- Rozumiem twoje rozżalenie, ale przecież żołnierz musi spodziewać się, że trafi go kula: to ryzyko zwiększane z zawodem. Tak naprawdę boli cię to, że zostało sprzedany. O to ci chodzi, prawda?

- Również i o to.

Spróbowałem whisky: tym razem była mocna.

- Mylisz się co do wyboru osoby odpowiedzialnej za to, co się stało. Kto był w tym czasie twoim przełożonym?

- W Moskwie Bškaj ew.

- A moim? Umiechnął się.

- Znakomitość brytyjskiej arystokracji, sir David Taggart. Potrześnłem przeczśco głowś.

- Nie, jego to nie interesowało, w tym czasie miał uwagę zajętsz znacznie grubszymi rybami. Sprzedał cię twój własny szef Bakajew we współpracy z moim przełożonym, a ja byłem po prostu narzędziem.

Kennikin ryknśł miechem.

- Kochany, za duzo naczytałe się Fleminga.

- Nie spytałe, kto był moim przełożonym. Odezwał się, nie przestajśc trzśc się ze miechu:

- No dobrze, kto?

- Slade.

miech urwał się nagle. Ciśgnśłem dalej:

- Wszystko było bardzo starannie obmylane. Sprzedali cię, żeby zapewnić Slade'owi dobrś reputację. Wszystko musiało wyglśdać wiarygodnie i bardzo autentycznie. Dlatego ty o niczym nie mogłe wiedzieć. Zważywszy wszystko, muszę przyznać, że nie poddałe się bez walki, ale cóż, cały czas byłę podgryzany u samych korzeni, bo twój Bakajew informował o wszystkim Slade'a.

- Kompletna bzdura, Stewartsen - orzekł stanowczo, ale pobladł nagle na twarzy.

Sina szrama na policzku kontrastowała teraz ostro z bielś skóry.

- A skoro zawiodł - kontynuowałem - musiało ponieść konsekwencje, bo inaczej cała sprawa nie wyglądałaby do końca wiarygodnie. Masz rację, wiemy dobrze, jak u was załatwia się tego typu sprawy: gdyby nie zesłali cię do Aszchabadu lub innego takiego miejsca, moglibyśmy nabrać podejrzeń, i aby cała rzecz wyglądała wiarygodnie, musiało spędzić cztery lata na wygnaniu. Cztery lata stracone na przerzucaniu papierków za to, że spełniło swój obowiązek. Zrobili cię w konia, stary.

Spojrzał lodowato.

- Nie znam tego Slade'a - odparł krótko.

141

- A powiniene. To człowiek, który wydaje ci rozkazy w Islandii. Pewnie uważało za rzecz całkiem naturalną, że nie ty będziesz stał na czele tej operacji. Wiadomo, że u was nie powierza się wyłącznej odpowiedzialności komu, kto, tak jak ty, już raz zawiódł. Sam zresztą podzielasz ten punkt widzenia. A teraz może mylisz, że przez pomyłkę ukończenie tego zadania uda ci się odzyskać reputację i honor, a kto wie, może nawet wrócić na poprzednie wysokie stanowisko. Rozemiałem się. - Tymczasem kogo ci daję na przełożonego? Tego samego faceta, który cię zastopował w Szwecji.

Kennikin wstał. Pistolet celował nieporuszenie w moją klatkę piersiową.

- Wiem, kto zniszczył operację w Szwecji - rzekł. - I mogę go teraz dosięgnąć.

- Ja tylko wykonywałem rozkazy. Mózgiem całej operacji był Slade. Pamiętasz Jimmy'ego Birkby'ego?

- Nigdy o nim nie słyszałem - odparł lodowato.

- Jasne, ty znało go jako Svena Hornlunda, faceta, którego zabiłem.

- Ach, tak, ten agent brytyjski - przypomniał sobie. - Tak, pamiętam. Włanie

ten twój krok upewnił mnie, że mogę ci ufać.

- To był pomysł Slade'a. Nie miałem pojęcia, kogo zabijam. Stało się to potem powodem ostrej awantury i mojego odejścia z Departamentu. - Nachyliłem się. -

Wszystko pasuje jak ulał, nie widzisz tego? Slade powięcił jednego porządnego faceta po to, żeby zaczął mi ufać. Było mu obojętne, ilu naszych agentów zginie. I wreszcie wspólnie z Bškaj ewem postanowił rzucić na pożarcie ciebie, aby w ten sposób zdobyć jeszcze większe zaufanie Taggarta.

Szare oczy Kennikina były teraz twarde jak kamienie. Twarz miał nieruchomš, z wyjštkiem przeciętego bliznš kšcika ust, który drgał lekko w nerwowym tiku.

Oparłem się na krzele i podniosłem szklanę.

- Slade wygodnie się uršdził. Teraz w Islandii prowadzi operację po obu stronach. Mój Boże, trudno o lepszą sytuację! Wszystko zaczęło się jednak psuć, kiedy jedna z lalek nie chciała skakać na jego sznurku. To musiało mu przysporzyć nieliczego zmartwienia.

- Nie znam żadnego Slade'a - powtórzył głucho.

- Nie? To dlaczego się tak denerwujesz? - Umiechnšłem się do niego szeroko. -

Powiem ci, co powiniene zrobić. Kiedy następnym razem będziesz z nim rozmawiał, zapytaj, jak to było naprawdę. Nie znaczy to, że się czego od niego dowiesz, Slade jeszcze nigdy nikomu nie powiedział prawdy. Ale może się czym zdradzić przy tak spostrzegawczej osobie jak ty.

Przez zasunięte firanki przebiło się migotanie reflektorów i usłyszałem odgłos podjeżdżającego samochodu.

- Pomył o przeszłoci, Waławie - mówiłem dalej. - Przypomnij sobie te

wszystkie zmarnowane lata w Aszchabadzie. Postaw siebie na miejscu

142

Bakajewa i zadaj sobie pytanie, co jest ważniejsze: operacja w Szwecji, która w każdej chwili może być podjęta na nowo, czy szansa umieszczenia swojego człowieka wysoko w hierarchii wywiadu brytyjskiego, na miejscu tak eksponowanym, że upoważnia go do jedzenia lunchu z premierem Wielkiej Brytanii?

Kennikin poruszył się niespokojnie i wiedziałem, że tym razem do niego trafiłem.

Pogrążył się w myłach; lufa pistoletu nie mierzyła już wprost we mnie.

- A tak dla ciekawoci - drżylem dalej - ile czasu zajęło utworzenie następnej grupy w Szwecji? Założę się, że niewiele. Przypuszczam, że Bškaj ew dysponował organizacją istniejącą równoległe do twojej, która miała wkroczyć do akcji z chwilą waszego wypadnięcia z gry.

Był to strzał w ciemno, ale trafił prosto w cel. Wyglądało to trochę tak, jakby jednoręki bandyta wyrzucił całą wygraną: koła zawirowały z furkotem i trzaskiem, a dzwonek w głowie zadźwięczał głono i wyranie. Kennikin sapnął i odwrócił się. Spuścił wzrok i spoglądając w ogień, trzymał pistolet w opuszczonej ręce.

Sprężyłem się cały, gotowy do ataku i odezwałem się spokojnym głosem:

- Nie ufali ci, Waławie. Bškaj ew nie wierzył, że potrafisz doprowadzić do rozsyпки własnej organizacji, sprawiając przy tym, by wyglądało to autentycznie.

Ja również nie byłem darzony zaufaniem, ale mnie sprzedał Slade, jeden z twojej bandy, z tobą było inaczej, dostałe kopa od swoich. Powiedz mi, jakie to uczucie?

Waław Kennikin był agentem z krwi i koci; milczał jak zaklęty i nic nie dał po sobie poznać. Odwrócił głowę i spojrzał na mnie.

- Słuchałem tej bajeczki z wielkim zainteresowaniem - odezwał się matowym głosem. - Nie znam tego, jak mu tam, Slade'a. Wymylił niezł historyjkę, ale to nie pomoże ci wykaraskać się z kłopotów. Nie będziesz...

Drzwi się otworzyły i weszło dwóch mężczyzn. Kennikin odwrócił się niecierpliwie w ich stronę.

- I co? - zapytał.

Większy z nowo przybyłych zaczął po rosyjsku:

- Włanie stamtąd wracamy.

- Widzę - rzucił gwałtownie Kennikin. Kiwnął ręką w moją stronę. -Pozwolę sobie przedstawić: Alan Stewartsen, facet, którego musicie tutaj sprowadzić. Co tym razem nie wypaliło? A gdzie Igor?

Spojrzeni po sobie, po czym ten większy odezwał się:

- Zabrali go do szpitala. Poważnie się poparzył, kiedy...

- Pięknie! - wycedził zjadliwie Kennikin. - Wspaniale. Następnie zwrócił się do mnie:

143

- I co ty na to, Alan? My tu przemycamy w tajemnicy Jurija na pokład trawlera, tymczasem Igor trafia do szpitala, narażając nas na całą masę pytań! Co by zrobił z takim idiotą?

Umiechnąłem się szeroko i odparłem pogodnie:

- Zastrzelił.

- Wstąpię, czy kula zdołałaby przebić jego zakuty łeb - rzucił kśliwie.

Spojrzał nieprzyjaznym wzrokiem na osiłka.

- A dlaczego, na Boga, zaczęliście strzelać, robiąc zresztą przy tym taki

zgiełk, jakby rozpętała się rewolucja?

Ten wskazał na mnie bezradnym gestem.

- To on zaczął strzelać.

- W ogóle nie powinno było do tego dojść. Jeżeli trzech facetów nie może dać rady jednemu, to...

- Było ich dwóch.

- O! - Kennikin obrzucił mnie szybkim spojrzeniem. - A co się stało z tym drugim?

- Nie wiem, uciekł - odparł osilek.

- Nie ma się czemu dziwić - wtrąciłem, starajśc się mówić jak najbardziej obojętnym tonem. - To po prostu jeden z gości hotelowych.

Cały kipiałem ze złości. Więc Case najzwyczajniej uciekł, zostawiajśc mnie swemu losowi. Nie pisnę o nim ani słowa Kennikinowi, ale jeli uda mi się wyjć z tego cało, będę miał mały rachunek do wyrównania.

- To chyba on podniósł alarm w hotelu - zauważył Kennikin. - Niczego nie potraficie zrobić, jak należy?

Osilek próbował zaprotestować, ale Kennikin przerwał mu, pytajśc:

- Co robi Iljicz?

- Rozkłada samochód na części - odparł markotnym głosem.

- Id i mu pomóż.

Obaj odwrócili się, ale Kennikin polecił ostro:

- Nie ty, Gregor. Zostaniesz tu i przypilnujesz Stewartsena. Dał mu swój pistolet.

- Mogę dostać jeszcze jednego drinka? - spytałem.

- Czemu nie? Nie ma obawy, że zostaniesz alkoholikiem, bo nie pożyjesz aż tak długo. Uważaj na niego, Gregor.

Wyszli z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Gregor stanął dokładnie naprzeciwko i gapił się na mnie pustym wzrokiem. Bardzo powoli przycisnąłem nogi i wstałem z krzesła. Gregor uniósł pistolet: umiechnąłem się do niego, podnosząc pustą szklankę.

- Słyszałem, co powiedział szef: mam jego przyzwolenie na ostatniego drinka.

Lufa pistoletu opadła.

144

- Będę tuż za twoimi plecami - ostrzegł.

Pomaszerowałem do kredensu z alkoholem, nie przestając gadać ani na chwilę.

- Założę się, że pochodzisz z Krymu, Gregor. Ten akcent trudno pomylić. Zgadza się?

Nie odezwał się ani słowem, za to ja wciąż mówiłem.

- Nie widzę wódki, Gregor. Jest co prawda brennivin, ale to nie to samo. Nie przepadam za nim. Zresztą wódka też mi zbytnio nie smakuje. Mój ulubiony trunek to szkocka, no ale w końcu jestem Szkotem.

Brzęczałem butelkami, słysząc tuż za sobą oddech Gregora. Do szklanki powędrowała szkocka, a za nią woda. Odwróciłem się, trzymając uniesioną szklankę w dłoni: Gregor stał w odległości metra ode mnie, mierząc z pistoletu prosto w pępek. Zawsze twierdzę, że pistolet może być bronią wysoce skuteczną, a Gregor dawał dowód, że również o tym wie. W pomieszczeniu jest to faktycznie wspaniałe narzędzie do zabijania. Gdyby przyszło mi teraz do głowy zrobić co równie głupiego, jak chlusnąć mu alkoholem prosto w twarz, przewierciłby mi bez trudu

kręgosłup.

Podniosłem szklankę na wysokość ust.

- Skali -jak powiada się w Islandii.

Wracajšc na swoje miejsce, wcišz trzymałem rękę w górze, w przeciwnym bowiem razie z rękawa wypadłaby mi ukryta tam butla z butanem. Idšc w tak dziwaczny sposób, musiałem wyglšdać dosyć pedałowato, bo Gregor rzucił mi pełne pogardy spojrzenie.

Łyknšłem ze szklanki i przełożyłem jš do drugiej ręki. Kiedy juž przestałem się kręcić, butla spoczywała ukryta pomiędzy wyciółkš a ramš krzesła. Wzniosłem jeszcze raz toast za Gregora i z zainteresowaniem zaczšłem wpatrywać się w żywo płonšcy torfowy ogień.

Na kaŹdej butli butanu widnieje surowe ostrzeŹeni: Uwaga! Mieszanka bardzo łatwo palna. Nie używać w pobliŹu ognia lub płomienia. Trzymać z dala od dzieci. Nie nakłuwać, nie spalać".

Firmy handlowe nie lubiš zamieszczać na swoich wyrobach tak srogo brzmišcych ostrzeŹeni i zwykle czyniš to pod naciskiem prawa, zatem pojawienie się takiego ostrzeŹenia wiadczy niezbiecie, Źe jest ono całkowicie uzasadnione.

Ogień torfowy płonšł żywo na kominku, palšc się miło grubš, zgrabnš warstwš czerwonego Źaru. Zdawałem sobie sprawę, Źe wrzucenie butli w płomienie moŹe zakończyć się dwojako: albo butla z gazem eksploduje jak bomba, albo wyleci w powietrze jak rakieta, przy czym obie moŹliwoci były całkowicie po mojej myli.

Jedyny problem, to po jakim czasie moŹe nastšpić wybuch. PodłóŹenie butli do ognia mogło być względnie proste, istniała jednak obawa, Źe kto, na przykłał Gregor, moŹe okazać się wystarczajšco

szybki, by zdšżyć jš stamtšd wycišgnšć. Chłopczy Kennikina wcale nie musieli być takimi nieudacznikami, jakimi on sam ich przedstawiał. Wrócił Kennikin.

- Mówiłe prawdę - zwrócił się do mnie.

- Zawsze mówię prawdę. Problem w tym, że większość ludzi tego nie dostrzega.

Więc zgadzasz się ze mnš co do Slade'a.

Zmarszczył brwi.

- Nie miałem na myli tej głupawej bajeczki. Mówię, że nie znaleli w twoim samochodzie tego, czego szukam. Gdzie to jest?

- Nie powiem ci.

- Powiesz. Odezwał się telefon.

- Mogę się z tobš założyć, że niczego się ode mnie nie dowiesz.

- Nie chcę tutaj poplamić krwiš dywanu. Wstawaj! Kto obok podniósł słuchawkę.

- Czy mogę najpierw dokończyć drinka? Iljicz otworzył drzwi, przywołując Kennikina.

- Lepiej, żeby skończył tego drinka, zanim wrócę - zapowiedział Kennikin na odchodnym.

Opucił pokój, a Gregor natychmiast stanšł na wprost mnie. Krzyżowało to moje zamiary, dopóki bowiem tkwił przede mnš, nie miałem szansy cisnšć butli do ognia. Dotknšłem czoła i poczułem cienkš warstewkę potu.

W chwilę potem powrócił Kennikin i spojrzał na mnie badawczo.

- Powiedziałe, zdaje się, że facet, z którym byłe w Geysir, to zwykły goć hotelowy?

- Zgadza się.

- Czy mówi ci co nazwisko Case, Jack Case? Spojrzałem na niego obojętnie.

- Nic a nic. Umiechnął się ze smutkiem.

- I ty twierdzisz, że zawsze mówisz prawdę. - Usiadł. - Wygląda na to, że to, czego szukam, przestało już mieć jakiegokolwiek znaczenie. Mówiąc dokładniej, straciło znaczenie dla ciebie. Domylasz się, co to znaczy?

- Już po mnie - odparłem i nie myślałem inaczej. To był zupełnie nieoczekiwany zwrot sytuacji.

- Nie cofnąłbym się przed niczym, żeby wycisnąć z ciebie tę informację, ale instrukcje uległy zmianie. Nie musisz się denerwować, Stewartsen, oszczędzę ci tortur.

Odetchnąłem głęboko.

- Dzięki - powiedziałem szczerze. Potrząsnął głową ze współczuciem.

146

- Niepotrzebne mi twoje podziękowania. Mam polecenie, żeby cię natychmiast zabić.

Znowu zadzwonił telefon. Głos uwił mi w gardle.

- Dlaczego? - spytałem ochryple. Wzruszył ramionami.

- Wchodzisz nam w drogę. Przełączyłem linię.

- Powiniene chyba odebrać telefon. Może dzwoniś, żeby zmienić rozkazy.

Umiechnął się krzywo.

- Ułaskawienie w ostatnim momencie, co? Nie sądzę. Domylasz się pewnie, dlaczego powiedziałem ci o nowych instrukcjach? Sam wiesz, że zwykle się tego nie robi.

Jasne, że wiedziałem, nie miałem jednak zamiaru sprawić mu tej przyjemności i przyznać się do tego. Telefon przestał dzwonić.

- Jest w Biblii kilka niezłych kawałków - ciśgnął dalej Kennikin. - Na przykład: Oko za oko, zśb za zśb". Przygotowałem wszystko na twoje powitanie i szczerze żałuję, że nie będę mógł zrealizować moich planów wobec ciebie. Ale zobaczę chociaż, jak pocisz się ze strachu, tak jak teraz.

Iljicz wsunął głowę przez drzwi.

- Reykjavik - oznajmił. Kennikin zachnął się poirytowany.

- Idę. Podniósł się.

- Pomył o tym i popoć się jeszcze trochę. Wyciśgnłem rękę.

- Masz papierosa?

Zatrzymał się w pół kroku i zamiał głono.

- Wspaniale, Alan! Wy, Brytyjczycy, jesteście mocno przywiśzani do tradycji.

Oczywiście, zgodnie z tradycjš wolno ci zapalić ostatniego papierosa.

Rzucił mi swójš papieronice.

- Może jeszcze co?

- Tak - potwierdziłem. - Chciałbym znaleźć się na Trafalgar SŠuare w wieczór sylwestrowy roku dwutysięcznego.

- Szczerze żałuję - zakończył i wyszedł z pokoju.

Otworzyłem papieronice, wsadziłem papierosa do ust i zacząłem bezradnie przetrzśsać kieszenie. Następnie bardzo powoli schyliłem się, by wziść z paleniska zwitek papieru.

- Chcę przypalić papierosa - wyjanilem Gregorowi i nachyliłem się w stronę

kominka, modląc się, by Rosjanin nie zmienił swego miejsca koło drzwi.

Trzymając zwitek papieru w lewej ręce, pochyliłem się do przodu, trzymając prawą rękę pod osłonę ciała. W chwili, kiedy wyciskałem płonący kawałek papieru, wrzuciłem równocześnie butlę gazu do żarzącego się tortu; po czym powróciłem na miejsce. Kręcąc podpałkę dla odwrócenia uwagi Igora od kominka, przyłożyłem ją do papierosa i zaciśnięciem się dymem, wypuszczając w jego stronę mały obłok bieli. Celowo czekałem, aż gasnący płomień dotrze do palców.

- Aj! - wrzasnąłem, potrząsając energicznie ręką. Każdy chwyt był dobry, byle tylko odwrócić jego uwagę od ognia. Sam zresztą musiałem wyężyć całą swoją siłę woli, by tam nie spojrzeć.

Trzasnęła odkładana słuchawka i zjawił się Kennikin, krocząc majestatycznie.

- Dyplomaci! - rzucił zjadliwie. - Tak, jakbym nie miał innych kłopotów. Dgnął mnie kciukiem.

- No dobra, wstawaj. Podniosłem papierosa.

- A co z tym?

- Możesz dokończyć na zewnątrz. Będzie dosyć cza...

Wybuch eksplodującej butli miał w zamkniętym pomieszczeniu ogłuszającą moc, a siła eksplozji porzuciła po całym pokoju kawałki płonącego tortu.

Spodziewałem się tego, co właśnie nastąpiło, i zareagowałem teraz szybciej niż

którykolwiek z nich. Nie przeżyłem się tym, że rozpalony do czerwoności torf

oparzył mnie w szyję, natomiast kompletnie zaskoczony Gregor nie potrafił

poradzić sobie z żarzącym się szczątkiem, który wylądował mu na grzbiecie dłoni.

Zawył z bólu i wypuścił broń.

Rzuciłem się przez pokój, chwyciłem pistolet i strzeliłem Gregorowi dwukrotnie w

pier. Odwróciłem się, żeby kropnąć Kennikina, zanim ten zdoła się pozbiierać.

Stręcał z marynarki rozżarzone kawałki torfu, ale na odgłos strzałów odwrócił się w moją stronę.

Widząc mierzchy w niego pistolet, chwycił lampę stołową i cisnął nią we mnie z całą siłą. Uchyliłem się, przez co mój strzał trafił w próżnię. Lampa przeleciała mi nad głową, uderzając w twarz Iljicza, który właśnie otworzył drzwi, biegnąc na odgłos strzałów.

To zaoszczędziło mi kłopotu otwierania drzwi. Odepchnąłem go i potykając się, wypadłem na korytarz, gdzie z ulgą stwierdziłem, że drzwi frontowe są również otwarte. Kennikin przysporzył mi kilku ciężkich chwil i z chęcią odpłaciłbym mu za to, pora jednak nie była najodpowiedniejsza. Wyskoczyłem z domu, przebiegając obok uboższego o cztery koła volkswa-

148

gena. Po drodze posłałem jeszcze na chybił trafił kulę w stronę osiłka, próbując tym argumentem nakłonić go do niewychylania głowy. Wbiegłem w zasłonę ciemności, która jednak nie była już tak nieprzenikniona, jakbym sobie tego życzył, i ruszyłem w stronę otwartej przestrzeni.

W okolicy dominowała lawa pomarszczona garbami wybrzuszeń, którą pokrywał gruby pokład mchu i rysujące się gdzieś tam plamy karłowatych brzózek. Gdybym przemierzał ten teren w wietle dnia, zdołałbym może robić maksymalnie półtora kilometra na godzinę, nie łamiąc sobie przy tym nogi w kostce. Poruszanie się tutaj w ciemnościach kosztowało mnie teraz wiele potu, zdawałem sobie bowiem sprawę, że złamanie czy nawet zwichnięcie nogi w kostce sprawi, że nie będę w stanie ująć pocigowi i zostanę najpewniej zastrzelony na miejscu.

Pokonałem w ten sposób około czterystu metrów i zaniem się zatrzymałem, miałem już za sobą brzeg jeziora i zbliżyłem się do drogi. Obejrzawszy się, zobaczyłem okna pokoju, w którym byłem więziony. Dostrzegłem dziwne migotanie i zaraz potem firanki zajęły się ogniem. Słychać było odległe krzyki, jaka sylwetka przemknęła koło okna, nic jednak nie wskazywało, by zorganizowano za mną pociąg. Nie wiedzieli pewnie nawet, w którą stronę pobiegłem.

Widok przede mną zasłaniał masyw zastygłego rozlewiska lawy, za którym, jak sądziłem, powinna być droga. Ruszyłem w tamtym kierunku i zacząłem się wspinać. Musiałem znaleźć się po drugiej stronie i zniknąć im z oczu, zanim niebo rozjani bliski już brzask dnia.

Czołgając się na brzuchu, pokonałem szczyt wzniesienia, a znalazłszy się pod bezpieczną osłoną masywu, podniosłem się na nogi. W oddali majaczyła niewyranie prosta ciemna linia, która nie mogła być niczym innym jak drogą. Miałem właśnie ruszyć w tamtą stronę, gdy poczułem na szyi duszący ucisk, a czyja dłoń zacisnęła mi się z miążdżącą siłą na nadgarstku.

- Rzuć broń! - rozkazał mi po rosyjsku chrapliwym szeptem. Wypuściłem pistolet i w tej samej chwili poleciałem do przodu pchnięty tak silnie, że potknąłem się i przewróciłem.

Podniósłszy głowę, napotkałem olepiący blask latarki, w której wietle ujrzałem przytknięty do mnie pistolet.

- Chryste, to ty - usłyszałem zdziwony głos Jacka Case'a.

- Zabierz ode mnie to cholerne wiatło - krzyknąłem i zacząłem masować sobie szyję. - Gdzie, do diabła, było wtedy w Geysir?

- Przykro mi z tego powodu. Kiedy przyjechałem do hotelu, on już tam był.

- A sam mówię...

Przerwał mi z nutą irytacji w głosie:

- Jezu, nie mogłem ci przecież powiedzieć, że jest w hotelu. Byłem w takim stanie, że mógłbym go rozszarpać na kawałki.

149

- Okazało się, jaki z ciebie przyjaciel - powiedziałem z goryczą. - Ale nie czas, żeby teraz to roztrząsać. Gdzie twój samochód?

- Stoi tuż przy drodze. Schował broń.

Podjąłem szybką decyzję. Nie mogłem teraz zaufać Case'owi ani nikomu innemu.

- Jack, możesz przekazać Taggartowi, że dostarczę paczkę do Reykjavíku.

- Dobra, ale teraz zmywamy się stąd. Podszedłem bliżej do niego.

- Nie ufam ci, Jack.

Błyskawicznym ruchem wbiłem mu w przeponę trzy sztywno wyprostowane palce.

Wypuścił gwałtownie powietrze z płuc i zgiął się w pół. Równieżem go w kark, tak

że zwałił się u moich stóp. W walce wręcz obaj bylimy równorzędnymi

przeciwnikami na macie i nie sądzę, że poszłoby mi tak łatwo, gdyby spodziewał się ataku.

Gdzie w oddali zawarczał silnik samochodu i po prawej stronie wystrzelił snop reflektorów. Przywarłem płasko do ziemi. Słyszałem, jak samochód wspina się pod górę szlakiem wiodącym do drogi, po chwili jednak zawrócił i ruszył w przeciwną stronę, kierując się ku Thingvellir, skąd niedawno przyjechałem w towarzystwie Kennikina.

Kiedy ucichł warkot, zacząłem przeszukiwać kieszenie Jacka. Zabrałem mu kluczyki i kaburę z pistoletem. Broń Gregora wytarłem do czysta i wyrzuciłem. Następnie

odszukałem samochód Case'a.

Było to volvo i stało zaparkowane tuż przy drodze. Silnik zaskoczył z łatwością pod nacinięciem guzika i ruszyłem w drogę, nie włączając wiatel.

Czekał mnie długi powrót do Laugarvatn dookoła jeziora Thingvallavatn, ale naprawdę wolałem nadłożyć drogi, niż wracać tam, skąd się dopiero wyrwałem.

Rozdział 8

Do Laugarvatn dojechałem tuż przed piątą rano. Samochód zaparkowałem na podjeździe. Wysiadając, dostrzegłem jakiś ruch za firankami, a po chwili z domu wybiegła Elin, rzucając mi się w ramiona, zanim jeszcze dotarłem do drzwi wejściowych.

- Alan! - krzyknęła. - Masz krew na twarzy.

Dotknąłem policzka i poczułem zakrzepłą krew, która widocznie syczała się jakiś czas z ciętej rany. Odniosłem ją pewnie w momencie wybuchu butli.

- Wejmy do domu - powiedziałem.

W holu spotkałimy Sigurlin. Obejrzała mnie od góry do dołu i stwierdziła:

- Masz nadpaloną marynarkę. Zerknąłem na podziurawiony materiał.

- Tak - przyznałem. - Chyba nie byłem dość ostrożny.

- Co się stało? - spytała przynaglając Elin.

- Miałem... miałem rozmowę z Kennikinem - odparłem krótko. Zaczęło wychodzić ze mnie całe zmęczenie. Musiałem jednak wziąć się w garść, nie było bowiem czasu na odpoczynek.

- Masz trochę kawy? - spytałem do Sigurlin. Elin chwyciła mnie za rękę.

- Co się stało? Co Kennikin...?

- Póniej ci opowiem. Teraz odezwała się Sigurlin:

- Wyglądasz, jakby nie spał od tygodnia. Na górze jest wolne łóóko.

Potrząsnąłem głowş.

- Nie, dziekuję. Ja... my... musimy jechać.

Wymieniły między sobş spojrzenia, po czym Sigurlin powiedziała praktycznie:

151

- Możesz w kaózym razie wypić kawę. Jest zresztş gotowa, my same całş noc spędziłyśmy przy kawie. Chod do kuchni.

Usiadłem przy kuchennym stole i nie żałujşc sobie, osłodziłem parujşcy czarny napój. Nigdy jeszcze nie miałem w ustach czego o tak cudownym smaku. Sigurlin podeszła do okna i spojrzała na volvo stojşce na podjeózie.

- Gdzie volkswagen? Skrzywiłem się.

- Musisz go spisać na straty.

Miałem okazję rzucić na niego tylko przelotne spojrzenie, ale ta krótka chwila wystarczyła, by zauwaózyć, że Iljicz istotnie rozebrał go na kawałki.

- Ile był wart? - spytałem i wsadziłem rękę do kieszeni po ksişzeczkę czekowş.

Przerwała mi niecierpliwym gestem.

- To może poczekać. - W jej głosie pojawiła się ostra nuta. - Elin opowiedziała mi wszystko o Siadzie i Kennikinie.

- Nie powinna była tego robić, Elin - zauwaóżyłem spokojnie.

- Musiałam komu się zwierzyć - wybuchła.

- Trzeba natychmiast ić na policję - stwierdziła Sigurlin. Potrząsnąłem przecząco głowş.

- Na razie walka ma prywatny charakter. Jej dotychczasowe ofiary to sami profesjonalicy, ludzie, którzy zdajş sobie sprawę z ryzyka i akceptujş je. Nikt

z niewinnych gapiów nie został nawet dranięty i chce, żeby było tak dalej.

Każdy, kto zacznie się do tego mieszać, nie wiedząc, co jest grane, naraża się na kłopoty, obojętne, czy nosi na sobie mundur policjanta, czy też nie.

- Ale przecież ta sprawa nie musi być prowadzona w taki sposób - oponowała Sigurlin. - Niech wezmą już w swoje ręce politycy, dyplomaci.

Westchnąłem i oparłem się na krzele.

- Kiedy pierwszy raz przyjechałem do tego kraju, kto mi powiedział, że są trzy rzeczy, których Islandczycy nie potrafią wyjanić nawet swojemu rodakowi. Należą do ich: ustrój polityczny Islandii, tutejszy system ekonomiczny oraz przepisy dotyczące spożywania alkoholu. To ostatnie nie powinno nam teraz zaprzęcać głowy, ale polityka i gospodarka otwierają listę moich zmartwień.

- Nie bardzo rozumiem, o czym teraz mówisz - wtręciła się Elin.

- Mówię o lodówce, o tym elektrycznym młynku do kawy - wskazałem palcem. - I o tym elektrycznym czajniku, i radiu tranzystorowym. Wszystko to importujecie, a żeby móc importować, musicie także eksportować swoje towary: ryby, baraninę, wełnę. Ławice ledzi przeniosły się o półtora tysiąca kilometrów stąd i wasza flota przybrzeżna niszczy bezużytecznie na brzegu. Jest już wystarczająco le, po co jeszcze bardziej komplikować życie.

Sigurlin zmarszczyła czoło.

152

- Co masz na myśli?

- W sprawę zaangażowane są trzy państwa: Wielka Brytania, Ameryka i Rosja.

Załóżmy, że poprowadzi się na szczeblu dyplomatycznym, nastąpi wymiana not w rodzaju: Przestańcie toczyć swe bitwy na terytorium Islandii". Mylisz, że tak

historię dałoby się utrzymać w tajemnicy? W każdym kraju są polityczni awanturnicy i Islandia nie jest na pewno wyjątkiem, a oni nie omieszkaliby skorzystać z okazji.

Wstałem z krzesła.

- Ludzie o nastawieniu antyamerykańskim podnieśliby krzyk o bazę w Keflavíku, a i antykomunicy otrzymaliby wietny atut do ręki. Najpewniej ponownie doszłoby do wojny dorszowej" z Wielką Brytanią; sam znam wielu Islandczyków, którzy nie są usatysfakcjonowani porozumieniem z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku.

Odwrociłem się twarzą do Sigurlin.

- W czasie wojny dorszowej" wasze trawlerzy nie miały wstępu do portów brytyjskich i to wpłynęło na ożywienie równorzędnych stosunków handlowych z Rosją, które do dzisiaj utrzymujecie. Co sądzisz o Rosji jako partnerze handlowym?

- To bardzo dobry partner - odpowiedziała bez namysłu. - Rosjanie wiele dla nas zrobili.

- Jeżeli wasz rząd - kontynuowałem stanowczym tonem - znajdzie się w sytuacji, kiedy będzie musiał oficjalnie zareagować na to, co się dzieje, wówczas owe dobre stosunki mogą zostać zagrożone. Chcesz, żeby do tego doszło?

Na jej twarzy pojawiła się konsternacja, a ja dodałem z powagą w głosie:

- Jeżeli ta sprawa wyjdzie na światło dzienne, będzie to największe wydarzenie celebrowane w Islandii od czasu, gdy Sam Phelps usiłował w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym roku ustanowić królem Jorgena Jorgensena.

Elin i Sigurlin spojrzały na siebie bezradnie.

- On ma rację - stwierdziła Sigurlin.

Wiedziałem, że mam rację. Pod stereotypowym wizerunkiem spokojnego społeczeństwa islandzkiego kryły się siły, których lepiej było nie ruszać. U ludzi obdarzonych dobrą pamięcią wciąż żywe są zadawnione animozje i niewiele trzeba, żeby je obudzić.

- Im mniej wiesz politycy, tym lepiej dla wszystkich. Do licha, lubię ten kraj i nie chcę tutaj żadnego zamieszania.

Wziłem Elin za rękę, dodając:

- Spróbuję to wszystko doprowadzić do porządku. Chyba wiem jak.

- Oddaj im tę paczkę - nalegała. - Proszę cię, Alan, zrób to.

- Zrobię - odparłem - ale na swój własny sposób.

153

Pozostawało jeszcze wiele spraw do przemyślenia, choćby kwestia volks-wagena.

Mając numery rejestracyjne, Kennikin szybko odkryje, skąd pochodzi samochód, a to znaczyło, że najpewniej zawita tu jeszcze przed końcem dnia.

- Sigurlin - spytałem - czy możesz wziąć kucyka i dołączyć do Gunnara?

Przestraszyła się.

- Ale dlaczego? - Nagle zrozumiała. - Volkswagen?

- Tak. Możesz mieć nieproszonych gości, powinna zniknąć.

- Wczoraj wieczorem po twoim wyjeździe miałam wiadomość od Gunnara. Nie będzie go jeszcze przez trzy dni.

- To wietnie. W ciągu tego czasu powinno już być po kłopotcie.

- Dokąd jedziesz?

- Nie pytaj - ostrzegłem. - Już i tak wiesz za dużo. Pojed tam, gdzie nikt nie

będzie zadawał ci pytań. - Strzeliłem palcami. - Muszę jeszcze przestawić land-rovera. Chcę go tu gdzie ukryć.

- Możesz go zostawić w stajni.

- To jest myśl. Chcę jeszcze przenieść parę rzeczy z land-rovera do vol-vo. Wrócę za kilka minut.

Wszedłem do garażu, wyjąłem elektroniczne urządzenie, oba karabiny i całą amunicję. Broń zapakowałem w spory kawał znalezionej w pobliżu tkaniny workowej i schowałem do bagażnika. W tym momencie zjawiła się Elin.

- Dokąd j edziemy? - spytała.

- Nie jedziemy, ale jadę.

- Ja z tobš.

- Nie, pojedziesz z Sigurlin.

Jej twarz przybrała znany mi nieustępliwy, uparty wyraz.

- Podobało mi się to, co mówiła - zaczęła - że nie chcesz żadnych kłopotów dla mojego kraju. Ale to właśnie mój kraj i mogę walczyć o niego tak samo jak każdy.

O mało się nie rozemiałem.

- A co ty możesz wiedzieć o walce?

- Wiem tyle, co każdy mieszkaniec Islandii - odparła spokojnie. Było w tym trochę racji.

- Ale nie masz pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

- A ty?

- Zaczynam co z tego chwytać. Właściwie udowodniłem już, że Slade jest agentem rosyjskim, a Kennikina załadowałem jak karabin i wycelowałem nim w Slade'a.

Kiedy się spotkajš, ładunek z pewnością wypali. Nie chciałbym być wtedy na

miejscu Slade'a. Kennikin jest zwolennikiem bezporównywalnego działania.

154

- Co się stało wczoraj wieczorem? Było gorąco? Zatrzasnąłem bagażnik.

- Nie była to najszcześliwsza chwila w moim życiu - odparłem krótko. -

Pozabieraj teraz wszystkie rzeczy do domu. Za godzinę nie powinno tu już być nikogo.

Wyjść i rozłożyłem mapę.

- Gdzie teraz jedziesz? - nie dała za wygraną.

- Do Reykjavíku. Ale przedtem chcę jeszcze wpaść do Keflavíku.

- W takim razie wybrała zły objazd - zauważyła. - Najpierw dojedziesz do Reykjavíku, chyba że wybrałby drogę na południe przez Hvera-gerdi.

- To jest właśnie kłopot - odparłem powoli i skrzywiłem się, patrząc na mapę.

Sieć dróg, którą miałem w głowie, rzeczywiście istniała, ale nie była tak rozbudowana, jak to sobie wyobrażałem. Nie wiedziałem, na ile prawdziwe były informacje o niedoborach kadrowych w Departamencie, mogłem się jednak przekonać, że kłopoty te nie dotyczą mocodawców Kennikina. Do tej pory naliczyłem przy nim dziesięć osób.

Jeden rzut oka na mapę pozwalał stwierdzić, że dla całkowitego odcięcia półwyspu Reykjanes od wschodniej części kraju wystarczyło obsadzić ludmi dwa punkty.

Thingyellir i Hveragerdi. Gdybym chciał przedostać się przez które z tych miast, rozwijając przeciętną, niewielką prędkość, z łatwością zostałbym wykryty.

Z drugiej strony jazda na pełnym gazie wzbudziłaby na pewno jeszcze większe zainteresowanie. A radiotelefon, który niedawno był mi tak przydatny, teraz działałby przeciwko mnie i wkrótce miałbym ich wszystkich na karku.

- Chryste! -jęknęłam. - To po prostu niewykonalne. Elin umiechnęła się do mnie pogodnie.

- Można się tam dostać w prosty sposób - rzuciła beztrosko. - Kennikin nie wpadnie na to.

Spojrzałam na nią podejrzliwie.

- Jak?

- Drogš morskš. - Położyła palec na mapie. - W Viku mieszka mój stary znajomy, który może przewieć nas do Keflaviku swojš łodziš.

Spojrzałam na mapę z powštpiewaniem.

- Vik leży daleko stšd i zupełnie w innym kierunku.

- Tym lepiej. Kennikinowi nie wpadnie do głowy, że mógłby tam poj e-chać.

Im dłużej studiowałam mapę, tym lepszy wydawał mi się jej pomysł.

- Niele - oenięłam.

Elin stwierdziła z minš niewiništką:

155

- Oczywiście, będę musiała pojechać z tobš, żeby cię przedstawić mojemu znajomemu.

Znowu postawiła na swoim.

II

Wybrałam dziwny sposób, by dostać się do Reykjaviku: gdy nacisnęłam pedał gazu, volvo ruszyło w zupełnie przeciwnym kierunku. Odetchnęłam z ulgš, przejechawszy przez most nad rzekš Thj órsa, byłem bowiem pewien, że Kennikin zdecyduje się obsadzić ten korek.

Jednak po minięciu Helli opanowało mnie poniewczasie takie zdenerwowanie, że

zjechałem z głównej drogi, wjeżdżając przy Landeyjasandur w sieć wyboistych szlaków, kierowany wewnętrznym przewiadczeniem, że dla odszukania mnie w tym labiryncie potrzebowaliby szóstego zmysłu.

W południe Elin oznajmiła stanowczo:

- Kawa.

- Cóż to, masz jakąś czarodziejską różdżkę?

- Mam termos, chleb i marynowane ledzie. Przetrzęsnałam kuchnię u Sigurlin.

- Teraz się cieszę, że pojechała ze mną. Sam nie wpadłbym na to. Zwolniłem i zatrzymałem samochód.

- Mężczyźni nie są tak praktyczni jak my - orzekła Elin.

W trakcie jedzenia odszukałem na mapie miejsce naszego postoju. Znalazłem niewielką rzekę, przez którą się niedawno przeprawialiśmy, i stwierdziłem, że minięta przed chwilą farma nosi nazwę Bergthórswoll. Ze zdziwieniem zdałem sobie sprawę, że znajdujemy się w okolicy upamiętnionej w Sadze o Njalu. Leżące nieopodal Hlidarendi było miejscem śmierci Gun-nara Hamundarssona, który zdradzony przez własną żonę Hallgerd poległ, walcząc z wrogami do samego końca. Skarp-Hedin wkroczył na tę ziemię opanowaną przez demona zemsty, ze śmiercią wypisaną na twarzy i trzymając wysoko wzniesiony topór wojenny. I tu, w Bergthórswoll, dzielny Njal wraz z żoną Bergthorą i całą rodziną zginął w płomieniach.

Wszystko to zdarzyło się tysiąc lat temu, a ja z pewnym przygnębieniem snułem teraz rozważania prowadzące mnie do smutnego wniosku, że natura ludzka niewiele się od tego czasu zmieniła. Podobnie jak dawniej Gunnar i Skarp-Hedin, teraz ja przemierzałem tę ziemię w ciągłym zagrożeniu atakiem ze strony wrogów i tak jak

oni byłem gotów uderzyć przy nadarżającej się sposobności. Występowało jeszcze jedno podobieństwo: jestem Celtem, a bohater Sagi o Njalu nosił celtyckie imię Neil, znordyzowane na Njal. Wypadało mieć tylko nadzieję, że Sagi o Spalonym Njalu nie powieli Saga o Spalonym Stewarcie.

156

Otrząsnąwszy się z tych posępnych myli, zwróciłem się do Elin:

- Kim jest ten twój przyjaciel z Viku?

- Valtyr Baldvinsson, jeden z dawnych szkolnych przyjaciół Bjarniego. Jest biologiem, specjalistą od biologii morskiej, zajmującym się ekologią brzegową.

Chce określić stopień zmian, jakie przynieć może wybuch Katli.

Sprawa Katli była mi znana.

- A, i stąd ta łód - domyliłem się. - Czemu sądzisz, że Valtyr przewiezie nas do Keflaviku?

Potrząsnęła głową.

- Zrobi to, jeli go poproszę. Umiechnąłem się...

- Kim jest ta fascynująca dama, mająca zgubny wpływ na mężczyzn? Czyż to nie sama Mata Hari, słynna kobieta-szpieg?

Zarumieniła się, ale dodała pewnym głosem:

- Polubisz Valtyra.

I tak się stało. Był to mężczyzna o kanciastej budowie ciała, który pomijając rumieńce, wyglądał, jakby został wyciosany z kolumny islandzkiego bazaltu. Miał kanciastą twarz osadzoną na niemal kwadratowym torsie i ręce zakończone grubymi, serdelkowatymi palcami, sprawiającymi wrażenie zbyt niezgrabnych do delikatnej pracy, jakś właśnie był zajęty, kiedy weszliśmy do jego laboratorium. Spojrzał

na nas znad slajdu oprawionego w ramkę i krzyknął na cały głos:

- Elin! Co ty tutaj robisz?

- Jestem przejazdem. Poznaj Alana Stewarta ze Szkocji. Moja ręka utonęła w jego potężnym łapsku.

- Bardzo mi miło - owiadczył, a ja w jednej chwili uwierzyłem, że tak rzeczywiście jest.

Zwrócił się do Elin:

- Masz szczęście, że mnie zastała. Jutro wyjeżdżam. Elin uniosła brwi.

- O! A dokąd?

- W końcu zdecydowali się założyć nowy silnik do tego zabytku, który mi dali zamiast łodzi. Zabieram ją do Reykjavíku.

Elin rzuciła mi szybkie spojrzenie. Skinąłem potakująco głową.

Czasem trzeba mieć po prostu trochę szczęścia. Ja tu przez cały czas zastanawiam się, w jaki sposób Elin, nie wzbudzając podejrzeń, zamierza namówić go do przewiezienia nas do Keflavíku, a tu proszę, okazja sama wpada nam w ręce.

Umiechnęła się promiennie.

- Nie zabrałby dwójki pasażerów? Mówiłam Alanowi, że zabierzesz nas łodziś, byśmy mogli rzucić okiem na Surtsey, ale z przyjemnościśpopłyniemy aż do Keflavíku. Alan ma tam spotkać się z kimś za kilka dni.

157

- Miło mi będzie płynąć w towarzystwie - odparł jowialnie. - To spory kawał drogi i dobrze mieć kogo, kto mógłby mnie zastąpić przy sterze. A jak tam twój ojciec?

- Dziękuję, dobrze.

- A Bjarni? Kristin urodziła mu już syna? Elin rozemiała się.

- Jeszcze nie, ale już niedługo. Skąd jednak wiesz, że to nie będzie córka?

- Będzie chłopiec - zawyrokował pewnym głosem. - Przyjechała na wakacje? -

zwrócił się do mnie po angielsku.

- Poniekąd. Przyjeżdżam tu co roku - odpowiedziałem po islandzku. Wyglądał na zaskoczonego, ale po chwili umiechnął się.

- Nie mamy tu wielu takich entuzjastów.

Rozejrzałem się po laboratorium. Wyglądało jak każdy konwencjonalny zestaw akcesoriów biologicznych, z nieodzownymi rzędami butelek wypełnionych chemikaliami, z wagą, dwoma mikroskopami i szeregiem eksponatów za szkłem. Nad wszystkim unosił się zapach formaliny.

- Czym się tu zajmujesz? - spytałem.

Wziął mnie za ramię i poprowadził do okna. Zataczając ręką szeroki łuk, powiedział:

- Tam rozpociera się morze, a w nim żyje mnóstwo ryb. Dzisiaj jest mgliście, ale przy dobrej pogodzie widać stąd Vestmannaeyjar, gdzie stoi duża flota rybacka. Teraz przejdmy tam.

Poprowadził mnie do okna po przeciwnej stronie pokoju i wskazał na masyw Myrdalsj okuli.

- Tam wznosi się lodowiec, a pod nim kryje swe wielkie cielsko ten czarci pomiot Katla. Słyszała o Katli?

- Każdy w Islandii wie, co to Katla. Skinął głową.

- wietnie! Prowadzę badania nad przybrzeżną strefą morską, rolnością i żywymi tam zwierzętami. Kiedy Katla wybuchnie, sześćdziesiąt kilometrów

szeciennych lodu zamieni się w wieżę wodę, która spłynie tędy do morza. W cięgu jednego tygodnia zbierze się jej w tym jednym miejscu tyle, ile spływa ze wszystkich rzek Islandii w skali roku. Będzie to miało niekorzystny wpływ na żyjące tu organizmy roślinne i zwierzęce, nie są one bowiem przyzwyczajone do tak ogromnej ilości słodkiej wody naraz. Chcę właśnie wiedzieć, w jakim stopniu ucierpi fauna i flora i ile czasu zajmie powrót do stanu normalności.

- Musisz z tym jednak poczekać aż do erupcji Katli, a to może nieprędko nastąpić.

Rozemiał się gromkim miechem.

158

- Siedzę tu już pięć lat i może będę musiał poczekać jeszcze z dziesięć, chociaż, prawdę mówiąc, nie wydaje mi się. Ten czarci pomiot jest już i tak spójniony. - Grzmotnął mnie w ramię. - Równie dobrze może wybuchnąć jutro, a wtedy nici z podróży do Keflavíku.

- Nie będzie mi to spędzało snu z powiek - stwierdziłem oschle. Zawołał przez całe laboratorium:

- Elin, na twoją cześć robię sobie dzisiaj wolne.

Dobiegł do niej w trzech susach i chwycił w ramiona, aż zapiszczała, prosząc o litość.

Nie zwracałem na to większej uwagi, ponieważ mój wzrok przycisnął nagłówek w gazecie leżącej na ławce. Był to poranny dziennik z Reykjavíku, a tytuł na pierwszej stronie wykrzykiwał: "Strzelanina w Geysir".

Przeczytałem szybko całą historię. Gdyby sędzić tylko z przekazu, mogłoby się zdawać, że w Geysir wybuchła wojna, w której niezidentyfikowane osoby użyły

całego arsenału broni, wyższy lekki artylerię. Artykuł zawierał kilka relacji wiadków, wszystkie zresztą bardzo niecisłe. Wyglądało na to, że niejaki Igor Wołków, rosyjski turysta, zbliżył się zbyt blisko do Strok-kuru i przebywa obecnie w szpitalu. Nie znaleziono na nim żadnych ran postrzałowych. W związku z tym niczym niesprowokowanym atakiem na obywatela radzieckiego ambasador tego kraju złożył skargę na ręce ministra spraw zagranicznych Islandii.

Przewróciłem stronę, żeby sprawdzić, czy jest artykuł przewodni na ten temat i rzeczywiście był. W lodowatym, ostrym tonie autor pytał w nim ambasadora radzieckiego, dlaczego wspomniany obywatel ZSRR Igor Wołków był w czasie tych wydarzeń uzbrojony po zęby, chociaż nie zgłosił faktu posiadania broni przy odprawie celnej po przyjeździe do Islandii.

Skrzywiłem się. Kennikin i ja byliśmy na najlepszej drodze, by zamrozić stosunki islandzko-radzieckie.

III

Nazajutrz wyruszyliśmy z Viku dość późnym rankiem. Byłem w kiepskim nastroju, ponieważ głowa cięższa mi jak ołów. Valtyr okazał się mistrzem w picciu, a próby dotrzymania mu kroku doprowadziły mnie, osłabionego brakiem snu, do fatalnego stanu. Miejsce się hałaliwie, położył mnie do łóżka, a rano wstał wieży jak poranek, podczas gdy ja miałem w ustach taki niesmak, jakbym cały wieczór pił formalinę z jego słoików z eksponatami.

Moje samopoczucie nie poprawiło się, kiedy zadzwoniłem do Londynu. Chciałem rozmawiać z Taggartem, a dowiedziałem się jedynie, że nie ma go

w biurze. Grzecznym, urzędowym tonem odmówiono mi podania miejsca jego pobytu,

proponując w zamian pozostawienie dla niego wiadomości, na co z kolei ja się nie zgodziłem.

Dziwne postępowanie Case'a skłaniało mnie do zastanowienia się nad tym, komu w Departamencie mogę zaufać, i nie miałem zamiaru rozmawiać z nikim innym poza Taggartem.

Do łodzi Valtyra, zakotwiczonej w zatoczce blisko otwartej plaży, dostaliśmy się za pomocą dingi. Valtyr przyjrzał się z ciekawościś dwóm długim, owiniętym w tkaninę workowś pakunkom, które wniosłem na pokład, lecz nie odezwał się ani słowem. Ja ze swej strony miałem nadzieję, że nie przypominająś zbytnio tego, czym naprawdę były. Zabierałem karabiny, bo mogły mi być potrzebne.

Łód liczyła wszystkiego około omiu metrów długości. Niewielka kabina była tak niska, że można w niej było jedynie siedzieć, a skšpy drewniany daszek miał stanowić osłonę dla sternika przed niepogodś. Sprawdziłem na mapie morskiej odległość z Viku do Keflaviku; łód nie wydawała się dostatecznie duża, by pokonać ten dystans.

- Jak długo będziemy płynść? - spytałem Valtyra.

- Około dwudziestu godzin - odparł, dodając pogodnie: - Pod warunkiem że ten diabelski silnik wytrzyma. Jeli nie, może to trwać całe wieki. Cierpisz na chorobę morskś?

- Nie wiem. Nie miałem okazji sprawdzić.

- No to teraz jś masz. - Ryknśł miechem.

Wyłynęliśmy z zatoki. Łód skoczyła niepokojśco na rozkołysanym morzu, wieża bryza rozwiała włosy Elin.

- Dzisiaj jest dobra widoczność - stwierdził Valtyr, wskazując ponad dziobem. -

Widać Vestmannaeyjar.

Spojrzałem w stronę grupy wysp i odegrałem rolę przydzieloną mi przez Elin.

- Gdzie leży Surtsey?

- Około dwudziestu kilometrów na południowy zachód od dużej wyspy Heimaey. Na razie jeszcze wiele nie zobaczysz.

Popłynęliśmy dalej. Łódka zanurzała się w odmęty fali, od czasu do czasu zapadała się dziobem pod wodę i wynurzała, strącając z siebie lawinę cieczo. Morze jest dla mnie obcym żywiołem i jak na mój gust nie wyglądało to zbyt bezpiecznie, ale Valtyr i Elin przyjmowali wszystko spokojnie. Silnik, który sędząc po wielkości, nadawałby się lepiej do miniaturowego modelu, parskał i prycał, a kiedy zaczynał przerywać, co jak na mój gust zdarzało się zbyt często, Valtyr pomagał mu kopnięciem. Rozumiałem teraz, dlaczego ucieszyła go tak perspektywa zdobycia nowego silnika.

160

Po sześciu godzinach dopłynęliśmy do Surtsey. Valtyr okrążył wyspę, trzymając się blisko brzegu, podczas gdy ja zadawałem mu odpowiednie pytania. Valtyr stwierdził przy tym:

- Wiesz, nie mogę cię wysadzić na ląd.

Surtsey, która wynurzyła się z dna morza w akompaniamencie huków i płomieni, jest dostępna wyłącznie dla naukowców szukających na niej odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób życie utrzymuje się w warunkach tak jałowego środowiska. Jest zatem rzecz naturalną, że nie chcę widzieć tam turystów, którzy na swych butach przenieliby na wyspę nasiona rolin.

- Nic nie szkodzi - odparłem. - Nie myślałem o schodzeniu na brzeg. Valtyr

nagle zachichotał.

- Pamiętasz wojnę dorszowś"?

Przytaknąłem. Pod tym określeniem krył się spór pomiędzy Islandiś a Wielkś Brytaniś o granicę przybrzeżnej strefy połowowej. Kwestia ta nagromadziła wiele niechęci między obu flotami rybackimi. Wreszcie sprawa została uregulowana, a Islandia otrzymała dwunastomilowy pas przybrzeżny. Valtyr rozemiał się i ciśgnął dalej:

- Wynurzenie się Surtsey przesunęło naszś strefę połowów o trzydzieci kilometrów dalej na południe. Spotkałem kiedy pewnego angielskiego kapitana, który stwierdził, że to było nieczyste zagranie z naszej strony, tak jakbymy przyłożyli do tego ręki. No więc powtórzyłem mu wtedy to, co usłyszałem od jednego geologa: za milion lat nasza strefa połowowa ulegnie przesunięciu na południe aż do Szkocji.

Rozemiał się na całe gardło.

Po odpłynięciu od brzegów Surtsey nie musiałem dłużej udawać zainteresowania wyspś, poszedłem więc się położyć. Potrzebowałem snu, a w dodatku zaczęło mi się przewracać w żołądku. Wyciśgnąłem się na koi i zasnąłem jak zabity.

IV

Spałem długo i głęboko, bo kiedy Elin obudziła mnie, usłyszałem:

- Dopływamy. Ziewnąłem.

- Dokśd?

- Valtyr wysadza nas na brzeg w Keflaviku.

Usiadłem, o mało nie rozbijając sobie głowy o belkę. Nad nami słyhać było wist przelatującego odrzutowca. Kiedy znalazłem się na rufie, zobaczyłem, że

rzeczywiście jesteśmy już całkiem blisko brzegu, a samolot obniża lot, schodząc

do lądowania. Przeciśgnąłem się i spytałem:

11 Na olep

161

- Która godzina?

- Ósma - odparł Valtyr. - Twardo spałem.

- Cóż, po sesji z tobą potrzebowałem dużo snu. Umiechnął się szeroko.

Zacumowaliśmy o pół do dziewiętej. Elin wyskoczyła na brzeg i odebrała ode mnie owinięte karabiny.

- Dzięki za podwiezienie, Valtyr. Pomachał mi ręką w odpowiedzi.

- Do usług. Może uda mi się załatwić ci pozwolenie wejścia na Surtsey, to naprawdę interesujące. Jak długo zostajesz?

- Do końca lata. Ale nie wiem, gdzie się zatrzymam.

- Będziemy w kontakcie.

Staliśmy na nabrzeżu portowym, patrząc, jak odpływa. Potem Elin spytała:

- Jakie mamy plany?

- Muszę się zobaczyć z Lee Nordlingerem. To trochę ryzykowne posunięcie, ale chcę dowiedzieć się od niego czegoś o tym urządzeniu. Jak sądzisz, czy Bjarni jest tutaj?

- Wstąpię. Zwykle odlatuje z portu lotniczego w Reykjavíku.

- Chcę, żeby po niadaniu poszła na lotnisko do biura Icelandair. Dowiedz się, gdzie jest Bjarni, a potem czekaj tam na mnie. - Potarłem podbródek i poczułem nieogolony zarost. - I pamiętaj, trzymaj się z dala od hali głównej. Kennikinn na pewno obstawił całe lotnisko, nie chcę, żeby cię zobaczyli.

- Najpierw niadanie - oznajmiła. - Znam tu jednš niezłš kafejkę. Kiedy

wszedłem do biura Nordlingera i cisnłem karabiny w kšt pokoju,

spojrzał na mnie z niejakim zdziwieniem, dostrzegajšc kieszenie uginajšce się

pod ciężarem amunicji, nie ogolone policzki i w sumie mojš mało cywilizowanš

aparycję. Rzucił okiem w kšt pokoju.

- Dostyc ciężkie jak na sprzęt wędkarki - skomentował. - Wyglšdasz fatalnie,

Alan.

- Podróżowałem w niezbyt wygodnych warunkach - odparłem, siadajšc. - Mógłby

pożyczyć maszynkę do golenia? Chciałbym, żeby rzucił na co okiem.

Uchylił szufladę biurka i wycišgnł golarkę na baterie, którš popchnł w mojš

stronę.

- Łazienka jest na korytarzu, drugie drzwi. Co mi chcesz pokazać? Zawahałem

się. Nie mogłem prosić Nordlingera o trzymanie języka za

zębami bez względu na to, co odkryje. To tak, jakbym nalegał na

sprzeniewierzenie się podstawowym zasadom jego zawodu, na co i tak nigdy by nie

przystał. W końcu musiałem jednak pójć na całego i zaryzykować. Wydo-

162

byłem z kieszeni metalowe pudełko, zdjšłem tamę przytrzymujšcš wieczko i

wytržsnłem zawartoć. Położyłem uržsdzenie przed Nordlingerem.

- Co to jest, Lee?

Przyglšdał się przed długš chwilę, niczego nie dotykajšc, wreszcie zapytał:

- Co chcesz o tym wiedzieć?

- Praktycznie wszystko. Ale na poczštek, powiedz mi, z jakiego kraju to

pochodzi.

Wziął urządzenie i zaczął je obracać w rękę. Jeżeli ktokolwiek mógł co na ten temat wiedzieć, to z pewnością był to Lee Nordlinger, młodszy oficer marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Pracował na stanowisku oficera elektronika w bazie wojskowej w Keflaviku, kierując naziemnym i pokładowym systemem radiolokacyjnym. Z tego, co o nim słyszałem, był w swoim fachu piekielnie dobry.

- Jestem prawie pewny, że to wyrób amerykański. - Trścił urządzenie palcem. -

Poznaję niektóre komponenty; na przykład te oporniki to standardowa robota Amerykanów. - Znowu obrócił urządzenie w rękę. - Pobiera prąd o częstotliwości pięćdziesięciu herców i natężeniu stosowanym w Ameryce.

- Dobrze, a teraz powiedz mi, co to jest.

- Tego jeszcze nie wiem. Na miłość boską, przynosisz mi kupę różnych obwodów i spodziewasz się, że potrafię wszystko nazwać od pierwszego spojrzenia. Może jestem dobry, ale nie aż tak.

- A możesz mi powiedzieć, czym to na pewno nie jest? - poprosiłem cierpliwie.

- No, nie jest to radio tranzystorowe, to pewne - stwierdził i skrzywił się. -

Tak naprawdę, to nie jest to podobne do niczego, co kiedykolwiek widziałem. -

Stuknął palcem w umocowany porodku zestawu kawałek metalu o dziwnym kształcie.

- Czego takiego na przykład nigdy przedtem nie widziałem.

- Możesz to przetestować?

- Pewnie.

Wyprostował znad biurka swój chudszy długą postać.

- Podłączymy to do prądu i zobaczymy, czy nie zagra nam może hymnu Stanów Zjednoczonych.

- Mogę iść z tobą?

- Czemu nie? - odparł lekko. - Chodmy do pracowni. Kiedy szliśmy korytarzem, zapytał:

- Skąd to masz?

- Dostałem - odparłem enigmatycznie.

Rzucił mi badawcze spojrzenie, ale nic nie powiedział. Minęliśmy wahadłowe drzwi na końcu korytarza i weszliśmy do dużego pokoju, gdzie stały

163

długie stoły załadowane akcesoriami elektronicznymi. Lee dał znać podoficerowi, który zbliżył się do nas.

- Czołem! Mam tu co do przetestowania. Jest jakiś wolny stół pomiarowy?

- Jasne. - Rozejrzył się po pokoju. - Niech pan wemie pistkę, będzie chyba wolna przez jakiś czas.

Spojrzałem na stół pomiarowy. Roilo się na nim od różnych pokręteł, mierników i ekranów, które kompletnie nic mi nie mówiły. Nordlinger usiadł.

- We sobie krzesło. Zobaczymy, co się będzie działo. Przyłszył zaciski do końcówek urządzenia i wstrzymał się.

- Wiemy już coś o tym przedmiocie. Nie jest to część wyposażenia samolotu, bo tam nie używają tak wysokiego napięcia. Z tej samej przyczyny nie może to pochodzić również ze statku, pozostaje zatem wyposażenie naziemne. Jest to urządzenie przystosowane do czerpania prądu, jakiego używa się na kontynencie północnoamerykańskim. Zatem równie dobrze mogło powstać w Kanadzie, bo wiele tamtejszych firm korzysta z komponentów produkcji amerykańskiej.

- Czy może to być część odbiornika telewizyjnego? - zasugerowałem.

- Ja w każdym razie takiego telewizora nigdy nie widziałem. - Trzasnął

przełącznikami. - Sto dziesięć woltów, pięćdziesiąt herców. Nie mamy podanego

natężenia w amperach, a więc musimy być ostrożni. Zaczniemy od małej dawki.

Przekręcił delikatnie pokrętko: cienka igła miernika ledwo drgnęła. Spojrzał na leżące urządzenie.

- Przepływa teraz prąd, ale tak słaby, że nie zabiłby nawet muchy. -Przerwał i podniósł wzrok. - Na początek muszę powiedzieć, że ta zabawka to jakiś rębny pomysł - prąd zmienny nie bywa stosowany przy tych komponentach. Jedziemy dalej.

Przyjrzyjmy się teraz temu, co wygląda na trzy fazy wzmocnienia, czyli znowu co niezrozumiałego.

Wziął próbnik umocowany do przewodu.

- Jeżeli przyłożymy próbnik do tego miejsca, powinniśmy otrzymać na oscyloskopie falę sinusoidalną. - Spojrzał na skalę. - No i jest. A teraz zobaczymy, co się dzieje w przewodzie dochodzącym do tego metalowego urządzenia o dziwnym kształcie.

Przytknął delikatnie próbnik i zielony zapis na oscyloskopie skoczył, przybierając nową konfigurację.

- Fala prostokątna - skomentował. - Część obwodu do tego miejsca działa jako przerywacz, co już samo w sobie jest dosyć dziwne z przyczyn, w które nie będę się teraz zagłębiał. Sprawdźmy jeszcze, co się dzieje w przewodzie wyprowadzonym z metalowego urządzenia do tej gmatwaniny płytek.

Przyłożył próbnik i zapis na oscyloskopie ponownie skoczył, by po chwili się ustabilizować. Nordlinger gwizdnął.

164

- Spójrz na to spaghetti. - Zielona linia powykrećcana w fantastyczną falę skakała

rytmicznie, zmieniając postać w każdym skoku. - Żeby to rozszyfrować, trzeba by sporo się nagłówkować, stosując analizę harmoniczną. Ale co by to było, pewne jest, że otrzymuje impulsy od tego metalowego cacka.

- Rozumiesz co z tego?

- Ni w zśb. Spróbuję jeszcze zbadać fazę wyjciowś. Poprzedni zapis na oscyloskopie powinien się teraz splśtać w kłębowisko. Kto wie, czy oscyloskop nam nie wybuchnie.

Przyłożył próbnik i spojrzał wyczekująco na ekran.

- Na co czekasz? - spytałem.

- Na nic. - Nie odrywał osłupiałego wzroku od ekranu. - Brak mocy wyjciowej.

- Czy to le?

Spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem i stwierdził łagodnie:

- To po prostu niemożliwe.

- Może co jest zepsute.

- Widzę, że nie rozumiesz. Obwód, jak sama nazwa wskazuje, to jakby koło; jeżeli to koło jest w jakim miejscu przerwane, prśd w ogóle nie płynie.

Ponownie przyłożył próbnik.

- Tutaj płynie prśd impulsowy o bardzo złożonym zapisie. - Ekran znowu rozżarzył się życiem. - A co mamy w tym miejscu tego samego obwodu?

Spojrzałem na pusty ekran.

- Nic?

- Nic! - potwierdził stanowczo, lecz w tej samej chwili zawahał się.

- Albo mówiąc dokładniej, niczego więcej nie dowiemy się za pomocą tego przyrządu testowego. - Trścił badane urządzenie. - Nie masz nic przeciwko temu,

żebym je zabrał na chwilę?

- Po co?
- Chciałbym je poddać dokładniejszym badaniom. Mamy tu jeszcze jedną pracownię.
- Odchrząknął jakby trochę zażenowany. Hm... ale ty nie możesz tam wejść.
- A, tylko dla wtajemniczonych. (Musiało to być jedno z owych miejsc, do których daje wstęp przepustka Fleeta.) W porządku, przetestuj je, ja tymczasem pójdę się ogolić. Poczekam na ciebie w twoim pokoju.
- Jeszcze chwileczkę - zatrzymał mnie. - Skąd to masz?
- Powiedz mi, do czego to służy, a ja ci powiem, skąd to mam. Umiechnął się.
- Umowa stoi.

Zaczął odłuszczać urządzenie od przyrządu testowego. Zostawiłem go i poszedłem do jego pokoju. Wziąłem golarkę elektryczną i zabrałem się do roboty.

165

W ciszę kwadransa pozbyłem się zarostu i zaraz poczułem się inaczej. Pozostało mi teraz czekać na powrót Nordlingera. Czekałem długo: minęło przeszło półtorej godziny, zanim wrócił.

Wchodząc, trzymał w ręku tajemnicze urządzenie, jakby to była laska dynamitu.

Położył je ostrożnie na biurku.

- Muszę wiedzieć, skąd to masz - zaczął bez żadnych wstępów.

- Najpierw powiedz mi, do czego to służy.

Usiadł za biurkiem, patrząc na metalowo-plastikową konstrukcję z pewną odrazą.

- Do niczego - stwierdził stanowczo. - Całkowicie do niczego.

- Nie opowiadaj! Przecież musi mieć jakie zastosowanie.

- Mówię ci, że nie. Nie ma w nim żadnej dającej się zmierzyć mocy wyjciowej. -

Pochylił się do przodu i kontynuował cichym głosem. - Alan, mam tam przyrząd, które mogłoby zmierzyć każdą część widma elektromagnetycznego, począwszy od fal radiowych o niewiarygodnie niskiej częstotliwości aż po promieniowanie kosmiczne. Ale z tego urządzenia najzwyczajniej w świecie nic nie wychodzi.

- A może, jak powiedziałem, coś jest zepsute?

- Sprawdziłem wszystko i mówię ci: ten pistolet nigdy nie wystrzelił. - Popchnął urządzenie, które przesunęło się bokiem po powierzchni biurka. - Nie podobaj się mi tu trzy rzeczy: po pierwsze, są tu komponenty, które w niczym nie przypominają tego, co kiedykolwiek widziałem. Nie mam nawet pojęcia, do czego mogłoby służyć, a to już wystarczający powód, bym czuł się nieswojo, zwłaszcza że mam opinię całkiem niezłego w swoim fachu. Po drugie, to, co tu mamy, jest niekompletne, to tylko część znacznie bardziej rozbudowanego kompleksu. Zresztą wątpię, czy byłbym w stanie to rozszyfrować, nawet gdybym miał do dyspozycji całość. A wreszcie rzecz najważniejsza: to urządzenie w ogóle nie powinno pracować.

- No i nie pracuje - wtrąciłem. Machnął ręką ze zdenerwowaniem.

- Może le się wyraziłem. Chodzi o to, że musi być jaka energia wyjściowa.

Dobry Boże, nie można przecież ładować bez końca prądu do maszyn bez możliwości wyprowadzenia go w jakiej postaci. To niemożliwe.

- Może wychodzi w postaci energii cieplnej - zasugerowałem. Potrząsnął głową ze zrezygnowaniem.

- Pod koniec byłem już tak wciekły, że poszedłem na całego i przepuściłem przez obwód tysiąc watów. Gdyby to cholerstwo przetwarzało prąd w ciepło, powinno się wówczas rozżarzyć jak piecyk elektryczny. I otóż nie, pozostało tak

zimne jak przedtem.

- A ja widzę, że tobie przydałoby się trochę zimnej krwi. Rozłożył ręce w geście rozdrażnienia.

166

- Słuchaj Alan, wyobra sobie, że jesteś matematykiem i pewnego razu natrafiasz na równanie, z którego wynika, że dwa plus dwa równa się pięć i w dodatku wszystko w nim trzyma się kupy. No więc postaw siebie w takiej sytuacji, a będziesz czuł to, co ja w tej chwili. To tak, jakby dać fizykowi perpetuum mobile, które naprawdę działa.

- Poczekaj - przerwałem mu. - Perpetuum mobile daje co z niczego, zwykle energię. A tu mamy do czynienia z odwrotną sytuacją.

- To bez różnicy. Energii nie da się stworzyć ani zniszczyć. - Widząc, że chcę coś powiedzieć, dodał szybko: - I nie mów mi o energii atomowej. Materię można rozpatrywać jako zamrożoną, skoncentrowaną energię. - Spojrzał z ponurą miną na tajemnicze urządzenie. - A to co niszczy energię!

Niszczy energię! Wałkowałem tę myśl przez chwilę w swych szarych komórkach, próbując dociec, co z tego rozumiem, Odpowiedź brzmiała: niewiele.

- Nie posuwajmy się za daleko - zastopowałem go. - Przyjrzyjmy się, co tu mamy.

A więc po podłączeniu do prądu otrzymujemy...

- Nic! - wtrącił.

- Raczej co, czego nie jesteś w stanie zmierzyć - poprawiłem go. - Możesz tu mieć całkiem dobre przyrządy, ale nie dysponujesz chyba wszystkimi. Idę o zakład, że żyje sobie gdzieś jakiś geniusz, który nie tylko wie, jak pracę wykonuje nasze cudo, ale ma do tego inne, równie zawiłe urządzenie, którym może

tę pracę zmierzyć.

- Jeli tak, to chętnie bym je zobaczył, ponieważ wykracza poza stan mojej wiedzy.

- Nie jeste naukowcem, ale facetem od techniki. Zgodzisz się chyba ze mnš?

- Jasne, jestem inżynierem od dawien dawna.

- I dlatego nosisz krótkie włosy. Ale ta zabawka została zrobiona przez jakiego długowłosego. - Umiechnšłem się. - Albo przez jajogłowego.

- W dalszym cišgu chciałbym wiedzieć, skšd to masz.

- Bardziej cię powinno zainteresować, dokšd to trafi. Masz tu jaki bezpieczny sejf?

- Oczywiście. - Zawahał się. - Chcesz, żebym to zatrzymał?

- Na czterdzieci osiem godzin. Jeżeli nie zgłoszę się po nie w cišgu tego czasu, przekaż urządzenie swojemu przełożonemu razem z wštpliwociami, jakie żywisz. Niech on się nim zaopiekuje.

Nordlinger spojrział na mnie lodowatym wzrokiem.

- Nie wiem, dlaczego nie miałbym dać mu tego od razu. Za te czterdzieci osiem godzin mogę zapłacić głowš.

- Ja na pewno jš stracę, jeżeli tego u siebie nie zatrzymasz - stwierdziłem z ponurš minš.

167

Wzišł do ręki urządzenie.

- To produkt amerykański, ale nie stanowi własności bazy wojskowej w Keflaviku.

Bardzo chciałbym wiedzieć, skšd to pochodzi.

- Masz rację co do tego, że nie należy do bazy. Ale idę o zakład, że zrobili je

Rosjanie. I teraz zresztś chcieliby je odzyskać.

- Rany boskie! - wykrzyknął. - Przecież pełno w nim amerykańskich komponentów.

- Może Rosjanie wzięli sobie do serca rady Macnamary o efektywności wydatków i dokonujś zakupów na najlepszych rynkach. A zresztś nie obchodzi mnie, skśd pochodzś komponenty, czy zrobiono je w Ameryce, czy w Kongo. Teraz zależy mi jedynie na tym, żeby ta zabawka została u ciebie.

Odłożył ostrożnie urządzenie na biurko.

- Zgoda, ale tylko na dwadziecia cztery godziny. I nawet wtedy nie dostaniesz go bez szczegółowych wyjaśnień.

- Cóż, nie mam wyboru. Ale pod warunkiem, że pożyczysz mi samochód. Zostawiłem land-rovera w Laugarvatn.

- Ale masz czelność!

Wsadził rękę do kieszeni i rzucił kluczyk na biurko.

- Niebieski chevrolet, stoi na parkingu przy bramie.

- Wiem który to.

Włożyłem marynarkę i poszedłem w kśt pokoju po karabiny.

- Słuchaj, Lee, znasz faceta o nazwisku Fleet? Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie.

- A McCarthy'ego?

- Tak właśnie nazywa się podoficer, którego spotkałem w pracowni.

- To nie ten. No, to na razie. Musimy kiedy wyskoczyć na ryby.

- Nie daj się zapuszkować. Zatrzymałem się w drzwiach.

- Skśd ci to przyszło do głowy? Przykrył dłoniś elektroniczne urządzenie.

- Facet, który łazi z czym takim, powinien trafić do więzienia - stwierdził z

przekonaniem.

Rozemiałem się i wyszedłem, zostawiając go wpatzonego w tajemniczy przedmiot.

Jego zbiór wartości został poważnie naruszony. Nordlinger nie był naukowcem,

lecz inżynierem, a ten postępuje w myśl zbioru reguł: długiej listy prawd

poddawanych wielowiekowemu sprawdzianowi. Inżynier jest wszakże skłonny

przeoczyć fakt, że ów zbiór reguł został pierwotnie opracowany właśnie przez

naukowców, ludzi, dla których łamanie ich nie jest niczym innym jak tylko

możliwość uczynienia kolejnego kroku w wyjanianiu niezbadanych tajemnic

wszechwiata. Facet, który z powodzeniem przeskakuje

168

ze świata fizyki newtonowskiej w fizykę kwantową, nie myśląc przy tym kroku, jest

w stanie uwierzyć we wszystko. Lee Nordlinger nie należał do tej kategorii

ludzi, ale z pewnością należał do niej autor tego wynalazku.

Odszukałem samochód i schowałem karabiny wraz z amunicją do bagażnika. Pistolet

Jacka Case'a nosiłem w kaburze przewieszanej przez ramię, zatem tym razem nic

nie zniekształcało linii marynarki. Nie znaczy to wcale, że nabrałem bardziej

reprezentacyjnego wyglądu: na przodzie marynarki widniały dziury wypalone przez

szczałki żarzącego się tortu, a rękaw rozdarła kula, która otarła się o mnie w

Geysir. Marynarka i spodnie były powalane błotem i w sumie coraz bardziej

przypominałem trampa. Chociaż trzeba przyznać, byłem przynajmniej starannie

ogolonym trampem.

Wsiadłem do samochodu i ruszyłem powoli w stronę lotniska międzynarodowego.

Przez całą drogę zastanawiałem się nad ekspertyzą Nordlingera. Jego zdaniem tego

rodzaju urządzenia elektroniczne nie mogło w ogóle istnieć, co już samo w sobie

przydawało mu znaczenia naukowego. Musiało być to co bardzo ważnego, skoro z jego powodu ginęli ludzie, inni tracili nogi lub gotowali się we wrzącej wodzie.

Było co, co sprawiało, że ciarki przebiegały mi po plecach. Ostatnie słowa, jakie padły z ust Kennikina tuż przed moją ucieczką, wskazywały jednoznacznie, że moja osoba stawała się teraz ważniejsza niż owo elektroniczne urządzenie.

Gotów był zabić mnie, zanim jeszcze zdołałby położyć na nim swoją rękę, a przecież zdawał sobie sprawę, że wraz z moją śmiercią metalowe pudełko przypadnie na zawsze.

Nordlinger dostarczył mi wiadomości, że urządzenie miało wyjątkowe znaczenie naukowe, cóż zatem było we mnie takiego, co czyniło mnie od niego jeszcze ważniejszym? Nieczęsto się zdarza w bezdusznym świecie techniki, że jeden człowiek nabiera większej wagi niż wynalazek o przełomowym znaczeniu dla nauki. Może oznaczało to powrót do normalności, chociaż sam nie bardzo w to wierzyłem.

Do biura Icelandair można było dostać się bocznym wejściem bez pokazywania się w hali dworcowej; zaparkowałem i wszedłem. Przy wejściu miałem przyjemne zderzenie z młodą hostessą, której nie omieszkałem zapytać:

- Czy jest tu gdzie Elin Ragnarsdóttir?

- Elin? Jest w poczekalni.

Siedziała sama i zerwała się szybko na mój widok.

- Alan, tak długo cię nie było!

- Trwało to dłużej, niż się spodziewałem.

Na jej twarzy malowało się zdenerwowanie i co jakby wyraz ponaglenia.

- Wszystko w porządku? - spytałem.

- Tak, w każdym razie jeśli chodzi o mnie. Masz gazetę.

Wziłem płachtę z jej ręk.

- Ale o co chodzi?

- We... przeczytaj sam. Odwróciła się.

Rozłożyłem gazetę. Na pierwszej stronie widniała naturalnej wielkości fotografia przedstawiająca należący do mnie sgián dubh.

Poniżej czarne litery nagłówka wykrzykiwały: Czy kto widział ten nóż?".

Nóż znaleziono wbity w serce mężczyzny siedzącego w samochodzie, który stał zaparkowany na podjeździe prowadzącym do pewnego domu w Laugarvatn. Zabitym okazał się brytyjski turysta, zidentyfikowany jako Jack Case. Zarówno dom, jak i volkswagen, gdzie znaleziono denata, stanowiły własność Gunnara Arnarssona, który był nieobecny, prowadząc w tym czasie wycieczkę konnš. Sam dom nosił lady włamania i przeszukiwań. Z uwagi na nieobecność Gunnara Arnarssona i jego żony Sigurlin Asgeirsdottir nie udało się stwierdzić, czy co zginęło. Policja stara się z nimi skontaktować.

Nóż mógł przyciągnąć czyjš uwagę swym nietypowym kształtem i dlatego policja zwróciła się do redakcji z prośbš o opublikowanie jego zdjęcia w gazecie.

Ktokolwiek widział ten lub podobny do tego nóż proszony był o skontaktowanie się z najbliższš komendš policji. Poza fotografiš zamieszczona była jeszcze wyodrębniona notatka, której autor poprawnie określał znaleziony nóż jako szkocki sgián dubh, lecz zaraz potem schodził na niziny pseudohistorycznego głędzenia.

Podano również, że policja poszukuje szarego volvo z rejestracjšreykja-vickš.

Ktokolwiek je widział, proszony był o pilne zgłoszenie się na policji. Notatka

zawierała numery rejestracyjne samochodu.

Spojrzałem na Elin.

- Niezły bigos, co? - odezwałem się cicho.

- Czy to ten facet, z którym miała spotkanie się w Geysir?

- Tak.

Nie ufałem do końca Case'owi i ogłuszyłem go, zostawiając nieprzytomnego w pobliżu domu Kennikina. Może jednak Jack nie zasługiwał na całkowity brak zaufania, skoro zginął z ręk Kennikina. A co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości. Kennikin przecież wszedł wcześniej w posiadanie mojego szarego volkswagena, a szukając mnie, musiał natknąć się na Case'a.

Ale dlaczego Jack musiał zginąć?

- To straszne - westchnęła Elin. - Jeszcze jeden zabity. W głosie jej pobrzmiwała rozpacz.

- Ja go nie zabiłem - owiadczyłem wprost.

170

Wzięła do ręki gazetę.

- Skąd policja dowiedziała się o volvo?

- Normalna procedura. Z chwilą zidentyfikowania Case'a zaczęli dokładnie badać każdy jego krok od momentu przyjazdu do Islandii i wkrótce odkryli, że wynajął samochód, i nie był to oczywiście volkswagen, w którym go znaleźli. (Dobrze zrobiłem, chowając volvo Jacka w garażu Valtyra w Viku.) Kiedy Valtyr wraca do Viku?

- Jutro.

Wyglądało na to, że wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie. Lee Nordlinger dał

mi dwudziestoczworogodzinne ultimatum, a co do Valtyra, nie miałem złudzeń, że zaraz po powrocie do Viku sprawdzi numery stojącego u niego volvo. Natomiast jeśli już teraz miał pewność, że włanie tego samochodu szukajś, mógł pójć na policję jeszcze w Reykjaviku. A cała bomba wybuchnie, kiedy policja odnajdzie Sigurlin. Nie liczyłem zbytńio na to, że będzie milczała, dowiedziawszy się o trupie znalezionym koło drzwi własnego domu.

Elin dotknęła mego ramienia.

- Co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem. Teraz chcę spokojnie posiedzieć i pomyleć. Zaczśłem składać poszczególne fragmenty i stopniowo poczęła się z nich wyłaniać sensowna całość, której o stanowiła nagła zmiana w postawie Kennikina tuż po moim uwięzieniu. Z pocżśtku aż się palił, żeby wydobyć ode mnie elektroniczne urządzenie, i wyczekiwał z niezdrowsz radociś chwili rozpoczęcia operacji. Ale potem, a dokładnie biorśc po czyim telefonie, przestał się nagle interesować poszukiwanym urządzeniem, owiadczejśc, że teraz o wiele ważniejsze jest wyprawienie mnie na tamten wiat.

Odtworzyłem punkt po punkcie chronologię zdarzeń. W Geysir podzieliłem się z Case'em moimi podejrzeniami w stosunku do Slade'a i Case zgodził się przedstawić je Taggartowi. Slade w takim wypadku zostałby poddany gruntownemu przewietleniu. Ale niedługo przed ujęciem mnie przez Kennikina widziałem, jak Slade rozmawia sobie w najlepsze z Case'em. A gdyby założyć, że Case w jaki sposób obudził podejrzenia Slade'a? Slade to szczwana sztuka, zna się na ludziach, całkiem możliwe, że Jack odkrył przed nim swe karty.

Co w takim przypadku zrobiłby Slade? Skontaktowałby się z Kenniki-nem, by

sprawdzić, czy wpadłem w ich ręce, i dał mu przy tym do zrozumienia, że bez względu na cenę utrzymanie jego pozycji jako człowieka numer jeden zaraz po Taggarcie jest o wiele ważniejsze niż elektroniczne urządzenie. Z pewnością więc poleciłby Kennikinowi: "Zabij tego skurwiela" i tu kryła się odpowiedź na pytanie o przyczynę nagłej zmiany postawy Kennikina.

171

Rzeczś równie ważnś stało się także zlikwidowanie Jacka Case'a, zanim zdoła porozumieć się z Taggartem.

Ułatwiłem Slade'owi zadanie, zostawiając Case'a pod bokiem Kenniki-na, a ten poczęstował go moim nożem. Po sprawdzeniu, skśd pochodzi volkswagen, którym przyjechałem, Kennikin udał się tam mnie szukać i podrzucił ciało Case'a.

Taktyka znamienna dla terrorystów.

Wszystko wiśzało się w zgrabnś całość z jednym wszakże wyjśtkiem: dlaczego Jack Case opucił mnie, kiedy zostałem napadnięty w Geysir przez bandę Kennikina? Nie ruszył palcem, by mi pomóc, nie oddał jednego strzału w mojej obronie. Znałem Jacka i zupełnie mi to do niego nie pasowało. Włanie to dziwne zachowanie, w połśczeniu z widocznś zażyłościś łszczś go ze Slade'em, legło u podstaw mej nieufności wobec niego. Nie dawało mi to spokoju.

Wszystko jednak należało już do przeszłoci. Teraz musiałem stawić czoło przyszłoci, a to oznaczało kolejne trudne decyzje.

- Dowiedziała się, co z Bjarnim? Skinęła apatycznie głowś.
- Ma teraz lot z Reykjaviku do Hofn. Po południu przyleci do Reykjaviku.
- Będzie nam tu potrzebny. Nie wolno ci się stśd ruszyć, zanim się nie zjawi.

Nie wychod nawet na posiłki, mogś ci je przysyłać. A przede wszystkim za nic w

wiecie nie możesz pokazywać się w holu dworcowym. Zbyt wielu facetów węszy tam za nami.

- Przecież nie mogę tkwić tu wiecznie - zaprotestowała.

- Tylko do czasu przyjazdu Bjarniego. Możesz powiedzieć mu to, co uznasz za stosowne, możesz mu nawet wyjawić prawdę i przekaż mu, co ma zrobić.

Zmarszczyła brwi.

- A mianowicie?

- Musi cię stąd wyprowadzić i wsadzić do samolotu, ale w sposób dyskretny, z pominięciem zwykłej drogi. Nie obchodzi mnie, jak to zrobi; może cię przebrać za hostessę i przeszmuglować na pokład jako członka załogi, ale w żadnym razie nie możesz zjawić się w holu dworcowym jako pasażerka.

- Wstąpię, czy będzie mógł to zrobić.

- Chryste! Jeżeli potrafi przeszmuglować z Grenlandii całe skrzynki carlsberga, to może również przemycić ciebie. Skoro już o tym mowa, Grenlandia to wcale niezły pomysł. Mogłaby zatrzymać się tam w Narsassuaš i przeczekać, aż wszystko się skończy. Nawet kto tak bystry jak Slade nie wpadłby na pomysł, żeby tam cię szukać.

- Ale janie chcę jechać.

- Pojedziesz. Nie możesz plstać się tu pod nogami. Jeżeli sędzisz, że przez ostatnie kilka dni było ciężko, to w porównaniu z tym, co przyniosł

172

następne dwadzieścia cztery godziny, czas ten wydać ci się może idyllš. Chcę trzymać cię od tego jak najdalej i, na Boga, zrobisz to, co ci każę!

- A więc mylisz, że jestem bezużyteczna - rzekła z goryczš.

- Wcale nie i udowodniła to w cięgu tych kilku dni. Musiała często postępować wbrew samej sobie, ale nie odstąpiła mnie nawet na krok. Strzelano do ciebie, trafiła cię kula, a ty na nic nie zważając, byłaś przy mnie, żeby mi pomóc.

- Bo cię kocham.

- Wiem. Ja też cię kocham i dlatego właśnie chcę, żeby wyjechała. Nie pozwolę, żeby przypłaciła to życiem.

- A ty?

- Ja to co innego. Jestem zawodowcem. W odróżnieniu od ciebie wiem, co i jak robić.

- Case także był zawodowcem, a teraz leży martwy. Podobnie Graham, czy jak on tam się naprawdę nazywał. A ten Wołków, który przypiekl się w Geysir, też był przecież zawodowcem. Sam mówiłem, że jedynymi, którym dotychczas coś się przytrafiło, to byli sami profesjonaliści. A ja nie chcę, żeby spotkało cię coś złego.

- Powiedziałem również, że żaden postronny obserwator nie doznał najmniejszego uszczerbku. Ty w tej sprawie jesteś tylko przypadkowym widzem i chciałbym, żeby tak pozostało.

Musiałem przekonać ją w jakiś sposób o powadze sytuacji. Sprawdziłem, czy nie ma nikogo w pobliżu, zrzuciłem szybko marynarkę i zdjąłem kaburę Case'a z broni.

Wziłem pistolet do ręki i spytałem:

- Umiesz się z tym obchodzić? Otworzyła szeroko oczy.

- Nie! Wskazałem suwnicę.

- Jeżeli odciśniesz to do tyłu, kula wprowadzana jest do lufy. Odwracasz tę dwigienkę, czyli bezpiecznik, potem celujesz i pociśgasz za spust. Przy każdym

nacinięciu na spust wyskakuje kula. W sumie możesz oddać osiem strzałów.

Rozumiesz wszystko?

- Chyba tak.

- Powtórz.

- Odcisgam górę pistoletu, odbezpieczam i pociśgam za spust.

- Dobrze. Lepiej byłoby, co prawda, spust nacisnąć, ale nie pora teraz na bawienie się w takie subtelności.

Włożyłem pistolet z powrotem do kabury i wcisnąłem w jej niechętną rękę.

- Jeżeli kto próbowałby zmusić się do czego wbrew twojej woli, bierzesz pistolet, celujesz i strzelasz. Może go wcale nie trafisz, ale przysporzysz mi kilku siwych włosów.

173

Tym, co przeraża zawodowca, jest broń w ręku amatora. Jeżeli strzela do ciebie profesjonalista, wiesz przynajmniej, że robi to celnie i masz szansę go przechytryć. Amator może zabić cię przez zupełny przypadek.

- Id do toalety i załóż kaburę pod żakiet. Kiedy wrócisz, mnie już tu nie będzie.

Przyjęła pistolet, a wraz z nim nieodwołalność tej sytuacji.

- Dokąd j edziesz? - spytała.

- Pora działać. Mam już dość ganiań, teraz sam zabawię się w myliwego. Życz mi szczęścia.

Zbliżyła się i pocałowała mnie delikatnie, z trudem powstrzymując łzy.

Poczulimy twardą stal dzielącego nas pistoletu. Klepnąłem ją w poladek.

- No, zmykaj!

Patrzyłem, jak odwraca się i odchodzi, a kiedy zamknęły się za nią drzwi, również wyszedłem.

Rozdział 9

Chewolet Nordlingera był zbyt długi i szeroki oraz za miękki w resorach. W Obyggdir nie dałbym za niego złamanego grosza, nadawał się jednak na trasę wiodącą do Reykjavíku, szybką, międzynarodową autostradę, która stanowi jedyny w Islandii odcinek drogi o naprawdę dobrej nawierzchni. Czterdzieci kilometrów do Hafnarfjörður pokonałem z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, lecz dojeżdżając do Kopavogur, musiałem zwolnić z uwagi na zagęszczenie ruchu ulicznego. Zakląłem pod nosem, bo w południe byłem umówiony na spotkanie w biurze podróży Nordri i nie chciałem się spónić.

Budynek Nordri był usytuowany na Hafnarstraeti. Zaparkowałem w bocznej uliczce niedaleko Naust, po czym ruszyłem pieszo w dół zbocza, kierując się w stronę centrum miasta. Nie miałem najmniejszego zamiaru wchodzić do wnętrza biura, bo i po co, skoro elektroniczne urządzenie spoczywało ukryte daleko stąd, w sejfie Nordlingera. Na Hafnarstraeti dałem nura w drzwi księgarni położonej naprzeciwko Nordri. Na górze znajdowała się kafejka połączona schodami bezpośrednio z księgarnią, można więc było poczytać sobie wygodnie przy filiżance kawy. Dla niepoznaki kupiłem gazetę i poszedłem do kawiarenki.

Nie zaczęła się jeszcze pora południowego napływu gości, mogłem więc zająć wolne miejsce pod oknem. Zamówiłem naleniki i kawę, rozłożyłem szeroko gazetę i za jej osłonę spojrzałem przez okno na zatłoczoną ulicę. Tak jak się spodziewałem, roztaczał się stąd dobry widok na położone po drugiej stronie ulicy biuro podróży. Cienkie firanki nie przeszkadzały mi w obserwacji, uniemożliwiały

natomiast rozpoznanie mnie od strony ulicy.

Tymczasem na zewnątrz panował ożywiony ruch. Rozpoczął się sezon turystyczny i pierwsi mieli podróżnicy zaczęli już przypuszczać ataki na sklepy z pamiątkami, by zabrać swój łup do domu. Obwieszeni aparatami fotograficznymi, nie rozstający się z mapą, od razu rzucali się w oczy. Badałem

175

jednak uważnie każdego z nich, ponieważ należało się spodziewać, że ten, którego szukam, ukryje się pod wygodnym płaszczkiem turysty.

Przyjazd tutaj był strzałem w ciemno. Kierowałem się tym, że gdziekolwiek bym się zjawił, zawsze pojawiał się tam również przeciwnik. Tuż po przylocie do Islandii udałem się w myśl otrzymanych instrukcji w długą, okrężną drogę do Reykjavíku i spotkałem na swej trasie Lindholma. Potem zaszłem się w Asbyrgi i tam znenacka wypadł na mnie Graham. Oczywiście w tym przypadku swoją rolę odegrał zamontowany w land-roverze nadajnik radiowy, niemniej fakt pozostawał faktem. Fleet urządził na mnie zasadzkę, której celu zresztą w dalszym ciągu nie znałem, i unieruchomił mój samochód jednym celnym strzałem. Lecz i on, i Lindholm dobrze wiedzieli, gdzie mają na mnie czekać. A w Geysir wpadłem w sidła Kennikina i niemal cudem wyrwałem się z opresji.

Teraz za oczekiwano mnie w biurze podróży Nordri. Zakładajmy więc, że i w tym wypadku wystąpi schemat z przeszłości, istniało niewielkie, acz logiczne prawdopodobieństwo, że miejsce to zostanie poddane obserwacji. Z większym zatem niż jedynie pobieżnym zainteresowaniem przyglądałem się spacerowiczom za oknem, pochłoniętym bez reszty oglądaniem wystaw sklepowych. Jeżeli Kenni-kin urządził tu na mnie zasadzkę, miałem nadzieję, że zdołam rozpoznać jego człowieka. Nie

mógł przecież przywieć do Islandii całej armii, a wielu członków jego grupy miałem już okazję zobaczyć w taki czy inny sposób.

Mimo wszystko minęło całe pół godziny, zanim go spostrzegłem, a to dlatego, że patrzyłem na niego pod nietypowym kątem, bo z góry. Trudno zapomnieć twarz widzianą po raz pierwszy na siatce celownika teleskopowego, jednak dopiero w momencie, kiedy zadarł głowę, rozpoznałem w tłumie przechodniów jednego z tych, którzy byli z Kennikinem po drugiej stronie rzeki Tungnaa.

Facet łaził bez celu, gapiąc się w okno wystawowe sklepu przylegającego do biur Nordri. Wyposażony w aparat fotograficzny, plan miasta i plik pocztówek wyglądał na typowego turystę. Przywołałem kelnerkę i zapłaciłem rachunek, zapewniając sobie możliwość błyskawicznego opuszczenia kafejki, zatrzymałem jednak jeszcze stolik, zamawiając kolejną kawę.

Przy tego rodzaju zadaniu oczywiste było, że gość nie działa w pojedynkę, stąd też interesowało mnie jego powiśzanie z pozostałymi przechodniami. W miarę upływającego czasu coraz bardziej się niecierpliwił i spoglądał na zegarek.

Dokładnie o pierwszej podjął decyzję: podniósł rękę w geście przywołania, na co wyłonił się inny mężczyzna, przeszedł ulicę i zbliżył się do pierwszego.

Przełknąłem kawę i zszedłem na dół. Przyczałem się przy stoisku z gazetami, obserwując równocześnie moich znajomych przez oszklone drzwi księgarni. Dołączył do nich trzeci mężczyzna, w którym z miejsca rozpozna-

łem Iljicza, tego samego, który tak nierozważnie pomógł mi wejść w posiadanie bomby butanowej. Cała trójka rozmawiała o czym przez chwilę, po czym Iljicz wyciągnął rękę i puknął w zegarek, wzruszając przy tym znacząco ramionami.

Następnie ruszyli ulicą w stronę Posthusstraeti, a ja za nimi.

Scena z zegarkiem zdawała się wiadczyć, że nie tylko wiedzieli o moim rendez-vous, ale znali również umówioną godzinę spotkania. Wraz z wybiciem godziny pierwszej zeszli z dyżuru jak robotnicy po ogłoszeniu fajrantu. Nie zdziwiłbym się zbytnio, gdyby się miało okazać, że znaję również hasło.

Na rogu Posthusstraeti dwóch z nich wsiadło do zaparkowanego samochodu i odjechało, Iljicz natomiast skręcił szybko w prawo, przeciśnięt ulicę, kierując się zwawym krokiem w stronę hotelu Borg i zniknął w nim jak królik wskakujący do swej nory. Wahaniem się przez chwilę, po czym ruszyłem jego ladem.

Nie zatrzymał się przy recepcji po klucz, ale udał się od razu schodami na drugie piętro. Depcząc mu po piętach, widziałem, jak przeszedł korytarzem i zapukał do drzwi, po czym zrobiłem zręczne w tył zwrot i zszedłem na dół.

Usiadłem w holu przy stoliku, skąd miałem dobry widok na foyer. Wiślało się to z konieczności wypicia kolejnej filiżanki kawy, której nadmiar zaczynał mi już zagrażać potopem; taka jest jednak cena, jaką przychodzi płacić przy tego rodzaju robocie. Rozpostarłem gazetę na szerokość ramion i czekałem na ponowne pojawienie się Iljicza.

Nie trwało to długo. Wrócił po dziesięciu minutach, a widok, jaki ujrzałem, pozwolił mi z triumfem stwierdzić, że nie myliłem się w swoich podejrzeniach, a każdy mój krok w Islandii był po stokroć usprawiedliwiony. Iljicz schodził po schodach, rozmawiając z towarzyszącą mu osobą, a osobą tą był Slade.

Przeszli przez hol, idąc w stronę sali restauracyjnej, a Slade minął mój stolik w odległości nie większej niż dwa metry. Można się było spodziewać, że będzie czekał w swoim pokoju na raport od ludzi obstawiających biuro Nordri, a po

wysłuchaniu informacji pójdzie co przekłsić. Przesunłem się na krzele, próbujšc dojrzeć, gdzie usiđš, a następnie, korzystajšc z zamieszania spowodowanego zajmowaniem miejsc, szybko wyszedłem i zniknłem w foyer. W dwie minuty póniej byłem na drugim piętrze i stukałem do tych samych drzwi, do których pukał Iljicz, majšc przy tym szczerš nadzieję, że nikt mi nie otworzy. Pukanie pozostawało bez odpowiedzi, wszedłem zatem do rodka, posługujšc się zręcznie kawałkiem plastiku wyjętym z portfela. Umiejętnoć ta stanowiła część wiedzy zdobytej na szkoleniu - Departament istotnie dobrze mnie przygotował.

Nie byłem na tyle niemšdry, żeby brać się za przetrzšsanie bagažu Slade^. Jeżeli był tak bystry, jak mylałem, oznakował na pewno walizkę

12 Na olep

177

w jaki sprytny sposób, by móc od pierwszego spojrzenia stwierdzić, czy kto jš otwierał. Była to zwykła procedura operacyjna przy wykonywaniu zadania, a Slade miał w tym względzie podwójnš przewagę, mógł bowiem skorzystać z wiedzy zdobytej u obu stron. Zbadałem za to dokładnie drzwi szaty, upewniajšc się, czy nie ma na nich cienkich włosów przyklejonych na linę, które w momencie otwarcia szafy odpadłyby, pozostawiajšc wyrany ład czyjej ingerencji. Nic jednak nie znalazłem, otworzyłem więc drzwi, wszedłem do rodka i zacząłem wyczekiwać w ciemnościach.

Czekałem dosyć długo, czego mogłem się spodziewać, znajšc dobrze łakomstwo Slade'a. Zastanawiałem się przy tym, w jaki sposób zdołał przywyknąć do kuchni islandzkiej, po której, mówišc najdelikatniej, można dostać uczulenia. Tylko

Islandczyk jest w stanie docenić smak bakarla - surowego mięsa rekina, które należy przechowywać w piasku przez kilka miesięcy, lub marynowanego tłuszczu wielorybiego.

Wrócił za kwadrans trzecia, a do tego czasu mój własny żołądek zaczął się buntować przeciwko takiemu zaniedbywaniu jego potrzeb: zdołał dotychczas pochłonąć całe morze kawy, lecz niewiele trzeciego pożywienia. Slade wrócił w towarzystwie Iljicza i nie zdziwiło mnie wcale to, że mówi po rosyjsku jak rodowity Rosjanin. Do diabła, był pewnie Rosjaninem, tak jak jego dawniejszy odpowiednik Gordon Lonsdale.

- A więc czekamy znów do jutra? - odezwał się Iljicz.

- Chyba że będzie co nowego od Kennikina - odparł Slade.

- Moim zdaniem popełniamy błąd - stwierdził Iljicz. - Nie sądzę, że Stewartsen pojawi się w pobliżu biura podróży. Czy to w ogóle pewna informacja?

- Najzupełniej - odrzekł krótko Slade. - I jestem przekonany, że Stewart zjawi się w ciągu kolejnych czterech dni. Nie doceniliśmy go.

Umiechnąłem się w ciemnościach; miło było usłyszeć niewymuszone słowa uznania pod swoim adresem. Nie dosłyszałem tego, co powiedział potem, dotarły do mnie natomiast słowa Iljicza:

- Oczywiście, paczkę zostawimy w spokoju. Poczekamy, aż zostawi ją w biurze podróży i pójdziemy za nim, czekając na odpowiednią chwilę, by go złapać...

- I co wtedy?

- Likwidujemy go - odparł Iljicz głosem pozbawionym emocji.

- Dobrze, tylko pamiętajcie: ciało musi zniknąć. Do tej pory było już zbyt wiele rozgłosu. Kennikin chyba oszalał, zostawiając ciało Case'a w takim

miejscu.

Nastała chwila ciszy, którą przerwał zadumany głos Slade'a:

- Ciekawe, co Stewart zrobił z Philipsem?

To retoryczne pytanie nie doczekało się odpowiedzi i Slade cisnął dalej:

178

- No dobrze. Ty i reszta macie być jutro o jedenastej w biurze Nordri. Jak tylko zauważycie Stewarta, natychmiast powiadamiacie mnie telefonicznie. Czy to jasne?

- Powiadomimy od razu - zapewnił Iljicz. Usłyszałem, jak otwierają się drzwi.

- Gdzie Kennikin? - zapytał jeszcze Rosjanin.

- Nie twoje zmartwienie - odparł ostro Slade. - Możesz iść.

Drzwi trzasnęły. Po chwili do moich uszu doszedł szelest papieru i skrzypnięcie, po którym rozległ się metaliczny trzask. Uchyliłem lekko drzwi szafy i przez szparę zerknąłem jednym okiem na pokój. Slade usadowił się w fotelu z gazetą na kolanach i przypalał ogniem z zapalniczki grube cygaro. Ku jego zadowoleniu cygaro rozżarzyło się, a on sam zaczął rozglądać się za popielniczką. Dostrzegł ją na toalecie, wstał więc i przestawił fotel, żeby móc wygodnie sięgać do niej. Tym posunięciem również i mnie ułatwiał sprawę, ponieważ teraz siedział odwrócony do mnie plecami. Wyjąłem pióro z kieszeni i bardzo powoli otworzyłem drzwi szafy. Pokój nie był duży i wystarczyły mi zaledwie dwa kroki, by znaleźć się tuż za Slade'em. Obyło się przy tym bez najmniejszego szmeru, lecz Slade zaczął odwracać głowę, reagując najwidoczniej na nieznaczne drgnienie wiatła w pomieszczeniu. Wbiłem mu końcówkę pióra w fałdy tłuszczu na karku i poleciłem:

- Zostań, jak siedzisz, jeśli nie chcesz stracić głowy.

Zamarł w bezruchu, a ja sięgnęłam wolną ręką ponad jego ramieniem pod marynarkę, odnajdując tam pistolet w kaburze. Wyglądało na to, że obecnie każdy stara się zaopatrzyć w broń, podczas gdy ja stawałam się wyjątkowym specem od rozbrajania.

- Nie ruszaj się - rozkazałam, cofając się. Upewniłam się, że pistolet jest naładowany i odbezpieczyłam go.

- Wstawaj!

Posłusznie wstał, cisgle ciskając gazetę.

- Podejd do przeciwległej ciany, podnie ręce, rozłóż je szeroko i oprzyj się na nich o cianę.

Cofnąłam się i krytycznym okiem obserwowałam swoistą ewolucję, do jakiej go zmusiłam. Wiedział, po co to robię: to najbezpieczniejszy sposób przeszukania faceta. Nie byłby sobą, gdyby nie spróbował mnie przechytrzyć, lecz spotkał się z moją błyskawiczną ripostą:

- Odsuń nogi od ciany i oprzyj się mocniej.

W tej pozycji jakakolwiek próba z jego strony oznaczała natychmiastową utratę równowagi, a mnie dawała niezbędną przewagę ułamka sekundy.

Przesunął nogi do tyłu i zaraz spostrzegłam mrowienie same za siebie drżenie nadgarstków, podtrzymujących teraz ciężar ciała. Przeszukałam go zręcznie,

179

wyrzucając zawartość kieszeni na łóżko. Nie miał przy sobie więcej broni, chyba że uzna się za nią strzykawkę do zastrzyków podskórnych. Byłam skłonny tak ją zaklasyfikować, widząc towarzyszący zestaw ampulek. Zielone, ułożone po lewej stronie, gwarantowały pewną utratę przytomności na okres sześciu godzin, natomiast czerwone po prawej stronie przynosiły równie pewną miarę po

trzydziestu sekundach.

- A teraz ugnij nogi w kolanach i bardzo powoli klękaj przy cianie.

Ukląkł, po czym sprowadziłem go do pozycji, którą już wcześniej zastosowałem wobec Fleeta: brzuch przy ziemi, ramiona szeroko rozłożone. Trzeba by lepszego zawodnika niż Slade, żeby mnie zaskoczył z takiego położenia. Fleetowi może by to się udało, gdybym nie przyłożył mu do krzyża lufy karabinu, ale Slade był na to za stary i zbyt tłusty. Leżał z głową przechyloną na bok, przyciskając prawy policzek do dywanu i łypiąc na mnie wściekle lewym okiem. Po raz pierwszy przemówił:

- Skąd wiesz, że nie będę miał zaraz gości?

- Słusznie się tym niepokoisz - zareplikowałem. - Jeżeli kto wejdzie tymi drzwiami, jesteście martwi. - Umiechnąłem się. - Głupio by było, gdyby przyszła na przykład pokojówka. To tak, jakby zginął za nic.

- Co ty, u diabła, wyczyniasz? Oszalała do reszty? Myle, że naprawdę zwariowała, a Taggart podziela moją opinię. No, odłóż broń i pozwól mi wstać.

- Muszę przyznać, że łatwo się nie poddajesz - przyznałem z podziwem. -

Niemniej spróbuj choćby drgnąć, a zastrzelę cię na amen.

W odpowiedzi zamrugnął tylko jedynym widocznym okiem. Po chwili odezwał się:

- Będziesz za to wisiał, Stewart. Zdrada stanu wciśz karana jest mierciś.

- Przykro mi. Ale przynajmniej tobie to nie grozi. Twoje przestępstwo to nie zdrada stanu, ale najzwyczajsze szpiegostwo. A szpiegów chyba się nie wiesz, w każdym razie nie w czasie pokoju. Można byłoby to uznać za zdradę, gdyby był Anglikiem, ale ty przecież jesteś Rosjaninem.

- Chyba oszalała! - wykrzyknął z oburzeniem. - Ja Rosjaninem?!

- Taki z ciebie Anglik jak z Gordona Lonsdale'a Kanadyjczyk.

- Poczekaj, aż Taggart złapie cię w swoje ręce. Przepuci cię przez wyżymaczkę.

- A jak wytłumaczysz fakt, że zadajesz się z obozem przeciwnika? Siłśc się na sztuczne oburzenie, wybełkotał:

- Do cholery, to moja praca! Ty robiłe kiedy to samo jako prawa ręka

Kennikina. Wykonuję jedynie rozkazy, a ty nawet tego nie robisz.

- To ciekawe. Otrzymujesz bardzo dziwne rozkazy. Opowiedz mi co więcej.

- Nie będę rozmawiał ze zdrajcš - odparł z godnościš.

180

Muszę przyznać, że w tym momencie poczułem dla niego pewien podziw. Leżšc w wyjškowo uwłaczajšcej pozycji, z lufš przyłożonš do głowy, nie myłał się poddać, gotów walczyć do końca. Sam przeżywałem podobne sytuacje w Szwecji przy Kennikinie i doskonale wiedziałem, jak takie życie szarpie nerwy: żyjesz z dnia na dzień, nigdy nie wiedzšc, czy już cię kto nie rozszyfrował. Slade tymczasem próbował mnie przekonywać, że jest tak czysty jak wiezo spadły nieg. Zdawałem sobie sprawę, że jeli osłabię uwagę choćby na ułamek sekundy i pozwolę mu przejśc inicjatywę, w tym samym momencie będę już martwy.

- Możesz sobie darować, Slade. Słyszałem, jak mówił do Iljicza, że ma mnie zabić i nie próbuj mi wmawiać, że Taggart wydał taki rozkaz.

- To prawda - stwierdził, nie mrugnšwszy nawet okiem. - Taggart myli, że przeszedł na drugš stronę i prawdę mówišc, trudno mu się dziwić, bioršc pod uwagę twoje postępowanie.

O mało nie wybuchnšłem miechem, słyszšc takš bezczelność.

- Dobry Boże, niezłe z ciebie ziółko! Leżysz tutaj z przekrzywionš głowš i

opowiadasz mi takie rzeczy. To może Taggart kazał ci również poprosić Rusków, żeby zrobili dla niego tę robotę.

- Miało to już kiedyś miejsce. Zabił Jimmy'ego Birkby'ego.

Mimowolnie zacisnąłem palec na spucie i musiałem wziąć głęboki oddech, żeby dojść do siebie. Odezwałem się, próbując mówić spokojnym głosem:

- Nigdy nie było tak blisko miernoty jak teraz. Nie powiniene być wspominać Birkby'ego, to zbyt bolesna rana. Dość już tej komedii, jeste skończony i dobrze o tym wiesz. Powiesz mi teraz wszystko i radzę ci się pospieszyć.

- Id do diabła! - rzucił posepnie.

- To raczej ty jeste coraz bliżej czarciego towarzystwa. Posłuchaj, jeżeli o mnie chodzi, jest mi najzupełniej obojętne, czy jeste Anglikiem, czy Rosjaninem, szpiegiem czy zdrajcą. Kicham też na patriotyzm, mam to już za sobą. Ta sprawa ma dla mnie wymiar czysto osobisty, ciele prywatny, jeżeli wolisz, a to, jak wiesz, stanowi tło większości morderstw. Z twojego polecenia Elin o mało nie została zabita w Asbyrgi, a przed chwilą usłyszałem, jak kazały mnie umiercić. Jeżeli więc teraz pociśgnę za spust, będzie to działanie w samoobronie.

Podniósł nieco głowę i obrócił ją, starając się patrzeć prosto na mnie.

- Ale tego nie zrobisz.

- Tak mylisz?

- Tak - odparł z pewnością w głosie. - Mówiłem ci już kiedyś, że jeste za miękki. Może w innych okolicznościach, na przykład gdybym rzucił się do ucieczki albo podczas wzajemnej wymiany strzałów, ale nie strzelisz do faceta leżącego na ziemi. Jeste przecież angielskim dżentelmenem.

W jego ustach zabrzmiało to jak przekleństwo.

- Nie stawiałbym za bardzo na tego konia. Ze Szkotami może być inaczej.

- Nie na tyle, by miało to jakie znaczenie - rzucił obojętnie.

Widziałem, że bez najmniejszego drżenia spogląda w wylot luty i musiałem uczciwie przyznać, że zasługiwał na uznanie. Znał się na ludziach i wiedział, jak daleko mogę się posunąć, jeli chodzi o zabijanie. Zdawał sobie sprawę, że zaatakowany strzelałbym po to, żeby zabić, lecz miał pewność, że dopóki leży zupełnie bezbronny, nic mu nie grozi.

Umiechnął się.

- Dałeś już tego dowód. Postrzeliłeś Jurija w nogę, a czemu nie w serce?

Kennikin mówił, że strzelała do nich z drugiego brzegu tak celnie, że mógłby każdemu z jego ludzi zafundować darmowe golenie bez wołania fryzjera. Miała okazję posłać Jurija na tamten wiat, a jednak tego nie zrobiła!

- Może nie miałem na to ochoty. Ale zabiłem Gregora.

- W goršczce akcji, ty albo on. Każdego stać na podjęcie takiej decyzji. Miałem niemiłe wrażenie, że inicjatywa wymyka mi się z ršk, i musiałem temu zapobiec.

- Chcę, żeby mówił, a martwy nic nie powiesz. Zacznijmy od tego, że wyjanisz mi, do czego służy to elektroniczne urządzenie.

Rzucił mi pogardliwe spojrzenie i zacisnął usta.

Spojrzałem na trzymany w ręku pistolet. Bóg jeden wie, czemu nosił go przy sobie. Była to trzydziestka dwójka, pukawka wcale nie lżejsza do taszczenia od współczesnej trzydziestki ósemki, lecz bez możliwości spowalniania. Może Slade był tak doskonałym strzelcem, że trafiał w cel za każdym razem, tak że nie

odgrywało to większej roli. Jej zaletś natomiast, szczególnie cennś przy strzelaniu w miejscach zaludnionych było to, że cechowała się znacznie mniejszym płomieniem wylotowym i robiła mniej hałasu. Gdyby strzelić z niej na tętniścej życiem ulicy, nikt nie zwróciłby na to większej uwagi.

Spojrzałem na łypiśce na mnie oko i posłałem kulę, przestrzeliwujśc Slade'owi grzbiet prawej dłoni. Szarpnśł niś konwulsyjnie, a w chwili, gdy przystawiłem mu ponownie wylot lufy do głowy, z jego ust wyrwał się zduszony krzyk. Odgłos wystrzału był tak słaby, że nawet szyby nie zabrzęczały.

- Może rzeczywiście cię nie zabiję, ale będę odstrzeliwał ci kawałek po kawałku, jeżeli nie będziesz grzeczny. Kennikin może zawiadzczyć, że mam całkiem niezłś rękę do operacji chirurgicznych. Sś znacznie gorsze rzeczy, niż dostać kulś w łeb, spytaj Kennikina.

Z grzbietu dłoni sśczyła się krew, ciekajśc na dywan, ale Slade nawet nie drgnśł, nie spuszczajśc wzroku z pistoletu w moim ręku. Wysunśł język, oblizujśc spieczone wargi.

- Ty skurwielu! - wyszeptał.

182

Zadzwonił telefon.

Patrzyliśmy jeden na drugiego, gdy tymczasem brzęczyk telefonu odezwał się po raz czwarty. Obszedłem Slade'a dookoła, omijajśc z daleka jego nogi, chwyciłem aparat razem z podstawkś i rzuciłem obok niego.

- Odbierz telefon i pamiętaj o dwóch rzeczach: po pierwsze, chcę słyszeć, co mówi się po tamtej stronie, i po drugie nie zapominaj, że na twoim tłustym cielsku jest jeszcze wiele miejsc, którymi mogę się zajśc. - Potrzśsnśłem

pistoletem. - Podnie słuchawkę.

Ujął niezgrabnie słuchawkę lewą ręką.

- Halo!

Potrząsnęłam ponownie bronią, na co bardziej podniósł telefon, umożliwiając mi słuchanie rozmówcy po drugiej stronie aparatu.

- Mówi Kennikin - usłyszałam skrzypliwy głos.

- Zachowuj się naturalnie - szepnąłam. Slade oblizwał wargi.

- O co chodzi? - spytał chrapliwie.

- Co z twoim głosem? - spytał Kennikin.

Slade odchrząknął, nie spuszczając oka z pistoletu.

- Przeziębienie się. Czego chcesz?

- Mam dziewczynę.

Zapadła cisza. Czułam, jak serce wali mi w piersiach. Slade zbladł, widząc, jak mój palec owija się wokół spustu i z wolna zaczyna go naciskać.

- Gdzie była? - szepnąłam. Slade zakasłał nerwowo i zapytał:

- Gdzie ją znaleźliście?

- Na lotnisku w Keflaviku, ukrywała się w biurze Icelandairu. Wiemy, że jej brat jest pilotem, i przyszło mi do głowy, by jej tam poszukać. Wyprowadziliśmy ją bez żadnych kłopotów.

Wyglądało to wiarygodnie.

- Dokąd teraz? - szepnąłam mu do ucha, przystawiając pistolet do karku.

Powtórzył pytanie, na co Kennikin odpowiedział:

- Tam, gdzie zwykle. Kiedy się zjawisz?

- Powiedz, że już wychodzisz - podpowiedziałem, przyciskając mocniej lufę do

zwałów tłuszczu.

- W tej chwili wychodzę - odparł Slade i w tym samym momencie szybko przerwałem połączenie, wciskając widełki aparatu.

Odskokczyłem do tyłu na wypadek, gdyby chciał próbować jakich sztuczek, ale Slade leżał bez ruchu, wlepiwszy wzrok w telefon. Chciało mi się wyć, ale musiałem zacząć działać.

- Myliłem się, Slade, jestem w stanie cię zabić. Wiesz teraz o tym aż nadto dobrze, prawda?

183

Po raz pierwszy spostrzegłem, że się boi. Trząsnął mu się tłusty podbródek, nie mógł też opanować drżenia dolnej wargi i przypominał w tej chwili zapalonego chłopca, który lada moment wybuchnie płaczem.

- Co to znaczy: tam, gdzie zwykle"? - spytałem.

Rzucił mi pełne nienawici spojrzenie, lecz nic nie odpowiedział. Byłem w kropce. Gdybym go zabił, nic bym już z niego nie wyciśgnął, a z drugiej strony nie mogłem go za bardzo okaleczyć, żeby nie cięgał na siebie niezdrowej uwagi, krocząc ulicami Reykjavíku. Na szczęście Slade nie zdawał sobie sprawy z moich rozterek, dodałem zatem:

- Kiedy już z tobą skończę, będziesz jeszcze żył, pożałujesz jednak, że cię nie zabiłem.

Strzeliłem. Drgnął gwałtownie, kiedy kula przemknęła mu tuż obok lewego ucha.

Tak jak poprzednio, hałas spowodowany wystrzałem był znikomy. Musiał chyba przerabiać naboje, ujmując z nich nieco prochu w celu zmniejszenia huk; ta stara sztuczka jest niezwykle przydatna, kiedy zależy nam na niezwracaniu na

siebie zbyt uwagi. Przy właściwym wykonaniu i strzale z niewielkiej odległości tak spreparowana kula nie traci swych zabójczych właściwości.

Znacznie to lepsze wyjście niż używanie tłumika, urządzenia zdecydowanie przecenianego, które może okazać się niebezpieczne dla samego właściciela.

Tłumik spełnia należycie swoją rolę jedynie wtedy, gdy w grę wchodzi oddanie jednego cichego strzału, zaraz potem bowiem wypełniająca go wata stalowa ulega gwałtownemu sprężeniu i tworzy się tak wysokie ciśnienie wsteczne, że zagraża to strzelającemu utratą ręki.

- Jestem dobrym strzelcem, ale nie aż tak dobrym - ciśnięłem dalej. - Tym razem kula poszła tam, gdzie mierzyłem, ale tylko ty wiesz, na ile ta pukawka jest celna. Zdaje mi się, że znosi trochę w lewo, jeśli zatem przyjdzie mi do głowy odstrzelić ci prawe ucho, wówczas będziesz miał okazję sprawdzić wytrzymałość swojej czaszki.

Przesunąłem nieco pistolet i wymierzyłem. Nie wytrzymał; nerwy odmówiły mu posłuszeństwa.

- Rany boskie, przestań!

Ten rodzaj rosyjskiej ruletki najwidoczniej zupełnie mu nie odpowiadał.

Wycelowałem w jego prawe ucho.

- Gdzie ma czekać na ciebie Kennikin? Twarz błyszczała mu od potu.

- W Thingvallavatn.

- W tym samym domu, do którego zabrał mnie z Geysir?

- Tak.

- Lepiej, żeby się nie mylił - ostrzegłem. - Nie mam wiele czasu, by marnować go na gonitwę po całej południowej Islandii.

Obniżyłem pistolet i na twarzy Slade'a pojawił się wyraz odprężenia.

184

- Nie ciesz się jeszcze - poradziłem. - Nie sądzisz chyba, że cię tutaj zostawię.

Podszedłem do stolika w nogach łóżka i otworzyłem walizkę Slade'a. Wyjęłem czystą koszulę i rzuciłem mu.

- Podrzyj ją paski i obwiśz sobie rękę. Nie ruszaj się przy tym z podłogi i zapomnij o takich mądrych pomysłach jak rzucanie koszul w mnie.

Podczas gdy Slade niezgrabnie darł materiał, zacząłem grzebać w jego walizce.

Znalazłem dwa magazynki z amunicją kaliber 32 i wrzuciłem je do kieszeni. Z szaty wyjęłem płaszcz Slade'a, którego kieszenie przeszukałem już wcześniej.

- Stań twarzą do ciany i wkładaj to.

Nie spuszczałem z niego czujnego spojrzenia w obawie przed jakim podstępem.

Wiedziałem, że jeśli zrobię jeden fałszywy krok, Slade potrafi to wykorzystać.

Nie można zarzucić głupoty człowiekowi, który zdołał wliźnąć się w samo serce wywiadu brytyjskiego. Nie popełnił takich błędów, które mogłyby wytrącić go z równowagi, i starał się zatrzeć poprzez wyeliminowanie mojej osoby; gdybym choć na moment osłabił swoją czujność, mógłby ten cel jeszcze osiągnąć.

Zebrałem z łóżka paszport i portfel Slade'a i wsadziłem do kieszeni. Rzuciłem mu kapelusz, który przeleciał przez pokój, lądując u jego stóp.

- Przespacerujemy się trochę. Trzymaj zabandażowaną rękę w kieszeni płaszcza i zachowuj się jak angielski dżentelmen, do którego ci zresztą daleko. Jeden niewładczy ruch, a zastrzelę cię bez wahania, choćby na samym rodku

Hafnarstraeti. Zdajesz sobie chyba sprawę, że Kennikin nie powinien być podnosić

ręki na Elin.

Odezwał się z twarzą do ciany:

- Jeszcze w Szkocji przestrzegałem cię przed tym, mówiłem, żeby nie mieszał w to dziewczyny.

- Bardzo mądrze z twojej strony. Ale jeśli coś się jej stanie, ty będziesz gryźć ziemię. Może miała rację, twierdzić, że nie mógłbym zabić, ale teraz nie powiniene już na to liczyć, bo odłamek paznokcia Elin znaczy dla mnie więcej niż całe twoje parszywe cielsko. Lepiej, żeby w to uwierzył, Slade. Nie cofnę się przed niczym w jej obronie.

- Wierzę - odparł cicho i wzdrygnął się.

Wiedziałem, że mówi prawdę. Zrozumiał, że ma do czynienia z czym głębiej zakorzenionym niż patriotyzm czy lojalność jednostki wobec grupy. W grę wchodziła rzecz o znacznie bardziej fundamentalnym znaczeniu; doskonale zdawał sobie sprawę, że mierząc do szpiega, mógłbym mieć jakąś chwilę słaboci, ale bez najmniejszej litoci zabiłbym każdego, kto stanąłby pomiędzy mną a Elin.

- No dobrze - przerwałem chwilę ciszy. - Bierz kapelusz i idziemy.

185

Wyprowadziłem go na korytarz, kazałem zamknąć drzwi i zabrałem klucz. Przez rękę przewiesiłem jedną z jego marynarek, skrywając pod nią broń; szedłem o krok za nim z prawej strony. Wyszliśmy z hotelu i przeszliśmy ulicami Reykjavíku do miejsca, gdzie zostawiłem samochód Nordlingera.

- Siadaj za kierownicę - poleciłem.

Przy wsiadaniu do samochodu daliśmy skomplikowany pokaz sztuki baletowej, bo otwierając drzwi i wsadzając go do rodka, musiałem bacznie uważać, by nie

przyszło mu do głowy skorzystać z okazji, a jednocześnie starałem się, by nasze wygibasy nie wydały się przechodniom nienormalne. W końcu udało mi się go jako posadzić i sam usiadłem za nim na tylnym siedzeniu.

- Będziesz prowadził - oznajmiłem.

- A moja ręka? - zaprotestował. - Nie jestem w stanie kierować.

- Poradzisz sobie, nie obchodzi mnie twoja ręka. Pojedziesz, choćby się miał wciec z bólu. Nie przekraczaj pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i niech ci czasem nie przyjdzie do głowy wpakować samochód do rowu albo gdzie go roztrzaskać. Mam tu co, co pozwoli ci uwolnić się od takich myśli.

Przytknąłem mu do szyi chłodny metal pistoletu.

- Będzie ci to towarzyszyło przez całą drogę. Wyobra sobie, że jestem więzieniem, a ja jednym z chłopców Stalina za dawnych złych czasów. Przyjętym sposobem egzekucji był wówczas strzał w tył głowy zniemacka, prawda? Jeli będziesz niegrzeczny, ta kula na pewno cię nie minie. No, ruszaj, tylko ostrożnie, bo mój palec spustowy jest czuły na nagłe szarpnięcia.

Nie musiałem mówić, dokąd jechać. Ruszył wzdłuż Tjarnargata, przejeżdżając obok rozciągającego się po lewej stronie, rojącego się od kaczek jeziora Tjórnin, minął Uniwersytet Islandzki, wjechał w Miklabraut i wydostał się poza miasto.

Prowadził w całkowitym milczeniu. Kiedy znaleliśmy się na otwartej drodze, zgodnie z moim poleceniem ani na moment nie przekroczył pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Sądzę jednak, że wynikało to nie tyle z czystego posłuszeństwa, co raczej z faktu, że przy zmianie biegów ból w ręce stawał się bardziej dokuczliwy. W końcu przerwał milczenie.

- Co spodziewasz się przez to osiągnąć, Stewart?

Pozostawiłem to pytanie bez odpowiedzi, zwłaszcza że byłem akurat zajęty przetrzśaniem zawartoci jego portfela. Nie było tam nic, czego można by się spodziewać u mistrza sztuki szpiegowskiej, a zarazem podwójnego agenta - żadnych planów najnowszego pocisku kierowanego czy mierciononego promienia laserowego. Gruby plik banknotów i karty kredytowe przełożyłem do swojego portfela; mogły mi się przydać, bo operacja w Islandii uderzyła mnie mocno po kieszeni. Gdyby Slade'owi udało się jakim cudem zbiec, brak funduszy byłby dla niego poważnym utrudnieniem.

Slade nie myślał się poddać.

186

- Kennikin nie uwierzy w ani jedno twoje słowo. Nie da się nabrać na żaden blef.

- Lepiej, żeby uwierzył - odparłem. - I to dla twojego dobra. Zresztś, obojdzie się bez żadnego blefowania.

- Będziesz miał trudnoci z przekonaniem go.

- Nie staraj się tego za bardzo podkrełać - powiedziałem lodowatym tonem. -

Mogę go przekonać, pokazujśc mu twojś prawś rękę, tę z piercionkiem na rodkowym palcu.

To sprawiło, że ucichł na chwilę, skupiajśc się na prowadzeniu samochodu.

Chevrolet podskakiwał i kołysał się na swych miękkich resorach, trafiajśc kołami na dziury i garby w pofałdowanej jezdni. Przy większej szybkości jechałoby się znacznie lepiej, ale w takim układzie musielibymy pokonywać osobno każdś górkę i dolinę. Wiele bym dał, żeby znaleźć się jak najszybciej przy Elin, jednak zwiększenie prędkoci nie wchodziło w grę: gdyby Slade'owi wpadło do głowy

zjechać celowo z drogi, to przy szybkości pięćdziesięciu kilometrów na godzinę miałem jeszcze szansę zastrzelić go i wyjść cało z tej opresji.

Zwróciłem się do Slade'a:

- Widzę, że zrezygnowałaś ze swoich zapewnień o niewinności.

- Bo i po co, skoro i tak by nie uwierzył bez względu na to, co bym ci powiedział.

Trafił w samo sedno.

- Chciałbym jednak wyjanić kilka spraw - nie ustępowałem. - Skąd wiedziałyście, że mam spotkać się z Jackiem Case'em w Geysir?

- Kiedy się przeprowadza rozmowę z Londynem na linii publicznej, to trzeba się liczyć z tym, że inni też mogą słuchać.

- Podśluchałyście rozmowę i przekazałyście informację Kennikinowi. Odwrócił do połowy głowę.

- A skąd wiesz, że to nie Kennikin słuchał?

- Patrz na drogę - rzuciłem ostro.

- No dobrze, Stewart, nie ma sensu bawić się w szermierkę słowną. Przyznaję się do wszystkiego. Miałyście rację od samego początku, ale nic ci z tego nie przyjdzie. Na zawsze zostaniesz w Islandii. - Zakaszał. - Co mnie zdradziło?

- Calvados.

- Calvados! - powtórzył, nic nie rozumiejąc. - Co, u diabła, masz na myśli?

- Wiedziałyście, że Kennikin pija calvados. Poza mnie nikt więcej nie miał o tym najmniejszego pojęcia.

- Rozumiem! I dlatego pytałem Taggarta o upodobania alkoholowe Kennikina.

Zastanawiałem się, o co ci chodziło.

Przygarbił się i cišgnł dalej w zamyleniu:

- Wszystko przez te drobiazgi. Bierzesz pod uwagę każdš ewentualnoć, szkolisz się całymi latami, zdobywasz nowš tożsamoć, nowš osobowoć i mylisz, że jeste bezpieczny. A tu raptem wyskakuje jaki drobiazg, jak ta butelka calvadosu, którš widziałe, jak facet opróżnia całe wieki temu. Ale to przecież było za mało, żeby mieć pewnoć?

- W każdym razie to sprawiło, że zacząłem się zastanawiać. Oczywiście, było jeszcze co: Lindholm, który znalazł się poręcznie w odpowiednim czasie i miejscu, chociaż to mogłem uznać jeszcze za zbieg okolicznoci. Zacząłem cię na dobre podejrzewać dopiero wtedy, gdy przysłałe za mnš Philipsa do Asbyrgi. Popęłniłe fatalny błšd. Powiniene był przysłać Kennikina.

- Nie miałem go wtedy pod rękš. - Młasnął językiem. - Powinienem był sam pojechać.

Rozemiałem się cicho.

- Wtedy trafiłby tam, gdzie Philips. Podziękuj za to opatrznoci. Wyjrzałem przez przedniš szybę na drogę i pochyliłem się do przodu, by sprawdzić, czy ręce i nogi trzyma tam, gdzie powinien i nie próbuje upić mojej czujnoci, wcišgajšc mnie w rozmowę.

- Myłę, że istniał kiedy naprawdę człowiek o nazwisku Slade - zacząłem.

- Był taki chłopak - odparł. - Znalelimy go w czasie wojny w Finlandii, miał wtedy piętnacie lat. Rodzice byli obywatelami Wielkiej Brytanii i oboje zginęli w czasie nalotu bombowego naszych szturmowików. Wzięlimy go pod swójš opiekę, a potem dokonalimy zamiany - na mnie.

- Podobnie jak w przypadku Gordona Lonsdale'a - zauważyłem. - Dziwi mnie, jak

zdołało wyjść cało z inspekcji przeprowadzonej po aferze z Lons-dalem.

- Sam się dziwię - stwierdził ponuro.

- Co stało się z młodym Slade'em?

- Może trafił na Syberię. Chociaż nie sśdżę...

W pełni podzielałem jego wśtpliwoć. Po gruntownym wyciśgnięciu z niego, co się tylko dało, młody Slade Numer Jeden znalazł się najpewniej w jakim nieznanym miejscu metr pod ziemiś.

- Jak się naprawdę nazywasz? Jakie jest twoje rosyjskie nazwisko? Zamiał się.

- Zupełnie zapomniałem. Byłem Slade'em przez większość mego życia, tak długo, że moje poprzednie wcielenie w Rosji wydaje mi się tylko snem.

- Daj spokój, nikt nie zapomina swojego nazwiska.

- Ja sam siebie uważam za Slade'a. I chciałbym, abymy przy tym pozostali.

Zauważyłem, że trzyma rękę w okolicach przycisku schowka w desce rozdzielczej.

188

- Zajmij się lepiej jazdś - poleciłem sucho. - Tam w schowku możesz znaleźć jedynie szybks łagodnś mierć.

Nie spieszśc się zbytnio, cofnśł rękę, kładśc jś tam, gdzie spoczywać powinna, czyli na kierownicy. Widać było, że otrzśsnśł się już z pierwszego strachu i zaczyna odzyskiwać pewnoć siebie, musiałem więc teraz szczególnie na niego uważać.

W godzinę po wyjechaniu z Reykjavíku dotarlimy do bocznej drogi prowadzścej do jeziora Thingvallavatn i domu Kennikina. Obserwujśc Sla-de'a, zorientowałem się, że zamierza jś minść.

- Tylko bez numerów! Dobrze znasz drogę.

Pospiesznie przyhamował i skręcił w prawo. Jechaliśmy teraz jeszcze gorszą drogą, trzęsąc się i podskakując na wybojach. Pamiętałem tę trasę z niedawnej jazdy z Kennikinem i jak obliczałem, cel naszej podróży powinien znajdować się jakie osiem kilometrów od zakrętu. Pochylony do przodu rzucałem okiem to na licznik, to na mijany krajobraz, starając się wyłowić w nim jakiś znajomy element, a jednocześnie nie spuszczałem czujnego spojrzenia ze Slade'a. Musiałem zadowolić się parą oczu, chociaż przydałoby mi się jeszcze jedno.

W pewnym momencie w oddali wypatrzyłem dom Kennikina, a w każdym razie wydawało mi się, że to ten sam; poprzednim razem widziałem go jedynie w ciemnościach.

Przyłożyłem Slade'owi broń do szyi i poleciłem:

- Przejed obok domu. Nie przyspieszaj i nie zwalniasz, utrzymuj po prostu stałą prędkość, aż każę ci się zatrzymać.

Kiedy minęliśmy podjazd wiodący do budynku, spojrzałem kątem oka w tamtą stronę.

Dom stał w odległości około czterystu metrów od drogi i miałem już prawie pewność, że jestem we właściwym miejscu; ostatnie wątpliwości pierzchnęły, kiedy dostrzegłem przed sobą rozciągającą się z lewej strony rozlewisko lawy - tutaj właśnie miało miejsce moje ostatnie spotkanie z Jackiem Case'em. Klepnąłem Slade'a po ramieniu.

- Niedługo po lewej stronie zobaczysz płaski teren, skąd czerpie się lawę do budowy nawierzchni. Tam się zatrzymaj.

Walnąłem nogą w drzwi samochodu i głośno zakląłem, udając, że się przypadkowo uderzyłem. Zależało mi na stworzeniu hałasu, by zagłuszyć odgłos opróżniania pistoletu z magazynku i kuli tkwiącej w lufie; tym samym stawałem się nie

uzbrojony, a o tym Slade nie powinien wiedzieć. Zamierzałem sprawdzić na nim twardość kolby pistoletu, co przy naładowanej broni mogło skończyć się dla mnie samopostrzałem w brzuch.

Zjechał z drogi i jeszcze zanim koła samochodu na dobre zamarły w bezruchu, rżbnłem go z rozmachu w podstawę karku. Opadł z jękiem do przodu, osuwajśc się nogami na hamulec i pedał gazu. Przez krótkš niebezpiecznš chwilę samochód skakał i szarpał, lecz wkrótce silnik zamarł i stanęliśmy w miejscu.

189

Wyjśćem z kieszeni pełny magazynek i załadowałem go ponownie do pistoletu, wprowadziłem nabój do lufy i dopiero teraz poddałem Slade'a dokładnym oględzinom. Cios ten mógł mu z powodzeniem przetrścić kark, okazało się jednak, że pozbawił go jedynie przytomności, o czym upewniłem się, ciskajśc z całej siły postrzelonš dłoń - nie drgnšł mu żaden mięsień.

Powinienem był go wtedy zabić. Wiedza, jakš zdobył przez wszystkie lata pracy w Departamencie, stanowiła miertelne zagrożenie i moim obowiškkiem jako członka tegoż Departamentu było dopilnować, by została ona raz na zawsze wymazana. Ale myl ta nie zawitała mi w głowie. Potrzebowałem Slade'a w charakterze zakładnika, a nie miałem zamiaru wymieniać martwych zakładników.

E.M. Forster wyraził się kiedy, że gdyby mu przyszło wybierać pomiędzy zdradš ojczyzny a zdradzeniem przyjaciela, wówczas ma nadzieję, że znalazłby w sobie doć odwagi, by zdradzić własny kraj. Elin była dla mnie więcej niż przyjacielem, była całym moim życiem i jeżeli mogłem jš odzyskać jedynie poprzez oddanie im Slade'a, gotów byłem to zrobić.

Wysiadłem z samochodu i otworzyłem bagażnik. Płótno, w które owinięte były

karabiny, przydało się, jak znalazł. Podarłem je na paski, wiążąc nimi ręce i nogi Slade'a. Potem wsadziłem go do bagażnika i zatrzasnąłem klapę.

Karabin Philipsa schowałem razem z amunicją do rozpadliny w powierzchni lawy w pobliżu samochodu, nie rozstałem się natomiast z armatą "Fleeta". Przewiesiłem ją przez ramię i ruszyłem w stronę domu. Miałem przecucie, że może mi się przydać.

II

Gdy byłem tu ostatnim razem, stałem w całkowitych ciemnościach. Uciekałem przed siebie, nie znając ukształtowania terenu, lecz teraz, w świetle dnia, przekonałem się, że mogę zbliżyć się na odległość stu metrów do drzwi frontowych, pozostając praktycznie niewidocznym. Nierówna powierzchnia przecinała trzy rozlewiska lawy, stanowiące świadectwo jakiejś dawno temu zakończonej erupcji. Przelewające się strumienie lawy stwardniały i okrzepły, tworząc postrzępione grzbiety, pełne szczelin i dziur. Spiczaste pokrywy lawy pokrywały wszechobecne, gęsto rosnące poduszki mchu. Posuwałem się wolno i minęło pół godziny, zanim zbliżyłem się na bezpieczną odległość do budynku.

Obejrzałem go uważnie, leżąc na poszyciu z mchu. Bez żadnych wątpliwości była to znana mi już przystań Kennikina. Okno pokoju, w którym mnie więzili, było pozbawione szyby i firanek; kiedy widziałem je po raz ostatni, obejmowały je szalejące płomienie.

190

Obok drzwi frontowych stał samochód. Rozedrgane ciepłem powietrze falujące lekko nad maską wskazywało, że silnik był jeszcze gorący. Wyglądało na to, że przed chwilą ktoś z niego wysiadł. Wyprawa do domu Kennikina zajęła mi sporo czasu,

ale on sam miał do pokonania dłuższą trasę, jadąc tu aż z Keflavíku, istniała więc spora szansa, że to, co planował, by wydobyć z Elin miejsce mojego pobytu, nie wkroczyło jeszcze w fazę realizacji. Możliwe również, że będzie chciał z tym poczekać do przybycia Sla-de'a. Pozostało mi mieć nadzieję, że nie myłę się w swych przewidywaniach.

Oderwałem duży kawał mchu i ukryłem pod nim karabin Fleeta wraz z amunicją. Stanowił teraz dla mnie sposób zabezpieczenia: pozostawiony w bagażniku, byłby zupełnie bezużyteczny, podobnie nie na wiele przydałby mi się wewnątrz budynku, tu natomiast miałem szansę łatwo go dopaść po szybkim biegu od drzwi frontowych. Wycofałem się, rozpoczynając uciśzliwy odwrót po pokrywie lawy, docierając tak aż do podjazdu. Ruszyłem w stronę domu, a idąc, miałem wrażenie, że jest to najdłuższa droga, jaką kiedykolwiek przebyłem. Czuję się tak, jak czuć się musi skazaniec w drodze na szafot. Zmierzałem otwarcie w stronę drzwi frontowych, mając nadzieję, że jeżeli stoi tam kto na straży, ciekawość, w jakim celu przychodzi, wemie w nim górę nad chęcią zastrzelenia mnie o dziesięć kroków od progu.

Stąpając po chrzęszczącej nawierzchni, zbliżyłem się do samochodu i niedbałym ruchem wyciągnąłem rękę. Miałem rację: silnik był jeszcze ciepły. Za jednym z okien dostrzegłem jakiś nagły ruch, ruszyłem więc dalej, podchodząc aż do drzwi frontowych. Wcisnąłem przycisk dzwonka i z wewnątrz rozległa się dystyngowana melodia kurantów. Przez chwilę nic się nie działo, lecz wkrótce usłyszałem odgłos butów kruszcących pod swym ciężarem odłamki lawy. Spojrzałem w bok i ujrzałem mężczyznę wynurzającego się zza rogu domu po mojej lewej stronie. Rzuciłem okiem w prawo i tam dojrzałem jeszcze jednego; obaj kroczyli w moim

kierunku, a na ich twarzach malowało się zdecydowanie.

Umiechnęłam się do nich i powtórnie pchnęłam przycisk dzwonka. Kuranty zadzwoniły łagodnie jak w domostwach maklerów.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Kennikin. W ręku trzymał pistolet.

- Jestem z towarzystwa ubezpieczeniowego Prudential - odezwałam się grzecznie. -

Jak tam twoja polisa, Waławie?

Rozdział 10

Kennikin obrzucił mnie spojrzeniem bez wyrazu, mierząc pistoletem prosto w moje serce.

- Czemu nie miałbym cię teraz zabić?

- Włanie o tym chciałem porozmawiać. Naprawdę le by zrobił, wysyłając mnie na tamten wiat.

Za plecami usłyszałem kroki moich skrzydłowych, gotowych przystąpić do dzieła zniszczenia.

- Nie jesteście ciekawymi, po co przychodzę? Nie dziwi cię, że tak po prostu zjawiam się i dzwonię do twoich drzwi?

- Tak, to rzeczywiście dosyć dziwne. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby cię chłopcy obszukali?

- Ależ skąd - zapewniłem.

Poczułem na sobie ich ciężkie ręce. Zabrali mi pistolet Slade'a i magazynki z amunicją.

- To szczyt niegocinnoci - zaprotestowałem. - Trzymać mnie tak w drzwiach...

Co sobie pomyślał sąsiedzi?

- Nie mamy tu żadnych w okolicy. - Spojrzał na mnie z zainteresowaniem. -

Jeste bardzo opanowany, Stewartsen. Musiałe chyba zbzikować. Ale wejd.

- Dzięki - odparłem i podszłyłem za Kennikinem do znajomego mi pokoju, gdzie miałem już przyjemność z nim rozmawiać. Rzuciłem okiem na lady wypalone w dywanie.

- Słyszałe ostatnio odgłosy jakich silnych eksplozji?

- Sprytnie to zrobiłe. - Wskazał mi pistoletem krzesło. - Siadaj tu, gdzie ostatnio. Będziesz mógł się przekonać, że tym razem kominek jest zimny.

Sam usadowił się naprzeciwko mnie.

192

- Zanim co powiesz, musisz wiedzieć, że mamy twoją dziewczynę, Elin Ragnarsdottir.

Wyciśgnąłem nogi.

- Po jakiego licha jest wam potrzebna?

- Mielimy się niśposłużyć do złapania ciebie. Ale wyglśda na to, że to już niepotrzebne.

- Po co więc jś dłużej przetrzymywać? Wypuć jś. Umiechnś się.

- Jeste naprawdę mieszny, Stewartsen. Szkoda, że angielski teatr re-wiowy odszedł już w cień, mógłby wiele zarobić jako komik.

- Powiniene słyszeć, jaki entuzjazm wywoływało moje pojawienie się w klubach robotniczych. Na takim starym marksicie jak ty powinno to wywrzeć wrażenie. Ale do rzeczy. Elin wyjdzie z tego domu nietknięta, a ty pozwolisz jej odejć.

Zmrużył oczy

- Lepiej wyjanij, co jest grane.

- Przyszedłem tutaj z własnej woli. Nie sśdzisz chyba, że zrobiłbym to, gdybym

nie był w stanie przebić twojego asa. Chodzi o to, że mam Slade'a. Oko za oko, zśb za zśb. - Otworzył szeroko oczy. - Ale o czym ja mówię, przecież nie znasz żadnego Slade'a. Sam mi to powiedziało, a wszyscy wiemy, że Wacław Wiktorowicz Kennikin jest człowiekiem honoru i nigdy nie poniża się do kłamstwa.

- Przypuśćmy, że znam tego Slade'a. Jaki mam dowód, że to, co powiedziało, jest prawdą? Twoje słowo?

Wsadziłem rękę do wewnętrznej kieszeni, lecz zatrzymałem się, widząc wyskakującego w moją stronę pistolet.

- Bez obaw. Nie masz chyba nic przeciwko temu, żebym poszukał zśdanego przez ciebie dowodu.

Machnął przyzwalając pistoletem. Wyjść wolno paszport Slade'a i rzuciłem mu.

Schylił się, żeby podnieć dokument. Jedną ręką przerzucił kartki i zaczął z uwagą oglądać fotografię. Wreszcie zamknął go z trzaskiem.

- To, że masz paszport wystawiony na nazwisko Slade'a, nie dowodzi wcale, że masz w swoich rękach jego właściciela. Posiadanie paszportu jeszcze o niczym nie świadczy, sam mam wiele wystawionych na różne nazwiska. W każdym razie nie znam żadnego Slade'a. To nazwisko nic mi nie mówi.

Rozemiałem się.

- Niepodobne do ciebie, żeby rozmawiał sam ze sobą. Bo faktem jest, że niecałe dwie godziny temu przeprowadziłem rozmowę telefoniczną z nieistniejącym facetem z hotelu Borg w Reykjavíku.

13 Na olep

193

Odtworzyłem dokładnie treść jego rozmowy ze Slade'em.

- Oczywiście, mogłem co nieco pomieszać w jego wypowiedzi, skoro Slade w ogóle nie istnieje.

ciśgnął twarz.

- Posiadasz niebezpieczną wiedzę.

- Więcej, mam Slade'a. Miałem go w ręku już wtedy, kiedy rozmawiał z tobą przez telefon. Trzymałem pistolet na jego tłustym karku.

- A gdzie jest teraz?

- Wielkie nieba, Waclawie! Nie zapominaj, że rozmawiasz ze mną, a nie z jakimś osiłkowskim, głupkowskim małpą jak Iljicz.

Wzruszył ramionami.

- Zawsze warto próbować. Umiechnąłem się.

- Musisz się bardziej postarać. Mogę ci tylko powiedzieć tyle: jeśli masz zamiar go szukać, to w chwili, gdy go odnajdziesz, będzie z niego zimny trup.

Takie są rozkazy.

Kennikin szarpał dolną wargę głęboko zamyślony.

- Ty wydała te rozkazy czyje otrzymała? Pochyliłem się do przodu i zacząłem łgać bez zajknięcia.

- Żeby nie było żadnych wątpliwości: rozkazy wyszły ode mnie. Jeżeli ty lub ktokolwiek choćby tylko mierzdzący tobą zbliży się do Slade'a, Slade jest już martwy. Taki właśnie dałem rozkaz i możesz być pewny, że zostanie wykonany.

Za wszelką cenę musiałem wybić mu z głowy myśl, że jestem wykonawcą czyich rozkazów. Jedyną osobą, która mogłaby mi je wydać, był Taggart, a to by oznaczało, że dla Slade'a gra jest już skończona. Gdyby więc Kennikin nabrał choć przez chwilę przewidywania, że Taggart przejrzał Slade'a do końca,

zmniejszylby gorycz porażki, wysyłając mnie i Elin na tamten wiat, po czym pognałby jak wichur z powrotem do Rosji.

Dla wzmocnienia siły swoich argumentów dodałem:

- Kiedy dopadną mnie ludzie z Departamentu, mogę zdrowo oberwać, ale na razie moje rozkazy są obowiązujące. Jeżeli zbliżysz się do Slade'a, kula wyprawi go na tamten wiat.

Kennikin umiechnął się ponuro.

- A kto pociśgnie za spust? Powiedziały, że nie pracujesz dla Taggarta, wygląda więc na to, że jeste sam.

- Nie doceniasz Islandczyków. Znam ich bardzo dobrze i mam tu mnóstwo przyjaciół, tak samo i Elin. I musisz wiedzieć, że nie podoba im się to, co wyrabiasz w ich kraju, i wcale im się nie podoba, że jednemu z ich grona zagraża niebezpieczeństwo.

Rozparłem się wygodnie na krzele.

194

- Spójrz na to od tej strony: Islandia jest sporym krajem o niewielkim zaludnieniu, gdzie każdy zna każdego. Do licha, gdyby wejrzeć głęboko w drzewo genealogiczne Islandczyków, co zresztą sami chętnie robiś, to okazałoby się, że wszyscy są ze sobą spokrewnieni. Poza Szkotami nie spotkałem drugiego narodu, który byłby tak jak Islandczycy rozmiłowany we własnym pochodzeniu. A więc nikomu nie jest obojętne, jaki los spotka Elin Ragnars-dottir. Słuchaj, ten kraj nie jest kłębem ludzkim, w którym sąsiad nie zna sąsiada. Porywając Elin, masz ich teraz wszystkich przeciwko sobie.

Kennikin zastanowił się. Miałem nadzieję, że dałem mu wystarczająco dużo do

mylenia, czas jednak nieubłaganie uciekał i musiałem postarać się jeszcze

bardziej go przycisnąć.

- Chcę jś zaraz widzieć tu, w tym pokoju, całś i zdrowś. Jeżeli co się jej stało, będziesz tego żałował.

Spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem.

- Nie zawiadomił, oczywiście, tutejszych władz. W przeciwnym razie mielibyśmy już policję na karku.

- Masz zupełnś rację. Nie zrobiłem tego i miałem ku temu ważne powody. Po pierwsze, spowodowałoby to zamieszanie na skalę międzynarodowś, co byłoby godnym pożałowania incydem. Druga sprawa, znacznie ważniejsza, polega na tym, że odpowiednie władze mogłyby co najwyżej deportować Slade'a. Moi przyjaciele nie mają skrupułów, jeli zajdzie potrzeba, zabijś go. - Pochyliłem się i pchnłem Kennikina w kolano sztywno wyprostowanym palcem wskazujścym. - A potem doniosś o tobie na policji i nie będziesz już w stanie opędzić się od tłumu mundurowych i dyplomatów.

Wyprostowałem się.

- Chcę widzieć Elin, i to zaraz.

- Myle, że mówisz prawdę, ale chodzi o to, że raz już ci uwierzyłem... - głos zamarł mu w krtani i po chwili dokończył szeptem: - ...a ty mnie zdradziła.

- Nie masz wyboru. A żeby ci to lepiej uzmysłwić, powiem ci jeszcze co: wyznaczyłem limit czasowy. Jeżeli w ciśgu trzech godzin moi przyjaciele nie dostanś wiadomoci od Elin i to bezporednio z jej ust, Slade otrzyma to, co mu się należy.

Widać było wyrwanie, że Kennikin naradza się sam ze sobś. Musiał podjąć decyzję,

a nie była to łatwa sprawa.

- A ci twoi islandzcy przyjaciele - zaczął - wiesz, kim jest Slade?

- Chodzi ci o to, czy wiesz, że pracuje w wywiadzie rosyjskim, czy może o jego stanowisko w wywiadzie brytyjskim? - Potrzebuję głosu. - Wiesz tylko tyle, że jest zakładnikiem, który ma być wymieniony na Elin. Nic więcej im nie powiedziałem. Uważaj, że jesteście zgrajami bandytów, i Bóg mi świadkiem, wcale nie są dalecy od prawdy!

195

To przeważyło. Uznał, że poza mną i Elin rzeczywiście nikt nie zdaje sobie sprawy, że Slade jest podwójnym agentem. Przyjrzawszy to założenie, które, co Bóg jeden wie, było zgodne z prawdą, zważywszy, że moi islandzcy przyjaciele stanowili czysty wymysł, gotów był przystąpić do transakcji wymiany. Miał do wyboru: powięcić Slade'a, z którego przez wiele lat z takim trudem budowano najwyższą odmianę konia trojańskiego, lub wypuścić nic nie znaczącą mieszkankę Islandii. Wybór był oczywisty. Oddając Elin, w niczym nie pogarszał swojej sytuacji, a przy tym mogłem być pewny, że jednocześnie szukał intensywnie w swoim własnym umyśle sposobu, jak by mnie przechytryć.

Westchnął i oznajmił:

- W każdym razie możesz zobaczyć dziewczynę.

Dał znak stojącemu za mną mężczyźnie, który od razu wyszedł z pokoju.

- Wpadłem w niezły dołek - drżałem dalej. - Nie wydaje mi się, żeby Bakajew ucieszył się z tej historii. Tym razem Syberię masz murowaną, o ile nie gorzej, a wszystko z powodu Slade'a. Zabawne, co? Przez Slade'a spędziłem cztery lata w Aszchabadzie, a czego możesz się spodziewać teraz?

W jego oczach pojawił się nieomal wyraz bólu.

- Czy to, co mówiła o roli Slade'a w Szwecji, to prawda?

- Tak, Waclawie. To właśnie on podkopywał ci tam grunt pod nogami. Potrzebował głębszej irytacji.

- Czego tu nie rozumiem. Mówisz, że chcesz oddać Slade'a w zamian za dziewczynę; jak czego takiego można się spodziewać po członku Departamentu?

- Bóg mi świadkiem, że mnie nie słuchasz. Nie jestem już członkiem Departamentu, odszedłem cztery lata temu.

Odezwał się po chwili namysłu:

- A gdyby nawet, to gdzie twoja lojalność?

- To moja sprawa - odparłem ostro.

- Jeste gotów powieścić wiat dla kobiety? - spytał ironicznie. - Ja zostałem z tego skutecznie wyleczony, a ty byłeś moim lekarzem.

- Ty znowu o tym samym. Gdyby, zamiast skakać, padł wtedy na ziemię, zabiłbym cię bez żadnej fuszerki.

Otworzyły się drzwi i weszła Elin pod eskortą. Chciałem wstać, ale opadłem z powrotem na krzesło na widok podniesionego ostrzegawczo pistoletu w ręku Kennikina.

- Witaj, Elin. Wybacz, że nie wstaję.

Miała bladą twarz, która na mój widok przybrała wyraz przygnębienia.

- Ty też!

- Jestem tu z własnego wyboru. Wszystko w porządku? Nic ci nie zrobili?

196

- Nic ponad to, co konieczne. Wykręcili mi trochę rękę. Dotknęła ramienia

zranionego kulš Philipsa. Umiechnšłem się.

- Przychodzę, żeby cię stšd zabrać. Zaraz wychodzimy.

- Jestem nieco innego zdania - odezwał się Kennikin. - Jak zamierzasz tego dokonać?

- Normalnie, przez drzwi frontowe.

- Tak po prostu! - Umiechnšł się. - A co ze Slade'em?

- Dostaniesz go w całoci.

- Mój drogi! Nie tak dawno zarzucałe mi brak realizmu. Musisz wymylić jaki lepszy sposób wymiany, ten mi się nie podoba.

Posłałem mu umiech.

- Nie sšdziłem, że dasz się na to nabrać, ale jak sam mówiłe, zawsze warto próbować. Mam wrażenie, że zdołamy wypracować jakie zadowolajšce rozwiązanie.

- Na przykład? Potarłem dłoniš podbródek.

- Wypucisz Elin, ona skontaktuje się z naszymi przyjaciółmi i potem będziesz mógł wymienić mnie na Slade'a. Wszystkie szczegóły można omówić przez telefon.

- To brzmi logicznie. Chociaż nie jestem pewny, czy to rozsšdne wymieniać dwoje na jednego.

- Szkoda, że nie możesz zapytać o to Slade'a.

- Punkt dla ciebie.

Kennikin poruszył się niespokojnie. Starał się znaleźć w moim planie jakie słabe strony.

- Slade wróci do nas cały i zdrowy? Umiechnšłem się przepraszajšco.

- No, niezupełnie. Stracił trochę krwi, ale to nic poważnego, rana nie jest miertelna. Poza tym może go jeszcze boleć głowa. Ale czy to twoje zmartwienie?

- Ano właśnie. - Wstał. - Chyba mogę na to pójść, ale chciałbym się jeszcze trochę zastanowić.

- Byle nie za długo - ostrzegłem. - Pamiętaj o wyznaczonym limicie czasu. Elin zwróciła się do mnie z pytaniem:

- Naprawdę masz Slade'a?

Spojrzałem na nią i modląc się w duchu, by mnie nie zawiodła, próbowałem przekazać jej ukrytą informację:

- Tak, opiekuj się nim nasi przyjaciele pod wodzą Valtira.

- Valtyr! - Kiwnęła potakująco głową. - Ten jest wystarczająco duży, żeby dać sobie radę z każdym.

197

Przeniosłem wzrok na Kennikina, starając się nie dać po sobie poznać zbyt wielkiej ulgi ze sposobu, w jaki to rozegrała.

- Pospiesz się, Waclawie - przynagliłem. - Czas ucieka. Podjął nagle decyzję.

- Dobrze, zrobimy, jak mówisz. - Spojrzał na zegarek. - Aleja również wyznaczę limit czasowy. Jeżeli w ciągu dwóch godzin nikt nie zadzwoni, umrzesz bez względu na to, co stanie się potem ze Slade' em. - Obrócił się na pięcie i stanął twarzą do Elin. - Zapamiętaj to sobie, Elin Ragnarsdottir.

- Jeszcze jedno - odezwałem się. - Zanim Elin wyjedzie, muszę z nią porozmawiać. Nie wie przecież, gdzie szukać Valtira.

- Zrobisz to przy mnie. Spojrzałem na niego z wyrzutem.

- Nie udawaj idioty. Byłoby raczej głupio z mojej strony pozwolić ci poznać miejsce pobytu Slade'a, bo mógłby się pokusić o wydostanie go stamtąd. A co

wówczas stałoby się ze mną? - Wstałem ostrożnie. - Albo porozmawiam z nią na

osobności, albo wcale. Znowu stawiam cię w sytuacji patowej, ale z pewnością rozumiesz, że muszę troszczyć się o własną skórę.

- Tak, nie ma co do tego żadnych wątpliwości - odparł pogardliwie. Wskazując bronią trzymany w rękę, powiedział: - Możecie rozmawiać tam w kście, ale zostajcie w pokoju.

Kiwnąłem głowę do Elin i przeszliśmy, gdzie nam polecił. Stałem plecami do Kennikina na wypadek, gdyby miało się okazać, że jednym z jego pomniejszych talentów jest czytanie z ruchu warg w szczi językach.

- Naprawdę masz Slade'a? - szepnęła Elin.

- Tak, ale ani Valtyr, ani nikt inny o tym nie wie. Sprzedałem Kenniki-nowi wiarygodną historyjkę, ale nie do końca prawdziwą. Niemniej Slade jest w moich rękach.

Położyła mi rękę na piersi.

- Zaskoczyli mnie - rzekła. - Nic nie mogłam zrobić, Alan, bałam się.

- To już nieważne. Zaraz stąd wyjdiesz, posłuchaj teraz, co masz zrobić.

Musisz...

- Ale ty zostajesz - przerwała, patrząc na mnie z bólem w oczach.

- Nie będę tu tkwił długo, jeżeli zrobisz, co ci powiem. Słuchaj uważnie. Po wyjściu z budynku podejdziesz w górę do drogi i skręcisz w lewo. Po przejściu około pół mili natkniesz się na istne cudo, duży amerykański samochód. Za nic w świecie nie wolno ci otwierać bagażnika. Wskakuj do rodka i gnaj, na nic się nie oglądaj, do Keflavíku. Jasne?

Przytaknęła.

- A co mam tam robić?

- Musisz zobaczyć się z Lee Nordlingerem. Narobisz szumu i zażdasz spotkania z agentem CIA. Lee i cała reszta będą się zarzekać, że nie mają

198

nikogo takiego u siebie, ale jeśli będziesz długo nalegać, na pewno go wytrzasną. Możesz powiedzieć Lee, że chodzi o testowane przez niego urządzenie, to powinno pomóc. Facetowi z CIA opowiesz całą historię, a potem każ mu otworzyć bagażnik samochodu. - Umiechnęłam się z przekśsem. -Ale nie mów bagażnik", tylko kufer", bo inaczej Amerykanin może cię nie zrozumieć. Brytyjski angielski i amerykański to jednak momentami dwa różne języki.

- A co jest w środku?

- Slade.

Wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

- W samochodzie? Pod ich nosem?

- Nie miałem wiele czasu, musiałem działać szybko.

- A co z tobą?

- Musisz nakłonić faceta z CIA, żeby tutaj zadzwonił. Od chwili wyjścia stąd będziesz miała na wszystko dwie godziny, musisz więc być cholernie przekonywająca. Jeżeli stwierdzisz, że nie zdążysz ze wszystkim na czas albo jeśli pracownik CIA nie da się przekonać, musisz sama zadzwonić do Kennikina z jakś wiarygodnie brzmiącą historią. Umów go na spotkanie w celu wymiany mnie na Slade'a; prawdziwe czy nieprawdziwe, pozwoli mi to zyskać na czasie.

- A jeśli Amerykanie mnie uwierzą?

- Powiedz im, że wiesz o Fleecie i McCarthym. Zagro, że poinformujesz o wszystkim prasę islandzką. To powinno wywołać jakąś reakcję. A włącznie: nie

zapomnij dodać, że twoi przyjaciele dobrze wiesz, gdzie poszła. Tak na wszelki wypadek.

Próbowałem zabezpieczyć każdą ewentualność.

Przymknęła na chwilę oczy, starając się wbić w pamięć wszystkie instrukcje.

Kiedy je otworzyła, spytała:

- Czy Slade żyje?

- Oczywiście. Tu powiedziałem Kennikinowi prawdę. Jest ranny, ale żywy.

- Przyszło mi do głowy, że CIA może prędzej uwierzyć Slade'owi niż mnie. Może się nawet okazać, że pracownicy CIA w Keflaviku to jego znajomi.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale musimy podjąć ryzyko. Dlatego właśnie jeszcze przed przekazaniem Slade'a musisz im najpierw wszystko opowiedzieć i nie daj się uprzedzić. Jeżeli uda ci się przedstawić całą powagę sytuacji, nie wypuszczysz go tak po prostu z ręk.

Nie wyglądała na zbyt uszczęliwioną, podobnie jak ja, ale nic lepszego nie mogliśmy wymyślić.

- Musisz jechać szybko, ale rozważnie, żeby nie spowodować jakiego wypadku.

Pamiętaj, co wiesz w samochodzie.

199

Ująłem ją za podbródek i uniosłem jej głowę.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Zamrugała gwałtownie oczami.

- Muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Pistolet, który mi dała, mam w dalszym ciągu przy sobie.

Teraz ja z kolei zamrugałem oczami.

- Co!?

- Nie przeszukali mnie. Mam go w kaburze pod skafandrem. Musiałem przyznać, że pod lunym skafandrem broń nie była w ogóle

widoczna. Niemniej kto zawalił sprawę. Chociaż trudno spodziewać się, by islandzka dziewczyna była uzbrojona, jednak fakt, że jej nie przeszukali, wydawał im wiadectwo zwykłych partaczy. Trudno się zatem dziwić, że Kennikin często wychodził z siebie, mówiąc o kwalifikacjach swoich ludzi. Elin spytała szeptem:

- Może udałoby mi się jako ci go podsunąć?

- Nie ma szans - stwierdziłem z żalem, wiadomy czujnego wzroku Kennikina za moimi plecami. Stał, czyhając jak jastrząb, a Smith&Wesson kaliber 38 to nie karta do gry, którą można zamknąć w dłoni.

- Zatrzymaj go. Kto wie, może ci się jeszcze przyda.

Położyłem rękę na jej zdrowym ramieniu, przycisnąłem ją do siebie i pocałowałem, czując jej zimne twarde usta. Drżała lekko. Cofnąłem głowę, mówiąc:

- Lepiej już id.

Odwróciłem się twarzą do Kennikina.

- Wzruszaj się - zakpił.

- Jest jeszcze co - zacząłem. - Dajesz za mało czasu. Dwie godziny mogą nie wystarczyć.

- Musz - odparł nieustępliwie.

- Będzie rozsądny. Dziewczyna musi pojechać przez Reykjavik, a zanim tam dotrze, będzie już po piątej, czyli trafi na sam róg godziny szczytu. Nie chciałby chyba stracić Slade'a przez jakiś korek uliczny, prawda?

- Nie martwisz się o Slade'a, ale o własną skórę. Mylisz o kuli

roztrzaskującej ci głowę.

- Może i tak, ale ty lepiej pomyśl o Siadzie, bo jeśli ja zginę, jego czeka to samo.

Skinął krótko głową.

- Trzy godziny i ani minuty dłużej.

Kennikin był logicznie myślącym facetem, podatnym na racjonalne argumenty.

Zdobyłem dla Elin jeszcze jedną godzinę, godzinę więcej na przekonanie wojskowych szefów w Keflavíku.

200

- Dziewczyna idzie sama - zaznaczyłem. - Żadnego deptania po piętach.

- Rozumie się.

- To daj jej numer, pod który ma zadzwonić. Szkoda by było, gdyby wyszła stąd, nie znając go.

Kennikin wyjął notes i zapisał numer telefonu. Wydarł kartkę i podał Elin.

- Żadnych sztuczek - powiedział ostrzegawczo. - Zwłaszcza zapomnij o policji.

Jeśli zaczniesz się tu kręcić jakimiś obcymi twarzami, on żegna się z życiem. Lepiej, żeby w to uwierzyła.

- Rozumiem - odparła matowym głosem. - Nie będzie żadnych sztuczek.

Spojrzała na mnie, a w jej oczach było coś, co sprawiło, że serce o mało nie wyrwało mi się z piersi. Kennikin ujął ją za łokieć i odprowadził do drzwi. W chwilę potem widziałem przez okno, jak oddala się, zmierzając w stronę drogi.

Wrócił Kennikin.

- Umieścimy cię w jakimś bezpiecznym miejscu - powiedział i kiwnął głową na strażnika, który trzymał mnie pod bronią.

Zaprowadzili mnie na górę do pustego pokoju. Kennikin obejrzał gołe ciany i potrząsnął ze smutkiem głową.

- W redniowieczu robili to o wiele lepiej - orzekł.

Nie miałem ochoty wdawać się z nim w pogawędkę, ale postanowiłem dotrzymać mu towarzystwa. Chodziła mi po głowie niepokojąca myśl, że być może Kennikin wcale by się nie zmartwił, gdyby Slade się nie zjawił. Mógłby wtedy, nie spiesząc się, przystąpić do rozkosznego dzieła wysłania mnie na tamten wiat. W dodatku za takś ewentualność sam byłbym w pewnym stopniu odpowiedzialny, od dawna próbując wrogo usposobić go do Slade'a. Może nie był to wcale taki dobry pomysł...

- Co masz na myśli? - spytałem, nawiązując do ostatniej uwagi.

- W tamtych czasach budowali z kamienia.

Podszedł do okna i walnął w cianę zewnątrz. Drewno odpowiedziało mu głuchś pustkś.

- Ta chałupa nie jest mocniejsza niż skorupka jajka.

Trudno się było nie zgodzić. Usytuowane wokół Thingvallavatn domki letniskowe nie sś przeznaczone do stałego zamieszkania. Całś konstrukcję stanowi drewniany szkielet, obudowany z każdej strony cienkś warstwś desek, wypełniony styropianem izolacji cieplnej i wykończony wewnątrz, dla uzyskania większego efektu, warstwś tynku, grubś może na dobry centymetr. Taki dom to w sumie najbliższy krewny stałego namiotu.

Kennikin podszedł do przeciwległej ciany i uderzył w niś kostkami palców.

Odpowiedziała mu jeszcze głuchszym echem.

201

- Przez tę cienkś ciankę działowś przedostałby się bez trudu w ciśgu

piętnastu minut i to przy użyciu jedynie ršk. Dlatego ten facet zostanie z tobš.

- Bez obawy, nie jestem supermanem - zauważyłem cierpko.

- Nie musisz być supermanem, żeby powiřzać jak barany partaczy, których przydzielili mi do tej operacji - odparł równie cierpkim tonem. - Dałe juź tego dowód, ale mylę, że moje obecne rozkazy dotrř nawet do najbardziej pustej głowy.

Odwrócił się do strażnika z broniř.

- Stewartsen będzie siedział w tamtym křcie pokoju, a ty masz stać pod drzwiami. Zrozumiałe?

Tak.

- Jeźeli się poruszy, zastrzel go. Zrozumiałe?

- Tak.

- Jeźeli się odezwie, tak samo masz go zastrzelić. Zrozumiałe?

- Tak.

- Jeźeli będzie w ogóle cokolwiek próbował, masz go zastrzelić.

- Zrozumiałe?

- Tak - flegmatycznie odparł uzbrojony strażnik.

Rozkazy Kennikina nie zostawiały wiele miejsca na jakikolwiek manewr.

- Zaraz, czy o czym nie zapomniałem? - odezwał się, próbujřc sobie co przypomnieć. - O, włanie: powiedziałe, że Slade jest ranny, zgadza się.

- Nie ma o czym mówić, niewielka dziura w dłoni. Skinřł głowř i zwrócił się do strażnika:

- Strzelaj tak, żeby go nie zabić. Postrzel go w brzuch. Obrócił się na pięć i wyszedł z pokoju. Trzasnęły za nim drzwi.

Spojrzałem na strażnika, który z miejsca odwzajemnił mi się tym samym. Broń mierzśca w mój brzuch nie drgnęła nawet o grubość włosa. Drugś rękś wskazał mi bez słów kśt pokoju. Cofniśłem się we wskazanym kierunku, aż łopatkami dotknśłem ciany, ugiśłem nogi i przykucniśłem na piętach.

Rzucił mi spojrzenie bez wyrazu.

- Siadaj! - polecił bez zbędnych słów.

Usiadłem. Tego faceta nie można było nabrać na żadne numery. Stał niewzruszenie przed drzwiami jakie pięć metrów ode mnie i wyglśdał na takiego, który wypełnia rozkazy co do joty. Gdybym skoczył w jego stronę, z miejsca dostałbym kulkę. Nie mogłem nawet liczyć na to, że uda mi się

202

spropokować go do zrobienia jakiego nierozsśdnego kroku. Czekają mnie trzy bardzo długie godziny.

Kennikin miał rację. Gdyby zostawili mnie samego w pokoju, przebiłbym się przez ciankę działowś i nie potrzebowałbym na to nawet piętnastu minut. Co prawda, pozostawałbym w dalszym ciśgu wewnśtrz budynku, j ed-nak w nieznanym im miejscu, a przez zaskoczenie, o czym wiedzś wszyscy generałowie, wygrywa się bitwy.

Kennikin doskonale zdawał sobie sprawę, że po odejciu Elin gotów byłem na wszystko, żeby się stśd wyrwać.

Spojrzałem w okno. Mogłem przez nie widzieć jedynie mały skrawek niebieskiego nieba, po którym sunęła strzėpiasta chmurka. Czas płynśł powoli i chyba po pół godzinie usłyszałem chrzėst opon podjeżdżajścego samochodu. Nie wiedziałem, ilu ludzi Kennikina znajdowało się w budynku w momencie mojego przybycia - miałem

pewność co do trzech - ale wraz z pojawieniem się kolejnych różnica sił

zwiększała się jeszcze bardziej na mojs niekorzyć.

Przekręciłem wolno nadgarstek i odsunłem rękaw marynarki, żeby spojrzeć na

zegarek. Modliłem się w duchu, by strażnik nie uznał tego za czynność

nienaturalną. Nie spuszczałem go z oczu, na co on odwzajemnił mi się spojrzeniem

nie zdradzającym zainteresowania, opuściłem więc wzrok i sprawdziłem, która

godzina. Myliłem się: upłynęło nie pół godziny, ale zaledwie kwadrans.

Trzygodzinne wyczekiwanie zdawało się dłużyć bardziej, niż się tego

spodziewałem.

Po pięciu minutach rozległo się pukanie do drzwi i usłyszałem podniesiony głos

Kennikina.

- Wchodzę!

Drzwi się otworzyły i strażnik przesunął się w bok. Do pokoju wkroczył Kennikin.

- Widzę, że byłeś grzecznym chłopcem - stwierdził, a w jego głosie było co, co sprawiło, że poczułem się nieswojo. Jak na mój gust był stanowczo zbyt wesoły.

- Powtórzmy jeszcze raz, co przedtem mówiłeś - zaczął. - Twierdzisz, że Slade'a

trzymajś twoi islandzcy przyjaciele, którzy, o ile dobrze pamiętam, majś go

zabić, jeżeli nie wymienimy go na ciebie. Zgadza się?

- Tak. Umiechnął się.

- Na dole czeka twoja przyjaciółka. Dotrzymamy jej chyba towarzystwa? - Machnął

ręką. - Możesz spokojnie wstać, nie będziemy strzelać.

Wstałem sztywno, głowiąc się nad tym, co się mogło stać. Zszedłem pod straż na

dół i zobaczyłem Elin. Stała przed wygaszonym kominkiem z Ilji-czem u boku. Z

poblądłś twarzś wyszeptała:

- Przepraszam, Alan.

203

- Uważasz mnie chyba za idiotę, Stewart - odezwał się Kennikin. - Nie sǳisz chyba, iż uwierzyłem, że przybyłe tu pieszo? Jak tylko przyczłapa-łe do drzwi frontowych, od razu zacząłem się zastanawiać, gdzie zostawiłe samochód. Bo to, że jeste samochodem, nie pozostawiało żadnych wstǳliwoci, w tym kraju nie da się poruszać piechotǳ. Wysłałem więc swojego człowieka na poszukiwania, zanim jeszcze przycisnęłe dzwonek u drzwi.

- Zawsze byłe logicznie myślǳym facetem. Był wyranie zadowolony z siebie.

- I jak sǳisz, co znalazł? Duży, amerykański samochód, nawet z kluczykiem w stacyjce. Niedługo potem, w wielkim popiechu zjawiła się ta młoda dama, którǳ pozwolił sobie zabrać tutaj wraz z samochodem. Nie możemy mieć mu tego za złe, prawda? Nic nie wiedział o naszej umowie.

- Oczywiście - przytaknęłem głuchym głosem, zastanawiajǳc się cały czas na tym, czy człowiek Kennikina otworzył bagażnik. -Nie sǳę jednak, by to co zmieniało - dodałem.

- Nie musisz. Chodzi o to, że mój człowiek miał wydane stałe rozkazy: wiedzǳc, że szukamy małej paczki zawierajǳcej urządzenie elektroniczne, obszukał dokładnie cały samochód. Ale paczki nie znalazł.

Przerwał i spojrział wyczekujǳco. Wyranie rozkoszował się tǳ sytuacjǳ.

- Pozwolisz, że usiǳę? - spytałem. -1, na miły Bóg, daj mi papierosa, bo już mi się skończyły.

- Ależ oczywiście, mój drogi - odparł troskliwie. - Siadaj tam, gdzie zwykle.

Wyciǳgnął papieronicę i ostrożnie przypalił mi papierosa.

- Pan Slade bardzo się na ciebie gniewa. Wygląda na to, że wcale cię nie lubi.

- A gdzie on jest?

- W kuchni, bandażujś mu rękę. Muszę przyznać, że postawiłem bardzo trafną diagnozę: naprawdę boli go głowa.

Czułem teraz taki ciężar w żołądku, jakbym połknął ołowianą kulę. Zaciśniętem się papierosem.

- No dobrze i co teraz?

- To samo, co przedtem. Wracamy do momentu, kiedy przyjechałem tu ze mną z Geysir. Nic się nie zmieniło.

Mylił się: tym razem była tu Elin.

- Więc teraz mnie zastrzelisz.

- Być może. Najpierw jednak chce z tobą porozmawiać Slade. - Podniósł wzrok. -

A oto i on.

Slade wyglądał fatalnie. Był poszarzały na twarzy, a wchodząc do pokoju, chwiało się lekko na nogach. Kiedy podszedł bliżej, zauważyłem, że jego oczy są dziwnie nieobecne, co wskazywało, że skutki wstrząsu jesz-

204

cze nie minęły. Rękę miał zgrabnie owiniętą w czysty bandaż z gazy, ale ubranie było całe pomięte i brudne, a włosy zmierzwione. Musiał być bardzo wzburzony, bo zazwyczaj przywiśzywał ogromną wagę do wyglądu zewnętrznego.

Nie myliłem się. Rzeczywiście był wzburzony, o czym przyszło mi przekonać się bardzo szybko. Podszedł do mnie i spojrzał z góry. Dał znak lewą ręką mówiąc:

- Podniecie go i zaprowadźcie tam pod cianę.

Chwycili mnie, zanim zdołałem wykonać jakikolwiek ruch. Kto wykręcił mi z tyłu

rękę, ciśgnęli mnie z krzesła i pchnęli. Przeleciałem przez pokój i walnąłem o

cianę. W tym momencie doszedł mnie głos Slade'a:

- Gdzie mój pistolet? Kennikin wzruszył ramionami.

- Skąd mam wiedzieć?

- Musielicie go znaleźć przy Stewarcie.

- A, o tym mówisz. - Wyjął broń z kieszeni. - Ten? Slade wziął pistolet i

zbliżył się do mnie.

- Przytrzymajcie mu prawą rękę przy cianie - polecił i podsunął mi swoją

zabandażowaną dłoń pod oczy. - To twoja robota, Stewart, chyba więc sam wiesz,

co teraz nastąpi.

Czyja twarda ręka przytwierdziła mi nadgarstek do ciany, Slade tymczasem

podniósł broń. Byłem na tyle przytomny, że zanim jeszcze pociśgnął za spust,

zdążyłem rozłożyć dłoń w celu uniknięcia przestrzelenia palców; kula przeszła

przez rodek dłoni. Rzecz ciekawa, po pierwszym przeszywającym uderzeniu nie

odczuwałem wcale bólu, a jedynie drętwienie w ręce od barku po czubki palców.

Wiedziałem jednak, że ból da o sobie znać, gdy minie pierwszy szok.

Zawirowało mi w głowie i usłyszałem jeszcze krzyk Elin, który zdawał się

dopływać gdzie z oddali. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem twarz Slade'a

wpatrującego się we mnie z ponurą miną.

- Dajcie go z powrotem na krzesło - polecił ostro.

Dokonał przed chwilą aktu zemsty i był teraz na powrót gotów przystąpić do

wypełniania normalnych obowiązków.

Cisnęli mnie na krzesło. Podniosłem głowę i zobaczyłem Elin. Stała oparta o

gzyms kominka z twarzą zalaną łzami. Slade rozdzielił nas i straciłem ją z oczu.

- Za dużo wiesz, Stewart. Chyba zdajesz sobie sprawę, że musisz zginąć.

- Wiem, że dasz z siebie wszystko - wydusiłem bezbarwnym głosem. Zaczynałem teraz rozumieć, dlaczego Slade o mało nie rozplakał się wtedy w pokoju hotelowym. W tym momencie odczuwałem dokładnie to samo.

205

Nie byłem w stanie złożyć dwóch myśli do kupy, a głowę rozsadał mi ostry ból.

Wtargnięcie kuli w ciało nie pozostawało bez echa. Usłyszałem głos Slade'a:

- Kto poza dziewczyną wie jeszcze o mnie?

- Nikt więcej - odparłem. - A co będzie z nią? Wzruszył ramionami.

- Będziecie leżeć we wspólnym grobie. - Zwrócił się do Kennikina. - Może mówi prawdę. Był cały czas w drodze i nie miał zbyt wiele okazji, by kogo powiadomić.

- Mógł napisać list - zauważył powstępująco Kennikin.

- Muszę zaryzykować. Nie sądzę, by Taggart co podejrzewał. Może się co najwyżej wciekać, że stracił mnie z oczu, ale na tym się powinno skończyć. Będę teraz grzecznym chłopcem i zaraz następnym samolotem polecę do Londynu.

Uniósł obandażowaną rękę i posłał Kennikinowi wymuszony uśmiech.

- Powiem, że to twoja sprawka: zostałem postrzelony, kiedy próbowałem przyjąć z pomocą temu głupkowi.

Z tymi słowami kopnął mnie w nogę.

- A co z tym urządzeniem elektronicznym? - przypomniał Kennikin.

- A co ma być?

Kennikin wyciągnął papieronice i wyjął papierosa.

- Szkoda by było, gdyby operacja nie zakończyła się zgodnie z planem.

Stewartsen wie, gdzie to schował, a ja potrafię wyciśnąć z niego tę informację.

- Mogłе więc to zrobić - odparł z namysłem Slade. Spojrzał na mnie z góry.

- Gdzie to masz, Stewart?

- Tam, gdzie nigdy tego nie znajdziesz.

- Nie przeszukaliśmy jeszcze samochodu - zauważył Kennikin. - Kiedy cię znalelimy w bagażniku, wszystko inne zeszło na dalszy plan.

Wydał szybko rozkazy i dwóch jego ludzi wyszło z pokoju.

- Jeżeli ukrył to w samochodzie, znajdziemy na pewno.

- Nie wydaje mi się, aby paczka była w samochodzie - zauważył Slade.

- A ja nie sądziłem, że w bagażniku znajdę właśnie ciebie - odparł zjadliwie Kennikin. - I zupełnie bym się nie zdziwił, gdyby to było w samochodzie.

- Może i masz rację - zgodził się Slade, ale ton jego głosu zdradzał, że wcale tak nie myli.

Nachylił się nade mną, mówiąc:

- Szykuj się na mierć, Stewart. Możesz być pewny, że jej nie unikniesz. Są jednak różne sposoby umierania. Powiedz, gdzie jest paczka,

206

a obiecuję ci lekką, szybką mierć. W przeciwnym razie oddam cię w ręce Kennikina.

Zacisnąłem mocno usta, wiedząc, że jeśli je otworzę, wzrokowi Slade'a nie ujdzie drżenie mej dolnej wargi sygnalizujące strach.

Odszedł na bok.

- W porządku, możesz go sobie wziąć, Kennikin. - W jego głosie pojawiła się mciwa nuta. - Najlepiej, jeśli będziesz bez popiechu odstrzeliwał mu kawałek

po kawałku. Sam mi tym groził.

Kennikin stanął przede mną z pistoletem w ręku.

- No, Alan, zbliżamy się do końca drogi. Gdzie schowałeś tę część do radaru?

Nawet w takim momencie, mając wycelowany w siebie pistolet, nie przeoczyłem tej zupełnie dla mnie nowej informacji: część wyposażenia do radaru! Wykrzywiłem twarz w wymuszonym umiechu.

- Masz jeszcze jednego papierosa, Waclawie?

Jednak przez twarz Kennikina nie przebiegł nawet cień umiechu. Patrzył na mnie lodowatym wzrokiem z ponuro zaciniętymi ustami. Jego twarz była twarzą kata.

- Nie mamy czasu bawić się w przestrzeganie tradycji. Skończyliśmy już z tymi głupotami.

Spojrzałem na stojącą za nim Elin. Tkwiła tam zapomniana, z wyrazem desperacji na twarzy. Jej ręka ukryta pod skafandrem powoli się z niego wysuwała, mocno co ciskając. Zdałem sobie nagle sprawę, że Elin w dalszym ciągu ma przy sobie pistolet! To sprawiło, że w jednej chwili powróciła mi przytomność umysłu. Kiedy odchodzi ostatnia nadzieja i pozostaje tylko czekanie na śmierć, człowiek zaczyna się pogryzać w bagnie fatalizmu, ale wystarczy pokazać mu cień szansy, by zaczął na powrót działać. Działanie w moim przypadku oznaczało zalanie ich potokiem słów.

Odwróciłem głowę i odezwałem się do Slade'a. Musiałem przycisnąć jego uwagę, by nie przyszło mu do głowy spojrzeć w stronę Elin.

- Nie spróbujesz go powstrzymać? - spytałem błagalnym tonem.

- Sam to możesz zrobić. Wystarczy, że powiesz mu to, co chcemy wiedzieć.

- Kiedy ja nic nie wiem. Zresztą i tak czeka mnie śmierć.

- Ale znacznie lżejsza. Umrzesz szybko i bezbolesnie.

Odwróciłem z powrotem głowę w stronę Kennikina i ponad jego ramieniem spojrzałem na Elin. Wydobyła już broń i manipulowała teraz przy niej, a ja zacząłem modlić się w duchu, by nie zapomniała, co trzeba zrobić przed oddaniem strzału.

- Nie, no, Wacław - nie przestawałem mówić - nie zrobisz tego staremu kumpłowi.

Nie ty...

207

Jego pistolet zatrzymał się na wysokości mojego brzucha, by po chwili przesunąć się niżej.

- Wiesz dobrze bez zgadywania, gdzie wpakuję pierwszą kulę - zaczął miertelnie spokojnym głosem. - Słucham jedynie rozkazów Slade'a, no i głosu własnego serca.

- Powiedz, gdzie to jest - odezwał się ponagląsco Slade, pochylając się do przodu.

Usłyszałem metaliczny trzask: Elin odciśnęła suwnicę pistoletu. Na ten dźwięk Kennikin zaczął się odwracać w jej stronę. Elin trzymała pistolet w obu dłoniach na pełną długość wyciągniętych ramion i w chwili, gdy Kennikin rozpoczął swój obrót, strzeliła i nie przestawała już naciskać na spust.

Wyraźnie słyszałem, jak pierwsza kula uderza Kennikina w plecy. Zaciśnięte konwulsyjnie dłonie na pistolecie, który wystrzelił mi prosto w twarz: kula ugrzęzła w oparciu krzesła, tuż obok mojego łokcia. Nie czekałem na nic więcej.

Dałem nura w stronę Slade'a, pochylając głowę, i walnąłem go z całej siły w brzuch. W zetknięciu z twardą czaszką zgiął się w pół, wypuszczając ze wstępnym potężnym strumieniem powietrza, i padł na ziemię z trudem, chwytając oddech.

Przekoziółkowałem błyskawicznie po podłodze wiadomy tego, że Elin nie przestaje

naciskać na spust i kule migają po pokoju.

- Przestań strzelać! - krzyknąłem.

Zgarnąłem rękopukawkę Slade'a i podchodząc Elin pod łokieć, chwyciłem ją za nadgarstek.

- Na miłość boską, przestań!

Wystrzelała chyba cały magazynek. ciana naprzeciwko była po dziurawiona kulami.

Kennikin leżał na plecach, na wprost krzesła, które niedawno zajmowałem, i wpatrywał się w sufit niewidzącymi oczami. Elin trafiła go jeszcze dwukrotnie, co nie powinno dziwić, wziwszy pod uwagę, że strzelała z odległości mniejszej niż dwa metry. Miałem szczęście, że mnie nie dosięgła żadna z kul. Na czole Kennikina czerwieniła się postrzępiona, miętelną raną, co świadczyło, że po pierwszym trafieniu w plecy miał w sobie jeszcze tyle życia, by, odwrócić się i próbować oddać strzał. Kolejna kula trafiła go w szczękę, wyrywając dolną połowę twarzy.

Był najzupełniej martwy.

Nie zatrzymałem się, by podumać nad kruchociś ludzkiego życia, które w pełni rozkwitu nosi w sobie piętno mierności, lecz ruszyłem w stronę drzwi, pociągając za sobą Elin. Mogłem sądzić, że chłopcy na zewnątrz byli przygotowani na strzał, zwłaszcza po małym pokazie urządzonym przez Slade'a, nie miałem jednak wątpliwości, że seria oddana przez Elin skłoni ich do niezwłocznego sprawdzenia, co się dzieje. Musiałem odwieść ich od tego zamiaru.

208

W drzwiach wypuściłem nadgarstek Elin z lewej ręki, przekładając do niej pistolet z prawej, przestrzelonej dłoni. Trudno myśleć o strzelaniu z pistoletu,

choćby to była sztuka o tak małym odrzucie jak zmylna broń Slade'a, jeli trzyma się go w przedziurawionej kulś dłoni. W strzelaniu z broni krótkiej jestem bardzo kiepski, cóż dopiero mówić, kiedy chodzi o strzelanie lewś rękś.

Ale jednś z przyjemnych stron pojedynków strzeleckich jest to, że facet, do którego mierzysz, nie pyta cię o wiadectwo biegłoci w strzelaniu, ale daje nura na sam widok broni.

Rzuciłem okiem na Elin. Była najwyraniej w stanie szoku. Nikt nie może zastrzelić człowieka, nie dowiadczajśc przy tym wstrzśsu emocjonalnego, szczególnie wtedy, gdy zdarza się to po raz pierwszy i dotyczy cywila, zwłaszcza gdy cywilem tym jest kobieta. Odezwałem się celowo ostrym tonem:

- Rób bez żadnych pytań dokładnie to, co ci mówię. Trzymaj się za mnś i gnaj jak diabli, na nic się nie oglśdajśc.

Zdławiła w sobie chrapliwe łkanie i skinęła głowś, łapiśc oddech. Wypadłem przez drzwi frontowe i otworzyłem ogień. W tej samej chwili strzelono do nas z wnętrza domu i kula rozharatała futrynę tuż obok mojego ucha. Nie miałem jednak czasu zaprzśtać sobie tym głowy, bo w mojś stronę zmierzało już dwóch ludzi Kennikina, wysłanych przez niego do przeszukania chevroleta.

Strzeliłem do nich i nie przestałem naciskać na spust, dopóki nie zniknę-li z pola widzenia, dajśc nura w prawo i w lewo, my tymczasem przemknęlimy pomiędzy nimi. Rozległ się brzęk tłuczonej szyby - który z nich najwyraniej uznał, że otwieranie okna zajęłoby zbyt dużo czasu - i w tej samej chwili posypały się za nami kule. Rzuciłem pistolet Slade'a, ponownie chwytajśc Elin za nadgarstek, zmuszajśc do podśżania za mnś zygzakiem. Za plecami słyszałem ciężkie dudnienie butów: kto pucił się za nami w pocig.

I wtedy trafili Elin. Pod wpływem uderzenia poleciała, potykając się, do przodu; ugięły się pod nią kolana i ledwo zdążyłem objąć ją ramieniem i podtrzymać. W tym momencie od krawędzi rozlewiska lawy, gdzie ukryłem karabin, dzieliło nas dziesięć metrów i do tej pory nie wiem, w jaki sposób udało się nam przebyć ten krótki odcinek. Na szczęście Elin była cięgle w stanie utrzymywać się na nogach. Wdrapaliśmy się na szczyt rozlewiska, pokonując poronione mchem garby w pokrywie lawowej, aż wreszcie mogłem schylić się i chwycić kolbę karabinu Fleeta.

Zanim wydobyłem na dobre broń spod warstwy mchu, wprowadzałem już nabój do lufy. Elin przywarła do ziemi, a ja wykonałem szybki obrót, trzymając karabin w lewej ręce. Nawet z przestreloną na wylot dłonią prawej ręki mogłem jeszcze pociśgać za spust, co za chwilę zrobiłem z widocznym skutkiem.

14 Na olep

209

Magazynek zawierał mieszane naboje, które sam w swoim czasie starannie ułożyłem: kule w stalowych osłonkach i miękkie pociski. Pierwszy wypadł z lufy pocisk stalowy, trafiając w pier tego, który biegł na czele pociągu, i przechodząc przez niego, jakby go tam w ogóle nie było. Trafiony przebył jeszcze cztery kroki, zanim serce przeszyte kulą przestało pracować. Padł na miejscu, niemal u moich stóp, z wyrazem zdziwienia na twarzy.

W tym czasie kolejna kula zatrzymała mężczyznę biegnącego tuż za pierwszym. Widok był niezwykły: człowiek trafiony z odległości dwudziestu metrów miękką kulą napędzaną potężnym ładunkiem nie tyle ginie, co raczej rozpada się na kawałki, a ten gość po prostu pękł w szwach. Kula trafiła go w mostek, po czym

zaczęła się rozszerzać, podrywając go w górę i odrzucając w tył o dobry metr, zanim rozerwała mu kręgosłup, rozpryskując go dookoła.

Nagle wszystko ucichło. Donony ryk karabinu Fleeta oznajmił zainteresowanym, że do gry doszedł nowy element. Wstrzymali ogień, zachodząc w głowę, co się dzieje.

Wtem ujrzałem Slade'a: stał przy drzwiach, przyciskając rękę do brzucha.

Uniosłem karabin i strzeliłem. Chybiłem, bo trzęsły mi się ręce i zanadto się spieszyłem, napędziłem mu jednak takiego strachu, że cofnął się błyskawicznie do rodka. Nie było już teraz nikogo widać.

Raptem kula przeleciała tak blisko mojej głowy, że o mało nie zrobiła mi przedziałku we włosach. Huk wystrzału wskazywał, że kto ze znajdujących się w budynku również miał karabin. Przypadłem do ziemi, znikając z linii horyzontu, i zbliżyłem się do Elin. Leżała na mchu z twarzą wykrzywioną bólem, próbując z trudem uregulować ciężki oddech. Kiedy odjęła rękę od boku, ujrzałem, że jest czerwona od krwi.

- Bardzo boli?

- Przy braniu oddechu-odparła, z trudem chwytając powietrze. - Tylko wtedy.

Był to zły znak, jednak umiejscowienie rany wskazywało, że płuco nie zostało trafione. Nic więcej nie mogłem teraz na to poradzić. Żeby zapewnić nam przeżycie następnych kilku minut, musiałem i tak porządnie się napracować. Nie ma sensu zamartwiać się groźcą w przyszłym tygodniu perspektywą zejcia z tego wiata na skutek posocznicy, jeżeli nie mamy pewności, czy uda się nam przeżyć następne trzydzieci sekund.

Wymacałem pudełko z amunicją, wyjąłem magazynek i załadowałem go. Odrętwienie w prawej ręce ustąpiło i dopiero teraz zacząłem odczuwać prawdziwy ból. Nawet

zwykła próba zgięcia palca naciskającego spust porażała mi całe ramię tak, jakbym chwycił rękę przewód pod napięciem. Nie byłem wcale pewny, czy w takim stanie dam radej jeszcze strzelać. Zadziwiająco jednak, czego może dokonać człowiek w obliczu groźnego niebezpieczeństwa.

210

Wychyliłem ostrożnie głowę zza bryły lawy i spojrzałem w stronę budynku. Nie zauważyłem żadnego ruchu. Tuż przede mną spoczywały ciała zastrzelonych przeze mnie mężczyzn; jeden sprawiał wrażenie pogrążonego w spokojnym śnie, drugi, z pogruchotanym ciałem, przedstawiał sobie straszny widok. Przed domem stały dwa samochody: wóz Kennikina wyglądał całkiem normalnie, natomiast chevrolet Nordlingera przypominał raczej wrak pojazdu. W poszukiwaniu paczki wypruli z niego siedzenia, a dziury po drzwiach zionęły pustką. Czekał mnie niezły rachunek za straty spowodowane zniszczeniem kilku samochodów.

Oba pojazdy dzieliło ode mnie niecałe sto metrów i choć nie marzyłem o niczym innym, jak tylko o dostaniu się do którego z nich, wiedziałem, że takie usiłowanie skończyłoby się fiaskiem. Odpadała również ucieczka piechotą, bo pomijając fakt, że spacer po pokrywach lawy jest sportem, w którym nie gustują nawet Islandczycy, musiałem jeszcze mieć na uwadze Elin. Nie mogłem przecież jej zostawić, a gdybyśmy spróbowali uciekać, ujęliby nas w ciężgu kwadransa.

Nie zanosilo się także na to, by zgodnie z uświęconą tradycją pojawiła się w odpowiednim momencie na horyzoncie królewska policja konna czy oddział kawalerii, pozostawało mi więc tylko jedno: musiałem stoczyć rozstrzygającą bitwę z nieznaną liczbą nieprzyjaciół bezpiecznie ukrytych we wnętrzu domu, no i oczywiście wyjść z niej zwycięsko.

Skoncentrowałem uwagę na budynku. Sam Kennikin nisko go cenił jako celę więzienną, porównując solidność jego konstrukcji do skorupy jajka. Istotnie, na cianę domu składały się zaledwie dwie warstwy desek rozdzielone styropianem kilkunastocentymetrowej grubości, pokryte od wewnętrznej strony warstwą tynku grubszą na niewiele ponad centymetr. Większość ludzi patrzy na taki dom jak na kuloodporną twierdzę, a mnie pusty miech ogarnia, ilekroć widzę, jak bohater westernu szuka schronienia we wnętrzu takiej chaty z desek, a polując na niego ciemne typy starają się go ustrzelić, mierząc dokładnie w okna.

Nawet dziewięciomilimetrowa kula z lugera wystarcza, żeby przebić przy strzale z bardzo bliskiej odległości dwudziestodwucentymetrową deskę, a taka kulka to drobiazg w porównaniu z czterdziestką-czwórką wychodzącą z lufy western colta. Kilka dobrze mierzonych strzałów rozniosłoby na strzępy chałupę kryjącą naszego westernowego bohatera.

Patrząc na dom Kennikina, zastanawiałem się, jaki opór stawia cienkie ciany straszliwej mocy zawartej w karabinie Fleeta. Miękkie kule nie mogły tu wiele zdziałać, rozprysłyby się bowiem w momencie uderzenia, odwrotnie niż pociski w stalowych osłonach, które powinny wykazać się niezwykłą siłą przebijania. Pora było się o tym przekonać, najpierw jednak musiałem zlokalizować strzelca.

211

Cofnąłem głowę i spojrzałem na Elin. Teraz, kiedy kontrolowała oddech, wyglądała już jakby lepiej.

- Jak się czujesz?

- Boże! A jak mylisz?

Umiechnąłem się z ulgą. Wybuch gniewu był oznaką poprawy.

- Teraz będzie już lepiej - zawyrokowałem.

- Gorzej już być nie może!

- Dziękuję za to, co tam zrobiła. Była bardzo dzielna. Zważywszy na jej stosunek do zabijania, było to co więcej niż odwaga. Zadrżała.

- To było okropne - szepnęła cicho. - Nie zapomnę tego do końca życia.

- Zapomnisz - orzekłem z pewnością w głosie. - Nasz umysł ma dar zapominania takich rzeczy. I dlatego właśnie wojny ciągnęły się tak długo i tak często wybuchają. Ale ty nie musisz czynić tego jeszcze raz, możesz natomiast zrobić co dla mnie.

- Jeżeli potrafię.

Wskazałem bryłę lawy nad jej głowę.

- Dasz radę zepchnąć ją w dół, kiedy ci powiem? Tylko nie wychylaj się, bo mogł cię trafić.

Spojrzała na kawałek lawy.

- Spróbuję.

- Poczekaj, aż ci powiem.

Wysunąłem przed siebie karabin i spojrzałem w stronę budynku. W dalszym ciągu nic się nie działo i byłem ciekaw, co Slade tam knuje.

- Dobra - przygotowałem ją. - Spychaj!

Kamień potoczył się z łoskotem stokiem rozlewiska lawy. Odezwał się karabin i kula przeleciała górą. Kolejny, lepiej mierzony strzał trafił nieco w lewo, rozpryskując odłamki skalne.

Ten, kto strzelał, znał swoje rzemiosło, mnie jednak udało się go już wypatrzeć.

Strzelał z pokoju na piętrze, i śledząc po niewyranym ruchu, który wychwyciłem,

klęczał przy oknie, ledwie wysuwając czubek głowy.

Złożyłem się do strzału, mierząc jednak nie w okno, lecz w cianę nieco w lewo poniżej niego. Przycisnąłem spust i patrząc przez teleskop, widziałem, jak z drewnianej ciany trafionej pociskiem sypią się drzazgi. Odpowiedzią na strzał był słaby krzyk i drgnienie wiatła w oknie, w którym w tej samej chwili wyrosła sylwetka mężczyzny. Przyciskał obie ręce do piersi, po chwili zatoczył się do tyłu i upadł.

Miałem rację: karabin Fleeta był w stanie przestrzeliwać ciany.

Przesunąłem celownik na dolne pomieszczenia i systematycznie lokowałem kulę po kuli w cianie wzdłuż każdego z okien, wybierając miejsca,

212

które zdawały się stanowić naturalną kryjówkę dla przyczajonego człowieka. Przy każdym przycięciu spustu poszarpane cięgna ręki były na znak protestu, a ja dając upust swemu samopoczuciu, ryczałem na cały głos. Poczułem, jak Elin szarpie mnie za nogawkę.

- Co się stało? - spytała z niepokojem.

- Nie przeszkadzaj człowiekowi w pracy - krzyknąłem i wycofałem się znad krawędzi lawy.

Wyjść pusty magazynek.

- Załaduj - poprosiłem. - Mnie sprawia to teraz zbyt wiele trudności.

Denerwowałem się, kiedy broń była nie naładowana, i żałowałem, że

Fleet nie miał zapasowego magazynka. Gdyby kto nas w takiej chwili zaskoczył, miałyby to dla nas fatalne skutki.

Upewniłem się, że Elin sprawnie ładuje magazynek odpowiednimi nabojami i

ponownie skierowałem wzrok na budynek. Dochodziły stamtąd czyje jęki i pomieszane krzyki. Niewstpliwie wewnątrz domu panowała spora konsternacja: wiadomość, że kula może przebić cianę, trafiając kryjącego się za nią człowieka, jest wysoce niepokojąca dla kogo, kto właśnie tam szuka osłony.

- Proszę - powiedziała, podając mi magazynek wypełniony pięcioma nabojami.

Założyłem go i wysunąłem karabin w samą porę, by zauważyć, jak z drzwi frontowych wypada mężczyzna i chowa się za chevroletem. W obiektywie teleskopu wyraźnie widziałem jego stopę. Drzwi samochodu od mojej strony były szeroko otwarte. Przepraszając w duchu Lee Nordlingera, posłałem kulę przez rodek pojazdu, przebijając metalowe drzwi po przeciwnej stronie. Stopa ruszyła się i po chwili mogłem zobaczyć w całości jej właściciela: był to Iljicz. Trzymał się ręką za szyję, skąd pomiędzy palców tryskała krew. Przeszedł niepewnie jeszcze kilka kroków, upadł, potoczył się po ziemi i zmarł w bezruchu.

Z coraz większym trudem przychodziło mi wprowadzać nabój do lufy, używając chorej ręki. Zwróciłem się o pomoc do Elin.

- Możesz się tu do mnie podczołgać?

Kiedy znalazła się po mojej prawej stronie, zacząłem ją uczyć:

- Podnie tę dźwignię, odciśnij i pchnij z powrotem do przodu. Tylko schyl przy tym głowę.

Trzymałem mocno karabin lewą ręką, a Elin ładowała nabój do lufy. W pierwszej chwili aż krzyknęła, kiedy miedziana łuska wyskoczyła jej niespodziewanie prosto w twarz. Takim to łatwym sposobem udało mi się ulokować trzy kolejne pociski w wybranych punktach domu, gdzie według mojej oceny mogły spowodować największe szkody. Kiedy wprowadziła ostatni nabój, wyjśćem magazynek i dałem jej do

ponownego załadowania.

213

Czułem się spokojniejszy, mając w lufie ten jeden nabój jako zabezpieczenie na wypadek nagłej potrzeby. Zająłem się ponownie obserwacją domu i zacząłem sporządzać w myślach tymczasowy raport. Z całą pewnością zabiłem trzech, zraniłem strzelca z okna na piętrze, a sądząc po jękach dochodzących z wnętrza domu, musiałem postrzelić jeszcze jednego. To już dawało pięciu, a wraz z Kennikinem - szeciu. Nie sądziłem, że pozostało ich jeszcze wielu, nie można było jednak wykluczyć, że kolejni są już w drodze - który z nich mógł przecież zadzwonić po posiłki.

Zastanawiałem się, czy jękliwe zawodzenie rozlegające się z wnętrza domu nie wychodzi z ust Slade'a. Znałem dobrze jego głos, ale nieartykułowany, bezładny jęk był nie do rozpoznania. Spojrzałem na Elin zajętych ładowaniem naboju do magazynku.

- Pospiesz się! Szamotała się rozpaczliwie.

- Zaciśł się.

- Spróbuj.

Zacząłem znów wypatrywać, chowając się za skał i nagle zauważyłem jakiś ruch z tyłu budynku. Kto z nich musiał wpaść na pomysł, który powinien przyjąć im do głowy dużo wcześniej, a mianowicie by wymknąć się tylną stroną domu. Jedyne całkowitemu zaskoczeniu wywołanemu niespodziewaną siłą rażenia mego karabinu należy przypisać, że nie zrobili tego dotychczas. Manewr ten poważnie mnie zaniepokoił, stwarzał bowiem niebezpieczeństwo zajęcia mnie z nieoczekiwanej strony.

Zwiększyłem moc powiększenia i spojrzałem przez szkła celownika na odległą sylwetkę: był to Slade. Pomijając zabandażowaną rękę, nic nie wskazywało na to, by co mu się stało. Biegł z szaloną prędkością, skacząc od pagórka do pagórka jak jaka cholerna kozica, powiewając na wietrze połami marynarki i rozkładając ramiona dla utrzymania równowagi. Korzystając z dogodnego dalmierza, wbudowanego w system celowniczy, mogłem stwierdzić, że dzieli go ode mnie niecałe trzysta metrów i dystans ten zwiększa się z każdą sekundą.

Wziąłem głęboki oddech, a następnie powoli wypuściłem powietrze, starając się maksymalnie opanować, i teraz dopiero dokładnie wymierzyłem. Odczuwałem spory ból i miałem trudności z utrzymaniem drgającego celownika. Trzykrotnie niemalże naciskałem już spust i za każdym razem cofałem palec, gdy uciekająca sylwetka zniknęła z obiektywu skaczącego celownika.

Gdy miałem dwanaście lat, dostałem od ojca mój pierwszy karabin. Młodsze postąpił, wybierając jednostrzałową dwudziestkędwójkę. Kiedy chłopak poluje na króliki i zające, wiedząc doskonale, że dysponuje tylko jednym strzałem i że od tego pierwszego, a zarazem jedyne strzału wszystko zależy, sytuacja taka jest najlepszym sposobem na wyćwiczenie wysokich

214

umiejętności strzeleckich. Wiedziałem, że mogę strzelić tylko raz, i czułem się znów jak za dawnych, chłopięcych dni, tylko że tym razem polowałem nie na królika, ale raczej na tygrysa.

Z dużą trudnością próbowałem się skoncentrować, czułem zawroty głowy, a w pewnym momencie przed oczyma napłynęła mi jaka szara plama. Zamrugałem, plama rozplynęła się i sylwetka Slade'a zarysowała się nienaturalnie wyraziście w obiektywie

celownika teleskopowego. Oddalał się teraz po przekształceniu; prowadziłem go w celowniku, aż znalazł się w samym punkcie celowania. Krew zatętniła mi w uszach i znów poczułem zawrót głowy.

Palec z wysiłkiem przycisnął spust do końca, kolba karabinu podrzuciła mi ramię i nemezis Slade'a pomknęło w jego stronę, przecinając powietrze z szybkością ponad trzech tysięcy kilometrów na godzinę. Postać w oddali szarpnęła się jak marionetka, której nagle podcięto sznurki, runęła na ziemię i zniknęła z pola widzenia.

Przewróciłem się na plecy, bo walenie w uszach stawało się coraz bardziej dokuczliwe. Nasiliły się zawroty głowy, powracające fale szarych plam przed oczami przybrały kolor czerni. Dostrzegłem jeszcze czerwony błysk słońca przebijający się przez ciemność i straciłem przytomność. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszałem, był głos Elin wykrzykującej moje imię.

III

- Ta operacja miała na celu wprowadzenie w błąd przeciwnika - wyjął Taggart. Leżałem na szpitalnym łóżku w Keflaviku. Przy drzwiach stał wartownik, nie tyle po to, by trzymać mnie pod strażą, lecz raczej by osłaniać mnie przed oczami ciekawskich. Byłem potencjalnym *cause celdere, casus belli* i tym podobne, by nie mnożyć dalej cudzoziemskich określeń, którymi czołowi publicyści Timesa tak chętnie popisują się w momentach kryzysowych, i dokładano teraz wszelkich starań, by sytuacja z potencjalnej nie zamieniła się w realną. Wszystkie zainteresowane strony chciały całą rzecz wyciszyć, a jeśli rząd Islandii znał sprawę, to trzeba przyznać, że robił wszystko, aby tego nie okazywać.

Poza Taggartem w pokoju była jeszcze jedna osoba, Amerykanin, którego

przedstawiono mi jako Arthura Ryana. Poznałem go od razu. Ostatni raz widziałem go w celowniku karabinu Fleeta: stał obok helikoptera, po drugiej stronie grzbietu Budarhals.

Byli u mnie z wizytą już po raz drugi. Za pierwszym razem odczuwałem dużą senność po zastosowaniu rodka znieczulającego i mówiłem nieco od rzeczy, byłem jednak na tyle przytomny, by zadać dwa pytania.

- Co z Elin?

215

- Nic jej nie jest - odparł pocieszająco Taggart. - Tak naprawdę to wygląda lepiej niż ty.

Wyjawił, że Elin została trafiona rykoszetem, zatem siła uderzenia była znacznie osłabiona. Kula weszła w ciało, zatrzymując się między żebrami.

- Jest zdrowa jak ryba - zakończył pogodnie.

Spojrzałem na niego z niechęcią, nie czułem się jednak na siłach, by wdawać się w dyskusję. Spytałem tylko:

- Jak się tu dostałem?

Taggart zerknął na Ryana, a ten wyjął z kieszeni fajkę, przyjrzał się niepewnie i schował z powrotem. Następnie przemówił, nie spiesząc się:

- Ma pan wspaniałą dziewczynę, panie Stewart.

- Co się stało?

- Kiedy pan zemdlął, nie bardzo wiedziała, co robić. Myślała przez chwilę, po czym załadowała karabin i jeszcze bardziej podziurawiła tę chałupę.

W tym momencie pomyślałem ojej stosunku do zabijania.

- Trafiła kogo? - spytałem.

- Nie sšdzę - odparł Ryan. - Myłę, że pan zdšżył wykonać większoć roboty.

Wystrzelała całš amunicję, a było tego całkiem sporo, następnie odczekała chwilę, by zobaczyć, co nastšpi. Ale nic się nie działo, podniosła się więc i weszła do rodka. Myłę, że to był akt niezwyklej odwagi, panie Stewart.

Byłem tego samego zdania. Ryan cišgnł dalej:

- Znalazła telefon, zadzwoniła do naszej bazy w Keflaviku i skontaktowała się z jednym z naszych oficerów, Lee Nordlingerem. Była niezwykle przekonująca i udało jej się naprawdę poruszyć Nordlingera. Zdenerwował się jeszcze bardziej, kiedy telefon nagle zamilkł. - Skrzywił się. - Nic dziwnego, że zemdląa. Z pięcioma trupami i dwójkš ciężko rannych miejsce przypominało rzenie.

- Było trzech rannych - poprawił Taggart. - Póniej znalelimy jeszcze Slade'a.

Wkrótce potem odeszli, nie byłem bowiem w stanie prowadzić dalszej rozmowy.

Wrócili po dwudziestu czterech godzinach. Tym razem Taggart zaczął mówić o operacji, ale przerwałem mu ostro:

- Kiedy zobaczę się z Elin?

- Dzi po południu - odparł. - Nic jej nie jest, naprawdę. Spojrzałem na niego lodowatym wzrokiem.

- Lepiej, żeby tak było. Zakasłał z zakłopotaniem.

- Nie chcesz wiedzieć, o co w tym wszystkim chodziło?

- Tak - odparłem. - Oczywiście, że chciałbym się dowiedzieć, dlaczego

Departament nie szczędził wysiłków, abym rozstał się z życiem. - Skierowa-

łem wzrok na Ryana i dodałem: - Starali się do tego stopnia, że nawišzali nawet

współpracę z CIA.

- Jak powiedziałem, operacja miała na celu wprowadzenie w błąd przeciwnika, a cały ten pasztet wysmażyło kilku amerykańskich naukowców. - Taggart potarł podbródek. - Czy zastanawiałe się kiedy nad krzyżówkami z Timesa"?

- Na miłość boską! - krzyknąłem. - Nie, nigdy. Taggart umięchnął się.

- Przypuśćmy, że jakiś genialny maniak spędza osiem godzin nad ułożeniem krzyżówki. Potem daje się ją do złożenia na kliszy drukarskiej, by w końcu wydrukować ją w gazecie. To w krótkim czasie wymaga pracy sporej grupy ludzi. Niech w sumie zajmie to, powiedzmy, czterdzieści godzin pracy, czyli cały tydzień roboczy jednego człowieka.

- No i co z tego?

- Pomyślmy teraz o odbiorcach tej operacji. Załóżmy, że dziesięć tysięcy czytelników Timesa" wysiła swoje szare komórki, by rozwiązać to cholerstwo, i każdemu zabiera to godzinę. Daje to w sumie dziesięć tysięcy godzin, czyli pięć lat, licząc omiogodzinny dzień pracy. Kojarzysz już, o co chodzi? Dzięki nakładowi pracy w wymiarze jednego tygodnia roboczego zdołano zaangażować w całkiem bezproduktywne zajęcie potencjał umysłowy na skalę odpowiadającą pięciu latom pracy. - Spojrzał na Ryana. - Myślę, że dalej możesz już sam pociągnąć temat.

Ryan odezwał się równym, spokojnym głosem:

- W naukach fizycznych notuje się całą masę odkryć, które nie mają żadnego bezprecedensowego zastosowania, a nawet trudno jest sobie takie wyobrazić. Jednym z przykładów jest tak zwany głupi kit. Widział pan kiedy co takiego?

- Słyszałem o nim - odparłem, zachodząc w głowę, do czego zmierzają. - Ale

nigdy nie widziałem.

- To dziwne tworzywo - cišgnšł dalej. - Można je modelować jak kit, ale jeli go zostawić samemu sobie, zaczyna płynšć jak woda. Co więcej, gdy walnšć w nie młotkiem, rozpryskuje się na kawałki jak szkło. Można by przypuszczać, że substancja o tak przeciwstawnych właściwościach znajdzie gdzie zastosowanie, ale do tej pory nikomu jeszcze nie udało się wpać choćby na jeden pomysł jej wykorzystania.

- Zdaje mi się, że jest używana do wypełniania piłek golfowych - wtršcił Taggart.

- Faktycznie, prawdziwy przełom w technice - odparł z ironiš Ryan. - W elektronice notujemy sporo podobnych osišgnięć, jak na przykład elek-tret, który zawiera trwały ładunek elektryczny i jako taki jest odpowiednikiem trwałego magnesu. Zjawisko to było znane od czterdziestu lat, ale dopiero

217

niedawno znaleziono dla niego zastosowanie. Kiedy wśród naukowców rozpoczęła się dyskusja nad teoriš kwantowš, zaczęły się pojawiać najróżno-rodniejsze dziwaczne pomysły: dioda tunelowa, zjawisko Josephsona i cała masa innych, z czego niektóre można było wykorzystać, a innych nie. Sporo takich odkryć dokonano w laboratoriach pracujšcych na rzecz obronności i nie sš one powszechnie znane.

Poruszył się niespokojnie na krzele.

- Mogę zapalić?

- Bardzo proszę.

Z wyrazem wdzięczności na twarzy wyjšł fajkę i zaczął jš napełniać tytoniem.

- Pewien naukowiec, goć o nazwisku Davies, dokonał przeglšdu stanu rzeczy w

tej dziedzinie i wpadł na genialny pomysł. Nie jest to bardzo wybitny człowiek nauki, nie plasuje się na pewno w pierwszym szeregu, ale jego pomysł okazał się wspaniały, nawet jeśli był tylko zamierzony jako dowcip. Otóż wymyślił on, że wykorzystując sporo z owych tajemniczych, ale nieprzydatnych osiągnięć nauki, można by złożyć zestaw elektroniczny, nad którym łamałyby sobie głowy najtęższe umysły. I faktycznie zbudował taki zestaw, nad którym głowiło się przez sześć tygodni pięciu najlepszych pracowników naukowych z Caltech, zanim odkryli, że zostali wystrychnięci na dudka.

Zaczynałem już rozumieć.

- Operacja mająca na celu wprowadzenie w błąd przeciwnika. Ryan przytaknął.

- Wśród owych nabranych facetów był niejaki doktor Atholl. Dostrzegł on możliwości wykorzystania tego pomysłu i napisał do pewnej ważnej figury, a list ten we właściwym czasie trafił do nas. Jedno ze zdań tego listu okazało się szczególnie istotne. Doktor Atholl zauważał, że omawiane urządzenie stanowi ukonkretnienie aforyzmu: "Każdy głupiec może zadać pytanie, na które nawet najmłodszy nie będzie w stanie udzielić odpowiedzi". Oryginalny zestaw Daviesa był stosunkowo prosty, ale nam udało się doprowadzić do powstania czegoś naprawdę złożonego, co w dodatku nie miało dokładnie żadnego zastosowania.

Pomyślałem, jak Lee Nordlinger łamał sobie nad nim głowę, i zacząłem się umiechać.

- Z czego się miejesz? - spytał Taggart.

- Nieważnego. Słucham dalej.

- Rozumiesz więc całą zasadę - podjął wstępek Taggart. - Sytuacja analogiczna do przykładu krzyżówki z Timesa". Konstrukcja zestawu nie pochłonęła zbyt

wielkiego potencjału intelektualnego: pracowało nad niś przez rok trzech naukowców. Jednak gdyby udało się nam podłóżyć go Rosjanom,

218

zwiśzałoby to na długi czas ich najteższe umysły. A cały dowcip polegał na tym, że zadanie było już od podstaw nierozwiśzywalne.

- Pojawił się jednak problem - wtrścił Ryan - w jaki sposób podrzucić to Rosjanom. Zaczęliśmy od tego, że przekazaliśmy im poufnś informacj ę poprzez serię starannie kontrolowanych przecieków. Puciliśmy mianowicie wieć, że amerykańscy naukowcy wymylili nowy rodzaj radaru o zadziwiajścych właściwościach. Miał on mieć zdolnoć wychwytywania obiektów lecścych poza liniś horyzontu, miał dawać na ekranie pełny obraz, a nie jedynie zielonś plamkę, być odporny na pochodzśce z ziemi zakłócenia bierne, mógł więc wykrywać atak nisko lecścych obiektów. Nie ma kraju, który dla zdobycia czego takiego nie sprzedałby do burdelu córki swego premiera. I Rosjanie zaczęli się na to łapać. Wskazał rękś przez okno.

- Widzi pan tę tam dziwacznś antenę? To ma być włanie ten wspaniały radar. Panuje przekonanie, że tu, w Keflaviku, poddajemy go próbie terenowej. A żeby to uwiarygodnić, nasze myliwce odrzutowe od szeciu tygodni latajś tuż nad falami w promieniu omiuset kilometrów. I w tym włanie momencie wprowadziliśmy do akcji was, Brytyjczyków.

Taggart przejšł pałeczkę.

- A my sprzedaliśmy Rosj anom kolejnś baj eczkę: nasi amerykańscy przy-jaciele trzymajś radar tylko dla siebie, czym poirytowali nas do tego stopnia, że postanowiliśmy, nie pytajśc o zgodę, przyjrzeć mu się sami. W zwiśzku z tym

wysłaliśmy jednego z naszych agentów z poleceniem wykradzenia pewnej bardzo ważnej części tegoż radaru.

Wskazał palcem w moją stronę.

- Oczywiście, ten agent to ty. Przełknąłem linę.

- To znaczy, że miałem pozwolić, by to trafiło w ręce Rosjan!

- Zgadza się - przyznał uprzejmie Taggart. - Zostałem specjalnie wybrany do tego zadania. Slade twierdził, z czym się zgodziłem, że nie jesteś już pewnie tak dobrym agentem jak kiedyś, niemniej masz odpowiadającą nam zaletę, tę mianowicie, że wśród Rosjan cieszysz się całkiem odmienną opinią. Sprawa była już dopięta na ostatni guzik, a wtedy ty wystawiłeś wszystkich do wiatru, i nas, i Rosjan. W rzeczywistości okazałeś się o niebo lepszy, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

Poczułem wzbierając we mnie wściekłość i rzuciłem mu prosto w twarz:

- Ty parszywy, niemoralny sukinyń! Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? To zaoszczędziłoby całą masę kłopotów.

Potrząsnął przecząco głową.

- Wszystko musiało wyglądać autentycznie.

- Na Boga! - zachnąłem się. - Po prostu mnie sprzedałeś, tak jak Baka-jew sprzedał w Szwecji Kennikina. - Zdobyłem się na wymuszony uśmiech.

219

- Sprawy musiały się wiele skomplikować, kiedy okazało się, że Slade jest agentem rosyjskim.

Taggart zerknął w bok na Ryana, sprawiając wrażenie zakłopotanego.

- Nasi amerykańscy przyjaciele są nieco drażliwi na tym punkcie. Włanie przez

tę sprawę akcja spaliła na panewce. - Westchnął i ciśnień dalej z żalem w głosie: - Cały problem tkwi w samej naturze kontrwywiadu. Jeżeli żaden szpieg nie wpada w nasze ręce, wszystko jest pięknie i cacy, ale gdy zgodnie z naszym powołaniem chwytamy jakiego agenta obcego wywiadu, wówczas podnosi się straszna wrzawa do samego nieba, jakobyśmy nie pracowali dobrze.

- Łamiesz mi serce - przerwałem mu. - To nie ty schwytałeś Slade'a. Szybko zmienił temat.

- No, a Slade stał na czele całej operacji.

- Tak - odezwał się Ryan. - I to po obu stronach. Co za wspaniały układ. Był pewnie przekonany, że w tej sytuacji nie może przegrać. - Nachylił się. Kiedy Rosjanie dowiedzieli się o naszej operacji, zdecydowali, że nic nie stoi na przeszkodzie, by przechwycić paczkę i tym samym nas przechytrzyć, udając, że dali się złapać na przynętę. Takie podwójne zaciemnienie.

Spojrzałem z odrazą na Taggarta.

- Ale z ciebie skurwiel! Wiedziało przecież, że Kennikin nie cofnie się przed niczym, żeby mnie zabić.

- Wcale nie! - zaprzeczył żarliwie. - Nie wiedziałem o Kennikinie. Sędzę, że Bakajew doszedł do wniosku, że niepotrzebnie marnuje się zdolnego pracownika, i postanowił zrehabilitować Kennikina, przydzielając go do tego zadania. Może Slade też maczał w tym palce.

- Kennikin gotów był zrobić wszystko, żeby mnie zabić - powtórzyłem ponuro. - A ponieważ uważano mnie za łatwy łup, dano mu do zespołu same knoty. Żalił się na to bez przerwy. - Podniosłem wzrok. - A co z Jackiem Case'em?

Taggartowi nie drgnęła nawet powieka.

- Miał mój rozkaz, żeby wystawić cię Rosjanom; dlatego włanie nie mógł ci pomóc w Geysir. Kiedy jednak spotkał się ze Slade'em, przesiśknięty twoimi podejrzeniami, próbował pewnie go wybadać, ale Slade to szczwany lis, szybko połapał się, o co chodzi. To oznaczało koniec Case'a. Slade robił wszystko, żeby uniknąć dekonspiracji. I dlatego stał się dla niego w końcu ważniejszy niż ta przeklęta paczka.

- I już po Jacku - westchnęłam z goryczą. - Dobry był z niego facet. A kiedy zaczęły domyślać się prawdy o Siadzie?

- Nie od razu - odparł Taggart. - Kiedy do mnie zatelefonowała, myślałem, że ci odbiło. Ale po oddelegowaniu Case'a do Islandii straciłem zupełnie kontakt ze Slade'em. Stał się po prostu nieosiżgalny, co było sprzecz-

220

ne z obowiązującymi przepisami. Zaczęłam więc wtedy dokładnie przeglądać jego kartotekę i znalazłem informację, że jako chłopiec mieszkał w Finlandii, a jego rodzice zginęli w czasie wojny. Wtedy przypomniałem sobie, co mówiłem o sprawie Lonsdale'a, i zacząłem się zastanawiać, czy także w przypadku Slade'a nie posłużono się tą samą sztuczką. - Skrzywił się. - Ale kiedy odnaleziono ciało Case'a zabitego twoim nożem, nie wiedziałem już, co o tym wszystkim myśleć.

Trścił łokciem Ryana.

- Nóż!

- Co? Ach, tak!

Ryan sięgnął ręką do kieszeni na piersi i wyciągnął mój sgian dubh.

- Udało się nam wydostać go z rąk policji. Myślę, że chciałby pan mieć go z powrotem.

Wyciągnął nóż w moją stronę.

- To naprawdę ładna rzecz. Podoba mi się ten klejnot w rękojści.

Wziąłem nóż z jego ręki. Polinezyjczyk powiedziałby o nim, że ma tajemniczą moc mana. Moi odlegli przodkowie nazwaliby go Weazand Slit-ter, czyli Pijący Krew, lecz dla mnie stanowił on po prostu nóż, który należał kiedyś do mojego dziadka, a wcześniej jeszcze do jego dziadka. Położyłem ostrożnie broń na stoliku przy łóżku i odezwałem się do Ryana:

- Pańscy ludzie strzelali do mnie. Mogę wiedzieć dlaczego?

- Do diabła! Zachowywał się pan jak szalony i cała operacja była poważnie zagrożona. Lecząc helikopterem nad tym przeklętym pustkowiem, zobaczyliśmy pana uciekającego przed Rosjanami i doszliśmy do wniosku, że ma pan spore szanse wyrwania się im. No więc wysadziliśmy faceta, żeby zastopował pańskiego land-rovera. Trzeba było uważać, żeby przy tym nie wzbudzić u Rosjan żadnych podejrzeń. Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, że cała operacja wzięła w łeb. Ani Taggart, ani Ryan nie mieli krzty moralności. Zresztą nie oczekiwałem tego po nich.

- Ma pan szczęście, że jeszcze żyje - zwróciłem się do Ryana. - Ostatni raz widziałem pana przez celownik karabinu Fleeta.

- Jezu! - westchnął. - Całe szczęście, że wtedy o tym nie wiedziałem. A skoro mowa o Fleecie: załatwił go pan na dobre, ale wyjdzie z tego. - Potarł nos. - Fleet jest bardzo przywiązany do swojego karabinu i chciałby go odzyskać. Potrzebuję przeczyszczo głów.

- Niech i ja co z tego mam. Jeli Fleet jest mężczyzną, to może sam po niego przyjść.

Ryan nachmurzył się.

- Wstąpię, czy to robi. Wszyscy mamy pana serdecznie dosyć.

221

Pozostawała jeszcze jedna sprawa.

- A więc Slade żyje? - spytałem.

- Tak - potwierdził Ryan. - Kula przeszła przez miednicę. Jeżeli w ogóle będzie kiedy chodził, nie obejdzie się bez stalowych gwodzi w biodrach.

- Jedyny spacer, na jaki Slade może liczyć przez następne czterdzieci lat, będzie się odbywać na więziennym podwórku - zauważył Taggart.

Wstał z miejsca.

- Wszystko, o czym tu mówimy, Stewart, jest objęte ustawą o przestrzeganiu tajemnicy państwowej. Żaden szczegół nie może wyjść na wiatło dzienne. Slade jest już w Anglii. Przetransportowaliśmy go na pokładzie amerykańskiego samolotu.

Stanie przed sądem, jak tylko wyjdzie ze szpitala, ale rozprawa odbędzie się przy drzwiach zamkniętych. A ty będziesz milczeć, i tak samo twoja dziewczyna.

Im szybciej zamienisz jawną poddań brytyjską, tym bardziej będę zadowolony.

Chciałbym mieć jakąś kontrolę nad nią.

- Boże wszechmogący! - westchnąłem znużony. - Nawet występując w roli Kupidyna, musisz w tym mieć jakiś ukryty cel.

Ryan dołączył do Taggarta przy drzwiach. Odwrócił się i powiedział:

- Myle, panie Stewart, że sir David ma panu wiele do zawdzięczenia, znacznie więcej, niż można by wyrazić słowami podziękowania, których, jak widzę, i tak nie skierował pod pańskim adresem.

Spojrzał kątem oka na Taggarta, a ja zrozumiałem, że nigdy nie było między nimi

specjalnej miłości.

Sam Taggart sprawiał wrażenie, jakby te słowa nie do niego były skierowane.

- A tak - rzucił od niechcienia. - Przypuszczam, że da się co zrobić. Może jakiś medal, jeżeli lubisz takie błyskotki.

Nie mogłem opanować drżenia w głosie.

- Wszystko, czego pragnę, to nigdy więcej ciebie nie oglądać. Będę milczał tak długo, jak długo będziesz trzymał się od nas z daleka, ale jeśli ty albo który z twoich chłopców z Departamentu zbliży się do mnie na odległość głosu, zacznę mówić.

- Nikt nie będzie więcej cię niepokoił - zapewnił.

Wyszli z pokoju. Po chwili Taggart wychylił głowę zza drzwi.

- Przylę ci trochę winogron.

IV

Korzystając z pomocy CIA i marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, zabrałem się z Elin do Szkocji samolotem załatwionym przez Ryana.

222

W Glasgow wzięliśmy lub na mocy specjalnego zezwolenia wystawionego przez Taggarta. Oboje byliśmy jeszcze w bandażach.

Potem zawiozłem Elin do mojej doliny u stóp Sgurr Dearg. Spodobał się jej tutejszy krajobraz, zwłaszcza drzewa, cudowne okazy, tak niepodobne do swych islandzkich odpowiedników. Nie miała natomiast dobrego zdania o chacie. Była dla niej za mała i działała przygnębiająco, co wcale mnie nie dziwiło; w końcu to, co odpowiada kawalerowi, nie jest dobre dla żonatego mężczyzny.

- Nie przeniosę się do dużego domu - oponowałem. - Dla nas dwojga jest za

wielki, a zresztś zwykle wynajmuję go Amerykanom, którzy przyjeżdżajś tu na polowania. Zróbmymy tak: w chacie zamieszka leniczy, a my zbudujemy sobie dom nieco dalej, gdzie nad rzekś.

Tak też zrobilimy.

W dalszym ciśgu mam karabin Fleeta. Nie trzymam go nad kominkiem w charakterze trofeum, ale tak jak należy, w szafce na broń obok innych egzemplarzy. Używam go czasami przy odstrzale jeleni, ale nie robię tego zbyt często. Nie daje jeleniom wielkich szans.